

ZESZYT STO TRZYDZIESTY PIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2001

ZESZYT STO TRZYDZIESTY PIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

2001

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 514

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0182-7

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Grzegorz MAZUR

PROBLEM PACYFIKACJI MAŁOPOLSKI WSCHODNIEJ W 1930 R.

Wygrana wojna z Zachodnioukraińską Republiką Ludową w latach 1918-1919, w wyniku której Małopolska Wschodnia znalazła się w granicach Polski, nie zakończyła konfliktu polsko-ukraińskiego. Przytłumiony, wszedł on w nową fazę swego rozwoju. W 1920 r. powstała konspiracyjna Ukraińska Organizacja Wojskowa (UWO), której celem było utworzenie niepodległego zjednoczonego państwa ukraińskiego. Środkiem do jego osiągnięcia było stosowanie terroru w stosunku do Polaków oraz tych przedstawicieli społeczeństwa ukraińskiego, którzy stali na gruncie porozumienia ze stroną polską. Prowadzono też odpowiednią propagandę, której celem było przebudowanie w tym kierunku świadomości ukraińskiego społeczeństwa. W początkach 1929 r. na bazie UWO i kilku innych grup nacjonalistycznych powstała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), która kontynuowała dotychczasową działalność UWO. Najbardziej znanymi aktami terroru ze strony OUN było zabójstwo w 1931 r. Tadeusza Hołówki i w 1934 r. ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego. Miały też miejsce liczne akcje podpalania zabudowań i niszczenia zbiorów, a także zamachy dokonywane na odbywające się corocznie Targi Wschodnie we Lwowie.

W lecie 1930 r. doszło do masowej akcji sabotażowo-dywersyjnej ze strony OUN. Rozpoczęła się ona w lipcu i trwała do listopada tego roku. Łącznie wtedy naliczono 191 różnego typu akcji sabotażowych, głównie podpaleni. W większości przypadków – 172 – skierowane one były w majątek prywatny. Atakowano – głównie podpalano – należące do polskich ziemian majątki, następnie rozszerzono akcję na gospodarstwa kolonistów polskich. Niszczono też siedziby towarzystwa „Strzelec”, spalono trybuny Targów Wschodnich we Lwowie, demolowano drogi, linie telegraficzne i tory kolejowe. Władze oszacowały całość szkód na kilka milionów złotych. Największe straty były następstwem napadów na urzędy i wozy pocztowe. Nigdy jeszcze wcześniej, poczynając od 1922 r., akcja taka ze strony UWG czy OUN nie osiągnęła tak dużych rozmiarów. Akcję tę podjęto dla uniemożliwienia jakiegokolwiek kompromisu, wzmocnienia coraz bardziej słabnącego muru nienawiści między Ukraińcami i Polakami oraz wzmocnienia swego autorytetu kosztem legalnych ośrodków polityki ukraińskiej w Polsce. Niewykluczone, że do akcji OUN dołączyli także komuniści ukraińscy, aczkolwiek w tej fali aktów sabotażu ich rola była zdecydowanie marginalna.¹ Organizatorem tej akcji był sam szef OUN, płk Jewhen Konowalec. Jego zamiarem było: „zrewolucjonizować ludowe masy ukraińskie i podważyć polski reżim okupacyjny na ziemiach zachodnioukraińskich.”² W innym miejscu, w październiku 1930 r., w wydawnictwach OUN stwierdzono, że celem akcji było: „wywrzeć wpływ psychiczny na masy

1. Derżawnyj Archiw Lwivskojj Oblasti (Państwowe Archiwum Lwowskiego Obwodu – Lwów – dalej cyt.: DAŁO): Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 53; A. L. Sowa, „Stosunki polsko-ukraińskie 1939-1947. Zarys problematyki”, Kraków 1998, s. 45-51; A. A. Zięba, „Ukraińcy w Kanadzie wobec Polaków i Polski (1914-1939)”, Kraków 1998, s. 302-303; A. Chojnowski, „Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921-1939”, Wrocław 1979, s. 157; R. Torzecki, „Kwestia ukraińska w polityce III Rzeszy (1933-1945)”, Warszawa 1972, s. 65, pisze, że dokonano około 2.200 poważnych aktów sabotażu. Liczba ta zwłaszcza w konfrontacji z raportami policyjnymi wydaje się znacznie przesadzona. Także K. Lewandowski, „Sprawa ukraińska w polityce zagranicznej Czechosłowacji w latach 1918-1932”, Wrocław 1974, s. 294, podaje, że liczba aktów terroru wyniosła 2.191, co także wydaje się zawyżone.

2. A. A. Zięba, s. 302.

ludności ukraińskiej w skrajnie wrogim kierunku do państwa polskiego i narodu, wreszcie przez wywoływanie niepokoju i anarchii pogłębić za granicą przekonanie o niepewności granic państwa polskiego oraz braku jego wewnętrznej konsolidacji.”³ Były to pomysły dość ryzykowne i sam J. Konowalec zdawał sobie z tego sprawę, zwierając się jednemu ze swoich współpracowników: „będą mnie albo błogosławić, albo przeklinać.”⁴ W. Pobóg-Malinowski wypowiedział podobną opinię, opierając się na wypowiedziach działaczy ukraińskich dla zachodniej prasy: „(...) oto w okresie największego zagrożenia w stosunkach, w roku 1930, przedstawiciel londyńskiego *Times*’a usłyszy od przywódców ukraińskich, iż mają oni nadzieję zbudować niezależne państwo w niedalekiej przyszłości, w ciągu 30 lat; naród nasz – mówili – wyrzekłby się niezależnej Ukrainy, gdybyśmy pozwolili mu na przyjazne współżycie z Polakami; z tych względów – stwierdzali – nie chcemy i nie dążymy do pokoju z Polską; z tychże względów odrzucamy z niezadowoleniem wszystko, co Polska nam zaoferuje.”⁵

Istniały też inne przyczyny tej fali terroru ukraińskiego. Wielki kryzys gospodarczy spowodował gwałtowną pauperyzację ludności ukraińskiej, przy czym groźnym problemem była deklasacja inteligencji. Instytucje polskie przyjmowały do pracy głównie Polaków, natomiast ukraińskie, choć przeciwdziałały bezrobociu, nie były w stanie zlikwidować problemu. Wykorzystywano też głód ziemi wśród ukraińskiego chłopstwa, ażeby przyciągnąć go do OUN. Kierownictwo tej organizacji postanowiło wykorzystać te wszystkie czynniki. Na przełomie 1929 i 1930 r. komendant krajowy UWO, Julian Hołowiński, otrzymał rozkaz wszczęcia akcji terrorystycznej.⁶

Legalne instytucje i organizacje ukraińskie początkowo nie zajęły stanowiska wobec fali zamachów, co stworzyło wrażenie, że solidaryzują się z nią. Nastroje w województwach

3. K. Lewandowski, s. 295.

4. A. A. Zięba, s. 302-303.

5. W. Pobóg-Malinowski, „Najnowsza historia Polski”, t. 2: 1914-1939, Londyn 1985, s. 722-723.

6. R. Torzecki, „Kwestia ukraińska...”, s. 65-66.

południowo-wschodnich groziły wybuchem wojny domowej.⁷ W tej sytuacji władze państwowe musiały zareagować. Odpowiednie polecenia wydał sam marszałek J. Piłsudski. W opracowanej przez W. Jędrzejewicza „Kronice życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935” znajdujemy zapis: „W ciągu lata tego roku sprawa ludności ukraińskiej w Małopolsce Wschodniej nabrała specjalnego znaczenia. Pod wpływem akcji sowieckiej i niemieckiej, a i przy pomocy czeskiej, czynniki wywrotowe wśród Ukraińców doprowadziły już dawniej prowadzoną akcją przeciwko Polakom do bardzo wielkich rozmiarów z hasłem: «Polacy – za San!» Walka z «okupacją polską» rozrastała się gwałtownie. Powtarzały się napady na polskie urzędy, niszczenie torów i urządzeń kolejowych, wysadzanie mostów, niszczone druty telegraficzne; palono polskie dwory i zagrody, podpalano zbiory w polu i stodołach, terroryzowano polskich urzędników i nauczycieli. Piłsudski polecił gen. Składkowskiemu [gen. Felicjan Sławoj Składkowski był wtedy ministrem spraw wewnętrznych – przyp. GM] przeprowadzenie tzw. «pacyfikacji», co trwało 10 tygodni, poczynając od 16 września. 1 września w rozmowie ze Składkowskim Piłsudski polecił nie traktować podpażeń, napadów i gwałtów w Małopolsce Wschodniej jako jakiegoś rodzaju powstania. Unikać należy rozlewu krwi, natomiast stosować odnośnie ludności, popierającej zamachowców, represje polityczne, a gdzie to nie pomoże, kwaterunek wojskowy ze wszystkimi ciężarami z tym związanymi. Bardzo mocno podkreślił, że pacyfikacja ma być bezkrwawa.”⁸ Było to bardzo ważne, chodziło bowiem o to, aby nie dać podstaw propagandzie ukraińskiej i niemieckiej, bądź szerzej prasie i zagranicznej opinii publicznej, do twierdzenia, że ruch ukraiński jest tak potężny, że dla jego stłumienia trzeba strzelać do ludzi.⁹ Informacje o podjęciu tej decyzji podaje też w swoich wspomnieniach F. Sławoj Składkowski, pisząc – obok powyższych szczegółów – iż według rozkazów J. Piłsudskiego „sama obecność wojska uniemożliwi zamachowcom

7. A. A. Zięba, s. 303; A. Chojnowski, s. 158.

8. W. Jędrzejewicz, „Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935”, Londyn 1986, t. 2, s. 365.

9. W. Pobóg-Malinowski, t. 2, s. 726.

terroryzowanie ludności. Ludność musi wiedzieć, że ma słuchać władz, a nie zamachowców.”¹⁰ Jednocześnie tego samego dnia F. Sławoj Składkowski otrzymał od Piłsudskiego polecenie aresztowania przywódców antysanacyjnej opozycji – Centrolewu – których potem osadzono w twierdzy w Brześciu nad Bugiem. Wśród nich znaleźli się też posłowie ukraińscy, w tym: Wołodymyr Cełowycz (UNDO), Osyp Kohut (Blok Wyborczy Ukraińskich Socjalistycznych Włościańsko-Robotniczych Partii), Dmytro Palijiw (UNDO), Ołeksander Wysłoćkyj (UNDO) i Jan Leszczyński.¹¹ Jak pisze W. Pobóg-Malinowski, „poza grupą brzeską na polecenie prokuratury aresztowano jeszcze 50 byłych posłów i działaczy politycznych, przeważnie spośród mniejszości (w tym 25 Ukraińców z Małopolski Wschodniej).”¹²

Trzeba w tym miejscu wspomnieć o paru istotnych kwestiach. Przede wszystkim należy pamiętać o tym, że po II wojnie światowej określenie „pacyfikacja” miało zupełnie inny wydźwięk, zupełnie inny sens i znaczenie. Po II wojnie światowej nazwą tą określano mające miejsce w jej trakcie akcje niemieckie wymierzone przeciwko wsiom, połączone z masową grabieżą mienia, podpaleniami domów i budynków gospodarskich oraz masowymi egzekucjami. W ich wyniku często znikwały z powierzchni ziemi całe wsie. W tym kontekście pamiętać należy o tym, że pacyfikacja Małopolski Wschodniej absolutnie nie miała takiego charakteru, aczkolwiek doszło w jej trakcie do wielu brutalnych aktów przemocy. Stąd też bardziej uzasadnione wydaje się użycie – jako bardziej poprawnego – określenia „policyjna akcja represyjna”.

Druga sprawa dotyczy ewentualnej inspiracji sowieckiej, niemieckiej i czeskiej, o której pisał W. Jędrzejewicz. Na fakty

10. F. Sławoj Składkowski, „Strzępy meldunków”, Warszawa 1988, s. 104-105.

11. W. Pobóg-Malinowski, t. 2, s. 716; A. Garlicki, „Od maja do Brześcia”, Warszawa 1981, s. 390-391. Według A. Chojnowskiego, s. 158, wstępem do akcji pacyfikacyjnej było „dokonanie aresztowań posłów opozycyjnych (10 września), wśród których znajdowało się początkowo 5 Ukraińców, nieco później osadzono w Brześciu dodatkowo jeszcze kilkudziesięciu działaczy i polityków ukraińskich.”

12. W. Pobóg-Malinowski, t. 2, s. 716.

inspiracji niemieckiej wskazują liczne przykłady wspierania przez Niemców OUN w jej działalności wymierzonej przeciwko Polsce – wystąpiła tu swego rodzaju wspólnota interesów. Niemcy finansowali zresztą OUN, a kontakty wywiadu niemieckiego z UWÓ, a potem OUN rozpoczęły się już w połowie lat 20-tych i miały miejsce w całym okresie międzywojennym. Dodatkowo prasa polska łączyła – nie bez pewnej racji – wzrost fali aktów terroru z wystąpieniem niemieckiego ministra Gottfrieda Treviranusa 10 VIII 1930 r., który powiedział wtedy: „W głębi duszy pamiętamy o rozdartym kraju nadwiślańskim, o nie zaleczonej ranie na flance wschodniej, tym okaleczonym płacie płucnym Rzeszy (...). Nadejdzie dzień, w którym bój o słuszość uwolni Niemcy i Europę”. Natomiast jeśli chodzi o inspirację czeską, to nie ulega wątpliwości, że OUN korzystała z materialnego wsparcia Czechosłowacji, a zwłaszcza prezydenta Tomasza Masaryka i jego otoczenia. Nie przeszkadzał im w tym fakt wspierania OUN przez tajne służby litewskie i niemieckie, a te ostatnie przecież w swej działalności intensywnie zwalczały Czechosłowację. Natomiast fakt wspomagania UWÓ, a potem OUN przez Litwinów wynikał z tego, że Litwa, będąc w ostrym konflikcie z Polską na tle sporu o Wilno, przeznaczała w 1930 r. 300 dolarów co drugi miesiąc na potrzeby UWÓ, ponadto ponoszono koszty utrzymania reprezentanta UWÓ w Kownie, Józefa Rewiuka, koszty drukowania pisma UWÓ (a potem OUN) *Surma* oraz częściowo koszty akcji propagandowej. Także w późniejszym okresie wspomagano finansowo OUN.

Natomiast inspiracja sowiecka wydaje się wysoce wątpliwa. W raportach polskich władz policyjnych jasno stwierdzano, że fala dywersji została dokonana przez „separatystów ukraińskich”, zaś zatrzymane wtedy osoby często były związane z działającymi legalnie organizacjami ukraińskimi, których oblicze polityczne było jak najdalsze od komunizmu. Zresztą w związku z aktami sabotażu w sierpniu 1930 r. tylko na terenie samego Lwowa aresztowano 20 osób, a we wrześniu 1930 roku 103 osoby, przy czym wszyscy należeli do partii Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne (UNDO), 15 do ukraińskiej organizacji młodzieżowej „Płast”, dwóch do „Młodoci Hromady” i jeden do sporto-

wego towarzystwa „Łuh”. Elementy komunistyczne czy komunizujące przyłączyły się do tej akcji, choć nie w sposób masowy, na co wskazywałyby ulotki KPZU i czasopisma „Sel-Robu”.¹³ Warto jednak pamiętać, że wielu historyków uważa, że fala terroru ze strony OUN nastąpiła w odpowiedzi na pojawiającą się nadzieję na polepszenie stosunków polsko-ukraińskich, które wyraziły się w pogłoskach o spotkaniu i rozmowach metropolity Andrzeja Szeptyckiego z Henrykiem Józewskim, twórcą i realizatorem koncepcji poprawnego ułożenia ich na Wołyniu. Nie mogli na to zgodzić się zarówno przywódcy OUN, jak i państwa sąsiednie, wrogo ustosunkowane do Polski.¹⁴ Badacz problematyki, A. A. Zięba, skonstratował: „zagranicznymi nieprzyjaciółmi Polski (...) były Niemcy (inspirujący decyzję o akcji sabotażowej podjętą przez przywódców OUN) i ZSRR (co najmniej współdziałający przy jej wykonaniu).”¹⁵ Z drugiej jednak strony raporty policyjne ze Lwowa główną rolę przypisują OUN, wspominając o niemieckiej inspiracji, ale brak w nich wzmianek o sowieckim współdziałaniu.

W ocenie polskich władz policyjnych (sprawozdanie naczelnika Wydziału Bezpieczeństwa Lwowskiego Urzędu Wojewódzkiego Bazylego Rogowskiego z 7 XI 1930 r.) celem wzmożonej akcji sabotażowej – jak świadczyły o tym znajdujące się w ich rękach dokumenty – według wszelkiego prawdopodobieństwa uzyskane w czasie rewizji wśród Ukraińców „było w zasadniczym założeniu: 1/ zahamowanie rosnących w społeczeństwie ruskiem nastrojów ugodowych w stosunku do Państwa Polskiego i zarysowujących się zaczątków współżycia polsko-ruskiego, 2/ podniesienie w oczach społeczeństwa ruskiego autorytetu UWOWO wzgl[ędnie] OUN przez wykazanie ich żywotności i aktywności.

Jeśli zaś chodzi o samą formę wystąpienia, to akty w stosunku do folwarków zmierzały do niszczenia ich, jako (zda-

13. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 18-20, 53-53 ob., Fond 121, opis 3, sprawa 632, k. 15; J. Krasuski, „Historia Rzeszy Niemieckiej 1871-1945”, Poznań 1971, s. 303; A. A. Zięba, s. 305; K. Lewandowski, s. 293-294.

14. A. A. Zięba, s. 302-303; A. Chojnowski, s. 157.

15. A. A. Zięba, s. 303.

niem kierowniczych kół UWO wzgl[ędnie] OUN) ognisk polskości na terenie Małopolski Wschodniej, jeśli natomiast chodzi o akty względem polskich osadników – to miały one na celu zmuszenie osadników do likwidacji osad polskich w Małopolsce Wschodniej i odstraszenia wszystkich narodowości nieruskiej przed ewent[ualnym] nabywaniem ziemi na tym terytorium. Na wybór tej formy akcji wpłynęła z jednej strony łatwość samego wykonania i prymitywność potrzebnych do tego środków, a z drugiej strony chęć oddziaływania na emigrację ukraińską w Ameryce składającą się przeważnie z elementu chłopskiego w celu umożliwienia i ułatwienia specjalnym wysłannikom UWO i OUN wśród tej emigracji [prowadzenia] akcji zbiórkowej na cele obu tych organizacji,¹⁶ która to akcja z nowym rokiem ma być na gruncie amerykańskim specjalnie silnie podjęta, wreszcie chęcią rozszerzenia wzgl[ędnie] pogłębienia swych wpływów organizacyjnych w elemencie włościańskim na terenie Małopolski Wschodniej.”¹⁷

Bardzo szczegółowe dane pozwalają na ustalenie dokładnych szczegółów rozmiarów akcji dywersyjnej w poszczególnych województwach w okresie lipiec–wrzesień 1930 r. W województwie lwowskim doszło wtedy ogółem do 51 aktów sabotażu w następujących powiatach: Lwów-miasto, Bóbrka, Drohobycz, Gródek Jagielloński, Jaworów, Lwów-powiat, Przemyśl, Rawa Ruska, Rudki, Sokal, Stary Sambor, Żółkiew. Największa ich liczba miała miejsce w powiatach Lwów-powiat – 16 i Bóbrka – 11. Na ogół – poza jednym faktem napadu na ambulanś pocztowy pod Bóbrką w celu zdobycia pieniędzy na cele organizacyjne – było to przecinanie drutów telefonicznych i kolejowych, podpalenia magazynów kolejowych, trybun na boiskach sportowych (m.in. znanego lwowskiego klubu „Pogoń”) oraz pól rolnych i budynków gospodarczych polskich właścicieli ziemskich i rolników. W powiecie przemyskim akcja zwracała się też przeciwko osiadłym na roli Żydom, którzy ponadto prowadzili handel. Celem

16. W sprawozdaniu tym zawarty jest błąd, bowiem latem i jesienią 1930 r. nie było już UWO, a tylko OUN.

17. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 53-53 ob.

było zastraszenie ich i usunięcie w ten sposób ze wsi, aby uwolnić miejscowe spółdzielnie ukraińskie od żydowskiej konkurencji. W miarę trwania akcji wzrastała zuchwałość zamachowców, którzy niejednokrotnie uzbrojeni w broń palną ostrzeliwali warty pilnujące dobytku.¹⁸

Na terenie województwa stanisławowskiego ogółem miało miejsce 31 aktów sabotażu, w powiatach: Horodenka, Kołomyja, Rohatyn, Skole, Stanisławów, Żydaczów, Kosów. Do największej ilości doszło w powiecie Rohatyn – 12 aktów sabotażu, powiecie Stanisławów – 6 i powiecie Horodenka – 5. Władze policyjne skonstatowały, że najwięcej aktów sabotażu przypadało na te trzy powiaty, w których istnieją względnie istniały ukraińskie gimnazja państwowe lub prywatne. Ogółem w województwie tym aresztowano 32 sprawców.¹⁹ Obszerne są konstatacje dotyczące wykonawców akcji sabotażowych: „W kwestii środowiska, z którego wychodziła inicjatywa do wykonywania sabotażów, uzyskano w toku czynności likwidującej tę akcję liczne dane, że w ukr[aińskiej] akcji wywro[towej] [zaangażowani byli członkowie różnych ukr[aińskich] stowarzyszeń, jak «Ridna Szkoła», «Proświta», «Płast», «Sokił», «Łuh» i kooperatywy. Tych danych dostarczyły przeprowadzone rewizje podczas których znaleziono w wielu wypadkach materiały stwierdzające, że członkowie tych stowarzyszeń bądź brali bezpośredni udział w tym ruchu wywrotowym, bądź byli jego zwolennikami. Była to różnego rodzaju broń wojskowa i niewojskowa, amunicja, materiały wybuchowe, nielegalna literatura dotycząca ukr[aińskiego] ruchu nacjonalno-rewolucyjnego, a zwłaszcza UWO i OUN. Także rewizje przeprowadzone w niektórych instytucjach, jak w budynkach szkolnych, dostarczyły w kilku wypadkach takiego materiału. Z tego wynika, że stowarzyszenia te wzgl[ędnie] instytucje były środowiskami, z których może najczęściej wychodziła inicjatywa do wykonywania akcji sabotażowej. W powiecie horodeńskim głównym środowiskiem tej akcji było ukraińskie pryw[atne] gimnazjum im. Szewczenki w Horodence, a prawdopodobnie także istniejąca

18. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 53 ob.-54.

19. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 54-55.

tam czytelnia «Proświty». W powiecie rohatyńskim śródowiskiem, z którego rozeszła się ta akcja, było ukr[aińskie] pryw[atne] gimnazjum w Rohatynie oraz istniejący przy tym zakładzie «Płast». W poszczególnych miejscowościach tego powiatu, w których zdarzały się akty sabotażowe, ośrodkami tego ruchu były miejscowe «Proświta» i kooperatywy. Podobnie w pow. skolskim ogniskami ruchu były miejscowe czytelnie «Proświty», «Sokił», «Łuh» i kooperatywy. Odnosnie powiatu stanisławowskiego stwierdzono, że osoby aresztowane pod zarzutem sabotażu dokonanego w Haliczu były członkami «Płasta» oraz miejscowej «Proświty». W innych wypadkach sabotażowych inicjatywa była rzekomo indywidualna.»²⁰

W województwie tarnopolskim w lipcu, sierpniu i wrześniu 1930 r. miało miejsce 79 aktów sabotażu, przy czym głównie były to podpalenia zabudowań gospodarczych i zgromadzonych płodów rolnych.²¹ Jak stwierdzono w raporcie z 7 XI 1930 r., „największe nasilenie wypadków sabotażowych było na terenie powiatu tarnopolskiego, podhajeckiego i brzeżańskiego. Przyczyny tego należy szukać w tym, że powiaty te leżały w sferze działania 2 ważnych ognisk antypaństwowej roboty, jakimi były IV gimnazjum państwowe z jęz[ykiem] wykł[adowym] ruskim w Tarnopolu i pryw[atne] gimn[azjum] ruskie w Rohatynie. Uczniowie tych gimnazjów od 4 kl. począwszy w górę w większości byli czynnie zaangażowani w działalność UWŃ, a pochodząc przeważnie z wymienionych 3 powiatów szerzyli przy każdej sposobności, a szczególnie w czasie ferii, antypaństwową [robotę] w swych rodzinnych miejscowościach i okolicy oraz organizowali komórki UWŃ i odegrali następnie w akcji sabot[ażowej] dominującą rolę. Drugą przyczyną nasilenia sabotażów była ta okoliczność, że w danych powiatach najsilniejsze liczebnie i najlepiej zorganizowane są towarzystwa ukraińskie, a przede wszystkim «Łuh», «Sokił» i «Płast», które okazały się zakonspirowaną siedzibą UWŃ-wców i sabotażystów, zaś sam roz-

20. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 54 ob.-55.

21. Przy dokładnym przeliczeniu liczba sabotaży we wrześniu jest jeszcze większa, w sumie więc przekraczałyby 79. Istnieją pewne rozbieżności w cytowanym już wcześniej raporcie z 7 XI 1930 r.

kwit tych towarzystw przypisać należy właśnie wychowankom wspomnianych 2 gimnazjów. Inicjatywa do akcji sabotażowej bez wątpienia wyszła od kierownictwa UWŃ, które swe podrzędne organa systematycznie przygotowało do tej akcji przy pomocy lektury odpowiednich artykułów *Surmy*.²² W wielu wypadkach stwierdzono, [że] wykonawcy sabotażów członkowie UWŃ otrzymali rozkaz wykonania sabotażów od swych przełożonych władz już to ustnie, już to pisemnie, choć ten ostatni wypadek bardzo rzadko miał miejsce. Prócz tego bez wątpienia w wielu wypadkach sabotażów inicjatywa wyszła od samych członków bojówek UWŃ, którzy chcieli na własną rękę przyczynić się do ogólnej akcji sabotażowej; rolę w akcji sabotażowej odegrały ruskie towarzystwa, jak «Proświty» i kooperatywy, [w] których UWŃ-wcy zbierali się i z których czerpali środki pieniężne dla organizacji, a przede wszystkim «Łuhy», «Sokiły» i «Płasty», spośród których głównie rekrutowali się członkowie UWŃ wykonujący sabotaże. Sprawcy wykrytych sabotażów rekrutowali się głównie spośród uczniów wzgl[ędnie] b. uczniów wspomn[ianych] gimnazjów ruskich, następnie spośród ruskiej młodzieży wiejskiej.»²³ Te ustalenia władz nie pozostawiały cienia wątpliwości co do faktu, że często legalnie działające organizacje ukraińskie były przykrywką dla komórek nielegalnych UWŃ i OUN, zaś członkowie ich byli też jednocześnie członkami tych ostatnich.

Reakcją na terror ze strony OUN były liczne wiece, na których uchwalano rezolucje, w których domagano się od władz państwowych zastosowania skutecznych środków represyjnych. W niektórych rejonach (województwo tarnopolskie) wpływ terroru ukraińskiego był deprimujący na społeczeństwo polskie, tym bardziej że początkowo nie miały tam miejsca represje ze strony władz. Ludność polska i lojalni wobec państwa polskiego Ukraińcy zostali do tego stopnia sterroryzowani, szczególnie na wsi, że niejednokrotnie nawet poszkodowani z obawy przed zemstą obawiali się energiczniejszych wystąpień policji przeciwko winnym. Zaczęto zakładać powiatowe komi-

22. Cołowe pismo OUN, w Polsce zakazane i przemycane do niej z innych państw.

23. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 55 ob.-55.

tety Związku Obrony Kresów Wschodnich względnie Komitetu Samoobrony, a szczególnie inicjatywę w tym kierunku przejawiał Związek Oficerów Rezerwy. W niektórych przypadkach – jak w województwie tarnopolskim – działalność Komitetów Samoobrony ograniczyła się do „dobrych chęci”, gdyż pomyślny wynik akcji pacyfikacyjnej uczynił je zbędnymi.²⁴

Z kolei wśród ludności ukraińskiej nastroje w stosunku do prowadzonej przez OUN akcji masowych sabotaży były pozytywne. Najobszerniej zostały scharakteryzowane w sprawozdaniu z 7 XI 1930 r. w odniesieniu do województwa lwowskiego, natomiast co do pozostałych dwóch województw opinie są podobne. Charakterystyka ta została sformułowana w sposób następujący:

„Społeczeństwo ruskie (inteligencja) zajęło naogół wobec akcji sabotażowej UWŃ stanowisko życzliwej neutralności. Młodzież ruska, zwłaszcza grupująca się w «Sokółach», «Płastach», «Łuhach» itp., o ile sama nie brała bezpośredniego udziału w akcji sabotażowej, zdradzała jawnie swoje sympatie dla zamachowców. Masy chłopskie zaś widząc bezkarne szerzenie się w sposób gwałtowny akcji sabotażowej z jednej strony, a łagodność władz w traktowaniu antypaństwowych wystąpień z drugiej strony, stały się butne i zuchwałe. Wynikiem tego były stwierdzone objawy lekceważenia i sprzeciwiania się zarządzeniom władz państwowych i jej organów oraz próby rewoltowania mas przez konspiracyjne oddziaływanie podżegaczy. W rezultacie dochodziło do tego, że rozzuchwalone masy chłopskie z trudnością dawały się poskramiać przez organy bezpieczeństwa i w wielu wypadkach policja dla przeprowadzenia zarządzeń władz użyć musiała siły fizycznej względem opornych, do użycia broni jednak nie doszło. Prasa ruska w sposób perfidny ograniczyła się jedynie do roli rejestratora w wypadku niszczenia mienia polskiego, co miało niezawodnie na celu podniecenie jeszcze bardziej aktywności elementów zgrupowanych w UWŃ.”²⁵

W odpowiedzi na wzmożoną falę dywersji i terroru wydano odpowiednie zarządzenia o charakterze prewencyjnym.

24. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 55 ob.-56.

25. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 56.

Między innymi 17 VIII 1930 r. komendant wojewódzki policji we Lwowie, inspektor Czesław Grabowski, wydał rozkaz w sprawie nocnych patroli na liniach telegraficznych, a 14 września polecenie wszystkim komendantom powiatowym policji oraz komendantowi policji miasta Lwowa nakazujące nadsyłać telefonicznie do Urzędu śledczego policji we Lwowie meldunki o wszelkich przejawach dywersji do godziny 10 rano i tego samego dnia.²⁶ Następnie 20 IX 1930 r. wydał on powiatowym komendom policji zarządzenie, w którym nakazał po uprzednim porozumieniu się ze starostami (nawiasem mówiąc, właśnie starostom podlegała też policja na terenie powiatu) – podjąć następujące działania dla utrzymania ładu i porządku, koniecznego tym bardziej że w dniu 16 XI 1930 r. miały odbyć się wybory parlamentarne. Nakazał w niej między innymi:

„(...) 1/ Na drogach i gościńcach – należy wzmocnić patrole, a zwłaszcza w porze wieczornej i nocnej. Specjalną uwagę zwracać na ludność przejeżdżającą wozami i końmi. Podczas trwania jarmarków i targów – należy przy pomocy policji miejskiej kontrolować osobników podejrzanych i kręcących się rzekomo bez celu. Odnosi się to zwłaszcza do osób w wieku 15 do 30 lat z inteligencji ruskiej, akademików, skautów itp., przybywających z miasta. Celem należytego zapoznania się z zamierzeniami i agitacją organizacji antypaństwowych na swoim terenie, należy zorganizować wywiad konfidencyjny. (...)

2/ Zarządzać obławy i rewizje za bronią, które winny się odbywać po dokładnym i skrupulatnym przygotowaniu – zawsze nagle, niespodziewanie i o ile możliwości nad ranem (o świcie). Rewizje takie powinny trwać krótko, najwyżej przez jedną dobę, by nie przeciążać szeregowych PP.²⁷ Obławy i rewizje dokonywać systemem pierścieniowym i niespodziewanie w jednej lub kilku gminach równocześnie. Podczas przeprowadzania obław i rewizji należy sąsiednie drogi obstawiać, zaś uciekających względnie podejrzanych i obcych przytrzymać i legitymować.

26. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 41.

27. Policji Państwowej.

3/ Należy również zwracać uwagę i przeprowadzać rewizje osobiste i domowe u pastuchów wiejskich i chłopców używanych do pełnienia tych czynności. Osobnicy ci często nierozsądni mogą być z łatwością wykorzystywani przez czynniki wywrotowe dla celów antypaństwowych, a w szczególności dla podkładania środków zapalnych i wybuchowych. Poświęcać także baczną uwagę tzw. robotnikom sezonowym, którzy mogą być także narzędziem w ręku organizacji wrogich Państwu. (...)

4/ Przeprowadzać często kontrole na dworcach kolejowych oraz w pociągach osobowych w soboty i dnię przedświąteczne, przy czem szczególną uwagę zwracać na młodzież akademicką i studencką (Ukraińców) oraz przewożony przez nich bagaż, w którym mogą się znajdować środki sabotażowe.

5/ Należy często obchodzić i kontrolować we dnie budynki państwowe i zagrożone obiekta, gdyż podpalenia czy wybuchy przygotowane są zwykle w porze dziennej przez podkładanie środków zapalnych i wybuchowych.

6/ Utrzymywać ścisłą kontrolę nad gminnymi wartami, w skład których winni wchodzić ludzie bezwzględnie zaufani, młodzi i energiczni. Dotyczy to również służby względnie warty folwarcznej, którą organa PP winny znać pod każdym względem – w razie zaś jakiegokolwiek uzasadnionego podejrzenia lub też stwierdzenia nielojalności – postępować stanowczo i rygorystycznie.

7/ W związku z wydaniami poleceniami – należy służbę prewencyjną ograniczyć do minimum (szczególnie dotyczącą sanitarnych zarządzeń itp.), a główną uwagę zwrócić jedynie w kierunku jak najszybszej likwidacji tajnych organizacji. (...)”²⁸

W dniu 8 X 1930 r. insp. Grabowski wydał zarządzenie w sprawie sposobu dokonywania rewizji oraz rozkaz w sprawie postępowania policji w wypadkach znalezienia planów, zaś 11 października rozkaz w sprawie agitacji wśród ludności czynników antypaństwowych. Z kolei lwowski Urząd Wojewódzki wydał 11 IX 1930 r. zarządzenie w sprawie organizacji wart gminnych, 25 września – w sprawie przepro-

28. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 42.

wadzenia ćwiczeń wojskowych w związku z akcją pacyfikacyjną oraz 23 X 1930 r. w sprawie sprzedaży broni.²⁹

Podobne zarządzenia wydano w dwóch pozostałych województwach. W województwie stanisławowskim 23 IX 1930 r. tamtejszy Urząd Śledczy wydał instrukcję co do zorganizowania wart nocnych, a także zostały wydane zarządzenia tego Urzędu i wojewody o wykonywaniu służby prewencyjnej oraz akcji prewencyjnej i represyjnej i jej zastrzeżeniu z 20 i 26 sierpnia 1930 r. W województwie tarnopolskim już w rozkazach z 16 sierpnia i 25 sierpnia oraz z 3, 10 i 15 września nakazano pogłębienie wywiadu i utrzymywanie kontaktu z ludnością polską, zaś 30 sierpnia Urząd Wojewódzki nakazał przymusowe prowadzenie nocnych wart gminnych, a kolejne okólniki – z 15, 17 i 27 września dotyczyły włączenia do akcji prewencyjnej członków Związku Strzeleckiego, sposobów uniemożliwienia uczniom rozwiązanego gimnazjum ukraińskiego w Tarnopolu dokonywania aktów sabotażu oraz nagród pieniężnych za pomoc w schwytaniu sprawców sabotażu.³⁰

Bardzo szybko okazało się jednak – jak stwierdzono to w sprawozdaniu z 7 XI 1930 r. – że zastosowane środki są dalece niewystarczające, zaś „akcja sabotażowa nie tylko nie ustawała, lecz przeciwnie, coraz bardziej wzrastała – okazała się konieczność zastosowania silniejszego środka represyjnego, którego użyto w formie szeroko zakrojonej akcji pacyfikacyjnej przy użyciu silnie zwartych oddziałów policyjnych, następnie wojskowych.”³¹ Sama akcja rozpoczęła się 16 IX 1930 r. i objęła 450 wsi w 16 powiatach. Według opracowań ukraińskich skierowano oddziały policji do 750 wsi, z których 250 doznało poważnych strat. Udało się uniknąć ofiar śmiertelnych, choć z kolei ukraińskie publikacje mówią, iż od ran życie miało stracić od 7 do 35 osób. Nie sposób podać dokładnych liczb, choć zaznaczyć trzeba, że w sporządzonych po akcji pacyfikacyjnej raportach władz policyjnych brak informacji o ofiarach śmiertelnych; najprawdopodobniej w ogóle

29. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 56 ob.-57.

30. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 59-59 ob., 61-61 ob.

31. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 56 ob.

ich nie było.³² Kierownictwo akcji objął komendant wojewódzki policji we Lwowie, insp. Grabowski. Została ona przeprowadzona przede wszystkim na terenie czterech powiatów: Bóbrka (województwo lwowskie), Brzeżany i Podhajce (województwo tarnopolskie) i Rohatyn (województwo stanisławowskie), w których było wcześniej największe nasilenie akcji sabotażowych. Do pomocy miał on czterech oficerów, z których podinsp. Łoziński cały czas przebywał w sztabie grupy operacyjnej we Lwowie, gdzie spływały wszelkie wiadomości i meldunki poszczególnych oddziałów, utrzymywał łączność między nimi i sztabem i dawał potrzebne wskazówki. Na terenie powiatów bóbreckiego i rohatyńskiego oddziałami kierował podinsp. Gottas, a dodatkowo na terenie wszystkich czterech powiatów podkom. Fuchs i podkom. Gizejowski. Dla przeprowadzenia tej operacji użyto 17 kompanii policyjnych, w skład każdej wchodziło 60 szeregowych oraz oficerowie – razem było zaangażowanych 1.041 ludzi. Ze środków policyjnych użyto samochodów, podwód, motocykli, telefonów i psów policyjnych. Oddziały bezpłatnie kwaterowano w gminach, w których dokonywano rewizji, natomiast za żywność płacono według cennika, ustanowionego przez starostę. Stanowiło to dodatkową dolegliwość dla mieszkańców tych gmin.

Akcję rozpoczęto od przeprowadzenia masowych rewizji w domach podejrzewanych o przynależność do OUN osób. W ich wyniku znaleziono wiele sztuk nielegalnie posiadanej broni i materiału wybuchowego, a także wydawnictw propagandowych OUN, w tym też *Surmy*. W ciągu tych trzech miesięcy na terenie samego województwa lwowskiego zatrzymano 305 osób (w powiatach: Lwów-miasto, Bóbrka, Drohobycz, Gródek Jagielloński, Jaworów, Lwów-powiat, Przemyśl, Rawa Ruska i Sokal), z których 199 przekazano sądowi, zaś 106 zwolniono.³³ Warto w tym momencie zacytować fragment sprawozdania z 7 XI 1930 r., charakteryzujący całą grupę zatrzymanych osób: „W liczbie zatrzymanych znajduje się około 100 studentów z wyższych uczelni

32. A. Sowa, s. 51; A. A. Zięba, s. 303-304.

33. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 57 ob. 58 ob.

lwowskich, około 60 studentów szkół śred[nich], przeważnie gimn[azjów] rus[kich] we Lwowie, w Przemyśle, Drohobyczu, Jaworowie i Rohatynie, około 45 rolników, około 40 rzemieślników i robotników, około 35 urzędników pryw[atnych], przeważnie funkcjonariuszów ruskich kooperatyw, 6 nauczycieli, 4 bez zawodu, 3 dziennikarzy, 2 księży gr[eco]-kat[olickiego] obrz[ądu], 2 inżynierów, 2 kandydatów [?] adwokack[ich], 1 b. poseł na Sejm i 1 kleryk (Sem[inarium] duch[owne] w Przemyśle). Prawie wszyscy dorośli są członkami UNDO. Spośród przytrzymanej młodzieży większa część należy do organizacji ukraińskich nacjonalistów (OUN), będącej odpowiednikiem politycznym terrorystycznej UW. Prawie wszyscy spośród przytrzymanych z małymi wyjątkami byli członkami «Sokółów», «Płastów» lub «Proświt». Mniejsza część rekrutowała się spośród członków «Łuhu».”³⁴

W związku z trwającą akcją pacyfikacyjną wydano szereg kolejnych zarządzeń. W dniu 8 października C. Grabowski wydał zarządzenie, w którym pisał, iż wobec szerzenia przez pewne sfery ukraińskie niezgodnych z prawdą wiadomości, jakoby zebrane przy rewizjach dowody winy zostały wcześniej stworzone i podrzucone przez policję, „zwracając uwagę na celowość w szerzeniu tego rodzaju wiadomości zaznaczam, że każdy nieogłębny krok, niedokładności, czy niedopatrzienia działających służbowo organów policyjnych zwłaszcza w zakresie przeprowadzania rewizji, tłumaczone być mogą przez czynniki wrogie policji jako akty gwałtów lub prowokacji. Dlatego też polecam wydać podwładnym organom pouczenia, ażeby wszelkie czynności policyjne, zwłaszcza w zakresie spraw politycznych pokrywały się z obowiązującymi przepisami i przestrzegam, że w razie stwierdzenia złej woli, czy też jakichkolwiek zaniedbań w tych sprawach ze strony urzędujących organów policyjnych, musiałbym pociągnąć winnych do surowej odpowiedzialności.”³⁵ W trzy dni później, 11 X 1930 r., insp. C. Grabowski wydał kolejne zarządzenie, świadczące o istniejących w kołach ukraińskich próbach zmo-

34. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 57 ob.

35. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 43.

bilizowania opinii publicznej przeciwko władzy państwowej w wyniku akcji pacyfikacyjnej, pisząc: „Doszło do mojej wiadomości, że rozmaite wrogie Państwu czynniki pojawiają się na terenach objętych ostatnio akcją pacyfikacyjną, jak również w powiatach, w których zaistniały poszczególne tylko wypadki sabotażowe i tam agituja wśród ludności – namawiając ją do nieusuwania śladów rewizji w domach osób podejrzanych oraz instytucjach ruskich, przetrząsanych przez policję w poszukiwaniu za broń, materiałem dla dokonywania sabotaży itd. Indywidua te mają również dokonywać zdjęć fotograficznych w poszczególnych miejscowościach. Ma to na celu wywołanie w opinii publicznej wrażenia, że akcja policyjna prowadzona była zbyt surowo i rygorystycznie. Z uwagi na to, że ludność inspirowana przez tego rodzaju agitatorów może celowo dopuszczać się wykroczeń przeciw obowiązującym przepisom sanitarnym, przez rozmyślne zanieczyszczanie miejsc koło wspomnianych obiektów i instytucji, polecam p. Komendantowi PP porozumieć się z p. Starostą w sprawie wydania przez niego zainteresowanym urzędom gminnym kategorycznego nakazu usunięcia – o ile to już nie zostało uskutecznione, wszelkich tego rodzaju nieporządków i zanieczyszczeń, sprzecznych z obowiązującymi przepisami sanitarnymi.”³⁶ Zarządzenie to było jak najbardziej uzasadnione, bowiem miały miejsce przypadki „produkowania” fotograficznych dowodów „polskiego barbarzyństwa” w czasie tej akcji. Konsul brytyjski w Warszawie, Frank Savery, opisał, w jaki sposób to robiono: „w jednym z małych miasteczek w województwie tarnopolskim znajduje się kilka budynków zrujnowanych w wyniku bombardowania w czasie Wielkiej Wojny [tzn. w czasie I wojny światowej – przyp. GM] i które jeszcze nie zostały odbudowane. Niedawno temu, młody mężczyzna z kamerą w ręku widziany był wążsając się wśród nich. W kilka dni potem został aresztowany pod zarzutem przynależności do UW. Wśród jego rzeczy znaleziono fotografie tych ruin, a na odwrocie odbitek napisano, jego charakterem pisma, słowa: «Gwałty polskie na terytorium Zachodniej Ukrainy: budynek ‘Proswity’ w ... wysadzony w

36. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 45.

powietrze przez Polaków.»³⁷ Choć nie wszystkie fotografie były sfalszowane, to jednak fakt, że część została spreparowana dla celów propagandowych, przyczynił się potem do odrzucenia skarg ukraińskich w Lidze Narodów.³⁸

Przebieg akcji pacyfikacyjnej był według sprawozdania z 7 XI 1930 r. następujący:

„Przed przystąpieniem do wykonania czynności i wyładowaniem na stacjach kolej[owych] oddziałów polic[ji], starostowie i kom[en]d[an]ci powiatowi [policji – przyp. GM] powiadomieni o czasie przybycia kompanii policyjnej, przydzielali do tych oddziałów szeregowych z miejsc[owej] policji, którzy pełnili funkcje przewodników i informatorów. Zostali oni zaopatrzeni w wykazy miejscowości, w których miały być dokonywane rewizje, ponadto mieli spisy osób bardziej podejrzanych i znanych ze swej dotychczasowej działalności antypaństwowej oraz wskazówki odnośnie istniejących instytucji ruskich, działających na szkodę Państwa.

Techniczne wykonanie rewizji przedstawiało się następująco: Oddział po przybyciu do wskazanej miejscowości otaczał wieś (gminę) posterunkami, wzywał wójta i radę gminną, wyjaśniał im cel przybycia, żądał wydania broni, materiałów wybuchowych i łatwopalnych oraz wskazania osób podejrzanych, tj. takich, które przechowują te przedmioty. Ze wsi nikogo nie wypuszczano. Wszyscy mieszkańcy mieli być w swych zagrodach, poczem przystępowano do rewizji, które były bardzo dokładne. Przeszukiwano domy mieszkalne, obory, stajnie, stodoły, piwnice, nawet stogi i sterty, przyczem przerzucano zmagazynowane zbiory. Przy rewizjach w instytucjach i u osób b. podejrzanych przystępowano nawet do zrywania podłóg i poszycia dachów. W wypadkach gdy właściciele nie chcieli wydać kluczy lub ukrywali się, aby utrudnić wykonanie rewizji, musiano wyłamywać drzwi i zamki. W niektórych wypadkach rozbierano nawet częściowo piece, gdyż i w nich znajdowano poszukiwane przedmioty. Rewizje wykazały sporą ilość broni, różnego sprzętu wojskowego, materiałów łatwopalnych, jak lontów, którymi posługują się

37. A. A. Zięba, s. 305.

38. Tamże, s. 305.

sabotażyści przy podpalaniu stert i budynków, prochu strzelniczego oraz proszków i płynów o nieznanym bliżej składzie chemicznym wywołującym przy spalaniu wysoką temperaturę, a służących do podpalania stert i budynków.”³⁹

W praktyce oznaczało to często dla rolnika poważne straty materialne, ponieważ dom z zerwaną podłogą, rozerwanym dachem i rozebrany piecem w zasadzie nie nadawał się już do zamieszkania i trzeba było ponieść poważne wydatki na jego remont, i to jak najszybciej, ponieważ zbliżała się zima. Zwykle taka rewizja trwała kilka dni, na przykład w powiecie bóbreckim miały one miejsce od 21 do 28 września 1930 r. Rewizje przeprowadzono wtedy w 956 domach znajdujących się w 54 gminach i w ich rezultacie znaleziono wiele broni, amunicji, materiałów wybuchowych i chemikaliów oraz nielegalnej bibuły OUN.⁴⁰

W pierwszej połowie października 1930 r. na terenach o szczególnie nasilonej akcji sabotażowej zarządzono operacje manewrowe 14 pułku ułanów i 6 pułku strzelców konnych. Miały one miejsce w niektórych gminach w powiatach Bóbrka, Gródek Jagielloński, Jaworów, Lwów i Rudki.⁴¹

Miały też miejsce posunięcia administracyjne, w postaci rozwiązania w poszczególnych powiatach instytucji i organizacji ukraińskich, zaś niektóre spośród nich samorzutnie według raportów policyjnych rozwiązała miejscowa ludność. „Płast” został rozwiązany we Lwowie, w powiatach Bóbrka, Drohobycz, Jaworów, Przemyśl, Stary Sambor, Żółkiew; „Łuh” w Podhorodyszczu, Kochrowie, Dźwinogrodzie i Mikołajowie (powiat Bóbrka); „Sokił” w Powitnie (pow. Gródek Jagielloński), „Proświta” w Horodyszczu i Pietniczanach (pow. Bóbrka) – samorzutnie przez mieszkańców tych wsi. To samo stało się ze spółdzielniami ukraińskimi w Wielkopolu i Artyszowie (pow. Gródek Jagielloński). W Przemyśle opieczutowano siedzibę redakcji pisma *Ukraiński Hołos*, który był nieoficjalnym organem UW. Złożono też do władz administracyjnych szereg wniosków o rozwiązanie innych

39. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 58.

40. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 58-58 ob.

41. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 58 ob.

instytucji ukraińskich.⁴²

Na terenie województwa stanisławowskiego również wstępem do akcji pacyfikacyjnej były masowe rewizje i zatrzymania osób podejrzanych, które polegały na – jako zarządzenia represyjne – następującym postępowaniu, jak to przedstawiono w sprawozdaniu z 7 XI 1930 r.:

„a/ kontroli osób obcych i nieznanym przez legitymowanie tychże,

b/ rewizjach u podejrzanych osób w mieszkaniach i lokalach, a w powiatach rohatyńskim i horodeńskim także takie rewizje zbiorowe,

c/ przytrzymaniu osób podejrzanych o działalność wywrotową,

d/ aresztowaniu takich osób i przekazywaniu tychże władzom sądowym, prokuratorskim, administracyjnym,

e/ nadto na terenie powiatu rohatyńskiego wywieraniu nacisku przy pomocy 2 ćwiczebnych szwadronów 6 pułku ułanów na mieszkańców gmin, w których ruch antypaństwowy przejawiał się epidemicznie.”⁴³

W wyniku przeprowadzonej akcji skonfiskowano wiele sztuk broni, amunicji, materiałów wybuchowych, chemikaliów do wywoływania pożarów oraz nielegalnej bibuły OUN i dokumentacji organizacyjnej. Dokonano też wielu aresztowań, między innymi: w pow. Horodenka – 32 osoby, w pow. Kołomyja – 47 osób, w pow. Kosów – 3 osoby, w pow. Rohatyn – 52 osoby, w pow. Skole – 4 osoby, w pow. stanisławowskim – 34 osoby, w pow. Żydaczów – 13 osób. Aresztowania miały też miejsce w tych powiatach tego województwa, na których wcześniej nie było akcji sabotażowej – w pow. Bohorodczany aresztowano 3 osoby (w tym 2 księży greckokatolickich), w pow. Dolina – 3 osoby, w pow. Kałusz – 13 osób, w pow. Stryj – 2 osoby, w pow. Tłumacz – 8 osób. Wszyscy oni byli członkami lub zwolennikami UNDO i czynnymi działaczami różnych stowarzyszeń ukraińskich. Zostały też w całym województwie stanisławowskim rozwiązane wszystkie jednostki organizacyjne „Płasta”.

42. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 58 ob.-59.

43. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 59 ob.

W Rohatynie rozwiązane zostało prywatne gimnazjum ukraińskie, a w Stanisławowie prywatna 7-klasowa szkoła powszechna ukraińskiej organizacji oświatowej „Ridna Szkoła”. W dniu 26 IX 1930 r., jak napisano w sprawozdaniu z 7 XI 1930 r., rewizje i aresztowania przyczyniły się znacznie do wyeliminowania z ruchu wywrotowego jednostek najbardziej niebezpiecznych, bo jego inicjatorów, kierowników i nadzorców. Na terenie powiatów Rohatyn i Horodenka z województwa Stanisławów akcja pacyfikacyjna trwała w dniach 22-29 IX 1930 r. W jej trakcie przeszukano 662 domy w 31 gminach. Skonfiskowano wiele broni, amunicji, materiałów wybuchowych i innego sprzętu wojskowego, a także bibułę OUN (głównie *Surme*). Zatrzymano 58 osób, z czego 47 zwolniono, a 11 aresztowano. Od 28 IX do 15 X 1930 r. na terenie powiatu Rohatyn w akcji pacyfikacyjnej brały udział dwa ćwiczebne szwadrony 6 pułku ułanów ze Stanisławowa.⁴⁴

Także w województwie tarnopolskim akcja prewencyjna polegała przede wszystkim na rewizjach i zatrzymaniach. W ciągu lipca, sierpnia i września 1930 r. zatrzymano łącznie 361 osób, przy czym prawie wszyscy byli członkami lub sympatykami UNDO i innych stowarzyszeń ukraińskich. W trakcie masowych rewizji znaleziono wiele sztuk broni, amunicji i najróżnorodniejszego sprzętu wojskowego, nielegalną literaturę OUN i dokumentację organizacyjną. W powiecie Brzeżany akcja trwała w dniach 21-26 IX 1930 r. i w jej trakcie w 13 gminach przeprowadzono rewizje w ponad 925 domach. W ich trakcie znaleziono szereg nielegalnych wydawnictw i dokumentów OUN, broń, amunicję i materiały wybuchowe.⁴⁵ O jej skutkach pisano w sprawozdaniu z 7 XI 1930 r. w sposób następujący:

„Inteligencja ruska akcją zaskoczona straciła orientację, jednak nie widać u niej otrzeźwienia. Ruska ludność wiejska porzuca dotychczasową politykę separatystyczną i składa na ręce władz oświadczenia i deklaracje lojalności i wierności dla Państwa i Rządu Polskiego i zaczyna nienawidzić swej inteli-

44. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 59 ob.-61.

45. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 62.

gencji. Społeczeństwo polskie akcję pacyfikacyjną przyjęło z radością i odetchnęło swobodnie. Akcja ta ma także ten skutek, że przeciągnęła na stronę Rządu ze Stron[nictwa] Narod[owego] i partii zgrupowanych obecnie w Centrolewie, co nie pozostanie bez skutku przy zbliżających się wyborach. Ze strony społeczeństwa polskiego są dezyderaty w kierunku prowadzenia dalszej pacyfikacji, a w szczególności zmierzającej do zgnębienia inteligencji rusk[iej].”⁴⁶ Podobne opinie dotyczą też innych terenów, ale wydaje się, że twierdzenie, jakoby ludność ukraińska porzuciła politykę separatyzmu, było w dużej części wyrazem pobożnych życzeń. Trudno bowiem sądzić, aby użycie siły i masowe represje połączone z rozbieraniem domów mieszkalnych i budynków gospodarczych skłoniło ją do zmiany nastawienia.

Z kolei w powiecie Podhajce pacyfikacja trwała w dniach 21–26 IX 1930 r. W jej trakcie przeprowadzono rewizje w 16 gminach, w 934 domach. Znaleziono wiele sztuk broni, materiałów wybuchowych i innego sprzętu wojskowego, a także materiałów propagandowych. W niektórych gminach oprócz kobiet i dzieci nie zastano żadnego mężczyzny – wszyscy zbiegli, zaś w gminie Hołhocze uprzedzona o przybyciu kompanii policyjnej zbiegła w popłochu cała ludność, zabierając z sobą inwentarz. W dniach 20–30 IX 1930 r. oddziały policji operowały w Tarnopolu i powiecie tarnopolskim, łącznie w 21 gminach. Natomiast na terenie powiatu zbaraskiego oddział policji operował na terenie 9 gmin. Po odejściu policji przybyły tam jednostki wojska. W powiecie Podhajce akcję pacyfikacyjną w dniach 28 IX – 13 X 1930 r. przeprowadzał szwadron 29 pułku ułanów. W powiecie Tarnopol użyto oddziału 9 pułku ułanów oraz oddziałów 22 pułku ułanów. Także w powiecie zbaraskim w akcji wzięły udział szwadrony 9 i 22 pułku ułanów, w powiecie Zborów szwadron 22 pułku ułanów, w powiecie Brzeżany szwadron 9 pułku ułanów, w powiecie Trembowla pododdziały 9 pułku ułanów. Wszystko to były jednostki stacjonujące na danym terenie.⁴⁷

46. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 62 – 62 ob.

47. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 61, 62 ob. – 63.

Jedną z konsekwencji akcji pacyfikacyjnej było rozwiązanie lub zawieszenie działalności wielu ukraińskich instytucji, na ogół na mocy orzeczeń odpowiednich starostw. Postąpiono tak w stosunku do filii Ukraińskiego Krajowego Towarzystwa Ochrony Dzieci i Opieki nad Młodzieżą w powiatach Borszczów i Brzeżany, rozwiązano „Łuh” w niektórych gminach powiatów Brody i Brzeżany. Dobrowolnie zgłosiły rozwiązanie czytelnie „Proświty” i „Łuhu” w Żukowie i Hinowicach, a także struktury „Sokiła” w wielu gminach. Także w wielu innych gminach województwa tarnopolskiego przestały istnieć placówki „Sokiła”, „Łuhu” i „Proświty”, a w całym województwie stowarzyszenie „Płast”. Z dniem 26 IX 1930 r. Ministerstwo Oświaty i Wyznań Religijnych rozwiązało IV gimnazjum państwowe z ukraińskim językiem wykładowym w Tarnopolu.⁴⁸

Wśród braków odnotowanych przez kierownictwo sił policyjnych dowodzących akcją już po jej zakończeniu, na pierwszym miejscu wysunęła się niedostateczna obsada personalna posterunków policji i braki w obsadzie etatowej. Dotyczyło to zresztą też codziennej pracy policyjnej, a nie tylko w okresie tej akcji.⁴⁹

Jak wynika z cytowanego już raportu B. Rogowskiego z 7 XI 1930 r., widocznym rezultatem akcji pacyfikacyjnej była zmiana nastrojów ludności ukraińskiej. Oprócz zapewnień o lojalności, niektóre gminy miały deklarować, że w czasie wyborów solidarnie oddadzą głosy na listę rządową. W raporcie tym stwierdzono, że w województwie lwowskim „(...) akcja pacyfikacyjna wprowadziła widoczny przewrót w nastrojach ludności ruskiej, zwł[aszcza] włościańskiej, która manifestuje na każdym niemal kroku lojalność względem Państwa i Rządu.”⁵⁰ Na terenie województwa stanisławowskiego, jak wspomniano w powyższym raporcie, „elementy antypaństwowe nie spodziewając się tak silnej kontrakcji momentalnie straciły właściwą sobie wytrwałość i z obawy przed konsekwencjami zaprzestały prawie zupełnie dalszej wywrotowej

48. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 63-63 ob.

49. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 63 ob.-64 ob.

50. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 65.

działalności. Po sparaliżowaniu ruchu sabotażowego dało się widzieć przygnębienie wśród ruskiej inteligencji, w stosunku do czynników państwowych objawia ona wyszukaną grzeczność. Odnośnie nastrojów panujących wśród ludności wiejskiej właściwy obraz daje ustosunkowanie się tej ludności do władz w powiecie rohatyńskim. W tym powiecie reprezentacje gminne przedkładają na ręce Starosty deklaracje swej lojalności względem Państwa, władz i zarządzeń ze strony tychże, oświadczają swą gotowość współdziałania z władzami w zwalczaniu ruchu antypaństwowego oraz dają gwarancję materialną za ewent[ualne] szkody z powodu tego ruchu wyrządzone. Wszyscy wskazują ukr[aińskie] stowarzyszenia jako ogniska tego ruchu i potępiają działalność tych stowarzyszeń, a niektóre gminy zakazały nawet urządzania przez przeciąg 1 roku wszelkich zgromadzeń polit[ycznych], przedstawień i obchodów. Wobec powyższych nastrojów ukraiński ruch polityczny i społeczny prawie zupełnie zamarł, a osłabiona została także w znacznym stopniu kampania przedwyb[orcza] na wsi.”⁵¹

Bardzo obszerna jest analiza B. Rogowskiego dotycząca sytuacji po pacyfikacji na terenie województwa tarnopolskiego: „Na skutek akcji pacyfikacyjnej społeczeństwo ruskie chwilowo przycichło, butne i wprost prowokacyjne zachowanie się inteligencji ruskiej ustało zupełnie na razie, co daje się zauważać na każdym kroku. Jest to bez wątpienia wynikiem faktu, że cios ten spotkał ich niespodziewanie i po raz pierwszy. Gdy dotychczas represje władz dotyczyły przeważnie tylko niższe klasy społeczne, obecnie uderzono także i to głównie w inteligencję jako we właściwych prowodyrów i inicjatorów antypaństwowych wystąpień, z całą surowością prawa i przepisów. Widząc to ludność wiejska ruska nabrała respektu i poszanowania dla silnej władzy państwowej, a widząc ją silniejszą od wicherzycieli, którzy dotychczas ją terroryzowali, zwraca się przeciw nim na każdym kroku, rozwiązując masowo i samorządnie organizacje i t[owarzystw]a ruskie, będące nawet w przekonaniu ludności ogniskami antypaństwowej roboty wywrotowców ruskich. Akcja pacyfikacyjna, jak okazuje

51. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 65.

się, nastąpiła w samą porę, gdyż masowo zakładane od wiosny r. 1929 bojówki UW⁵² rozzuchwalały się coraz bardziej, moralnie, a po części i materialnie w znacznym stopniu przygotowane były do orężnego wystąpienia w odpowiednim momencie. Nie przesądzając kwestii zamiaru wywołania rozruchów zbrojnych przez organa kierownicze UW, co zająć mogłoby tylko w bliskim terminie osłabienia Państwa, akcję sabotażową uważali za przygotowanie akcji zbrojnej przez wyniszczenie społeczeństwa i Państwa oraz terroryzowanie władz i ludności polskiej. Tendencje odwetowe zauważyć można w nielicznych wypadkach anonimowych pogroźek pod adresem władz państwowych i organów PP. Pochodzą one niewątpliwie od poszczególnych jednostek mniej poważnych, jakkolwiek należących do UW. Dodatnie skutki akcji pacyfikacyjnej przetrwają tylko w tym wypadku, gdy ludność ruska przekona się, że silna ręka Rządu w da[lszym] ciągu ukrócać będzie bezwzględnie i systematycznie każdy objaw antypaństwowej roboty. Najlepszym objawem zapatrywania ludności, i wprost wskazówką, gdzie należy szukać przyczyny zła, która musi być usunięta, są masowe wypadki rozwiązywania przez samą ludność «Proświt», kooperatyw, «Łuhów» i «Sokiłów», gdyż «Płast» został już zlikwidowany przez Rząd. Dopuszczenie do swobodnego rozwoju tych organizacji bezwzględnie podważyłoby autorytet władzy i świeżo wzbudzony do niej respekt. Podobnie restytucja rozwiązanych gimnazjów miałyby tylko ten skutek, że podniosłaby zachwiany obecnie autorytet ruskiej inteligencji, która przypisałaby sobie zasługę restytucji. Przeciętny chłop ruski przeważnie woli posyłać dziecko do gimn[azjum] polskiego, gdzie wie, że syn jego będzie się mógł uczyć bez przeszkód postronnych i spokojnie będzie mógł kończyć studia, niż do gimn[azjum] ruskiego, gdzie w atmosferze antypaństw[owych] knowań prędzej czy później musi uczeń popaść w konflikt z prawem i złamać sobie przez to karierę. Jeżeli ruskie gimnazja były dotychczas zapełnione, było to głównie wynikiem agitacji inteligencji ruskiej i nacisku samych uczniów gimnazjalnych rozagitowa-

52. Błąd - w owym czasie na miejsce UW istniała już OUN i ona kontynuowała działalność UW.

nych przez wywrotowców, wzgl[ędnie] obawiających się bojkotu ze strony swych kolegów w razie uczęszczania do szkół polskich.”⁵³

W dużym stopniu prezentowane powyżej opinie są jednak klasycznym przykładem „myślenia życzeniowego”. Wobec użycia brutalnej siły ludność ukraińska z jednej strony pozornie przybrała stosunek pozytywny do władz, zdając sobie sprawę z ich przewagi, a z drugiej strony wzrosła jej starannie maskowana wrogość. Zaprzestanie działalności przez szereg stowarzyszeń ukraińskich było dotkliwie odczută przez tę społeczność stratą, stanowiły one bowiem centra życia gospodarczego, kulturalnego, oświatowego społeczności ukraińskiej. Być może zwierzchnicy B. Rogowskiego żywili złudzenia co do tego, że Ukraińcy zechcą zaprzestać działalności irredentystycznej i że ich marzeniem byłoby włączenie się w życie społeczeństwa polskiego – klasycznym przykładem jest zaprezentowane powyżej myślenie na temat szkolnictwa ukraińskiego i dążeń tej społeczności w tej materii. Zarazem jednak nie ulega wątpliwości, że tego typu akcja była konieczna – imponujące ilości skonfiskowanej broni, amunicji i materiałów wybuchowych najlepiej dowodzą tego, że w jej wyniku poważnie udało się osłabić OUN. Jak świadczy jednak o tym szereg innych dokumentów, akcja sabotażowa nie ustała, jedynie w niewielkim stopniu zmniejszyła swoją intensywność. W sprawozdaniu z akcji pacyfikacyjnej na terenie trzech województw w październiku 1930 r. czytamy o niej:

„W miesiącu październiku 1930 r. zaistniało na terenie trzech województw Wsch[odniej] Małopolski 26 wypadków sabotażowych. Dokonanych aktów sabotażowych było 20, z czego wykryto sprawców w 8 wypadkach. Usiłowanych aktów sabotażowych było 6, z czego wykryto sprawców w 2 wypadkach (...). Aktów sabotażowych dokonano przeważnie za pomocą podpaleń. (...) W związku z akcją sabotażową przytrzymano na terenie 3-ch województw 342 osoby, podejrzane o udział w aktach sabotażowych lub należenie do UWÓ. Spośród przytrzymanych przekazano władzom sądo-

53. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 66-66 ob.

wym 272 osoby, zaś 70 zwolniono. (...). Przeprowadzone w tym czasie na terenie 3-ch wojew[ództw] Wsch[odniej] Małopolski rewizje w poszukiwaniu za bronią dały pokaźne rezultaty. Skonfiskowano: 1.100 karabinów, 223 strzelby, 19 flowerów, 372 rewolwery, 293 bagnety, 30 sztyletów, 38 szabel i 12 bokserów (...). Ponadto wykryto pewne ilości amunicji, materiały wybuchowe itp. (...)."⁵⁴

Według innych źródeł ilość znalezionej broni była jeszcze większa: 1.287 karabinów i 566 rewolwerów, 398 bagnatów, 31 granatów, 99,8 kg materiałów wybuchowych, 56 nożyc do przecinania drutów, 137,4 metrów lontu. Zatrzymano 1.739 osób, z których 1.143 przekazano organom sądowym, w tym 30 księży greckokatolickich, 360 uczniów szkół średnich i 220 studentów. Większość z nich sądy uwolniły, natomiast prawomocne wyroki otrzymało 58 osób. Wśród znalezionej i skonfiskowanego ekwipunku wojskowego były sorty mundurowe, łopatki wojskowe, plecaki, ładownice, hełmy, drut telefoniczny, nożyce do cięcia drutu, mapy wojskowe.⁵⁵

Na terenie województwa lwowskiego skonfiskowano następujące ich ilości: 467 sztuk amunicji karabinowej i rewolwerowej, 49 nabojów myśliwskich, 5 granatów ręcznych, 2 pociski armatnie, 9 kg prochu strzelniczego (używany przede wszystkim do podpaleń), 150 g ekrazytu, 360 cm lontu, pudełko spłonek, 50 gramów chloranu potasu (środek chemiczny używany w połączeniu z kwasem siarkowym do podpaleń), 1 petardę. W województwie stanisławowskim skonfiskowano 1.525 sztuk nabojów karabinowych, 58 sztuk amunicji myśliwskiej, 81 nabojów rewolwerowych, 4 kg prochu strzelniczego, 51 spłonek, 1 pocisk artyleryjski, 34 kg amonitu (rodzaj materiału wybuchowego), 1.200 gramów piroksyliny, 84 rurczek z piroksyliną, pół naboju dynamitowego, 4 kg lontu i 10 rakiet używanych do podpaleń. Na terenie województwa tarnopolskiego znaleziono 160 nabojów karabinowych i 58 rewolwerowych, 4 naboje do flovera i 14

54. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 632, k. 33.

55. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 58 ob., 59 ob.; R. Torzecki, „Kwestia ukraińska...”, s. 66, pisze, że sądy skazały około 25-30% aresztowanych, a pozostałych uwolniły; A. Sowa, s. 52; A. Chojnowski, s. 158-159.

nabojów myśliwskich, 12 granatów, 4 rakiety używane do podpażeń, 1 pocisk artyleryjski, 250 gramów amonitu i 19 metrów i 40 centymetrów lontu. Nie było to wszystko. Na przykład jeszcze wcześniej, w trakcie akcji pacyfikacyjnej, we Lwowie znaleziono broń i materiały wybuchowe, w powiecie Drohobycz 10 rewolwerów, 2 karabiny, 1 strzelbę, 1 flobert, 2 szable, 2 sztylety, 1 petardę oraz 35 kg dynamitu, w powiecie Gródek Jagielloński broń palną i granaty, w powiecie Jaworów proch strzelniczy, chloran potasu, naboje rewolwerowe itp., w powiecie Lwów karabiny, rewolwery, granaty, amunicję, szable i bagnety, części ekwipunku wojskowego oraz chloran potasu. W powiecie Przemyśl w wyniku szeregu rewizji zakwestionowano *Surmę* (nawiasem mówiąc wszędzie znajdowano jej egzemplarze) i broń krótką, w powiecie Rawa Ruska butelkę prochu strzelniczego i 22 naboje karabinowe, w powiecie Rudki 44 karabiny i 40 rewolwerów, a także kilkadziesiąt nabojów. W powiecie Stary Sambor znaleziono natomiast „podejrzane pisma i notatki”, zaś w powiecie Sokal rewizje dały wynik negatywny. Dane te dotyczą tylko powiatów województwa lwowskiego, natomiast nie mamy dokładnych informacji o ilościach zakwestionowanej broni i amunicji, materiałów wybuchowych oraz materiału propagandowego w dwóch pozostałych województwach. W ręce władz wpadły również dziesiątki egzemplarzy *Surmy* oraz wiele ulotek i broszur. Przy tej okazji znaleziono kilka druków komunistycznych na terenie stanisławowskiego oraz 50 ulotek i 2 broszury, a także „102 egz. różnych broszur o treści antypaństwowej”. Druki komunistyczne stanowiły jednak swego rodzaju margines, bowiem zdecydowana większość znalezionych wydawnictw była pochodzenia OUN-owskiego.⁵⁶

W tym sprawozdaniu są również informacje o rozwiązanych stowarzyszeniach ukraińskich: „Na terenie 3-ch województw Wsch[odniej] Małopolski zostały przez władze rozwiązane następujące ruskie stowarzyszenia: 28 stow[arzyszeń] «Łuhu», 21 stow[arzyszeń] «Sokił», 12 stow[arzyszeń] «Pro-

56. DAŁO: : Fond 121, opis 3, sprawa 600, k. 54 ob. 57; Fond 121, opis 3, sprawa 632, k. 33-34.

świty», 1 kooperatywa i 2 inne stowarzyszenia (w tem VI klasa gim[nazjum] rusk[iego] we Lwowie). Równocześnie ludność samorzutnie likwidowała nast[ępujące] stowarzyszenia: 17 stow[arzyszeń] «Łuhu», 19 stow[arzyszeń] «Sokił», 25 stow[arzyszeń] «Proświty», 7 kooperatyw i 2 inne stowarzyszenia.”⁵⁷

Raportowano też o zamachach wymierzonych w mienie ukraińskie. Między innymi w pierwszych dniach października doszło do siedmiu podpażeń zagrod rolników ukraińskich we wsi Hleszczawy, pow. Trembowla. Stwierdzono, że: „Wyliczone wyżej (...) podpalenia były dziełem samych Ukraińców. Podpalenia te miały miejsce bezpośrednio po odjeździe z Hleszczawy szwadronu ułanów, który tam był przez jedną noc z 1 na 2 X br. na ekspedycji. Celem wzniesienia tych pożarów było wykazanie, że ognie te zostały podłożone przez kwaterujących ułanów, tym samym chcieli oni wykazać, że nie tylko Ukraińcy palą polskie mienie, ale także i Polacy palą mienie Ukraińców. Sprawcy tych podpażeń, narodowości ruskiej, zostali wykryci i oddani władzom sądowym.”⁵⁸ Ponadto miało miejsce parę zamachów bombowych na czytelnie „Proświty”, mogiły ukraińskich żołnierzy poległych w wojnie 1918-1919, zasmarowano około 20 szyldów w języku ukraińskim na ul. Zofii Chrzanowskiej w Trembowli. Nawet jeśli faktem jest, że akcje te, o charakterze prowokacyjnym, zostały przeprowadzone przez OUN w celu zwiększenia wrogości do Polaków i ich sprawcy zostali wykryci, to należy przypuszczać, że społeczeństwo ukraińskie nie uwierzyło w to, iż ich autorami byli Ukraińcy. Do tej pory zresztą niektórzy autorzy uważają, że przyczyny pożarów, które wybuchły w Hleszczawie po opuszczeniu wsi przez szwadron 9 pułku ułanów, a także pojedyncze w innych miejscowościach, należy uważać za niewyjaśnione.⁵⁹

Jak pisze A. A. Zięba, akcja pacyfikacyjna „polegała na przeprowadzaniu rewizji w domach prywatnych i pomieszczeniach instytucji ukraińskich; dotknęła nawet w paru przypad-

57. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 632, k. 34.

58. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 632, k. 35.

59. DAŁO: Fond 121, opis 3, sprawa 632, k. 34-35; A. Sowa, s. 52.

kach własności Kościoła greckokatolickiego. Pacyfikacja łączyła się z niszczeniem budynków i majątku ruchomego, karami cielesnymi, aresztami. Padły ofiary śmiertelne – między innymi zginął krajowy komendant UWO Julian Hołowiński. W więzieniu znaleźli się ukraińscy liderzy polityczni, zdelegalizowano organizację «Płast», zamknięto trzy ukraińskie gimnazja. Mimo prób podjęcia przez metropolitę A. Szeptyckiego kroków pojednawczych, postawa rządu była nieprzejednana. Pod koniec października miała miejsce nowa fala aresztów, która objęła także prezesa największej legalnej partii ukraińskiej – Ukraińskiego Zjednoczenia Narodowo-Demokratycznego (UNDO) – D. Łewyckiego.⁶⁰

Akcja pacyfikacyjna została przeprowadzona wbrew stwierdzeniom zawartym w policyjnych raportach z niepostrzebną brutalnością. Nic więc dziwnego, że na wiadomość o zbliżaniu się oddziałów policji lub wojska ludność zabierając cenniejszy dobytek, chowała się po lasach lub w innych niedostępnych miejscach. We wspomnieniach znajdujemy opisy tych wydarzeń: „Polskie wojsko brutalnie pacyfikowało ukraińskie wsie. Słynne «tulipany» nie należały do rzadkości. Dziewczęta ukraińskie wieszano za nogi i wtedy spadające spódnice przypominały tulipany. Już nie było tak przyjemnie chodzić do greckokatolickiej cerkwi.”⁶¹

W. Pobóg-Malinowski przypomina inne fakty: w wypadkach hardego „stawiania się” dokonywano, jak pisze, rewizji „dokuczliwej”, polegającej na wsypywaniu soli do cukru lub „przez pomyłkę” polewaniu mąki naftą. Policyjnymi pałkami gumowymi bito tylko w razie stawiania czynnego oporu. Tam gdzie Ukraińcy po 16 IX 1930 r. występowali w dalszym ciągu, kierowano szwadrony kawalerii, a kwaterunek połączony z obowiązkiem dostarczania przez wieś furazu, siana i koniczyny trwał od kilku dni do paru tygodni i zwykle połączony był z „dokuczliwymi” rewizjami policyjnymi.⁶²

Ocena tak przeprowadzonej akcji wymaga kilku dodat-

60. A. A. Zięba, s. 303-304.

61. Cyt. za: A. Sowa, s.52.

62. W. Pobóg-Malinowski, t. 2, s. 726-727.

kowych uwag. Przede wszystkim należy podkreślić, że wobec tak silnej fali dywersji i sabotażu akcja taka była niezbędna. Obowiązkiem władz państwowych było wystąpienie w obronie integralności państwa, przeciw irredencji ukraińskiej. O tym, że ta ostatnia była silna i stanowiła realne zagrożenie, najlepiej świadczą ilości skonfiskowanej broni, amunicji i materiałów wybuchowych. W tym sensie była ona niezbędna. Natomiast – o ile można bronić słuszności podjętej przez władze decyzji – to zupełnie nie da się usprawiedliwić brutalności tej akcji. Jak pisze A. Sowa, „niewybaczalnym błędem popełnionym przez stronę polską w trakcie pacyfikacji było zastosowanie zasady odpowiedzialności zbiorowej. W ten sposób wszystkim Ukraińcom, nawet tym dotąd obojętnym i trzymającym się z dala od nacjonalistów, wykazano, że można bezkarnie znieważać ich jako ludzi oraz niszczyć czczone przez nich symbole narodowe, a także dorobek ich życia. Jak świadczą wypowiedzi zamieszczane w podziemnej prasie OUN, właśnie o to kierownictwu tej organizacji chodziło. We wrześniu 1930 r. *Surma* pisała: «Kogo podrażniły przeciw wszystkiemu co polskie ekspedycje karne? Bojowców? Ci bez ekspedycji karnych dyszą nienawiścią do Lachów. Tylko spokojnemu narodowi pokazały one prawdziwe oblicze Polaków i odkryły ich zamiary. Usprawiedliwiły one rewolucyjną robotę, usprawiedliwiły terror.» (...) W jakimś sensie pacyfikacja z 1930 r. zrobiła «ze spokojnych dotąd sąsiadów Polaków i Ukraińców nienawistnych wrogów.»»⁶³

Podobnie o zastosowaniu zasady odpowiedzialności zbiorowej i skutkach takiego posunięcia pisze A. Chojnowski:

„Represje władz opierały się na uznaniu zasady zbiorowej odpowiedzialności. Było to efektem trudności, na jakie natrafił aparat bezpieczeństwa w rozszyfrowywaniu dobrze zakonspirowanej siatki UWÓ, jak też chęci zastraszenia potencjalnych członków organizacji. Akcja pacyfikacyjna potwierdziła zresztą znaczne wpływy UWÓ i wykazała jej dobre przygotowanie materiałowo-organizacyjne. Mimo strat poniesionych wskutek konfiskaty tych materiałów, jak też strat ludzkich, UWÓ wychodziła z tych wydarzeń jako

63. A. Sowa, s. 52-53.

polityczny zwycięzca. Zostały osiągnięte dwa zasadnicze cele tej organizacji w postaci wzrostu napięcia i wzmożenia nastrojów nienawiści wobec państwa oraz nadania sprawie ukraińskiej szerokiego rozgłosu międzynarodowego. Sposób przeprowadzenia i rozmiary akcji pacyfikacyjnej wywołały silne wrażenie w całym kraju. Wydarzenie to było ciężkim ciosem i krachem nadziei tych kręgów społeczności niepolskiej, które liczyły wciąż jeszcze na zmianę polityki narodowościowej rządu.⁶⁴ Niemniej jednak wydarzenia te uświadomiły czołowym politykom obu stron, że utrzymywanie dotychczasowego stanu rzeczy grozi katastrofą i wśród polityków ukraińskich zaczęły narastać tendencje kompromisowe, których uwieńczeniem było nieformalne porozumienie z 1935 r.⁶⁵ Porozumienie to było korzystne dla obu stron, bowiem w jego rezultacie UNDO wzięło udział w wyborach parlamentarnych we wrześniu 1935 r., na czym zależało ekipie sanacyjnej. Z kolei UNDO stając na gruncie polityki „trzeźwej i realnej” utrzymywało swoją pozycję jedyne go reprezentanta ludności ukraińskiej. Dodatkowo zresztą – mimo faktu uzyskania przez akcje terrorystyczne OUN światowego rezonansu i silniejszego rozbudzenia świadomości mas – znaczenie tej organizacji zaczęło maleć. Związane to było z faktem wymierzenia jej szeregu silnych ciosów, między innymi w 1932 r. policja przeprowadziła około 400 rewizji i aresztowała wielu działaczy. W 1934 r. miały miejsce dwie fale aresztowań. W dniach 14, 17 i 18 czerwca aresztowano około 200 osób, z których prawie 100 osadzono w utworzonym w Berezie Kartuskiej obozie odosobnienia. Natomiast po zabójstwie znanego we Lwowie dyrektora gimnazjum ukraińskiego, Iwana Babija – 25 VII 1934 r. – doszło w sierpniu tego roku do kolejnej fali aresztowań. Wpłynęło to na sparaliżowanie działalności OUN.⁶⁶

Większość prasy polskiej, w tym też opozycyjnej, ze zrozumieniem i aprobatą przyjęła fakt pacyfikacji i zastosowane w jej trakcie metody. Podkreślano, że akcja sabotażowa OUN

64. A. Chojnowski, s.158-159.

65. Tamże, s. 159.

66. R. Torzecki, „Kwestia ukraińska...”, s. 68-69; A. Chojnowski, s. 202-205.

wywołała – zanim doszło do kontrakcji władz – panikę wśród tamtejszej polskiej ludności i nawet chęć ucieczki z Małopolski Wschodniej. Dodatkowo traktowano to jako obronę zagrożonej integralności państwa, które dopiero co powstało po tylu latach niewoli. Jedynie właściwie PPS zajął odrębne stanowisko, a na łamach jego czołowego pisma *Robotnik* ostro skrytykowano zbiorowe represje, uderzające w tysiące ludzi, a nie w bezpośrednich winowajców. Porównywano zastosowane metody do działań władz carskich z 1905 r. Także komuniści z Komunistycznej Partii Polski (KPP) w ostry sposób napiętnowali pacyfikację. Z kolei pisma narodowej demokracji – *Gazeta Warszawska*, *Kurier Warszawski* i lwowskie *Słowo Polskie* atakowały *Robotnika* za jego stanowisko i pisały wprost, że ukraiński ruch wywrotowy kierowany jest przez Berlin; zarazem jednak endecja usiłowała odżegnać się od akcji pacyfikacyjnej. Krakowski *Czas*, pismo konserwatywne, wyrażał opinię, że represje władz polskich muszą trwać, dopóki nie nastąpi zaprzestanie działalności wywrotowej przez OUN. Pamiętać jednak trzeba, że dla większości społeczeństwa wydarzenia te traktowane były jako całkowicie lokalne zagadnienie⁶⁷ W. Pobóg-Malinowski pisząc o zastosowanych wtedy metodach cytuje list, jaki otrzymał 27 VIII 1952 r. od gen. F. Sławoja Składkowskiego: „Jak miałem zrobić porządek, gdy wsie całe były pod terrorem mołojców z OUN? Przecież czymś i w jakiś sposób trzeba było, bez rozlewu krwi, pokazać ludności, przekonać ją, że bojówek ukraińskich bać się nie trzeba.”⁶⁸

Jeśli chodzi o środowiska ukraińskie w Polsce, to na ogół potępiły one akcję pacyfikacyjną, zachowując milczenie wobec wcześniejszej akcji OUN. Największy duchowy i moralny autorytet Ukraińców, metropolita Andrij Szeptycki, potępił zarówno akcję terrorystyczną, jak i pacyfikację. Jedynie spośród ugrupowań ukraińskich w Polsce petlurowcy zdecydowanie potępił OUN. Jeden z ich przywódców, Ołeksander Szulhyn, stał na stanowisku, że celem ukraińskich organizacji niepodległościowych winna być walka z ZSSR, a

67. A. Sowa, s. 53-56; W. Pobóg-Malinowski, t. 2, s. 728.

68. W. Pobóg-Malinowski, t. 2, s. 727.

nie z Polską. Ale najsilniejsze czynniki ukraińskie w Polsce, głównie zgrupowane wokół UNDO, nie wypowiadając się na temat przyczyn pacyfikacji, podjęły akcję na forum międzynarodowym. Pod koniec 1930 r. trzech polityków: Milena Rudnyćka, W. Panejko i Ołeksa Jaworowskyj wysłało skargę do Ligi Narodów. Także J. Konowalec wystosował petycję przy poparciu UNDO, prosząc Ligę Narodów o interwencję, a w grudniu 1930 r. Ukraińska Reprezentacja Parlamentarna w polskim sejmie przesłała oficjalną petycję proszącą o rozpatrzenie problemu metod stosowanych przez władze polskie wobec mniejszości ukraińskiej. Niektórzy z parlamentarzystów współpracowali zresztą z OUN, a kontakt z J. Konowalcem i jego współpracownikami z ramienia UNDO utrzymywała M. Rudnyćka. Dzięki temu pacyfikacja szeroko była omawiana w prasie międzynarodowej w sposób niekorzystny dla Polski.⁶⁹ A. A. Zięba w następujący sposób scharakteryzował ten aspekt sprawy:

„Oddźwięk pacyfikacji był olbrzymi. Akcja podjęta przez rząd polski w Małopolsce Wschodniej stała się skandalem na skalę światową. Analiza tonu i ilości doniesień prasowych na ten temat, które były wyrazem oburzenia opinii publicznej na świecie, oraz faktów politycznych mających miejsce zarówno na forum Ligi Narodów, jak również w kontaktach dwustronnych Polski z Anglią, Francją, Stanami Zjednoczonymi i Kanadą, prowadzi do wniosku, że z punktu widzenia interesów państwa była to operacja pod względem skutków ryzykowna co najmniej tak samo, jak scenariusz realizowany przez ukraińskich nacjonalistów.”⁷⁰ Trzeba jednak pamiętać o tym, że kwestię pacyfikacji wykorzystywała przede wszystkim propaganda państw wrogich Polsce: podjęła ją nie tylko emigracyjna ukraińska, ale też propaganda sowiecka i przede wszystkim niemiecka, a także związane to było z licznymi wystąpieniami polityków i wojskowych Niemiec. Za prasą niemiecką wymierzoną w Polskę w związku z pacyfikacją

69. A. A. Zięba, s. 304-305; R. Torzecki, „Kwestia ukraińska...”, s. 66-67; W. Pobóg-Malinowski, t. 2, s. 727, pisze, że posłowie ukraińscy skierowali petycję o zbadanie całej sprawy do Ligi Narodów w styczniu 1931 r.

70. A. A. Zięba, s. 304.

propagandę powtarzała prasa włoska i angielska. Z kolei przy niemieckim wsparciu finansowym wydano w 1931 r. w Pradze tzw. „czarną księgą”, mającą świadczyć o „polskim barbarzyństwie”, najpierw w języku ukraińskim, a potem w języku francuskim, angielskim, niemieckim i hiszpańskim, między innymi w Lozannie i Nowym Jorku. Liczne publikacje na ten temat ukazały się w prasie angielskiej, USA, kanadyjskiej, brazylijskiej, czechosłowackiej, niemieckiej, francuskiej, belgijskiej, włoskiej, litewskiej, austriackiej, szwajcarskiej i Wolnego Miasta Gdańska. Także spore odłamy zagranicznej opinii publicznej oraz wielu wpływowych polityków (np. w Czechosłowacji T. Masaryk) solidaryzowało się z akcją OUN. W Nowym Jorku Ukraińcy nawoływali mocarstwa i Ligę Narodów do wysłania do Małopolski międzynarodowej komisji śledczej. Wspomnieć należy o dużej aktywności angielskich kół politycznych: 62 członków Izby Gmin podpisało petycję do rządu brytyjskiego, w której domagali się, aby Liga Narodów wyznaczyła specjalną komisję do zbadania zająć w Małopolsce Wschodniej. Latem 1931 r. dwóch angielskich deputowanych udało się nawet do Lwowa, aby osobiście zorientować się w sytuacji. Raporty brytyjskich dyplomatów z Polski miały zdecydowanie propolskie sympatie, ale rządząca wtedy w Wielkiej Brytanii Labour Party popierała niemieckie dążenia do rewizji traktatu wersalskiego. Stąd też angielski minister spraw zagranicznych Arthur Henderson popierał tę petycję i inspirował stronę ukraińską do złożenia skargi w Lidze Narodów. Stał potem Henderson na czele tzw. Komitetu Trzech, który w kwietniu 1931 r. wydał niekorzystne dla Polski oświadczenie i dopiero odsunięcie Labour Party od władzy w wyniku kryzysu rządowego doprowadziło do zakończenia postępowania przed Ligą Narodów zgodnego mniej więcej z polskimi pragnieniami. W Genewie wspierany przez Niemców Jewhen Petruszewycz, czołowa postać ukraińskiej emigracji, zabiegał o interwencję Ligi Narodów.⁷¹ Ostatecznie dopiero 30 I 1932 r. Liga Narodów po zbadaniu

71. A. A. Zięba, s. 306-307; W. Pobóg-Malinowski, t. 2, s. 727; „Na wiczu hańbu Polsce, twerdyni warstwa w Europi”, New York 1978, s. 109-150; K. Lewandowski, s. 296.

całokształtu sprawy powzięła uchwałę stwierdzającą, że „Polska nie prowadzi przeciwko Ukraińcom polityki prześladowań i gwałtów” oraz że akcję pacyfikacyjną wywołali sami Ukraińcy przez swoją akcję przeciwko państwu polskiemu. Jednak uchwała ta jednocześnie potępiła zastosowanie przez Polskę odwetu.⁷²

Pacyfikacja Małopolski Wschodniej, choć doprowadziła doraźnie do zamierzonych celów, przez ograniczenie akcji terrorystycznej OUN, była w sumie dla Polski bardzo kosztowna, a jej rezonans na arenie międzynarodowej był wybitnie dla Polski niekorzystny. Inną niekorzystną konsekwencją był wzrost wrogości między obu społecznościami, polską i ukraińską, zamieszkującymi ten region. Także nie udało się sparaliżować OUN, która funkcjonowała w dalszym ciągu (wiele informacji na ten temat zawierają raporty policyjne z późniejszego okresu). Akcje wymierzone w OUN w późniejszym okresie, przeciwko konkretnym osobom związanym z tą organizacją i jej komórkom, bez stosowania zasady zbiorowej odpowiedzialności, były – jak o tym już wcześniej wspomniałem – bardziej racjonalne i skuteczne, paraliżując tę organizację. Zarówno jednak ta pacyfikacja, jak i te późniejsze akcje nie były w stanie zapobiec narastaniu konfliktu polsko-ukraińskiego na Kresach Południowo-Wschodnich. Motywy postępowania obu stron – polskich władz i OUN – są dla nas w pełni zrozumiałe, ale narastającego antagonizmu nie można już było rozwiązać inaczej, jak z użyciem siły. Logika terroru i przeciwstawienia się jemu doprowadzała do narastania spirali wrogości i stwarzała sytuację, w której władze polskie zmuszone były sięgnąć do metod pacyfikacji, ale zarówno te metody, jak i ich brutalność nie były w stanie rozwiązać konfliktu.

Grzegorz MAZUR

72. W. Pobóg-Malinowski, t. 2, s. 727-728; R. Torzecki, „Kwestia ukraińska...”, s. 66-67.

W WYDAWNICTWIE NAUKOWYM PWN

(Warszawa-Kraków)

ukazała się ostatnio książka

Tadeusza W Y R W Y pt.

KRYTYCZNE ESEJE Z HISTORII POLSKI XX WIEKU

Jest to zbiór esejów (stron 581) poświęconych najnowszym dziejom Polski, o którym prof. Adam Węgrzecki pisze w „Słowie wstępnym”, że dzięki takim pracom, jak te zawarte w tym zbiorze „dopełnia się obraz naszej nie tak odległej przeszłości, nabierając barw i konturów, których mu wcześniej brakowało”.

Eseje te owiane są duchem, w jakim Wyrwa opracował inną książkę: „Bezdroża dziejów Polski. Kraj i emigracja po 1 września 1939 r.” (Norbertinum – Lublin, Wydanie III w 2000 r., stron 330), o której recenzenci m.in. pisali:

„Wyrwa nie podąża ‘utartym szlakiem’. Na wydarzenia ostatniego półwiecza patrzy krytycznie. Niejednokrotnie wsadza przysłowiowy kij w mrowisko. Nie tuszuje zaniechań i błędów po polskiej stronie... Opinie Wyrwy mogą drażnić czy denerwować, ale też nie sposób obok nich przejść obojętnie” (Krzysztof Tarka, *Tydzień Polski*, Londyn 17 czerwca 2000 r.)

„Każdy kto jest zainteresowany najnowszymi dziejami Polski, pracę Wyrwy powinien bezwzględnie przeczytać... Wyrwa nie chce niczego przemilczeć, będąc świadom, że powtarzające się od 60 lat polityczne nieszczęścia są właśnie wynikiem zamykania oczu na rzeczywistość.” (Tomasz Mianowicz, *Zeszyty Historyczne*, Paryż nr 131, 2000r.)

„Trzeba historię Polski napisać jeszcze raz... I to jest główne postanie tej znakomitej i bardzo potrzebnej książki.” (Andrzej Czyżowski, *Orzeł Biały*, Londyn, marzec 1999 r.)

Obydwie książki można nabyć w Księgarniach, którym historia Polski leży na sercu.

Tadeusz WYRWA

Z DZIEJÓW POLSKO-UKRAIŃSKICH STOSUNKÓW

W lutym 1943 roku, w konspiracyjnym wydawnictwie Z.W.R. (Ziem Wschodniej Rzeczypospolitej), ukazała się broszura pod znamienym tytułem: „W przededniu Nowego Jutra”, z wyjaśniającym podtytułem, że chodzi o lata 1939-1942, jednego z najtragiczniejszych okresów w historii wzajemnych stosunków¹. Autorem tej broszury, która wówczas, pod okupacją niemiecką, wyszła anonimowo – podobnie jak kilka innych broszur tego działacza – był Henryk Józewski.

Na wstępie kilka słów trzeba poświęcić Józewskiemu (1892-1981)². Piłsudczyk, wojewoda wołyński w latach 1928-1938, Józewski znany był z pojednawczej polityki wobec Ukraińców. Jak pisał o nim W. Pobóg-Malinowski: „Ukraińców nie faworyzował, ale popierał ich tam, gdzie prawo i słuszość były po ich stronie”. Skrajna prawica atakowała Józewskiego, oskarżając go o zbyt duże sprzyjanie Ukraińcom i „gnębienie” Polaków. Dopóki żył Piłsudski, nie

1. „W przededniu Nowego Jutra. Z dziejów polsko-ukraińskiej doli (1939-1942)”, Wydawnictwo Ziem Wschodniej Rzeczypospolitej, Warszawa 1943, s. 44. Egzemplarz tej broszury znajduje się w Studium Polski Podziemnej w Londynie.

2. Na łamach *Zeszytów Historycznych* ukazały się wspomnienia Henryka Józewskiego; zob. *ZH* 59, s. 3-163, *ZH* 160, s. 65-157 i *ZH* 63, s. 3-75.

mogła zbyt gwałtownie przeciwko niemu występować, ale po śmierci Marszałka rozpięta na niego nagonkę. Józewski jednak, „odważny, konsekwentny, wytrwały, nie myślał ulegać czy ustępować”³. W napiętej coraz bardziej sytuacji Józewski wytrwał trzy lata. W końcu gdy w 1938 r. przyszedł do przekonania, że nic więcej nie można było już zrobić, złożył na ręce gen. Sławoja Składkowskiego dymisję ze stanowiska wojewody wołyńskiego⁴. Jak pisał w swoich wspomnieniach: „nie miałem poczucia przegranej, kiedy żegnałem się z Wołyniem. Otaczała mnie fala serdeczności, pewności, że jestem i będę z Wołyniem, a Wołyń jest i będzie ze mną. Dogadaliliśmy się z tą ziemią”⁵.

Dialogu Józewskiego z ziemią województwa wołyńskiego nie przerwała nawet wojna. Wymownym tego dowodem jest broszura, o której tu mowa. Autor nie usprawiedliwia jednych kosztem drugich, ale stosunki polsko-ukraińskie z pierwszych lat drugiej wojny światowej przedstawia na tle historycznym. Nie przemilcza tego, co we wspólnych dziejach było złe. Broszura ta została napisana w październiku 1942 roku. Myśli w niej zawarte mają tym większą wartość, że będąc wyrażane w ogniu walk z najeźdźcą, wygrywającym w swoim okrucieństwie antagonizm ukraińsko-polski, nie mogłyby być nastawione na żaden doraźny efekt polityczny. Wpływały one przeto nie z teoretycznych dociekań, lecz z naglących potrzeb odczuwanych w Kraju przez światlejsze umysły.

Przewodnią myśl autora wyrażał już sam tytuł broszury: „W przededniu Nowego Jutra”. Józewski wierzył – i co

3. Zob. Władysław Pobóg-Malinowski, „Najnowsza historia polityczna Polski”, tom 2, Londyn, 1956, s. 634-635.

4. Po wyjeździe z Wołynia Józewski objął, w końcu kwietnia 1938 r., Województwo Łódzkie. Następnie od jesieni 1939 r. pracował w konspiracji na różnych stanowiskach, poczynając od stanowiska Komendanta Warszawy i Okręgu Warszawskiego w utworzonej wówczas, przez gen. Tokarzewskiego, organizacji – Służba Zwycięstwu Polski (SZP) przemianowanej później na Związek Walki Zbrojnej (ZWZ) i wreszcie Armię Krajową (AK). Był też twórcą Grupy „Olgierda”, która działała pod jego kierownictwem. W 1945 r. nie ujawnił się i pozostał w ukryciu do 1953 r. Aresztowany i więziony do 1956 r. Zwolniony w wyniku „październikowej odwilży”. Zmarł w 1981 r.

5. *Zeszyty Historyczne* nr 60, s. 88.

dzisiaj jest nadal aktualne – że jesteśmy rzeczywiście w przededniu lepszego współżycia z sąsiedzkimi nam narodami, które winno być oparte na głoszonej przez niego zasadzie: „Wolni z wolnymi, równi z równymi”. Nijżej ograniczam się do przytoczenia z broszury niektórych tylko fragmentów, wymownie świadczących o duchu, jaki winien ożywiać wzajemne stosunki polsko-ukraińskie.

Tadeusz WYRWA



*„Zemsta i przymus rodzą zniszczenie i zgubę,
a jedynym wybawieniem z tego fatalnego koliska –
to przebaczenie i wolność”.*

„Nad zapadłą cichą wsią, ukrytą w głębokim jarze małopolskiego Podola, gdzie piszemy te słowa, dudnią motory samolotów, dzień i noc, raz po raz, całymi eskadrami lecących na wschód, tam, gdzie w tej chwili milionowe armie po jednej i drugiej stronie śmiertelny bój z sobą toczą⁶. Wyczuwamy, że jest to już chwila przesilna, że niedługo już wybije wyroczna godzina! Cóż wówczas uczynią bratnie narody tej ziemi, lud polski i ukraiński? Czyż znowu zerwą się przeciw sobie do walki? Czy też, pojednane z sobą, oręż wspólnie podniosą w walce «za Naszą wolność i Waszą»? Wśród dumań nad tym pytaniem, którego rozstrzygnięcie zadecyduje na długi czas o losach obydwu narodów na tej ziemi i o ich przyszłości, oczy nasze padają na słowa tytułowe jednej książki, skreślonej w te dni burzy i zamętu przez patriotę ukraińskiego, słowa pełne wymówki: *Kaine! szczo skoiv jes iz swoim bratom?* – «Kainie! coś oto uczynił z bratem swoim?» Słowa pełne gorczy i żalu zwracają swe oskarżenie w stronę narodu polskiego, na poparcie zarzutu gromadząc w osnowie książki wielką mnogość „krzywd” przez Polskę zdaniem autora ludowi ukraińskiemu wyrządzonych.

W smutku przykuwamy myśl naszą do skarżących słów tytułu. W smutku, żalu i gorczy. Bo wszakże czujemy dob-

6. Chodzi o prowadzoną wówczas wojnę niemiecko-sowiecką.

rze, że z tymi samymi słowami, w naszym przeświadczeniu, o wiele słuszniej i mocniej, i my, Polacy, mamy prawo zwrócić się w stronę narodu ukraińskiego z zapytaniem skargi: Kainie! coś oto uczynił z bratem swoim? Krzyżują się nasze zarzuty jak szpady walczących z sobą zapaśników. Zawieśmy na chwilę walkę, odłóżmy szpady – i nie zaprzeczając winom wzajemnym – idźmy w sobie nawzajem i w głosach historii szukać myśli Bożej, myśli pojednania, ducha pokoju i miłości bratniej.

Tym właśnie myślom są poświęcone w zaciszu wsi podolskiej, z dala od szalejącej burzy, skreślone tutaj wspomnienia naszego «wczoraj» i «dzisiaj». I one wprowadzie są uprzytomnieniem niejednej kainowej zbrodni, niejednej pomyłki tragicznej. Tym głośniej jednak wołają o pokój, o mir Boży. Tym mocniej nawiązują do końcowego apelu wspomnianej książki: «Czyż wiecznie mamy, Ukraino i Polsko, krwią się obmywać? – Jednajmy się! Bo idzie nowy czas». Lecz nie ten nowy czas, który miałby się narodzić pod skrzydłami totalnej potęgi, ale ten, co z ducha Wolności się pocznie, bo ten tylko przyniesie *myr ludiam na zemli* – pokój ludziom na ziemi!

Najbardziej może zawikłane i najwięcej we krwi skąpane wydają się nam owo «wczoraj», które ciężką ręką, gradową chmurą zawisło nad pełną krasy i uroku Ziemią Czerwieńską. Myślimy zaś nie o czasach odległych, tonących w mrokach historii. Chodzi nam o to «wczoraj», którego przejścia bezpośrednio żyją jeszcze w pamięci starszego pokolenia, które wraz z ludźmi dnia wczorajszego bierze jeszcze udział wydatny w tworzeniu bieżącego «dzisiaj», co nie zapadło się jeszcze w mogiłę, a co poprzez mogiły nawet tym goręcej woła o wpływ na życie nowe. Z głębi doświadczeń lepsze jutro woła.

U progu dnia wczorajszego uśmiecha się ku nam pogodny obraz. Prawdziwa idylla tej ziemi, skąpana w słońcu polsko-ruskiej zgody. Polacy i Rusini – nieznaną jeszcze wówczas była tak dzieląca nas później nazwa Ukraińców – żyli z sobą w świetnej zgodzie. Łączyły ich wzajemnie miłe stosunki sąsiedzkie, nierzadko wspólne wspomnienia powstańcze, jakże często bliskie pokrewieństwa. Kwestia religii, kwestia języka nie stanowiły różnicy. Chodziło się wspólnie

do kościoła czy cerkwi, na odpust czy «praznyk», szanowało się święta jednych i drugich, śpiewało się pieśni polskie i dumki ukraińskie, wspólnym trudem i potem użyźniało się wspólną macierzystą ziemię, a rolniczy obrzęd dożynek był zawsze miłym wspólnym świętem dworu polskiego wraz z całą wsią ruską.

Wśród duchowieństwa grecko-katolickiego zjawiają się księża-patrioci, przede wszystkim spod znaku oo. bazylianów, co pierwsi siać zaczęli w serca spokojnego dotąd ludu nienawiść do «Lacha», przeważnie z poduszczenia austriackiego. Pojawia się młode szowinistyczne nauczycielstwo ukraińskie. Z ambon cerkiewnych, ze szkół, z urzędów gminnych płyną zaczynają złe, nienawistne słowa. Rozpoczyna się na całej linii atak na wszystko, co polskie, co tutaj na kresach polska praca stworzyła. Rzecz zrozumiała, że nie zostaje bez odpowiedzi polska strona. Rychło walka ta znajdzie swoje odbicie na szerszej, politycznej arenie, na terenie parlamentu wiedeńskiego. Przeorały życie Ziemi Czerwieńskiej zaciekle walki wyborcze. Przychodzi do zaburzeń i zamachów. Padają pierwsze ofiary.

W rozdarciu zastaje obydwie narody wybuch wojny roku 1914. Uknuty przeciw Polsce w kancelariach wiedeńsko-berlińskich zamach ukraiński na Lwów i Małopolskę Wschodnią spadł na polskie społeczeństwo w listopadzie 1918 r., jak piorun niespodziewanie. Przychodzi do pierwszej nieszczęsnej wojny polsko-ukraińskiej. W krwawych, zaciekle walcach ginie kwiat narodu, szczególnie młodego pokolenia, po jednej i po drugiej stronie. Z krwi bohaterskiej wyrasta pomnik Orląt Lwowskich.

W nieprzychylnej dla siebie atmosferze rodzi się na Ziemi Czerwieńskiej idea porozumienia polsko-ukraińskiego, sojusz wojskowy Piłsudskiego z Petlurą i przychodzi do pierwszych wspólnych polsko-ukraińskich działań wojennych przeciw wspólnemu wrogowi, do pierwszych tradycyjnych walk bohaterskich «za Naszą wolność i Waszą». Jeśli ukraińska kampania Piłsudskiego w roku 1920 ze szkodą obydwu narodów doznała załamania, to odegrały tutaj rolę momenty nie tylko wojskowe, lecz przede wszystkim polityczne: z jednej strony wrogi stosunek do Polski «galicyjskiej»

Ukraińców, jak też brak dostatecznego duchowego przygotowania wśród mas ludowych Ukrainy naddnieprzańskiej, z drugiej zaś strony wyraźna niechęć w szerokich sferach społeczeństwa polskiego do całej imprezy ukraińskiej. Nienawiść, nieufność, chęć odwetu po obydwu stronach wzięły stanowczo górę nad poczuciem zdrowej racji stanu.

Pierwsze lata organizacji Państwa Polskiego nie potrafiły wprowadzić jakiegś zdecydowanej myśli i planowego działania w zawikłanych zagadnieniach ukraińskich w Małopolsce Wschodniej. Polityka polska nosiła wyraźne piętno stosowania w szerokiej skali rządów komisarycznych w zarządach gmin, co w rezultacie doprowadziło do usunięcia czynnika ukraińskiego od samorządu. Jeśli dodamy do tej tak zasadniczej sprawy jeszcze zawikłania w zagadnieniach oświatowo-szkolnych, niekończące się spory w związku z niezyciową ustawą szkolną z roku 1924, wprowadzającą szkoły utrakwistyczne (dwujęzyczny system nauczania), ze szkołą również dla ludności polskiej, silne podrażnienie z powodu ograniczeń w ukraińskim szkolnictwie średnim, a wreszcie walkę o uniwersytet ukraiński – to przyznać trzeba, że dość było momentów zapalnych, zaciętrzewiających coraz więcej zarówno radykalne koła ukraińskie, jak i szowinistyczno-nacjonalistyczne elementy polskie, opierające całe swe działanie i polityczną linię w stosunku do Ukraińców na nierealnej nadziei spolonizowania wiejskiej ludności ruskiej, jak ją stałe w kołach tych nazywano, nie doceniając żywotności całego ruchu ukraińskiego.

Terrorystyczna akcja ukraińska (sabotaż, podpalenia, zabójstwa) z jednej strony, a bezpardonowa polska «pacyfikacja» z drugiej – pogłębiły jeszcze więcej już i tak głęboką przepaść, tak że jej przekroczenie w normalnych warunkach, choćby przy najlepszym wyniku, stało się na długi czas dla obydwu narodów niemożliwością. Za późno przyszedł głos po jednej i drugiej stronie elementy umiarkowania i porozumienia, dodajmy – niezbyt szczerze popierane przez niektóre czynniki rządowe w stolicy Państwa, jak i w terenie, spośród których właśnie w tym samym czasie mógł się zrodzić pomysł tak niefortunny, jak tworzenie na wsi ukraińskiej zagrodowej szlachty polskiej.

U progu naszego «dzisiaj», które gromem wojny uderzyło w Polskę w dniu 1 września 1939 roku, stanęła krwawa tragedia. Jej pełne grozy straszne obrazy dotąd tkwią w oczach naszych. Niełatwo je będzie wydrzeć z pamięci, niełatwo zapomnieć, jak to na szosach czy drogach polnych, czy też wśród opłotków wsi z rąk ukraińskiego ludu ginęli w męczeńskiej śmierci żołnierze i oficerowie cofającej się Armii Polskiej, jak to z dziką pasją zabijano zdążających na południe uchodźców polskich.

Nie mówić dziś o tym. Przemilczeć. Nie tylko nie sposób, ale i bez celu. Jeśli bowiem mamy dzisiaj szukać drogi wyjścia z ciemności, musimy mieć na uwadze choćby najstraszniejsze fakty i płynące stąd następstwa. I jak nie można zataić owej zbrodni ukraińskiej w tych dniach tragicznych dla Polski, tak nie można nie wiedzieć, że z jej krwawego źródła buchnęła nowa fala nieprzepartej polskiej żądzы odwetu.

W ślad za tym pierwszym aktem tragedii u progów naszego «dzisiaj» nastąpił jej akt drugi: wejście wojsk bolszewickich na ziemię Rzeczypospolitej Polskiej i w związku z tym masowa zdrada ze strony narodu ukraińskiego w stosunku do Państwa Polskiego.

Dzieło przekształcenia życia na obraz i podobieństwo ojczyzny sowieckiej, które najjaskrawiej i najforsowniej odbywało się we Lwowie, awansowanym wówczas na stolicę Zachodniej Ukrainy, było konfrontacją z życiem ukraińskiego ruchu niepodległościowego i jego siły moralnej, a w rezultacie jego wielką tragedią. Ze smutkiem stwierdzić należy, że niepodległościowy ruch ukraiński poszedł w tym czasie w niewolę idei sowieckiej. Spóźniona próba odwrotu – i to odwrotu w stronę drugiego z kolei protektora, tym razem zachodniego (Niemców hitlerowskich) – musiała doprowadzić do nowej tragedii, co sprawę Ukrainy i życie ludzkie utopi w nowym morzu krwi i nieszczęścia bez miary.

Z okresu tego, okresu niechwalebnej pamięci Zachodniej Ukrainy jako części ZSSR, pozostało wśród ludności polskiej tego kraju smutne przeświadczenie, że głównym czynnikiem, inspirującym i organizującym wszystkie z tego czasu nieszczęścia polskie, byli przede wszystkim Ukraińcy, z

poduszczenia których i przy których pomocy bolszewicy dokonali setek aresztowań spośród inteligencji polskiej i młodzieży, a szczególnie kilkakrotnych tak niszczących ludność polską okrutnych wywożeń.

Toteż nic dziwnego, że gdy z kolei wichur niebezpieczeństwa uderzy w ukraińską wieś, gdy nastaną dla niej straszne noce i dni wywożeń, gdy w walkach z przemocą padać zacznie kwiat młodzieży ukraińskiej, nie drgną litością serca polskie. Spłyną wówczas z ust twarde słowa: «Sprawiedliwa kara Boża!» – Tak głęboka była tragedia na rozdrożach życia zbłąkanego ludu, że jego dola żałosna nie obudzi już współczucia w sercach pobratymczego narodu.

Nad kolebką naszego bytowania, jako plemienia, unosi się piękna legenda, co jest pierwszym ziarnem prahistorii narodów. Legenda o trzech braciach. Zwali się oni Czech, Lech i Rus i dziećmi byli jednej matki: Słowiańszczyzny. Po okresie wspólnej wędrówki i wspólnej doli, jak głosi podanie, dokonali między sobą podziału ziem objętych. Zachodnie dzierżawy, nad Wełtawę sięgające, wziął Czech w posiadanie, środkowe nad Wartą i Wisłą Lech zatrzymał, a wschodnie nad Dnieprem objął Rus. Trzem narodom, trzem państwom początek dać mieli trzej bracia rodzeni, bracia Słowianie. W ciągu wieków braterstwo szło nieraz w zapomnienie. Po okresach dobrego współżycia nieraz wybuchały wojny wzajemne i lała się krew bratnia. Co raz zbudowała dobra wola i zgoda, to znowu waśń i walka wzajemna pogrążała w ruinę. Minęły wieki całe. Na oczach naszych szaleje burza, jakiej ludzkość od początku swego istnienia nie znała. Dla braci dotąd skłóconych ta burza może niesie tęgą pokój, może zorzę braterskiego pojednania.

W ogniu wojny, w obliczu jutra, poprzez morze łez i krwi, wzajemnie przelanej, wyciągamy dłonie braterskie. Pragnąc z głębi serca zapomnieć o tym, co nas w wiekach dawnych i czasach ostatnich dzieliło i dzieli, gdy idzie o jutro, chcemy myśleć o tym, co łączy, co godzi, co buduje.”

Henryk JÓZEWSKI

Ihor ILJUSZYN, Grzegorz MAZUR

UTWORZENIE I DZIAŁALNOŚĆ CZEKISTOWSKICH GRUP OPERACYJNYCH NKWD W ZACHODNICH OBWODACH UKRAINY W LATACH 1939-1940

(Na podstawie materiałów Państwowego Archiwum
Służby Bezpieczeństwa Ukrainy)

Tworzenie czekistowskich grup operacyjnych NKWD w zachodnich obwodach Ukrainy zapoczątkował rozkaz nr 001064 o środkach organizacyjnych poprzedzających przeprowadzenie „zebrań szkoleniowych”. Rozkaz ten został podpisany 8 września 1939 r. przez ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSSR, komisarza bezpieczeństwa państwowego I stopnia Ławrentija Berię. Jak wiadomo, pod pojęciem „zebrań szkoleniowych” rozumiano przygotowania do agresji wojskowej przeciwko Polsce. Zgodnie z tym rozkazem przed komisarzami ludowymi spraw wewnętrznych (NKWD) Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej (USRS) oraz Białoruskiej SRS (BSRS), komisarzami bezpieczeństwa III stopnia Iwanem Sierowem i Ławrentijem Canawą, postawiono zadanie zorganizowania w jak najkrótszym terminie dziegięciu operacyjnych grup czekistowskich: pięciu w Kijowskim Specjalnym Okręgu Wojskowym (KSOW) i czterech w

Białoruskim Specjalnym Okręgu Wojskowym (BSOW). W skład tych grup wejść mieli pracownicy operacyjni NKWD Ukrainy i Białorusi, a także ludzie z Moskwy i Leningradu oraz operacyjno-polityczni pracownicy wojsk ochrony pogranicza. W KSOW wymienione grupy utworzone zostały w składzie po 50-70 osób, a na terenie BSOW – po 40-55 osób. Ponadto do dyspozycji dowódców operacyjnych grup czekistowskich, w celu wykonania zadań specjalnych, ze składu wojsk Kijowskiego i Białoruskiego Okręgu Przygranicznego wydzielono po jednym batalionie w sile 300 osób każdy. Przewidywano, że tworzone grupy operacyjne, zgodnie z planem Ludowego Komisariatu Obrony, przydzielone zostaną do poszczególnych armii, przygotowujących się do uderzenia na Polskę. W celu przeprowadzenia wszystkich niezbędnych działań, jak również przekazania odpowiednich instrukcji, na Ukrainę wyruszył zastępca komisarza ludowego spraw wewnętrznych ZSSR, komisarz bezpieczeństwa III stopnia Wsiewołod Mierkułow, a na Białoruś naczelnik Wydziału Specjalnego NKWD ZSSR st. mjr Wiktor Boczkow. Beria zażądał od Sierowa i Canawy, aby każdego dnia do godziny 18.00 telegraficznie składano mu raporty o przebiegu prac.¹

Wykonując ten oraz inne rozkazy, Sierow informował Moskwę o przeprowadzonych w KSOW pracach, między innymi meldował o stanie na dzień 12 września. Tego dnia przewidywany rejon „zebrań szkoleniowych”, zgodnie z planem ruchu zgrupowań wojskowych, podzielony został na sektory. W skład każdego z sektorów wchodziło od trzech do sześciu dużych zamieszkałych miejscowości, bliskich terytorialnie i połączonych między sobą szlakami kolejowymi bądź siecią szos. W sumie na wszystkich kierunkach utworzono 16 takich sektorów.

1. Państwowe Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy (dalej – PA SBU): fond. 16, opis 32, sprawa 33, k. 1-4. Komisarz bezpieczeństwa państwowego I, II, III stopnia – stopnie generalskie w NKWD w owym czasie, starszy major – stopień oficerski. Dla ścisłości, występowali oni jako pracownicy NKWD; nie istniały stopnie oficerskie NKWD. Formalnie rzecz biorąc, Czeka została rozwiązana w 1922 r., ale określenia „czeekiści”, „czekistowskie” itd. występują w dokumentach NKWD, na których został oparty ten akrytykuł.

Spomiędzy wydelegowanych i zebranych w Kijowie pracowników NKWD stworzono cztery operacyjne grupy czekistowskie, na czele których stanęli oficerowie bezpieczeństwa państwowego: Michaił Pietrow, Nikołaj Makarow, Kapiton Krasnow i Siergiej Sawczenko; trzy spośród nich były to grupy czynne, czwarta była rezerwowa. Zaplanowana piąta grupa w tym czasie nie została jeszcze sformowana. Każda z grup operacyjnych była z kolei podzielona na podgrupy, odpowiednio do ilości sektorów terytorialnych. W każdej czekistowskiej podgrupie znajdowało się od 7 do 12 pracowników operacyjnych. Dowódcy czekistowskich grup operacyjnych zostali zorientowani w sytuacji i dokładnie poinstruowani co do zaplanowanych działań. Każdy z nich zapoznał się osobiście ze składem osobowym swojej grupy i sprawdził stan jej gotowości. Dowódcy grup zostali wyposażeni w mapy z odpowiednio naniesionymi punktami orientacyjnymi. W związku ze sprawą tworzenia batalionów przygranicznych wydano niezbędne wskazówki odnośnie rozliczenia się z zakończenia tych prac do godziny 12.00 dnia 13 września. Na podstawie materiałów przekazanych przez jednostki wojsk pogranicza, kierownictwo NKWD USRS przygotowało listy osób, które miały zostać aresztowane [w dokumencie dosłownie sformułowano: osoby, które podlegały *izjatiju* – (ros.) „zatrzymaniu” – dop. aut.]. Zgodnie z twierdzeniem Sierowa, tylko w najbliższej strefie przygranicznej ludzi takich wymieniono ponad 2000. Spisy tych osób w momencie ogłoszenia rozkazu o rozpoczęciu „zebrań szkoleniowych” powinny były znajdować się u dowódców grup. Po uzgodnieniu z dowodzącym KSOW marszałkiem Siemionem Tymoszenką przewidywano, że grupy operacyjne skierowane zostaną do zgrupowań armii na 24 godziny przed rozpoczęciem „zebrań szkoleniowych.”²

15 września 1939 r. Beria wydał ściśle tajną dyrektywę nr 720, która precyzyjnie określała zakres działalności operacyjnych grup czekistowskich. Dyrektywa przewidywała utworzenie tymczasowych organów władzy, w skład których wejść mieli szefowie grup operacyjnych NKWD. Przy wykony-

2. Tamże, k. 6-7.

waniu zadań specjalnych związanych z zabezpieczeniem porządku, zapobieganiem działaniom wywrotowym oraz „zduszeniem kontrrewolucji”, grupy operacyjne NKWD w miarę przesuwania się zgrupowań wojskowych, miały tworzyć na zajętych terenach we wszystkich ważniejszych miejscowościach aparat NKWD kosztem wydzielenia ze składu zasadniczej grupy operacyjnej niewielkich grup o liczebności, która miała zależeć od stopnia ważności zajętego miasta. Wydzielone grupy operacyjne pracowników, wraz z niewielkimi oddziałami czerwonoarmistów-pograniczników, miały stać się załącznikiem przyszłych organów NKWD na Zachodniej Ukrainie. Przed grupami operacyjnymi postawiono następujące zadania:

1. Natychmiast zająć wszystkie pomieszczenia urzędów łączności: telegraf, telefon, radiostacje i węzły radiowe, poczty, umieszczając na czele organów łączności zaufanych ludzi.

2. Natychmiast zająć pomieszczenia banków państwowych i prywatnych, państwowe skarbcze oraz wszystkie magazyny państwowych i publicznych kosztowności, zarekwirować wszystkie kosztowności, zapewniwszy ich bezpieczne przechowywanie.

3. Udzielić wszelkiej pomocy Wydziałom Politycznym armii w bezzwłocznym zajęciu drukarni, redakcji gazet, magazynów papieru i zorganizowaniu rozpoczęcia wydawania gazet.

4. Natychmiast zająć wszystkie archiwa państwowe, w pierwszej kolejności archiwum żandarmerii oraz filii II Oddziału Sztabu Głównego (ekspozytur, placówek organów wywiadu i kontrwywiadu).

5. W celu zapobieżenia „zdradzieckiej spiskowej działalności” aresztować oraz ogłosić zakładnikami znanych przedstawicieli ziemian, książąt, szlachty i kapitalistów.

6. Aresztować „najbardziej reakcyjnych” przedstawicieli administracji rządowej (szefów miejscowych organów policji, żandarmerii, wojsk obrony pogranicza i filii II Oddziału Sztabu Głównego, wojewodów i ich najbliższych współpracowników, liderów partii kontrrewolucyjnych – Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS), Stronnictwa Narodowego (SN), Stronnictwa Pracy (SP), Obozu Narodowo-Radykalnego

(ONR), Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), Ukraińskiej Partii Socjalistyczno-Radykalnej (USRP), Frontu Jedności Narodowej (FJN – organizacja ukraińska utworzona przez przedwojennego posła na Sejm i działacza UNDO Dmytro Palijiwa w połowie lat 30-tych, po wykluczeniu go z UNDO, wzorowana na partiach faszystowskich), Białoruskiej Narodowo-Socjalistycznej Organizacji (BNSO), Białoruskiego Zjednoczenia Narodowego (BNO), rosyjskich białogwardyjskich organizacji.

7. Zająć więzienia, sprawdzić cały skład uwięzionych. Wszystkich aresztowanych za rewolucyjną lub inną antyrządową działalność zwolnić, wykorzystawszy wszystkie środki dla zwerbowania agentury i przeprowadzenia akcji politycznej wśród ludności. Z zaufanych ludzi, z jednym z pracowników NKWD na czele, stworzyć nową administrację więzienną, zapewniwszy surowy tryb przetrzymywania aresztantów.

8. Równocześnie z przeprowadzeniem wyżej wymienionych operacji, rozwinąć śledztwo w sprawach uwięzionych z zadaniem ujawnienia podziemnych organizacji „kontrrewolucyjnych”, grup oraz osób stawiających sobie za cel przeprowadzanie aktów dywersji, szerzenie terroru, rozruchów i sabotażu. Osoby, których udział w organizowaniu ekscesów politycznych i otwartych wystąpień kontrrewolucyjnych ujawniony został w trakcie śledztwa, aresztować bezzwłocznie.

9. Rozpocząć tworzenie siatki agenturalno-propagandowej z zamiarem ogarnięcia nią w pierwszej kolejności aparatu państwowego, „kontrrewolucyjnych” kół burżuazyjno-ziemiańskich oraz partii politycznych. Szczególną uwagę zwrócić należy na szybką organizację siatki agenturalnej w redakcjach gazet, w instytucjach kulturalno-oświatowych, w magazynach żywności, w sztabach, w gwardiach robotniczych i komitetach chłopskich.

10. Przedsięwziąć działania odnośnie wykrycia i aresztowania agentów i prowokatorów żandarmerii, policji politycznej oraz filii II Oddziału Sztabu Głównego, wykorzystawszy w tym celu również zarekwirowane archiwa.

11. Zapewnić precyzyjną organizację ochrony porządku publicznego. Utworzyć pewną ochronę elektrowni, wodociągów, magazynów żywności, elewatorów i zbiorników z pali-

wem. Zorganizować walkę ze złodziejstwem, bandytyzmem, spekulacją. Przeprowadzić pośród całej cywilnej ludności rejestrację i konfiskatę broni palnej, materiałów wybuchowych oraz radioodbiorników.

12. Grupy operacyjne NKWD powinny zająć pomieszczenia odpowiadające wymogom pracy NKWD. Dla przetrzymywania podsądnych i aresztowanych zorganizować więzienia wewnętrzne, zapewniwszy ich ochronę i obsługę.

13. W celu zapewnienia bezpieczeństwa i nieprzerwanej pracy transportu kolejowego, pracownicy drogowo-transportowych grup NKWD na każdej z dużych stacji powinni zorganizować agenturalno-operacyjną działalność w związku z zapobieganiem dywersji, szpiegostwu i „kontrrewolucyjnemu sabotażowi”, działając w tym względzie pod kierunkiem dowódców grup operacyjnych NKWD. Wspólnie z komendantem i komisarzem stacji zorganizować ochronę stacji, zajezdni, zakładów remontowych, magazynów stacji kolejowych, pomp wodnych, mostów kolejowych, szlaków kolejowych i łączności.

14. Pracownicy NKWD powinni wziąć aktywny udział w przygotowaniu i utworzeniu tymczasowych zarządów i Zgromadzeń Ludowych. Dla zabezpieczenia tworzenia zgromadzeń zorganizować należy niezbędną agenturalno-operacyjną działalność na odcinku wykrywania i represjonowania „kontrrewolucyjnych” organizacji i grup oraz osób przeciwdziałających i podkopujących organizowanie się nowej władzy.

15. Wziąć aktywny udział w stworzeniu tymczasowego kierownictwa gwardii robotniczych i komitetów chłopskich, zwróciwszy przy tym baczność na zapobieganie przenikaniu w celach wrogich do ich składu kontrrewolucyjnych i prowokatorskich elementów.³

3. Tamże, k. 10-15. Opublikowano też w: „Organa gosudarstvennoj bezopasnosti SSSR w Welikoj Oticzczestvennoj wojnie. Sbornik dokumentow”, t.1, kn.1, Moskwa 1995, s.79-81; „Śladem zbrodni katyńskiej”, Warszawa 1998, s. 17-19. W oryginalnym dokumencie jest mowa o Oddziale II polskiego Sztabu Generalnego, choć faktycznie jego nazwa brzmiała: Sztab Główny i dlatego też takie określenie stosujemy w tekście (poza cytatami). Ponadto zaznaczyć trzeba, że od razu po wkroczeniu wojsk sowieckich zostały zorganizowane w drodze nominacji 3 i 5 X 1939 roku

Dyrektywa ta nie podlegała rozpowszechnianiu i powinna była znajdować się wyłącznie u Mierkułowa, Sierowa, Boczkowa i Canawy. Z jej treścią zapoznano również pierwszych sekretarzy KC KP(b) Ukrainy i Białorusi Nikitę Chruszczowa (jednocześnie członka Rady Wojennej Frontu Ukraińskiego, dokonującego agresji na Polskę z terenu USRS), i Pantelejmona Ponomarenkę, a także dowodzących wojskami KSOW i BSOW: S.Tymoszenkę i Michaiła Kowaliowa.

Już na trzeci dzień od rozpoczęcia agresji wojskowej ZSSR na Polskę (19 IX 1939 r.) Mierkułow i Sierow w raporcie nr 0036, dotyczącym sytuacji powstałej przy zajmowaniu Tarnopola, donosili Berii o konieczności stworzenia nowych i znaczniejszych niż to przewidywano wcześniej, jeśli idzie o liczebność, czekistowskich grup operacyjnych. W sprawozdaniu chodziło o niewystarczającą sprawność jednostek armii i radzieckiego aktywu partyjnego w sprawie zapewnienia „ochrony” jeńców wojennych oraz organizacji tymczasowych zarządów.⁴

Problem przetrzymywania polskich jeńców od samego początku radzieckiej agresji stał się jednym z najważniejszych, nie tylko w działalności dowództwa oddziałów Armii

tymczasowe zarządy poszczególnych obwodów, odpowiadające mniej więcej wielkością przedwojennym województwom, tymczasowy zarząd miasta Lwowa i tymczasowe powiatowe zarządy. Natomiast w warunkach terroru i oszustw wyborczych odbyły się 22 X 1939 r. „wybory” do Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy, które obradowało 26-27 X 1939 r. i zwróciło się do Rady Najwyższej ZSSR o wyrażenie zgody na włączenie Ukrainy Zachodniej w skład USRS, na co Rada Najwyższa ZSSR zgodziła się 1 XI 1939 r. Dopiero sięgnięcie do dokumentów NKWD ukazuje doniosłą rolę tej instytucji w przeprowadzeniu tej akcji wyborczej w myśl życzeń władz sowieckich, aczkolwiek wiele interesujących szczegółów do tej pory pozostaje nieznanymi. O wyborach i organizowaniu nowych władz zob. też: G. Mazur, „Polityka władz sowieckich w stosunku do ludności Ukrainy Zachodniej w latach 1939-1941: istota i następstwa”, w: „Polska – Ukraina: trudne pytania”, t. 4. Materiały IV międzynarodowego seminarium historycznego „Stosunki polsko-ukraińskie w latach II wojny światowej”, Warszawa, 8-10 października 1998, Warszawa 1999, s. 96-97; tegoż, „Polityka sowiecka na «Zachodniej Ukrainie» 1939-1941 (zarys problematyki)”, *Zeszyty Historyczne*, z. 130, s. 68-71.

4. PA SBU: fond 16, opis 32, sprawa 33, k. 19-24.

Czerwonej, ale również w działalności dowództwa NKWD. W instrukcji Berii z dnia 20 IX 1939 r., nadesłanej do Mierkułowa i Sierowa do miejscowości Wołoczyska, znajdował się rozkaz, by zorganizować punkty zajmujące się przejmowaniem od oddziałów Armii Czerwonej jeńców wojennych z zadaniem dalszego wysyłania ich pod nadzorem konwojów do stworzonych już obozów. I tak, 20 września miało się odbyć po raz pierwszy wysłanie polskich jeńców wojennych z BSRS do obozu w Koziełsku, a z terenów USRS do obozu w Putywlu. Każdy z obozów w owym czasie gotów był przyjąć po 10 tysięcy osób.⁵

21 września 1939 r., w rozwinięciu dyrektywy nr 720 pojawił się podpisany przez Berię nowy rozkaz nr 001124, w którym poruszona została sprawa konieczności udzielenia dowództwu oddziałów Armii Czerwonej przez grupy operacyjne NKWD wszelkiej pomocy w transportowaniu jeńców wojennych do punktów zbiorczych. Takie punkty na terytorium USRS tworzone były w Olewsku, Szepietówce, Wołoczyskach, Jarmolińcach i w Kamieńcu Podolskim. W celu zabezpieczenia działań operacyjnych NKWD do dyspozycji Mierkułowa i Sierowa przekazano zmotoryzowany pułk strzelecki NKWD z dyslokacją pierwszego batalionu w Tarnopolu (miał on przybyć 24 IX 1939 r.), drugiego zaś i trzeciego we Lwowie (miały tam przybyć 30 IX 1939 r.). Oprócz tego, do pomocy oddelegowanym już pracownikom operacyjnym dla przeprowadzenia prac w sferze zadań NKWD, na Zachodnią Ukrainę skierowanych zostało jeszcze 150 pracowników, którzy w ciągu najbliższych trzech-czterech dni mieli przybyć do Płoskirowa. Beria żądał, aby regularnie przekazywano mu informacje (dwa razy dziennie w meldunkach telegraficznych) o przebiegu prac grup operacyjnych NKWD. Do czasu zajęcia Lwowa przez jednostki Armii Czerwonej tymczasowym ośrodkiem całej działalności NKWD na Zachodniej Ukrainie miał być Tarnopol.⁶

W trakcie dalszych działań wojennych, a zwłaszcza po zajęciu Lwowa przez oddziały Armii Czerwonej, dotychczasowa

5. Tamże, k. 25-27.

6. Tamże, k. 36-38.

działalność grup operacyjnych NKWD wywołała niezadowolenie przybyłych 23 września do miasteczka Winniki Chruszczowa i Tymoszenki. Na słowa dowódcy Specjalnego Oddziału Frontu Ukraińskiego, Anatolija Michejewa, że prace przebiegają pomyślnie, Chruszczow zaprzeczył mu w taki dosłownie sposób: „Co to za robota, kiedy nie ma żadnego rozstrzelanego”. Na taką uwagę członka Rady Wojskowej Frontu Michejew odparł: „w Złoczowie rozstrzelano 12 osób, a bez powodu nie strzelamy”.⁷ Sierow udawał, że pracownicy NKWD postępują w pierwszych szeregach bojowników Armii Czerwonej, i przytoczył przykład, kiedy to on sam razem z Michejewem, przechodząc jedną z ulic Lwowa, trafił pod ogień maszynowy. W opinii Sierowa wszystkie sprawozdania, które przekazywało dowództwo NKWD, miały donosić znaczenie dla Rady Wojskowej Frontu.⁸

W krótkim przeglądzie przedsięwzięć dowództwa sowieckiego po zajęciu Lwowa sformułowanym przez komkora (dowódcę korpusu) Filipa Golikowa i wysłanym 24 września przez Sierowa z Tarnopola do Berii do Moskwy, komisarz ludowy spraw wewnętrznych USRS informował, że Niemcy, codziennie z różnych powodów jeżdżą po Lwowie, bądź to, żeby zwrócić jeńców, pociąg pancerny albo zdobytą armatę, bądź to, by otrzymać informacje o uciekinierach itp. Oprócz tego, donosił Sierow, w dzień zajęcia Lwowa Niemcy „wyrzucili” kilka grup ludzi, którzy zostali zatrzymani w miejscach rozlokowania oddziałów radzieckich.⁹

W ogóle należy podkreślić, że zapobieganie jakimkolwiek nieporozumieniom, a tym bardziej konfliktom z Niemcami, było jednym z najważniejszych zadań grup operacyjnych NKWD. Właśnie z tego powodu została wydana przez Berię instrukcja nr 752 z dnia 20 IX 1939 r., aby na terenach, zajętych przez wojska sowieckie, a zwłaszcza na Wołyniu, gdzie znajdowały się miejscowości zamieszkane przez Niemców, nie

7. Tamże, k. 49. Zob. również: „Polska i Ukraina w latach trzydziestych-czterdziestych XX wieku. Nieznane dokumenty z archiwów służb specjalnych. Polskie podziemie 1939-1941”, t. 1: „Lwów – Kołomyja – Stryj – Złoczów”, Warszawa-Kijów 1998, s. 136-137.

8. PA SBU: fond 16, opis 32, sprawa 33, k. 51.

9. Tamże, k. 44-53.

przeprowadzać wśród kolonistów pochodzenia niemieckiego żadnych aresztowań, z wyjątkiem tych przypadków, kiedy przestępcy spośród miejscowej ludności zostali zatrzymani na miejscu popełnienia przestępstwa. Tego samego dnia Beria wydał wskazówkę, aby zwolnić zatrzymanych 18 września w rejonie działania olewskiego oddziału wojsk pogranicza dwóch niemieckich oficerów, znajdujących się w polskiej niewoli, i aby stworzyć im możliwość dostania się do ambasady niemieckiej lub niemieckich jednostek wojskowych.¹⁰

Dla przykładu przytoczymy w skróconej formie jeden z raportów o przebiegu prac czekistowskich grup operacyjnych na dzień 27 września 1939 r., sformułowany przez Mierkułowa. W następujący sposób zostały w nim podsumowane dotychczasowe prace: „Grupa operacyjna nr 1, na czele której stoi kombryg (dowódca brygady) Pietrow, podczas zajmowania wyznaczonych sektorów – Czortkowa, Horodenki, Kołomyi, Peczeniżyna, Kosowa, Śniatynia i Stanisławowa – przeprowadziła następujące działania. Przez grupę operacyjną nr 1 zostały aresztowane 923 osoby, pośród nich:

- a) oficerów armii polskiej – 126
- b) policjantów – 513
- c) żandarmów – 28
- d) tajnych agentów policji – 31
- e) ziemian, przedstawicieli wielkiej burżuazji – 44

Resztę aresztowanych stanowią aktywni członkowie i liderzy antyradzieckich partii politycznych UNDO, OUN, USRP, USDP itp.

(...) Równocześnie z aresztowaniami grupa operacyjna przeprowadza werbowanie agentury w celu rozpracowania istniejącego podziemia kontrrewolucyjnego. Ogółem przez grupę operacyjną nr 1 zwerbowanych zostało 94 tajnych współpracowników. Na podstawie danych agentury codziennie przeprowadzane są aresztowania wśród członków partii kontrrewolucyjnych, bandytów i ukrytych tajnych agentów policji.

(...) Czekistowska grupa operacyjna tow. Makarowa wykonała następujące prace operacyjne. We wszystkich sekto-

10. Tamże, k. 29-30.

rach danej grupy aresztowano ogółem 553 osoby, wśród nich znajduje się były premier Kozłowski, były minister spraw wojskowych Maliszewski i prezydent miasta Lwowa Ostrowski. Resztę aresztowanych stanowią funkcjonariusze policji, znani działacze partii kontrrewolucyjnych i prokuratury. Oprócz tego zatrzymano jeńców-oficerów – 268 osób. Na podstawie danych agenturalnych w mieście Lwowie rozpoczęto 6 rozpracowań agenturalnych wobec liderów oraz aktywu partii kontrrewolucyjno-faszystowskich. Ogółem w sektorach grupy tow. Makarowa zwerbowanych zostało 130 agentów; w dużej części agentura ta daje perspektywy na przyszłość i budzi zaufanie.

We Lwowie stworzono grupę śledczą, która zakończyła 10 spraw śledczych wobec znanych działaczy politycznych i przywódców ukraińskich partii nacjonalistyczno-faszystowskich. Prace grupy śledczej postępują w ścisłej łączności z grupami wydziałów specjalnych i oddziałów kontrwywiadu i skierowane są na ujawnienie zorganizowanych formacji kontrrewolucyjnych.

(...) We wszystkich sektorach czekistowskich grup operacyjnych kontynuujemy konfiskowanie dużej ilości broni. W samym tylko Lwowie skonfiskowano ogółem, nie licząc amunicji, blisko 4 wagony broni.

(...) Poczynając od dnia dzisiejszego będę składał raporty na temat prac czekistowskich grup operacyjnych każdej doby”.¹¹

W niektórych wrześnieowych raportach Mierkułowa, nadesłanych do Moskwy, była mowa zarówno o pracy czekistowskich grup operacyjnych w całości, jak i o ich działalności w poszczególnych sektorach operacyjnych. Na przykład: „(...) W Tarnopolu, Skołacie i Zbarażu trwają prace operacyjno-czekistowskie. Na dowódcę tego sektora operacyjnego wyznaczony został tow. Wadis. Stworzony został zarząd tymczasowy, na czele którego stanął pracownik wydziału politycznego armii tow. Gryszczuk.

(...) Wszyscy jeńcy znajdujący się w więzieniu wyprowa-

11. Tamże, k. 58-61. W dokumencie przekreślono nazwisko gen. dyw. Juliusza Malczewskiego (a nie Maliszewskiego).

dzeni zostali poza miasto. Grupa operacyjna wspólnie z pracownikami prokuratury przeprowadza filtrację uwięzionych. (...) Z Wołoczysk wysłano do obozu 3800 jeńców, pozostaje około 5000 osób. Grupa tow. Krasnowa przewiduje, że wyjdzie dziś z Kostopola do Sarn. Zgodnie z doniesieniami tow. Krasnowa w miastach, w których oni działają (Ostróg, Równe, Łuck, Kostopol, Dubno), jest spokojnie. W więzieniach Ostroga uwięzionych jest do 1000 osób, w Równem – do 1500 osób, w Dubnie – 500 osób”.¹²

Problem przetrzymywania dużej ilości polskich jeńców wojennych oraz innych uwięzionych w dalszym ciągu niepokoił kierownictwo NKWD. Na dzień 1 października ogólna ilość aresztowanych przez czekistowskie grupy operacyjne w obwodach Zachodniej Ukrainy, nie licząc jeńców wojennych, wynosiła 3914 osoby, w tym byłych żandarmów, policjantów, oficjalnych i tajnych agentów policji oraz wywiadu – 2539 osób, ziemian i przedstawicieli wielkiej burżuazji – 293 osoby, oficerów armii polskiej i osadników – 381 osób, przywódców „kontrewolucyjnych” partii UNDO, OUN i in. – 144 osoby, petlurowców, członków „grup bandyckich” – 74 osoby, wszystkich innych – 483 osoby.¹³

Ażeby jakoś odciążyć więzienia Zachodniej Ukrainy 3 października 1939 r. Beria wydał Mierkułowowi i Sierowowi rozkaz, aby jeńców wojennych – żołnierzy Ukraińców, Białorusinów oraz innych narodowości, którzy byli mieszkańcami województw: tarnopolskiego, stanisławowskiego, lwowskiego i łuckiego (podobnie jak i województw: nowogródzkiego, wileńskiego, białostockiego i poleskiego na tzw. Zachodniej Białorusi) zwolnić do domów. Jeńców-żołnierzy, ojczyzną których była okupowana przez Niemców część Polski, rozkazano wysłać do obozu w Kozielsku w obwodzie smoleńskim

12. Tamże, k. 70-72. Chodzi o Leonida Gryszczuka, który najpierw stał na czele tymczasowego zarządu w województwie tarnopolskim, a potem, od końca listopada 1939 r., stał na czele Lwowskiego Komitetu Obwodowego KP(b)U, a przed agresją sowiecką na Polskę pracował w aparacie partyjnym na Ukrainie. Zob.: G. Hryciuk, „Polacy we Lwowie 1939-1944. Życie codzienne”, Warszawa 2000, s. 26; G. Mazur, „Polityka sowiecka na «Zachodniej Ukrainie»”, s. 69.

13. Tamże, k. 95.

i do obozu w Putywlu w obwodzie sumskim, zgodnie ze szczegółowymi wskazówkami. Jeżeli idzie o jeńców-generałów i wyższych oficerów oraz urzędników państwowych, to tych należało wysłać do obozu w Starobielsku w obwodzie woroszyłowgradzkim. I wreszcie jeńców-agentów wywiadu, kontrwywiadu, żandarmów, strażników więziennych i policjantów wysyłano do obozu w Ostaszkowie w obwodzie kalinińskim¹⁴. Zwraca uwagę okoliczność, że o losie jeńców wojennych decydowało nie dowództwo Armii Czerwonej, ale dowództwo NKWD¹⁵.

Oprócz osób aresztowanych podczas działań wojennych i ludzi posiadających oficjalny status jeńców wojennych, dużą ilość osób z polskiego korpusu oficerskiego wciągnięto do ewidencji po zakończeniu działań wojennych. W rezultacie przeprowadzonej rejestracji jedynie w samym Lwowie zarejestrowanych zostało 4312 oficerów rezerwy i 348 oficerów składu kadrowego byłej polskiej armii. Znacznie mniej, ale również sporo oficerów zarejestrowanych zostało w innych miastach. W jednym ze swych meldunków za miesiąc październik 1939 r., wysłanym do Moskwy, Sierow cytował urywek z zeznań generała Mariana Żegoty-Januszajtisa odnośnie losów polskiego korpusu oficerskiego. Podczas przesłuchań Januszajtis miał jakoby oświadczyć: „Przyznaję, że radziecki wywiad działa dobrze, popełnił jednak wielki błąd, pozostawiając na wolności członków korpusu oficerskiego, który obecnie bieduje bez środków do życia i zaczyna już przejawiać złość na władzę radziecką. W takich warunkach oficerów łatwo można wykorzystać dla jakichkolwiek awanturniczych celów”. Na tej podstawie Sierow proponował, by wszystkich zarejestrowanych członków korpusu oficerskiego byłego Wojska Polskiego w trybie natychmiastowym ewakuować do obozów¹⁶.

14. Tamże, k. 97-99.

15. Zob.: S. Jaczyński [Red. nauk.], „Obozy jenieckie NKWD IX-1939 – VIII-1941”, Warszawa 1995, s.14.

16. PA SBU: fond 16, opis 32, sprawa 33, k. 16-17. Jak wiadomo, 3 XII 1939 r. Biuro Polityczne KC WKP(b) przyjęło uchwałę: „Zatwierdzić propozycje NKWD odnośnie aresztowania wszystkich zarejestrowanych kadrowych oficerów byłej armii polskiej” (Zob.: „Katyń. Dokumenty

Z analizy raportów dotyczących przebiegu prac czekistowskich grup operacyjnych oprócz aresztowań elementów społecznie niebezpiecznych z punktu widzenia radzieckich władz i rozwiązania problemu jeńców wojennych wynika jeszcze jeden ważny kierunek ich działalności. Chodzi tu o działalność agenturalno-werbunkową. Zacytujmy niektóre z doniesień Sierowa na ten temat za październik 1939 r.: „(...) W mieście Równe zatrzymanych zostało kilku pracowników równeńskiej placówki nr 8 [ściśle: placówki wywiadowczej KOP nr 8 – przyp. aut.], która działała przeciwko Związkowi Radzieckiemu, między innymi rezydenci i oficer Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP) pracujący w placówce w charakterze szefa wydziału kontrwywiadu. W rezultacie ich zeznań aresztowano 20 tajnych agentów placówki i 8 osób utrzymujących konspiracyjne mieszkania. Ogółem na podstawie zeznań aresztowano do 40 agentów mieszkających na terenie powiatów Równe i Zdołbunów”. Dalej w tym doniesieniu mowa jest o tym, że: „(...) aresztowani zeznali, że równeńska placówka w trakcie 1939 r. przerzuciła na terytorium radzieckie w celu prowadzenia działalności wywiadowczej 10 agentów. Agentura dla celów akcji wywiadowczej w ZSSR werbowana była przeważnie spośród Ukraińców, mieszkających na terytorium Polski, ale mających w ZSSR krewnych. Świeżo zwербowani agenci przechodzili w mieszkaniach konspiracyjnych specjalny kurs, szkolenie, uczyli się rosyjskiej literatury, radzieckiego ustroju, orientacji na podstawie kompasu, posługiwania się bronią, a dopiero potem przerzucani byli przez granicę. Oprócz tego w charakterze tajnych informatorów wykorzystywani byli funkcjonariusze z obsługi pociągów kursujących od stacji Zdołbunów do Szepietówki. Zbierali oni meldunki od rezydentów”. Sierow podkreślał, że

zbrodni”. T.1: „Jeńcy nie wypowiedzianej wojny sierpień 1939 – marzec 1940”, Warszawa 1995, s. 297.). Stanowiło to jednak, jak się wydaje, tylko część przedsięwzięć wymierzonych przeciwko polskiej ludności, bowiem następnego dnia Biuro Polityczne podjęło uchwałę dotyczącą deportacji wszystkich zamieszkujących zachodnie obwody Ukrainy i Białorusi (a więc dopiero co przyłączone ziemie) osadników wraz z rodzinami z zamiarem wykorzystania ich do prac w przedsiębiorstwach podległych Ludowemu Komisarjatu Przemysłu Leśnego ZSSR. (Tamże, s. 297).

aresztowani wymienili nazwiska 8 osób, które zostały w okresie wiosny i lata 1939 r. przerzucone na terytorium ZSSR i dotąd jeszcze stamtąd nie powróciły. W sferze związanej z kontrwywiadem na podstawie zeznań aresztowanych wyjaśniona została sprawa małżeństwa Bazylego i Marii Stefanowiczów, które począwszy od 1933 r. pracowało w Polsce na rzecz Związku Sowieckiego. W 1936 r. polski kontrwywiad wykrył przypadkowo w mieszkaniu Stefanowiczów w Dubnie radiostację, ich samych natomiast aresztował. Przez 6 miesięcy Polacy wykorzystywali nadal tę radiostację, stwarzając wrażenie, że robili to nadal Stefanowiczowie. Ze Związku Sowieckiego wezwany został przez nich sowiecki wywiadowca Fos, który po przybyciu na terytorium Polski został aresztowany i wkrótce potem skazany¹⁷. Zapoznanie się z mechanizmami pracy polskich służb wywiadowczych, a także doświadczenie i wiedza aresztowanych pracowników polskich placówek II Oddziału zostały w stu procentach wykorzystane przez NKWD w walce z polskimi organizacjami podziemnymi, które już istniały i nadal się tworzyły.

NKWD rozpoczęło sporo rozpracowań agenturalnych w kwestii II Oddziału Sztabu Głównego Wojska Polskiego. I tak, w kolejnym październikowym raporcie komisarza ludowego spraw wewnętrznych USRS dotyczącym działań agenturalno-operacyjnych grup czekistowskich mowa była o tym, że „(...) łucka grupa operacyjna na drodze agenturalnej ujawniła we wsiach Daniczów, Karałuk, Bogdanówka, Rzeczki, Milanówka, Czapliński, Wanik (strefa przygraniczna ZSSR i byłej Polski) 3 jawne mieszkania i 5 rezydentur byłego polskiego wywiadu. W wykrytych rezydenturach i jawnych punktach aresztowanych zostało 10 byłych agentów i rezydentów polskiego wywiadu, którzy wielokrotnie byli przerzucani na terytorium ZSSR z kontrrewolucyjnymi wywiadowczymi zadaniami. Prowadzimy śledztwo.”¹⁸

17. Tamże, k. 138-147. Informacje I. Sierowa nie były tutaj zbyt precyzyjne. Jak pisze A. Peplowski, „Wywiad polski na ZSRR 1921-1939”, Warszawa 1996, s. 273-275, Maria Stefanowicz została zwerbowana przez wywiad sowiecki w 1930 r., a wykrycie jej szpiegowskiej działalności nastąpiło po 6-miesięcznej obserwacji, a nie przypadkowo.

18. PA SBU: fond 16, opis 32, sprawa 33, k. 167.

W specjalnych meldunkach Sierowa wymienianych jest sporo spraw agenturalnych, w związku z jakimi aresztowano dziesiątki działaczy polskich i ukraińskich. I tak, w związku ze sprawą agenturalną „Pajęczyna” przeprowadzono aresztowania osób, które otrzymały od kierownictwa organizacji generała Januszajtisa zadanie utworzenia grup bojowych w polskich gimnazjach nr 1, nr 9 i nr 10 we Lwowie. W związku ze sprawą agenturalną „Blok” aresztowani zostali aktywni działacze OUN i UNDO. Ogółem w związku z tą sprawą zatrzymano 22 osoby¹⁹. Na podstawie zeznań agenta „Petrowa” ujawniona została polska organizacja antysowiecka pod nazwą „SPO” na Uniwersytecie Lwowskim, w skład której wchodził profesorowie i studenci uniwersytetu. Przez tarnopolską grupę operacyjną w mieście Skafat zwerbowani zostali agenci „Fedorów” i „Aloszka”, którzy przekazali informacje o poruczniku Korpusu Ochrony Pogranicza, Macu, który zgromadziwszy wokół siebie byłych funkcjonariuszy policji, próbował przedostać się do Wilna, gdzie jakoby organizowały się resztki wojsk polskich w celu wystąpień przeciwko władzy sowieckiej²⁰.

Podczas przesłuchiwania przez pracowników operacyjnych grup czekistowskich osób aresztowanych dowództwo NKWD nierzadko otrzymywało informacje o miejscach przechowywania broni, pieniędzy, kosztowności, archiwów itp. Zgodnie z doniesieniami Mierkułowa i Sierowa z dnia 5 IX 1939 r. podczas jednej tylko operacji skonfiskowano 8062 złotych amerykańskich dolarów, 7820 złotych franków, 5200 koron austriackich, 13562 złote carskie karbowance, 1693 papierowe dolary, 6400 papierowych francuskich franków, 2400 papierowych belgijskich franków i wiele innych złotych oraz papierowych walut różnych krajów²¹. W dniu 9 IX 1939 r. Specjalny Drogowo-Transportowy Oddział NKWD ze stacji Kiwerce skonfiskował w chutorze Juliwka w powiecie Kiwerce polskie archiwum rządowe (pół wagonu dokumentów)²².

19. Tamże, k. 159-163.

20. Tamże, k. 121, 124.

21. Tamże, k. 110-111.

22. Tamże, k. 128.

Innym jeszcze ważnym kierunkiem działalności grup operacyjnych NKWD stał się aktywny udział w tworzeniu nowych organów władzy, między innymi w organizowaniu milicji robotniczo-chłopskiej. Podczas weryfikacji stanu milicji we Lwowie wyszło na jaw, że działało tam 10 komisariatów ochotniczej polskiej i 9 komisariatów ukraińskiej milicji. Mierkułow wydał grupom operacyjnym NKWD rozkaz użycia wspólnie z tymczasowym zarządem miasta środków dla połączenia tych milicyjnych organizacji, jak również ich gruntownego oczyszczenia z elementów kontrrewolucyjnych i reorganizacji w gwardię robotniczą. W celu stworzenia organów milicji przybyli specjalnie do Lwowa zastępca szefa Zarządu milicji NKWD USRS Hrebchenko i szef jednego z wydziałów tego Zarządu Orłow, a także około 100 współpracowników milicji, którzy zakończyli szkolenie w kijowskiej szkole milicyjnej jako pracownicy średniego szczebla. Częściowo pracownicy ci, ze znajomością języka ukraińskiego, dobierani byli z zachodnich obwodów Ukrainy²³.

Po wkroczeniu czekistowskich grup operacyjnych na tereny opuszczone przez Wehrmacht zgodnie z podpisanym w Moskwie 28 września 1939 r. niemiecko-sowieckim układem „O przyjaźni i granicach”, stanęło przed nimi zadanie wzięcia pod kontrolę ważnych obiektów przemysłowo-gospodarczych, mostów kolejowych i drogowych, węzłów telekomunikacyjnych itp., które częściowo ucierpiały wskutek działań wojennych. Wśród takich obiektów znajdowało się na przykład około 700 szybów naftowych w Borysławiu oraz jego okolicach, rafineria ropy naftowej w Drohobyczu (zgodnie z doniesieniem Mierkułowa podczas bombardowań została ona w 70 % zniszczona), mosty na rzece San w rejonie Przemyśla (przy wycofywaniu się wojsk polskich podczas natarcia Niemców most na Sanie wysadzony został jako pierwszy). Wycofując się na wyznaczone w układzie tereny Niemcy starali się wszystko, co tylko można było, wywieźć ze sobą: samochody, obrabiarki, aparaty telefoniczne itp. Jak informowano w jednym z wrześniowych meldunków Mierkułowa i Sierowa wysłanym do Moskwy: „Podczas wycofywania się z

23. Tamże, k. 65, 69.

miasta Sambor Niemcy wywieźli ze sobą około 20 parowozów, 100 cystern, 150 wagonów z kauczukiem i wyrobami gumowymi ewakuowanymi przez Polaków z Sanoka, 17 wagonów pszenicy, szereg wagonów i cystern z mąką, cukrem, benzyną oraz innymi towarami”²⁴. Mimo to czekistowskim grupom operacyjnym NKWD w rejonie Borysławia udało się jednak przechwycić i wziąć pod swoją kontrolę około 3000 wagonów z różnorodnymi produktami naftowymi i ponad 2000 wagonów paliwa spirytusowego²⁵.

Wielokrotnie pracownicy grup operacyjnych musieli wyjaśniać okoliczności, w jakich miały miejsce bardzo często nieusankcjonowane przez sowieckie dowództwo zabójstwa osób cywilnych, przeważnie Polaków. I tak, 8 października 1939 r. w lesie na terenie gminy Tury w powiecie Kowel, odkryto trupy zabitych i zakopanych w ziemi 5 mężczyzn i 1 kobiety. W trakcie śledztwa ustalono, że ludzie ci mieszkali we wsi Kłusyk. Zostali oni rozstrzelani jako prowokatorzy, na podstawie decyzji grupy członków Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy i byłych więźniów politycznych spośród mieszkańców tej wsi, od razu następnego dnia po zajęciu miasta Kowel przez oddziały Armii Czerwonej i po uwolnieniu komunistów z więzienia. Sierow meldował do Moskwy, że po przyjeździe na miejsce pracowników operacyjnych miejscowi mieszkańcy przekazali im dokumenty zabrane z archiwów sądów i policji, które potwierdziły prowokatorską działalność rozstrzelanych²⁶.

Podsumowując działalność czekistowskich grup operacyjnych NKWD jesienią 1939 r., należy podkreślić, że odegrały one znaczącą rolę w agresji ZSSR na Polskę Armii Czerwonej, a także w wojskowo-politycznych planach sowieckiego kierownictwa. Z punktu widzenia polskich sił zbrojnych oraz ich dowództwa była to niewątpliwie rola szkodliwa. Działalność grup operacyjnych trwała nadal, dopóki już w 1940 r. kierownictwo wszystkich agenturalno-operacyjnych i śled-

24. Tamże, k. 66-68.

25. Tamże, k. 59.

26. Tamże, k. 127-128. Por.: J. Turowski, W. Siemaszko, „Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu 1939-1945”, Warszawa 1990, s. 11.

czych prac związanych z ujawnianiem i likwidacją polskiego i ukraińskiego podziemia w zachodnich obwodach Ukrainy nie zostało przekazane IV Wydziałowi Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego NKWD USRS.²⁷

W celu udzielenia miejscowemu aparatowi praktycznej pomocy w jego dalszych pracach 20 marca 1940 r. do Zarządu NKWD obwodu lwowskiego wyruszyła brygada operacyjna NKWD ZSSR licząca 15 osób. W okresie jej działalności ujawnione zostały ośrodki polskiej organizacji podziemnej o nazwach Związek Walki Zbrojnej i Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów. W notatce służbowej zastępcy naczelnika oddziału śledczego Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego (GUGB) NKWD ZSSR, kapitana bezpieczeństwa państwowego Rodosa, nadesłanej 29 kwietnia 1940 r. do komisarza ludowego spraw wewnętrznych USRS Sierowa, informowano o aresztowaniu większości przywódców tych organizacji, jak również o obszernych zeznaniach, które udało się od nich uzyskać w trakcie przesłuchań.

W sprawie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów aresztowani zostali członkowie zagranicznego ośrodka: Wołodymyr Hryniw (pseudonim „Kremeń-Kremynśkyj”), Jarosław Horbowyj („Sławko”, „Buj”), Fedir Fedeczko („Jarema”), którzy przybyli do Lwowa z Krakowa jakoby w celu przygotowania zbrojnego powstania przeciwko władzy sowieckiej, a także przywódcy Lwowskiej Egzekutywy Krajowej OUN Osyp Hrycak („Hałajda”, „Roman”, „Bezdolnyj”), Stepan Wirczyn alias Nikfiewicz („Wirko”), Pawło Haba („Jurko”, „Newidomyj”), główny kurier Lwowskiej Egzekutywy Hałyna Łewyćka („Kuna”), gospodyni głównego konspiracyjnego mieszkania przy ulicy Pilnikarskiej 10 Myrośława Szawaliuk oraz szereg innych. Zatrzymani mieli przy sobie broń automatyczną, proszek z szybko działającą trucizną, mapy wielu miast ZSSR. W trakcie przesłuchań pracownicy NKWD wyjaśnili, że członkowie OUN, którzy przybyli z Krakowa, obok poleceń od centrum organizacji, otrzymali zadania od agentów niemieckiego wywiadu związane z prowadzeniem na terytorium ZSSR działań wywiadowczych. Na podstawie

27. PA SBU: fond 16, opis: 33, sprawa 44, k. 45-48.

zeznań osób aresztowanych czekał się dowiedzieli się o składzie oraz planach ośrodka zagranicznego OUN, między innymi o zastępcy kierownika ośrodka – Romanie Suszce, a także o aktywnych działaczach: Richardzie (Riko) Jarym, Jarosławie Hajwasie, Wołodymyrze Tymcziju („Łopatynskyj”) i innych, którzy według zatrzymanych członków OUN byli rezydentami niemieckiego wywiadu. Kierownictwo NKWD dowiedziało się o istnieniu specjalnej szkoły wywiadu, stworzonej przez Niemców, gdzie przeprowadzano szkolenia w celu późniejszego przetrzucenia na terytorium ZSSR zwerbowanych przez AbwehręOUNowców. Zeznania członków OUN umożliwiły pracownikom sowieckich służb specjalnych wykrycie kilku konspiracyjnych mieszkań we Lwowie oraz w innych miastach Zachodniej Ukrainy, jak również niektórych magazynów z bronią organizacji. Jeden z takich magazynów został wykryty w kamieniołomach w pobliżu wsi Olejski, gdzie przechowywano 10 karabinów maszynowych (4 ciężkie i 6 ręcznych), 42 karabiny, 34 pistolety²⁸.

W związku ze sprawą polskiej organizacji podziemnej ZWZ aresztowano również wielu jej aktywnych członków oraz przywódców. Wśród nich aresztowany został kierownik organizacji ZWZ-1, któremu podlegały okręgi pozalwowskie: stanisławowski, drohobycki, tarnopolski i rówieński (tzw. „Prowincja”) mjr Piotr Marciniak („Emil”), dowodzący ZWZ-1 płk Władysław Żebrowski, jego najbliżsi współpracownicy: ppłk Władysław Kotarski („Druh”) i płk Karol Dziekanowski („Korwin”), córka Żebrowskiego Wanda Jurkiewicz oraz szereg innych osób. Czekał się wykryli materialną bazę organizacji w postaci kosztowności, które uprzednio należały do poznańskiego lombardu i były przechowywane w kościele Dominikanów we Lwowie. Ogółem skonfiskowano tam ponad 1200 par złotych zegarków, złote obrączki, papierosnice, bransoletki, broszki. U aresztowanego za finansowanie organizacji profesora medycyny Romana Renckiego pracownicy NKWD skonfiskowali 789 złotych francuskich, austriackich, rosyjskich, amerykańskich i angielskich monet o różnej wartości. Prof. R. Rencki był przetrzymywany w

28. Tamże, k. 15-19.

lwowskim więzieniu Brygidki do 30 VI 1941 r., a już 4 lipca tego roku został rozstrzelany na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie przez Niemców. Inni wymienieni wyżej oficerowie, a także W. Jurkiewicz wraz z mężem zginęli z rąk NKWD.

W okresie oddelegowania brygady operacyjnej NKWD ZSSR do Lwowa zwerbowanych zostało 16 agentów, wśród nich dwóch do pracy za granicą. W notatce służbowej informowano, że jeden z nich zdążył już być w Krakowie i wrócić z zadaniami ośrodka OUN dla miejscowego podziemia ukraińskiego.²⁹

W raporcie, który sporządzony został przez naczelnika grupy operacyjnej NKWD ZSSR, starszego lejtnanta bezpieczeństwa państwowego Łuferowa, i wysłany do Sierowa 25 kwietnia 1940 r., informowano o „sukcesach” czekistów w wykrywaniu podziemia ZWZ na terenie obwodu drohobyckiego. W samym tylko powiecie borysławskim aresztowanych zostało 29 aktywnych członków polskiej konspiracji. Wśród nich znajdowali się: dowodzący organizacją w Borysławiu, Drohobyczu, Samborze, Dobromilu, Chyrowie i Przemyśle Erwin Czechowski oraz jego zastępca J. Burczyk, organizator przerzutów na Węgry, szef przychodni w Borysławiu R. Bogacz, kurier Borysławskiego Oddziału ZWZ O. Woźniak, autorzy opracowania planu dokonania aktów dywersji w przedsiębiorstwach naftowych Borysławia: S. Raczkowski, A. Szopa oraz wielu innych. W trakcie przesłuchania J. Burczyk przyznał się do tego, że przywiózł z Warszawy do Zaleszczyk złoto i papiery wartościowe.

17 aktywnych członków ZWZ aresztowano w powiecie dobromilskim. Wśród nich znaleźli się: dowódca miejscowej organizacji Władysław Bester („Kowadło”), który nawiązał kontakty z podziemiem w Przemyśle, Borysławiu i Lwowie,

29. Tamże, k. 20-24. Zob.: „Polska i Ukraina”, t. 1, s. 676-765; A. Bolewski, H. Pierzchała, „Losy polskich pracowników nauki w latach 1939-1945. Straty osobowe”, Wrocław 1989, s. 140; G. Mazur, J. Węgiński, „Konspiracja lwowska 1939-1944. Słownik biograficzny”, Katowice 1997, s. 235-236; E. Kotarska, „Proces czternastu”, Warszawa 1998, s. 119, w tej ostatniej pracy obszernie omówiono kulisy rozpracowania i aresztowania przez funkcjonariuszy NKWD kierownictwa ZWZ-1, na czele z płk. W. Zebrowskim.

kierownik wojskowy K. Stec („Sarna”), szefowie „piątek” B. Bar („Barski”), A. Kopiec („Świerk”) i B. Poepski („Sarko”). W Samborze współpracownicy NKWD aresztowali dowodzącego miejscowym oddziałem ZWZ, naczelnego lekarza przychodni kolejowej L. Altera. W Stanisławowie aresztowany został łącznik organizacji, były podchorąży WP J. Walanta. Podczas aresztowania przywódców dobromilskiej organizacji czekiści skonfiskowali schemat rozlokowania oddziałów wojskowych Armii Czerwonej, instytucji sowieckich i partyjnych, plany przejścia najważniejszych obiektów miasta Dobromiła, jak również 20 karabinów i jeden ręczny karabin maszynowy.³⁰

W marcu i kwietniu 1940 r. czekistowskie grupy operacyjne NKWD ZSSR, oddelegowane w celu udzielenia praktycznej pomocy do Zarządu NKWD w obwodzie Wołyńskim, przeprowadziły liczne aresztowania wśród działaczy polskiego oraz ukraińskiego podziemia w Łucku, Równem, Dubnie oraz w niektórych innych miastach Wołynia. W rezultacie przeprowadzonych operacji zamkniętych został szereg wynikłych spraw agenturalnych. Na uwagę zasługują szczególnie następujące sprawy:

1. „Perspektywa”. W tej sprawie rozpracowana została polska młodzieżowa organizacji podziemna „Legion Polski Niepodległej”. W rezultacie pomyślnie przeprowadzonych przez Zarząd NKWD działań agenturalno-operacyjnych ustalono istnienie kontaktów pomiędzy tą organizacją a ośrodkiem ZWZ w Równem za pośrednictwem Jana Jaźwińskiego. Na kilka dni przed główną operacją przeciw miejscowemu ZWZ organizacja młodzieżowa została zlikwidowana. Czekiści aresztowali również członka kierowniczej „piątki” rówieńskiego Oddziału ZWZ J. Jaźwińskiego, a później także kuriera ze Lwowa, który przybył do Równego, Żołnierczyka. W efekcie przeprowadzonego śledztwa w tej sprawie ujawniona i zlikwidowana została organizacja ZWZ w Równem, aresztowano także cały skład jej kierownictwa. Aresztowania uniknął i ukrył się jedynie szef kolejowego

30. PA SBU: fond 16, opis: 33, sprawa 44, k. 39-42.

ośrodka ZWZ w Równem Stefan Lambach. Ogółem w Równem i w powiecie kostopolskim aresztowanych zostało 63 członków ZWZ, z których 44 przyznało się do przynależności do organizacji. Większość aresztowanych stanowili oficerowie rezerwy WP i byli urzędnicy polskich instytucji państwowych.

2. „Powstańcy”. W sprawie tej – jak stwierdzono w dokumentach NKWD – rozpracowywana była polska grupa podziemna zajmująca się rozpowszechnianiem antysowieckich ulotek, które zostały wydane przez rząd polski we Francji. Faktycznie nie było wtedy możliwości przerzucenia jakichkolwiek wydawnictw z Francji na Wołyń i najwyżej jedynie treść ulotek mogła zostać jakąś drogą przekazana. Można stąd wywnioskować, że – przynajmniej na początku okupacji – NKWD nie rozszyfrowało składu redakcji i drukarni. Aresztowano jednak 17 osób. Sprawa ta – jak i wiele innych – wymaga dalszych badań.

3. „Opium”. W tej sprawie rozpracowywany był ksiądz Stanisław Zientara oraz jego otoczenie, między innymi brat i siostra generała M. Januszajtisa, którzy zamieszkiwali posługując się fałszywymi dokumentami i pod cudzym nazwiskiem. Ks. S. Zientara został wywieziony na Sybir, gdzie zmarł (data, miejsce i okoliczności nie są znane).

4. „Strzelcy z Doliny”. W tej sprawie rozpracowywana była grupa byłych członków Związku Strzeleckiego – członków powstańczej organizacji w kamieniołomach w powiecie kostopolskim.

5. „Labirynt”. W tej sprawie rozpracowywana była duża polska powstańcza organizacja – filia ZWZ w Dubnie. Kierownictwo tej organizacji utrzymywało łączność ze Lwowem. Spośród 40 aresztowanych członków miejscowego podziemia 21 przyznało się do przynależności do organizacji. Organizacja ZWZ w Dubnie składała się w większości z byłych podoficerów WP i z młodzieży. W rezultacie przeprowadzonego śledztwa w sprawie „Labirynt” ujawniona została „druga linia” polskiego podziemia, dowództwo którego znajdowało się w Warszawie. W celu kierowania całą powstańczą działalnością tej organizacji na Wołyniu przybył z Warszawy płk Tadeusz Majewski („Szmigiel”). Pracownicy tamtejszego

Zarządu NKWD ustalili, że właśnie ten wyższy oficer WP stoi na czele ZWZ na terenie całego Wołynia. Razem z nim przybyli dwaj specjaliści-minerzy, podoficerowie jednostek saperskich WP Kasprzyski i Potapow, zadaniem których było przeprowadzenie rozpoznania technicznego w obiektach mających być celem dywersji, jak również przygotowanie akcji dywersyjnych. W sprawie „Labirynt” podczas przeprowadzanego śledztwa w dubieńskim powiatowym wydziale NKWD śledczy grupy operacyjnej uzyskali zeznania od dziesięciu działaczy podziemia.

6. „Sąsiedzi”. W tej sprawie rozpracowywana była OUN-owska powstańcza organizacja w okolicach Ostroga, która utrzymywała łączność ze Lwowem.³¹

Jak już wcześniej wspomniano, w celu poprawienia systemu dowodzenia dla ostatecznego rozbicia polskiego oraz ukraińskiego antysowieckiego podziemia w zachodnich obwodach Ukrainy od drugiej połowy 1940 r. tworzony był IV Wydział Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego NKWD USRS. W skład Wydziału miało wchodzić 6 oddziałów i 4 grupy. Dla przykładu przytoczymy listę zasadniczych kierunków walki z „polskimi kontrrewolucjonistami”, prowadzonej przez pracowników NKWD I oddziału:

1. Polski korpus oficerski (kadra, rezerwiści, członkowie Związku Oficerów Rezerwy i Związku Legionistów, członkowie Związku Hallerczyków, tzw. „Murmańcy” – byli żołnierze oddziałów polskich walczących w okolicach Murmańska w czasie wojny domowej w Rosji, a także byli wojskowi Korpusu Ochrony Pogranicza).

2. Wywiadowcy (oficjalni pracownicy II Oddziału Pol-

31. Tamże, k. 30-35; „Organa gosudarstvennoj bezopasnosti,” t. 1, kn. 1, s. 172-173; T. Małata, „Polscy księża katoliccy w więzieniach i łagrach sowieckich od 1918 r.”, Lublin 1996, s. 177. Jako komendant obwodu Równe figuruje por. rez. Kazimierz Jaźwiński, skazany na śmierć 23 XI 1940 r. i rozstrzelany 10 VI 1941 r. Albo nastąpiła pomyłka w imieniu, albo chodzi o kogoś być może z jego rodziny. Zob.: J. Węgierski, „Obsada osobowa Lwowskiego Obszaru SZP-ZWZ-AK-NIE w latach 1939-1945”, Kraków 2000, s. 14.

skiego Sztabu Głównego i wydziału wywiadu dowództwa KOP, ekspozytur, placówek, poszczególnych referatów informacji, agentura polskiego wywiadu, konspiracyjne mieszkania, adresy kontaktowe w byłej Polsce i ówczesne organy polskiego wywiadu we Francji, Anglii, Rumunii, na Węgrzech oraz w innych krajach.

3. Policja (w dokumentach wyszczególniono: zewnętrzną – prawdopodobnie chodzi o mundurową – a także kolejową, śledczą, konfidentów i informatorów policji oraz żandarmierię).

4. Polskie partie polityczne, w tym PPS, Komunistyczną Partię Polski (KPP) i w składzie tej ostatniej wyszczególniono: „prawicowi trockiści”, Obóz Zjednoczenia Narodowego (OZN), narodowa demokracja, anarchiści i inne. Zwraca uwagę fakt, że parę lat wcześniej KPP została rozwiązana przez Międzynarodówkę Komunistyczną i zniszczona przez J. Stalina. W tym przypadku chodziło już tylko o jej członków (bowiem sama partia już nie istniała), którzy w dalszym ciągu byli przedmiotem zainteresowania ze strony NKWD.

5. Duchowieństwo rzymskokatolickie (księża, klerycy, studenci wydziałów teologicznych, aktyw kościelny, organizacje katolickie).

6. „Kontrewolucyjne faszystowskie” organizacje międzywojennej – „byłej” – Polski („Strzelec”, osadnicy, zmilitaryzowana ochrona lasów, „Związek Obrońców Ojczyzny”, Polska Organizacja Wojskowa – POW, Związek Chłopski, Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem – BBWR oraz inne). Zwrócić wypada uwagę na fakt, że w wielu przypadkach organizacje te już nie istniały, jak na przykład POW, która rozwiązana została po zakończeniu I wojny światowej, czy BBWR, który przestał istnieć w 1935 r. Umieszczenie działaczy tych organizacji na listach osób, które miały zostać represjonowane, najlepiej świadczyło o zamiarze wyeliminowania ich, jako potencjalnych lub rzeczywistych głównych przeciwników władzy sowieckiej. Zarazem jest to jeszcze jednym potwierdzeniem faktu, iż bardzo często przyczyną uznania za przeciwnika była aktywność w życiu II Rzeczypospolitej, obojętnie w jakiej dziedzinie.

7. Polska młodzież (studenci, uczniowie gimnazjum,

dzieci represjonowanych, młodzież niezorganizowana, Legion Młodych i inne organizacje młodzieżowe, sportowe i harcerskie).

8. Polska inteligencja (profesorowie, lekarze, nauczyciele, pisarze, muzycy, artyści, malarze, pracownicy prasy, akademicy, rzeźbiarze).

9. „Ludzie minionej epoki” (ziemianie, urzędnicy oraz funkcjonariusze instytucji administracyjnych w Polsce, sądów, prokuratury, więzień, fabrykanci, kupcy, członkowie zarządów, ekonomiści).

10. Rodziny represjonowanych.³²

Jak więc widać, materiały Państwowego Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, pozostające do dzisiaj niedostępne dla przeważającej większości badaczy, z jednej strony umożliwiają dokładne zapoznanie się z zasadniczymi kierunkami oraz skalą działalności czekistowskich grup operacyjnych NKWD związaną z wykryciem i likwidacją antysowieckiego polskiego oraz ukraińskiego podziemia w zachodnich obwodach Ukrainy w początkowym okresie II wojny światowej, jednakże z drugiej strony pokazują cały tragizm sytuacji, w jakiej znaleźli się Polacy i Ukraińcy na tych terenach po zajęciu ich we wrześniu 1939 r. przez Armię Czerwoną. Dalsza praca w Archiwum SBU powinna dać naukowcom i badaczom tej problematyki możliwość uzyskania odpowiedzi na wiele dotąd niewyjaśnionych pytań. Prawda o tych wydarzeniach, nawet jeżeli może być ona gorzka oraz nieprzyjemna dla obu stron – polskiej i ukraińskiej – jest nam niezbędna dla uświadomienia sobie natury zjawiska, jakim był reżim sowiecki. Działalność sowieckiego aparatu terroru, jakim było NKWD, wymierzona była w obie społeczności zamieszkujące te tereny, polską i ukraińską, i obu przyniosła ciężkie i bolesne straty oraz wiele ofiar i cierpień ludzkich. Tym bardziej trzeba pamiętać i prowadzić szczegółowe badania nad podejmowanymi wtedy próbami stawiania oporu sowieckiej władzy.

Ihor ILJUSZYN, Grzegorz MAZUR

32. PA SBU: fond 16, opis: 33, sprawa 44, k. 48.

DOKUMENTY

Adrian TYSZKIEWICZ

O „HISTORII LIGI NARODOWEJ” STANISŁAWA KOZICKIEGO SŁÓW KILKA

W 1964 roku w Londynie, nakładem wydawnictwa „Myśl Polska”, ukazała się „Historia Ligi Narodowej (okres 1887-1907)” autorstwa Stanisława Kozickiego.¹ Pozycja owa, jak czytamy już na wstępie, ujrzała światło dzienne dzięki wsparciu Instytutu im. Romana Dmowskiego w USA. Stanowi ona fundamentalną pozycję o charakterze źródłowym² odnośnie badań nad dziejami obozu narodowo-demokratycznego na przełomie wieków. Większość bardziej znaczących opracowań we współczesnej polskiej historiografii, dotyczącej dziejów obozu narodowego, powołuje się w wielu miejscach na książkę Kozickiego, jest ona bowiem doskonałym źródłem informacji o faktach i ideologii polskiej prawicy nacjona-

1. Stanisław Kozicki (1876-1958), ur. w Łempicach w powiecie pułtuskim; polityk, publicysta; członek m.in. ZET-u, Ligi Narodowej, Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, Obozu Wielkiej Polski, Stronnictwa Narodowego; w czasie I wojny światowej w składzie Komitetu Narodowego Polskiego we Francji, a po jej zakończeniu sekretarz delegacji polskiej na konferencji pokojowej w Paryżu. Szerzej patrz np. w: „Kto był kim w Drugiej Rzeczypospolitej”, red.: Jacek Majchrowski oraz Grzegorz Mazur i Kamil Stepan, Warszawa 1994, czy w: „Polski Słownik Biograficzny”, litera K.

2. Kozicki był wybitnym politykiem obozu narodowego, nie można więc zakładać pełnej obiektywności jego pracy.

listycznej.³ Składa się owo dzieło z pięciu części oraz rozlicznych aneksów, uzupełniających w poważnym stopniu tekst główny.⁴

Wydanie z 1964 roku nie wyczerpuje jednak całości zagadnienia. Jak powszechnie wiadomo wszystkim zajmującym się tą tematyką, Liga Narodowa, po „wykluciu się” w 1893 roku z Ligi Polskiej, istniała do 1927 bądź początków 1928 roku.⁵ I w tym właśnie miejscu, uwzględniając podtytuł, tzn. okres 1887-1904, logicznym wydaje się pytanie, czy Stanisław Kozicki podjął starania, aby opracować dzieje Ligi w okresie od 1908 roku do jej rozwiązania. Odpowiedź daje sam autor dzieła, mimo iż wydawcy tegoż – Antoni Dargas, Józef Płoski, Hanka Świeżawska – wprowadzają czytelnika w błąd. Twierdzą oni mianowicie w swoim *Słowie Wstępnym*, że: „(...) dzieje drugiego dwudziestolecia od 1907 roku do rozwiązania Ligi w 1927 roku nie zostały napisane (podkreślenie moje – A.T.), a zebrane materiały uległy w znacznej mierze zniszczeniu”.⁶ Stanisław Kozicki, dosłownie dwie strony dalej, w *Przedmowie*, zaprzecza temu stwierdzeniu pisząc: „(...) Główną część pracy nad historią Ligi wykonałem w r. 1939 i w pierwszych dwóch latach wojny. Zdołałem wykończyć tom pierwszy, a pracę nad tomem drugim musiałem przerwać (podkreślenie moje – A.T.) wskutek trudności w korzystaniu z bibliotek publicznych”⁷ i dalej: „(...) Uratował się tylko jeden egzemplarz tomu pierwszego Ligi i część tomu drugiego” (podkreślenie moje – A.T.).⁸

Rzeczywiście jest to prawda. Część tomu drugiego „Hi-

3. Patrz prace m.in. Romana Wapińskiego, Janusza Jerzego Tereja czy Bogumiła Grotta.

4. Części od I do V to kolejno: *Liga Polska (1887-1893)*, *Polityka Ligi Narodowej (1893-1904)*, *Polityka Ligi Narodowej (1904-1906)*, *Działalność wychowawczo polityczna, oświatowa i kulturalna Ligi Narodowej*, *Organizacja i ideologia*, oraz aneksy: m.in. odezwy, ustawy Ligi, protokoły posiedzeń, sprawozdania, spis członków itp.

5. Patrz np.: R. Wapiński, „Roman Dmowski”, Lublin 1988, s. 336.

6. Stanisław Kozicki, „Historia Ligi Narodowej (okres 1887-1907)”, Londyn 1964, s. 9.

7. S. Kozicki, „Historia...”, *op. cit.*, s. 11.

8. S. Kozicki, „Historia...”, *op. cit.*, s. 12.

storii Ligi Narodowej” została napisana i zachowała się w postaci siedmiu kolejnych rozdziałów opatrzonych wstępem⁹ w Oddziale Rękopisów i Starych Druków Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.¹⁰ Wydaje się, że pomimo interesującej zawartości¹¹, nie jest ona szerzej znana, choć nie można absolutnie stwierdzić, co należy podkreślić z całą mocą, że dzieło Kozickiego, właściwie jego ocalała od pożogi wojennej część, było do tej pory zupełnie nieznane i autor niniejszego tekstu natknął się na nie jako pierwszy i jedyny.¹² Niemniej jednak owa dalsza część dzieł Ligi Narodowej jest ze wszelkich miar godna polecenia badaczom i pasjonatom najnowszej historii politycznej Polski i można jedynie w tym miejscu wyrazić nadzieję, że znajdzie się koniec końców w kraju jakieś wydawnictwo, które podejmie starania o wydanie pracy Stanisława Kozickiego, zarówno jej pierwszej, opublikowanej już na emigracji, części, jak i ocalałego fragmentu części drugiej.

Zamieszczony poniżej VII rozdział tomu II porusza, budzącą od lat wiele emocji i rozliczne kontrowersje, kwestię stosunku Ligi Narodowej do wolnomularstwa. Sprawa ta jest o tyle ciekawa, iż to właśnie Ligę Polską, a później Narodową posądzano – pisze o tym zresztą sam Kozicki – o korzystanie ze wzorców masonskich, szczególnie jeżeli chodzi np. o ideologię czy organizację. Fragment ten jest wykładnią poglądów i stosunku polityków narodowych wobec wolnomularstwa.

Adrian TYSZKIEWICZ

9. Kolejne rozdziały: *Europa na początku XX wieku, Dwie orientacje (1908-1914), Uzasadnienie „orientacji”, Polityka w Izbie Państwowej rosyjskiej, Polityka neosłowiańska, Sprawa żydowska, Liga Narodowa i wolnomularstwo*; ze Wstępem 93 stron maszynopisu.

10. S. Kozicki, „Historia Ligi Narodowej”, Tom II, 1907-1927, maszynopis w Bibliotece Jagiellońskiej, Akc. 25/62.

11. M.in. autor w rozdziałach II i III uzasadnia powstanie dwóch orientacji, prorosyjskiej i proaustriackiej, wśród Polaków przed I wojną światową, wskazując na nie jako na logiczną konsekwencję losów państwa polskiego od czasów pierwszych Piastów aż do początku wieku XX.

12. Patrz np. wspomniana już wyżej biografia Dmowskiego pióra prof. Romana Wapińskiego czy praca Adama Wątor pt. „Działalność Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego w zaborze austriackim do roku 1914”, Szczecin 1993.

VII. LIGA NARODOWA I WOLNOMULARSTWO

Pisząc o Lidze Polskiej, wypowiedzieliśmy przypuszczenie, że przy jej założeniu działały wpływy wolnomularskie.¹ Wskazują na to zarówno rozpowszechnienie i działalność wolnomularstwa w drugiej połowie w. XIX, jak tradycje, jakie przechowały się wśród członków Ligi. Dmowski wypowiadał stale pogląd, że „zamach” dokonany przezeń w roku 1893, na skutek którego kierownictwo centralne Ligi zostało przeniesione z zagranicy do kraju, a Liga z Polskiej stała się Narodową, był w istocie swej uniezależnieniem się organizacji od wolnomularstwa. Prawdopodobnie pozostali jeszcze w Lidze Narodowej pojedynczy wolnomularze, wiele jest oznak wskazujących na to, że dopiero w roku 1912 uznano w kołach masonskich polskich, że równoczesne należenie do łóż i do Ligi jest niemożliwe i że wtedy ostatni, nieliczni wolnomularze – przy okazji tzw. Secesji – ustąpili dobrowolnie z Ligi Narodowej.

Wszystko to są przypuszczenia wysoce prawdopodobne, lecz takie, na które nie ma niezachwianych dowodów. Niezależność Ligi od wolnomularstwa – co najmniej od r. 1893 – można ustalić z całą pewnością na podstawie różnicy w ideologii i polityce tych dwóch organizacji. Można by się z tą sprawą załatwić krótko: ideologię Ligi można – jeśli zastosować definicję używaną w krajach katolickich Europy Zachodniej, nazwać nacjonalizmem; wiadomo zaś powszechnie i z całą pewnością, że nacjonalizm i wolnomularstwo w

1. Pisownia została częściowo uwspółcześniona, aby ułatwić czytelnikowi lekturę. Nie zostały w poniższym tekście wprowadzone jednak żadne zmiany, które mogłyby przyczynić się do wypaczenia jego pierwotnego znaczenia.

całej Europie są to prądy ideowe wprost sobie w pewnym zakresie przeciwne i ostro się zwalczające; stąd wniosek oczywisty, że i nacjonalizm polski różnić się musi od wolnomularstwa i być z nim w walce.

Wniosek ten wypada jednak uzasadnić choć pokrótce, określając dokładniej zasady ideologiczne i politykę Ligi z jednej, a wolnomularstwa z drugiej strony.

Kierunek demokratyczno-narodowy, którego kośćcem była Liga, wychodził w swoim rozumowaniu o sprawach społecznych i politycznych z faktu istnienia narodu jako najwyższej i posiadającej własną jaźń zbiorowości ludzkiej. W polityce za sprawdzian ostateczny uznawał interes narodu jako całości, narodu pojętego nie tylko jako sumę jednostek żyjących w danej chwili, lecz jako istotę, na którą składają się wszystkie pokolenia przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. Z tego założenia wynika, że nacjonałiści w życiu wewnętrznym podporządkowują jednostkę narodowi, stawiają wyżej obowiązki jednostki wobec narodu niż jej prawa, na terenie zaś współżycia międzynarodowego nie dostrzegają interesów ludzkości, widzą zaś jedynie określone i wyraźne interesy narodowe i te uważają za sprawdzian i za regulatora polityki narodowej i państwowej. Stawiając wyżej zbiorowość niż jednostkę, a obowiązki jednostki wobec zbiorowości wyżej niż jej prawa, dążą nacjonałiści do zachowania wagi i powagi tych wszystkich instytucji tradycyjnych w życiu zbiorowym, które służyły do zabezpieczania bytu i interesów narodu, a więc Kościoła, państwa, rodziny, armii, związków społecznych. Polityka narodowa jest tedy z natury swej zachowawcza (zachowanie tradycyjnych zasad współżycia ludzkiego, a nie przywilejów klas czy warstw), realna, a więc licząca się z warunkami wynikającymi z czasu i miejsca.

Wolnomularstwo wychodzi w swym rozumowaniu z faktu istnienia człowieka, życie zbiorowe jest dlań faktem wtórnym, powstaje przez dobrowolne zrzeszenie jednostek. W rzędzie tych różnych zrzeszeń naród jest dlań formacją nie wyróżniającą się zasadniczo od innych, a najwyższą i realną formą zbiorowości ludzi jest ludzkość. Stąd wynika, że wszystkie prądy, u których źródła znajdujemy wolnomularstwo, stawiają wyżej interesy jednostki niż interes narodu i

bronią przede wszystkim praw jednostki, a na drugim planie stawiają jej obowiązki. Gdy w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej odniósł zwycięstwo kierunek, którego inicjatorami i sternikami byli wolnomularze, to ogłoszona została Deklaracja praw człowieka i obywatela, a jako hasła najogólniejsze ogłoszone zostały – wolność, równość i braterstwo. Stąd – w konsekwencji – wynika walka wolnomularstwa i inspirowanych przezeń kierunków z takimi tradycyjnymi instytucjami, jak Kościół, monarchia, armia itp. Część wolnomularstwa współczesnego odrzuca całkowicie wiarę w świat nadprzyrodzony i religię, inna część stoi na gruncie teizmu, lecz Wielki Architekt, w którego wierzy, nie ma nic wspólnego z Bogiem religii objawionych, godzi się jeszcze wolnomularstwo z protestantyzmem, lecz wszędzie i zawsze zwalcza Kościół katolicki. Zdaniem naszym jest masoneria nie tylko instytucją przechowującą z ust do ust podawane tajemnice dotyczące sposobów oddziaływania na nie znane ogółowi „profanów” siły nadprzyrodzone, lecz także jakby „kościółem”, broniącym na przestrzeni wieków interesów jednostki przed ograniczeniami nakładanymi na nią przez zbiorowość, „kościółem”, w którym ubóstwiany jest Człowiek i Ludzkość. W polityce praktycznej potępia wolnomularstwo wyłączność narodową i uznawanie interesu narodowego za sprawdzian najwyższy, głosi solidarność międzynarodową w imię interesów ludzkości, pacyfizm i kosmopolityzm, nie zwalczając zresztą pojętego na swój sposób patriotyzmu. Ostatnią próbą masonerii nadania kształtów realnych swemu pojęciu o urządzeniu stosunków międzynarodowych była genewska Liga Narodów, na niej można tedy przestudiować myśli i metody społeczne wolnomularstwa.

To, cośmy powyżej powiedzieli, wystarcza, by stwierdzić, że między ideologiami masonerii i nacjonalizmu istnieje zasadnicze i całkowite przeciwieństwo. Dzieje wolnomularstwa, stosunku doń Kościoła katolickiego i prądów narodowych, zwłaszcza w krajach katolickich Europy, dostarczają obfitego materiału do zilustrowania stwierdzenia powyższego przez przykłady z życia wzięte.

Jeżeli zwrócić się do spraw polskich, to i tutaj można stwierdzić, że wszystkie kierunki społeczne i polityczne w

Polsce, mniej czy więcej zależne od wolnomularstwa, występowały przeciwko ruchowi demokratyczno-narodowemu, który był odpowiednikiem nacjonalizmu zachodnioeuropejskiego na gruncie polskim.

Z drugiej strony ruch narodowy zainicjowany przez Ligę Narodową, od chwili gdy doszedł do samowiedzy i ściślejszego określenia swych założeń i swego programu (r. 1893), zdawał sobie sprawę z istnienia wolnomularstwa w Polsce i ze stosunku, jaki musi się ustalić między ideologią jego własną a ideologią wolnomularstwa, oraz ze stosunku dwóch prądów na gruncie ściśle politycznym. W pismach demokratyczno-narodowych – a więc w *Głosie* i *Przeglądzie Wszechpolskim* – nie pisano o wolnomularstwie, znajdujemy w nich wzmianki zaledwie o tej organizacji, bo się z jej działalnością nie spotykano zbyt często na terenie pracy realnej, a w świadomości ogółu zagadnienie masonerii przedstawiało się nadzwyczaj mglisto, co więcej – nie wierzono na ogół w istnienie wolnomularstwa w łonie naszego narodu. Między sobą wszakże, w dyskusjach na zebraniach władz organizacji i na zjazdach Ligi, mówiono o lożach, wiedziano, że w Polsce istnieją i zdawano sobie sprawę z ich stosunku do ruchu narodowego.

Stosunek rzeczywisty między ideologią a polityką Demokracji Narodowej i masonerii był dla tych, co się tymi rzeczami interesowali, tak jasny, że nie posądzano na ogół członków Ligi o należenie do wolnomularstwa, a Ligi o zależność od tej instytucji. Jeżeli chodzi o osobistości kierownicze w Lidzie, to nie zdarzyło się nam w piśmiennictwie polskim znaleźć takiego posądzania w stosunku do Popławskiego i Dmowskiego. Wypowiedziano natomiast kilkakrotnie domysł, że był wolnomularzem w pewnym okresie swego życia Zygmunt Balicki, upatrywano na to dowody w pewnych przemówieniach Balickiego oraz w tym fakcie, że ustawy Ligi Narodowej i Związku Młodzieży Polskiej, których był współautorem, posiadają pewne podobieństwo form organizacyjnych do takichże form łóż masońskich. Ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość na podstawie oświadczeń samego Balickiego i osób dobrze go znających, że wprawdzie w czasie swego pobytu w Szwajcarii w latach dziewięćdziesiątych ze-

szłego wieku przyjaciele jego dla ułatwienia mu uzyskania obywatelstwa szwajcarskiego zapisali go do loży miejscowej, lecz była to czcza formalność, bo Balicki ani na posiedzeniu loży tej nigdy nie był, ani składki nie opłacił, ani poczuwał się do przynależności do masonerii, a wkrótce po tym wyjechał na stałe do Monachium i już z masonerią żadnych nie miał związków. Posiadał dobrą znajomość ideologii i dziejów masonerii oraz jej form organizacyjnych dzięki swym długim i gruntownym studiom socjologicznym oraz temu, że badał wszelkie formy organizacji społecznych w teorii i praktyce, co stwierdzić może czytelnik jego „Psychologii społecznej” (56).²

2. Masonerią zajęto się w organach prasowych Ligi Narodowej dopiero wówczas, gdy Liga spotkała się na polu swej działalności politycznej z oczywistymi wpływami łóż. Nastąpiło to najprzód w czasie kryzysu wywołanego przez rewolucję rosyjską, a po tym w czasie walki stronnictwa demokratyczno-narodowego o pozycję polityczną i wpływy w Galicji. W czasie rewolucji rosyjskiej miano jednak raczej do czynienia bezpośrednio z polityką żydowską, dopiero na terenie galicyjskim dostrzegli kierownicy Ligi zjawiska i działania, które przypisywali masonerii. Nastąpiło to wówczas, gdy przeciw Demokracji Narodowej został z inicjatywy namiestnika Michała Bobrzyńskiego utworzony sojusz całego szeregu stronnictw politycznych – od konserwatystów na prawicy aż do socjalistów na lewicy. Szukając nici łączących ze sobą tak różne pod względem politycznym stronnictwa, postawiono hipotezę, że nici te rozsnęły łoże wolnomularskie. Przekonaniu temu dano wyraz w korespondencji z Krakowa zamieszczonej w *Gazecie Warszawskiej* (8 stycznia 1914 r.), a omawiającej dymisję namiestnika Bobrzyńskiego.

W korespondencji tej podpisanej literami A. T., takie znajdujemy wywody:

„... dla Austrii końcowym punktem bezwładu moralnego była sprawa Redla. Jakkolwiek słaby jest aparat opinii

2. Numery w nawiasach oznaczają przypisy, które sporządził Kozicki. Nie zachowały się jednak one w ocalałej części tomu II.

publicznej austriackiej (prasa w rękach Żydów), to jednak – zdaje się przez Kościół – uświadomiono sobie, że coś się dzieje w państwie niesamowitego. Wyszły mianowicie na jaw fakty świadczące o rozszerzeniu się działalności masońskiej zwłaszcza na kresach wschodnich monarchii – w Galicji. Prasa narodowa w Galicji na ogół nieśmiała, oduczona od zajmowania się sprawami narodowymi, niedwuznacznie przebąkiwać zaczęła o dwuznacznej roli namiestnika Bobrzyńskiego. Sojusz jego z rewolucjonistami z Królestwa i z Żydami, uwidoczniiony w popieraniu Komisji Tymczasowej, złączenie z planami tej Komisji całego bloku stronnictw politycznych reprezentowanych w parlamencie wiedeńskim, dały wiele do myślenia. Uprzytomniono sobie, że był ukartowany spisek, wymierzony przeciwko społeczeństwu polskiemu, raczej przeciwko jego polityce narodowej, że weszli do niego na podstawie jakiejś niezrozumiałej konspiracji zarówno wpływowi konserwatyści (Jaworski), jak demokraci (Leo, Rutowski), Żydzi, Stapiński, radykalni... w rodzaju p. Śliwińskiego ze Lwowa, rewolucjoniści jak p. Kulczycki itp.”. A dalej – „śmiało rzec można, że nie ma już stronnictw w Galicji prócz dwóch grup: masońskiej i narodowej, przeciwko której masoneria działa”. Kończyła się zaś korespondencja tak: „Austria katolicka, puszczając do siebie robotę podziemną niemiecką (wykryto wówczas akcję wśród Rusinów – przypisek nasz) i dając się jej porwać, znalazła się w rękach masonerii, która doprowadzi ją całą do ruiny”.

Z tezami tej korespondencji podjęty polemikę dzienniki konserwatywne – *Czas krakowski* i *Słowo warszawskie*. Głównym ich argumentem było twierdzenie, że masonerii w Polsce nie ma, że istnienie jej jest czczym wymysłem, zrodzonym z chęci przedstawienia w fałszywym świetle polityki galicyjskiego stronnictwa konserwatywnego.

Wówczas *Gazeta Warszawska* podjęła dyskusję na ten temat – dowodziła, że masoneria istniała w Polsce w wieku XVIII i na początku XIX, na co są dowody (artykuł St. Kozickiego – „Masoneria w Polsce” w Nr 21 *Gazety Warszawskiej* z r. 1914), a następnie podała informacje o współczesnym wolnomularstwie polskim (artykuły Dmowskiego pt. „Dyskusja o masonach” w Nr 41, 42 i 44 *Gazety Warszaw-*

skiej), kładąc przy tym naciski na fakt, że obok łóż zależnych od Wielkiego Wschodu Francuskiego, mających tendencje bardziej radykalne, istnieją loże obrządku szkockiego o dążeniach bardziej umiarkowanych.

Wreszcie, jako podsumowanie przeprowadzonej w prasie codziennej dyskusji, ukazał się w *Przeglądzie Narodowym* (zeszyt marcowy r. 1914) artykuł Narodowca (R. Dmowskiego) „O wolnomularstwie”. Obok informacji o masonerii światowej i lożach polskich wskazane zostały w tym artykule powody, dla których zaczyna być coraz bardziej kwestionowana racja bytu masonerii. „Występuje przeciw niej, jak występował dawniej Kościół katolicki, wiedzący dobrze, że ma w niej zaciętego, jawnego lub maskującego się wroga. Zaczynają już występować organizacje robotnicze, dochodzące do przekonania, że masoneria je oszukuje, że nęcąc je frazesami, podając się za ich opiekunkę, używa ich tylko do wzmocnienia swej władzy, władzy bogatego mieszczaństwa i ambitnej inteligencji. Wreszcie *last but not least*, występują obozy narodowe, nacjonalistyczne za jej jawny lub maskowany kosmopolityzm, za pacyfizm osłabiający w narodach zdolność do walki za ojczyznę, za podkopywanie wiary i przywiązania do tradycji, wreszcie zarzucają jej one, że jest opanowana przez Żydów i stała się dziś narzędziem między-narodowego żydostwa. Z drugiej strony zaczynają o niej mówić z coraz większym lekceważeniem. Coraz więcej patrzą na nią ludzie, jako na organizację, w której cele ogólne zeszły już na drugi plan, a na pierwszy wysunęło się wzajemne popieranie interesów osobistych, prywatnie, na organizację w rodzaju mafii czy camorry, a więc organizację niemoralną, antyspołeczną”. Kończy się artykuł stwierdzeniem, że powstanie Demokracji Narodowej i jej silne przeciwstawienie się wszelkim tendencjom kosmopolitycznym, antykatolickim i judofilskim stało się poważną tamą dla rozwoju wolnomularstwa w Polsce. „Z tej przede wszystkim przyczyny – powiada Dmowski – obóz demokratyczno-narodowy uważany jest przez masonów polskich za najgorszego wroga i jest przez nich zwalczany, otwarcie lub podstępnie, z większą jeszcze zaciętością i konsekwencją, niż Kościół katolicki”.

Równocześnie prawie (w końcu 1913 r. i na początku

1914) ogłosił Dmowski w *Gazecie Warszawskiej* szereg artykułów o konserwatyzmie polskim, wydanych później w książce pt. „Upadek myśli konserwatywnej w Polsce”, w której – między innymi – wskazał na wpływ, jaki wywarli na uformowanie się Stronnictwa Polityki Realnej w Królestwie Włodzimierz Spasowicz i redakcja *Kraju* petersburskiego, dając przy tym dość wyraźnie do zrozumienia (choć nie nazywając rzeczy po imieniu), że zarówno Spasowicz, jak kierownik redakcji *Kraju* należeli do masonerii. Stąd niezwykle oblicze konserwatystów z *Polityki Realnej* – oblicze konserwatywno-liberalne, oraz łatwość, z jaką w walce z Demokracją Narodową zbliżyli się nie tylko do postępowców, lecz nawet do socjalistów (57).

Bogate doświadczenie dotyczące masonerii zdobyli kierownicy Ligi Narodowej w czasie wojny europejskiej (1914-1918) i konferencji pokojowej w Paryżu. O tym wszakże na miejscu właściwym.

Tutaj dodamy tylko jeszcze, że obszerna dyskusja w sprawie masonerii została przeprowadzona dwukrotnie jeszcze na łamach *Gazety Warszawskiej* już w Polsce odbudowanej w latach 1928 i 1938, w tym celu, by powołując się na odślonięte wówczas fakty wykazać słuszność zajmowanego w czasach dawniejszych wobec masonerii stanowiska (58).

Ponieważ głównym argumentem tych, co występowali przeciw opiniom Demokracji Narodowej o wolnomularstwie, było twierdzenie bądź, że masoneria obecnie w naszym kraju wcale nie istnieje, bądź też, że nie odgrywa żadnej roli, więc gdy w r. 1938 rząd polski rozwiązał loże polskie i podał o tym w grudniu tego roku komunikat w prasie (59) mógł być *Warszawski Dziennik Narodowy* (zastępujący *Gazetę Warszawską*) stwierdzić z poczuciem zadowolenia: „Wskazywaliśmy od lat kilkunastu na istnienie wolnomularstwa w Polsce i na konieczność zamknięcia łóż. Stało się to w końcu, możemy sobie tedy powiedzieć, że nasza działalność na coś się przydała. Mieliśmy – jak się okazuje – rację” (60).³

Stanisław KOZICKI

3. S. Kozicki, „Historia Ligi Narodowej”, Tom II, 1907-1927, *op.cit.*, s. 87-93.

AMBASADOR EDWARD RACZYŃSKI I JEGO OCENA „POLITYKI RÓWNOWAGI”

(Zeznanie z 21 kwietnia 1941 r. przed Komisją
Winiarskiego)

Materiały wytworzone na użytek Komisji powołanej w związku z wynikiem kampanii wojennej 1939 r. (tzw. Komisji Winiarskiego) to bardzo specyficzny rodzaj źródła historycznego. U podstaw działalności tego organu – pod sztandarem badawczej analizy przyczyn katastrofy września 1939 r. – tkwiły bowiem cele wyraźnie rozliczeniowe, odwetowe, a nie poznawcze. W takim właśnie jednostronnie polemicznym tonie utrzymane były relacje i zeznania polityków nowej ekipy władzy, w tym zwłaszcza Stanisława Strońskiego (ministra Informacji i Dokumentacji w rządzie gen. Sikorskiego i Henryka Strassburgera¹, a także wojskowych (oficerów wywiadu), jak np. mjr. Tadeusza Szumowskiego² czy też płk. dypl. Leśława Sadowskiego³. W tym miejscu nie ma powodu szerzej omawiać treści tych zeznań, gdyż ich znaczenie historyczne pozostaje ograniczone, a poza tym poczynania Komisji Modelskiego w warstwie politycznej stały się przedmiotem szczegółowej analizy dwóch historyków młodego pokolenia – Andrzeja Grzywacza i Marcina Kwietnia⁴.

1. Instytut Polski i Muzeum Gen. Sikorskiego w Londynie (dalej: IPMS), Materiały Komisji powołanej w związku z wynikiem wojny 1939 roku, sygn. A. 11/144, zeznanie Strońskiego (nr spr. 259), Strassburgera (nr spr. 265).

2. IPMS, sygn. A. 11/144, nr spr. 288.

3. Centralne Archiwum Wojskowe (CAW) w Warszawie, zesp. Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych (GISZ), zbiór: Materiały i dokumenty, sygn. 1/3/60, opracowanie płk. L. Sadowskiego pt. „Oddział II Sztabu Głównego, rezultaty pracy pokojowej i udział w przygotowaniu do wojny”.

4. Patrz: A. Grzywacz, M. Kwiecień, „Sikorszczycy kontra Sanatorzy 1939-1940. (Z dziejów konfliktów politycznych uchodźstwa polskiego)”,

Wśród zebranych wówczas relacji występuje także grupa zeznań, które pod względem treści cechuje rzeczowość i brak wątków personalno-rozliczeniowych. Taki charakter mają przede wszystkim protokoły przesłuchań ambasadorów: Edwarda Raczyńskiego, Józefa Lipskiego, Juliusza Łukasiewicza, a także Tytusa Komarnickiego (posła w Bernie i Stałego Delegata RP przy Lidze Narodów) oraz Augusta Zaleskiego, który z dniem 30 września 1939 r. ponownie objął tekę ministra spraw zagranicznych⁵. Tak się wszakże złożyło, iż dotychczas opublikowano tylko zeznania (referaty) sporządzone w konwencji ostrych, kategorycznych oskarżeń. Nie ogłoszono natomiast materiałów zachowujących pewien obiektywny walor poznawczy. Taki właśnie charakter ma protokół z przesłuchania ambasadora RP w Berlinie Edwarda Raczyńskiego, który poniżej przedstawiamy.



Edward Raczyński urodził się 19 grudnia 1891 r. w Zakopanem. Wychowywał się w Krakowie, gdzie ukończył III Gimnazjum im. Jana Sobieskiego. Studiował prawo i ekonomię w Lipsku oraz w London School of Economics and Political Sciences. Doktorat Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego otrzymał w roku 1912⁶.

Do dyplomacji Edward Raczyński został skierowany zaraz po odbyciu służby wojskowej w szkole podchorążych w Warszawie. Z dniem 24 maja 1919 r. został mianowany se-

Zeszyty Historyczne, z. 128, 1999, s. 63-127 oraz A. Grzywacz (oprac.), „Oddział II Sztabu Głównego: raport ppłk. Józefa Englichta”, *Arcana* (Kraków), nr 26, 2/1999, s. 134-153, tenże (oprac.), „Funkcjonowanie Oddziału II Sztabu Głównego w 1939 roku”, *Zeszyty Historyczne*, z. 125, 1998, s. 67-100, tenże (oprac.), „Relacja płk. dypl. Andrzeja Mareckiego dla Komisji Badawczej do spraw Przyczyn Klęski Wrześniowej”, *Zeszyty Historyczne*, z. 123, 1998, s. 201-215. por. też M. Hułas, „Goście czy intruzi? Rząd polski na uchodźstwie, wrzesień 1939 – lipiec 1943”, Warszawa 1996.

5. IPMS, sygn. A. 11/144; zeznanie ministra Zaleskiego (nr sprawy 261), zeznanie amb. Lipskiego (nr spr. 264), zeznanie amb. Łukasiewicza (nr spr. 285), zeznanie amb. Edwarda Raczyńskiego (nr spr. 273), zeznanie Feliksa Frankowskiego (nr spr. 270), zeznanie Tytusa Komarnickiego (nr spr. 500).

6. Doktorat uzyskał z zakresu prawa cywilnego. Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego, fol. doktoraty, WF II, 616.

kreterzem Poselstwa RP w Kopenhadze i stanowisko to pełnił do 1 maja 1922 r.⁷ Tego dnia otrzymał nominację na analogiczne stanowisko w Poselstwie RP w Londynie, gdzie pracował pod kierownictwem Konstantego Skirmunta (1866-1949), wybitnego dyplomaty, b. ministra spraw zagranicznych, a od czerwca 1922 r. posła w stolicy Wielkiej Brytanii. Z placówki londyńskiej Raczyński został odwołany 24 lipca 1926 r. Decyzją nowego ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego otrzymał niewątpliwie ważne stanowisko w Centrali MSZ w Warszawie, tj. funkcję zastępcy naczelnika Wydziału Wschodniego w Departamencie Politycznym MSZ (1 stycznia 1928 uzyskał tytuł radcy ministerialnego). W tej roli będzie współpracował z Tadeuszem Hołowką (zamordowanym w 1931 roku przez terrorystów ukraińskich), naczelnikiem tego Wydziału (P. III) w latach 1928-1931. Kształtując linię MSZ na odcinku wschodnim Hołowko i Raczyński doskonale się uzupełniali wzajemnie, co podkreśla rzeczowy w swych wspomnieniach Stanisław Schimitzek⁸. Kolejny awans służbowy Raczyńskiego to nominacja na stanowisko naczelnika Wydziału Organizacji Międzynarodowych z dniem 1 maja 1931 r. Do zadań tej komórki w Pałacu Brühlowskim należała obsługa współpracy państwa polskiego na forum Ligi Narodów.

Nowy minister spraw zagranicznych Józef Beck 8 listopada 1932 r. powierzył Raczyńskiemu urząd Delegata RP przy Lidze Narodów w Genewie (z tytułem posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego), co oznaczało zarazem funkcję przewodniczącego Delegacji rządu polskiego na Konferencję Rozbrojeniową, która rozpoczęła obrady w Genewie 2 lutego 1932 r. Podczas londyńskiej Konferencji Ekonomicznej w lipcu 1933 r. Raczyński przewodniczył delegacji polskiej i podpisał multilateralną konwencję o definicji agresji z udziałem ZSSR i jego zachodnich sąsiadów (3 lipca 1933 r.). Dyplomata ten był także niewątpliwym współautorem deklaracji rządu RP o zaprzestaniu współpracy z organa-

7. Dane podano za: „Rocznik służby zagranicznej według stanu na 1 kwietnia 1938 r.”, Warszawa 1938, s. 218.

8. S. Schimitzek, „Drogi i bezdroża minionej epoki. Wspomnienia z lat pracy w MSZ 1920-1939”, Warszawa 1976, s. 374.

mi Ligi w sprawie wykonywania tzw. traktatu mniejszościowego (z 28 czerwca 1919) ogłoszonej 15 września 1934 r. przez Becka z trybuny Rady Ligi w Genewie.

Z dniem 1 listopada 1934 r., po ustąpieniu Skirmunta Raczyński objął stanowisko ambasadora RP w Londynie. Przyjmując tę nominację sam zainteresowany miał początkowo wrażenie odsunięcia na boczny tor, na placówkę mimo wszystko peryferyjną, podczas gdy urząd Delegata Stałego w Genewie sytuował w centrum najważniejszych spraw polityki międzynarodowej. W prowadzonym dzienniku zapisał pod datą 20 sierpnia 1934 r.: „Niby awans to i znaczny i zaszczytny a mimo to jakoś mi kwaśno. Coś jakby zesłanie w senatory. A jednak, gdyby tak być miało, to wina będzie tylko moja, gdyż do zrobienia jest bardzo dużo. Dużo, ale inaczej. Nie wiem czy to potrafię”⁹. Z perspektywy czasu wszakże nie ma wątpliwości, że zadanie wówczas otrzymane realizować istotnie potrafił.

Misję nad Tamizą przyszło mu pełnić najpierw w cieniu polityki appeasementu, a potem w dobie przełomowych wydarzeń II wojny światowej. Ambasador Edward Raczyński odegrał zasadniczą rolę w kształtowaniu podstaw zbliżenia polsko-brytyjskiego, które w roku 1939 zaowocowało sojuszem pozwalającym Polsce przystąpić do wojny nie w izolacji, lecz na mocy porozumień trójstronnych i w ramach wzajemnych zobowiązań koalicyjnych.

Nominacja ta świadczyła o dużym kredycie zaufania, jakim minister Beck darzył młodego dyplomatę, ceniąc jego inteligencję, bezstronność, rzeczowość, sumienność i apolityczność¹⁰. O zbliżenie stanowisk Warszawy i Londynu w sprawach bezpieczeństwa w Europie Beck zabiegał od początku i wytrwale¹¹. W tym upatrywał wykonanie nieписanego

9. Notatka we wspomnieniach E. Raczyńskiego, „Od Narcyza Kulikowskiego do Winstona Churchilla”, wyd. 2, Londyn 1993, s. 77.

10. Bardzo wysoką ocenę Raczyńskiego dał Beck Michałowi Łubieńskiemu (szefowi Gabinetu Ministra) w jesieni 1935 r. O tym list prywatny Łubieńskiego do E. Raczyńskiego z 18 listopada 1935 r., Dokument w IPMS, KOL. 23 (E. Raczyńskiego).

11. Podkreśla to zwłaszcza Paweł Starzeński, „Trzy lata z Beckiem,” przedmowa, oprac. i przypisy B. Grzełowski, Warszawa 1991 [wyd. 1 – Londyn 1972].

„testamentu” marszałka Piłsudskiego. Do tego zadania następca Skirmunta nadawał się znakomicie. Na tym stanowisku Raczyński działał umiejętnie i z właściwym sobie taktem. Miał swój niemały udział w przełamywaniu klimatu niechęci i lekceważenia, który towarzyszył Polsce nad Tamizą w dobie pomonachijskiej. Taka była cena wymuszenia przez rząd RP cesji Zaolzia na drodze ultymatywnej, „na własną rękę” i nie zważając na dezaprobatę stolic zachodnich. Wiodący udział w utorowaniu drogi do zbliżenia polsko-brytyjskiego wiosną 1939 r. to niewątpliwie jedno z najistotniejszych osiągnięć Raczyńskiego w długiej karierze dyplomatycznej. Pełnił on także funkcję głównego ze strony Polski negocjatora i był sygnatariuszem traktatu sojuszniczego z Wielką Brytanią podpisanego w Londynie 25 sierpnia 1939 r.¹²

W lipcu 1940 r. dyplomacja polska przede wszystkim przytomnej reakcji ambasadora w Londynie zawdzięczała wycofanie (w ostatniej chwili) memorandum w sprawie warunków odbudowy stosunków polsko-sowieckich, który to dokument podsunął gen. Sikorskiemu dr Stefan Litauer¹³. Wręczenie za pośrednictwem Foreign Office tej noty ambasadorowi ZSSR w Londynie postawiłoby bez wątpienia rząd RP w nader niezręcznej sytuacji. W lipcu 1941 r. po dymisji Augusta Zaleskiego amb. Raczyński kierował ministerstwem spraw zagranicznych w rządzie gen. Władysława Sikorskiego (do lipca 1943 r.). W tym czasie był negocjatorem projektu Konfederacji polsko-czechosłowackiej (1940-1942).

12. O roli amb. E. Raczyńskiego w genezie sojuszu polsko-brytyjskiego patrz A.M. Cienciąła, „Minister Józef Beck i ambasador Edward Raczyński a zbliżenie polsko-brytyjskie w okresie październik 1938 – styczeń 1939”, [w:] „Z dziejów polityki i dyplomacji polskiej. Studia poświęcone pamięci Edwarda hr. Raczyńskiego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na wychodźstwie”, Warszawa 1994, s. 348-363; por. też: H. Batowski, „Polska dyplomacja w walce o niepodległość. Wielka rola Edwarda Raczyńskiego”, w: „Działalność dyplomatyczna i polityczna Edwarda Raczyńskiego”, (red.) W. Michowicz, Łódź 1994, s. 31-47. Z prac ostatnio ogłoszonych zwłaszcza J. Tebinka, „Polityka brytyjska wobec problemu granicy polsko-radzieckiej 1939-1945”, Warszawa 1998.

13. Por. A. M. Cienciąła, „The Question of the Polish-Soviet Frontier in British, Soviet and Polish Policy in 1939-1940: the Litauer Memorandum and Sikorski's Proposal”, *The Polish Review*, vol. XXXIII, nr 3, 1988, s. 295-324.

Stanowisko ambasadora w „sojuszniczym Londynie” Raczyński utracił z chwilą cofnięcia przez mocarstwa zachodnie uznania rządowi RP 5 lipca 1945 r. Pozostając na emigracji, w sierpniu 1954 r. (wraz z gen. Władysławem Andersem i Tomaszem Arciszewskim) stał się współtwórcą opozycyjnej wobec prezydenta Augusta Zaleskiego tzw. Rady Trzech, która przetrwała do 1972 r. W 1979 r. Raczyński objął urząd Prezydenta RP na Uchodźstwie, który sprawował w latach 1979-1986.

Odnotować warto, że w roku 1939 w służbie dyplomatycznej Rzeczypospolitej funkcje ambasadorskie spowodowało dziesięć osób. Byli to: Józef Lipski (Berlin), Wacław Grzybowski (Moskwa), Tadeusz Romer (Tokio), Juliusz Łukasiewicz (Paryż), Józef Potocki (Waszyngton), Roger Raczyński (Bukareszt), Bolesław Wieniawa-Długoszowski (Rzym – Kwirynał), Kazimierz Papée (Stolica Apostolska), Michał Sokolnicki (Ankara) i właśnie Edward Raczyński (Londyn). Jakie miejsce na tym tle wypada przyznać ambasadorowi w Londynie? Odpowie zapewne na to pytanie przyszły biograf E. Raczyńskiego¹⁴. W oparciu wszakże o dotychczasowe podstawy źródłowe, którymi dysponuje historiografia, zaryzykować wypada sąd, iż w tym gronie Edward Raczyński zajmował stanowisko dość szczególne i odrębne. Nie był on „człowiekiem Becka”, chociaż wedle opinii historyków tylko z ambasadorem w Londynie Beck pozostawał na „ty”¹⁵. Zachowywał pozycję niezależną. Służył nie konkretnej ekipie rządowej, ale państwu polskiemu. Stąd z konsternacją zareagował, gdy gen. Sikorski jesienią 1939 r. pytał go, czy jest „jego człowiekiem”. Był to dyplomata „inteligentny i su-

14. Do charakterystyki E. Raczyńskiego sporo wnoszą też P. Łossowski, „Dyplomacja Drugiej Rzeczypospolitej”, Warszawa 1992 i J. Łaptos (oprac.), „Dyplomaci II RP w świetle raportów Quai d’Orsay”, Warszawa 1993. Por. też studium W. Michowicza o funkcjonowaniu polskiej służby dyplomatycznej okresu międzywojennego, [w:] „Historia dyplomacji polskiej”, red. G. Labuda, t. 4, red. P. Łossowski, oprac. M. Leczyk, P. Łossowski, W. Materski, W. Michowicz, A. Skrzypek, Warszawa 1995.

15. Patrz: J. Łaptos, „Organizacja, personel i funkcjonowanie polskiego ministerstwa spraw zagranicznych w latach 1918-1939” [w:] „Z dziejów polityki i dyplomacji...”, s. 344.

mienny, dobry fachowiec” – jak pisał Henryk Batowski¹⁶, historyk nader przecież krytyczny w interpretacji dokonania polskiej dyplomacji międzywojennej i zazwyczaj powściągliwy w wypowiedzianych ocenach.



Papiery ambasadorskie Juliusza Łukasiewicza z okresu jego misji w Paryżu (1936-1939) i Józefa Lipskiego z czasu kierowania przez niego Ambasadą RP w Berlinie (1933-1939) zostały starannie opracowane i opublikowane¹⁷. Nie wydano tymczasem dokumentów dyplomatycznych Edwarda Raczyńskiego¹⁸, chociaż jego wkład w kształtowanie polityki zagranicznej Polski w drugiej połowie lat trzydziestych był na pewno dość znaczny. Stąd celowość przypomnienia publikowanego tu protokołu.

W tekst zamieszczanego tu dokumentu nie ingerowano, usuwając jedynie ewidentne błędy pisowni powstałe w maszynopisie. Sporządzony przez Tadeusza Cypriana protokół był przez Raczyńskiego autoryzowany, przy czym świadek usunął niektóre sformułowania lub poszczególne słowa. Fragmenty wykreślone podajemy w przypisie w odpowiednich miejscach to zaznaczając. Wszystkie przypisy pochodzą od wydawcy. Podkreślenia naniesione w tekście ma-

16. H. Batowski, „Agonia pokoju i początek wojny. Sierpień – wrzesień 1939”, wyd. 4 popr. i uzup. Poznań 1984, s. 27.

17. Patrz: „Diplomat in Paris 1936-1939. Papers and Memoirs of Juliusz Łukasiewicz, Ambassador of Poland”, (ed.) W. Jędrzejewicz, Columbia 1970 i wersja polska pt. „Dyplomata w Paryżu 1936-1939. Wspomnienia i dokumenty Juliusza Łukasiewicza ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej”, wyd. rozszerzone, oprac. W. Jędrzejewicz i H. Bułhak, Londyn 1989 oraz wyd. rozszerzone, Warszawa 1995 a także: „Diplomat in Berlin 1933-1939. Papers and Memoirs of Józef Lipski, Ambassador of Poland”, (ed.) W. Jędrzejewicz, New York-London 1968.

18. Z wyjątkiem dokumentów z okresu kryzysu dyplomatycznego w Europie w 1938 r. Patrz: Chudek J. (oprac.), „Wrześniowy kryzys Czeskosłowacki 1938 r. w raportach ambasady RP w Londynie”, *Zeszyty Historyczne*, PISM, z. 8, Warszawa 1958. Zob. też, „Przyczynki i materiały do historii kampanii wrześniowej 1939 r. Akty dyplomatyczne polskie odnoszące się do rokowań brytyjsko-francusko-sowieckich w okresie przed wybuchem drugiej wojny światowej”, *Bellona*, z. 1, 1955, s. 60-77 [w tym osobna odbitka s. 20]. Tam niektóre raporty ambasadora.

szynopisu wprowadzono ołówkiem, zapewne ręką prof. Bohdana Winiarskiego. Imiona niektórych (mniej znanych) postaci występujących w dokumencie wprowadzono w nawiasach kwadratowych. Oryginał dokumentu przechowuje Instytut Polski i Muzeum Gen. Sikorskiego w Londynie: sygn. A. 11E/144, nr sprawy 273. W sporządzonym protokole odnotowano, iż na przesłuchaniu ambasadora E. Raczyńskiego 21 kwietnia 1941 r. Komisja zebrała się w składzie: prof. dr Bohdan Winiarski (jako przewodniczący) oraz Herman Lieberman, Karol Popiel i oczywiście gen. Izidor Modelski. Funkcję sekretarza pełnił sędzia dr Tadeusz Cyprian. Przesłuchanie ambasador odnotował w swoim dzienniku „W sojusznicznym Londynie” podkreślając poprawne i na ogół kurtuazyjne (w porównaniu z formą przesłuchań innych osób) zachowanie członków Komisji¹⁹.

Z treści zamieszczonego poniżej tekstu łatwo wszakże zauważyć, że pod adresem świadka skierowano kilka pytań, które cechuje pewna doza absurdalności. Raczyńskiego pytano, czy Wielka Brytania wspierała zamach majowy 1926 r., czy dyplomacja polska starała się o dopuszczenie do udziału w konferencji monachijskiej we wrześniu 1938 r. Zapewne oczekiwano też, aby ambasador zdystansował się od realizowanej przez Becka w lecie 1939 r. taktyki wobec ZSSR, która wykluczała wszelkie rokowania w sprawie udziału rządu sowieckiego w gwarancjach nieodległości Polski. Oczekiwania te Raczyński rozwiązał niedwuznacznie, przedstawiając rzeczową, bardzo wyważoną i umiarkowaną krytyczną refleksję na temat miejsca Wielkiej Brytanii w polskiej polityce zagranicznej lat 1934-1939.

Referat E. Raczyńskiego nie wnosi faktów zupełnie nowych, historykom dyplomacji nie znanych. Ambasador omawiał przecież w tym wystąpieniu wypadki w gruncie rzeczy dobrze opisane w historiografii współczesnej. Mimo to dokument ten ma swoją wartość, gdyż zawiera rzeczową analizę polityki zagranicznej końca lat trzydziestych, pisaną z per-

19. Por. [E. Raczyński], „W sojusznicznym Londynie. Dziennik ambasadora Edwarda Raczyńskiego 1939-1945”, Londyn 1960, zapis z 24 maja 1941 r.

spektywy zaledwie niecałych dwóch lat od chwili klęski wrześniowej, a więc kiedy finał toczącej się wojny był niewiadomą. Referat Raczyńskiego przed Komisją Winiarskiego jest wart publikacji również dlatego, że zapisy zamieszczone dzienniku ambasadora („W sojusznicznym Londynie”) za lata 1934-1938 są mało systematyczne i nader lapidarne. Przyczynek tu przedstawiony pozwala natomiast zrekonstruować sposób myślenia ambasadora, dyplomaty, który w wydatnym stopniu kształtował politykę Warszawy wobec Wielkiej Brytanii w przededniu II wojny światowej. W formułowanych ocenach widoczny jest powściągliwy krytycyzm autora w stosunku do osoby ministra Becka i jego linii politycznej. Dominuje wszakże przekonanie, iż dla koncepcji równowagi żadnej alternatywy strategicznej nie było. Uwagi ambasadora w Londynie mogą więc przydać się jako wprowadzenie do przyszłej biografii Raczyńskiego, oczekiwanej i potrzebnej w historiografii. Tym bardziej że nie dysponujemy wspomnieniami Raczyńskiego.²⁰

Za zgodę na publikację tego dokumentu wydawca dziękuje mgr. Andrzejowi Suchcitzowi z Instytutu Gen. Sikorskiego w Londynie. W nawiasach kwadratowych znajdują się te fragmenty, które w tekście maszynopisu liczącego 18 stron dopisano ołówkiem. Przypisy pochodzą od wydawcy.



ZEZNANIE

Placówkę londyńską objąłem w listopadzie 1934 r., przyjechawszy tu z Genewy. Przyjęty zostałem w Londynie dobrze, nie był to dla mnie teren obcy, bo w okresie czterech lat od 1922 do 1926 r. pracowałem tu już jako sekretarz Poselstwa pod Skirmuntem i w owych czasach miałem wyrobione stosunki i cieszyłem się zaufaniem nawet ludzi bardziej krytycznie do nas usposobionych, jak np. referent spraw polskich Rex Leeper.

20. Por. E. Raczyński „Od Narcyza Kulikowskiego....”. Wspomniany dziennik do lat 1934-1939 niewiele przecież wnosi.

Na ogół biorąc Anglicy woliliby byli inną politykę niż nasza po r. 1934, ale zdawali sobie sprawę z naszych trudności, wiedzieli, że Polska nie jest dla nich stracona i odnosili się do nas jak do klienta, którego warto wysłuchać i którego należy bardzo umiejętnie traktować.

Te koła angielskie, które krytycznie się do nas odnosiły, byłyby wołały widzieć Polskę w Pakcie Wschodnim, bo stanowiłoby to przeciwwagę dla Niemców, ale nie badały, czy Pakt ten byłby nam zapewnił bezpieczeństwo. U niektórych ludzi w Foreign Office dał się wyczuć lekki zawód z powodu zawarcia przez nas paktu o nieagresji z Niemcami²¹, ale na ogół nie powodowało to ujemnej oceny dla tej polityki.

W miarę jak nasza polityka się krystalizowała jako równowaga między Wschodem i Zachodem z jednoczesną troską o zbliżenie polsko-angielskie, poprawiało się nastawienie do nas angielskich kół politycznych. Jednym z momentów istotnych był okres obrad Rady Ligi Narodów w Londynie na wiosnę 1936 r. z okazji sprawy nadreńskiej²². W czasie tym Anglicy sami [nieco] się załamali, a Francuzi – Flandin i Paul-Boncour²³, którzy na te obrady przyjechali, zachowali się nieszczerze, a zwłaszcza Flandin, nie umiając dostatecznie energicznie wystąpić i odnosząc się niechętnie do delegacji polskiej. Było to bardzo charakterystyczne, bo Ambasador francuski w Warszawie²⁴ miał zapewnienie Ministra Becka, że Polska gotowa jest wystąpić przy boku Francji, więc to niechętnie nastawienie Flandina do delegacji polskiej wyglądało tak, jak gdyby Francuzom nie była na rękę polska deklaracja o gotowości do udzielenia im pomocy.

Anglicy powstrzymywali wówczas Francuzów od ewen-

21. Jest to sformułowanie nieściśle. Umowa berlińska z 26 stycznia 1934 r. była wspólną deklaracją rządów obydwu państw i podlegała ratyfikacji, ale nie miała formy traktatu.

22. Rada Ligi Narodów na posiedzeniu nadzwyczajnym zwołanym na wniosek rządu Francji zebrała się w Londynie dn. 11 marca 1936 r.

23. Pierre-Etienne Flandin pełnił wówczas stanowisko ministra spraw zagranicznych Francji. Joseph Paul-Boncour zaś był Stałym Delegatem przy Lidze Narodów, a wcześniej przewodniczącym francuskiej delegacji na Konferencję Rozbrojeniową.

24. W maszynopisie było „w Londynie”, poprawione na „w Warszawie”. Chodzi tu niewątpliwie o Leona Noël.

tualnego działania, dając w zamian zacieśnienie sojuszu brytyjsko-francuskiego²⁵.

Sytuację ówczesną łagodził Paul-Boncour, dążąc do wprowadzenia bardziej ciepłego tonu między delegacją naszą a francuską.

Równolegle do swego „miękkiego” zachowania wobec Niemców, [stali się] Anglicy okazywali się za mało wyrozumiali w stosunku do nas i naszej polityki zagranicznej. Znajdowano tutaj wytłumaczenie dla każdego posunięcia niemieckiego²⁶. I tak, gdy Niemcy weszli do Nadrenii, Anglicy mówili, że to jest zrozumiałe, że nie chcą oni serwitutu na swej własnej ziemi, gdy zaś doszło do aneksji Austrii, to znowu tłumaczono postępowanie Niemców tym, że Austria jest przecież krajem niemieckim i że Anschluss jest li tylko wynikiem końcowym dawnego dojrzałego już procesu.

Przypominam sobie z tych czasów charakterystyczną karikaturę zamieszczoną w którymś z pism angielskich, a przedstawiającą trzy podmiejskie ogródki działkowe. W jednym z nich stoi Hitler, w drugim Stalin i wygrażają sobie nawzajem pięściami przy akompaniamencie wymyślań, w środkowym zaś ogródku z napisem „Poland” Polak spokojnie pielęgnuje swój ogródek.

Ten przychylny dla nas nastrój utrzymał się do jesieni 1938 r. W okresie tym Francuzi wielokrotnie usiłowali poprawić stosunki polsko-czeskie i przy mnie odbywały się rozmowy z Posłem czeskim. Gdy Minister Beck był w Londynie na wiosnę i pod koniec 1936 r.²⁷, miał z Francuzami rozmowy o Czechach i Francuzi dążyli do odprężenia stosunków polsko-czeskich, ale rezultaty tych rozmów nie zostały nigdy pogłębione, bo Beck odpowiadał w sposób raczej formalistyczny, wysuwając sprawę Cieszyńskiego, podkreślając

25. Wielka Brytania i Francja oczywiście nie były związane żadną umową o charakterze sojuszniczym.

26. W pierwszej wersji było: „Od tej chwili, gdy Anglicy zachowali się tak miękko wobec Niemców, stali się wyrozumiali w stosunku do nas i naszej polityki zagranicznej, tłumacząc po prostu każde posunięcie niemieckie”.

27. Minister Beck przebywał w Londynie w roku 1936 dwukrotnie. Najpierw w maju jako przewodniczący delegacji polskiej na uroczystości koronacyjne Jerzego VI, a następnie z wizytą oficjalną w listopadzie.

jednak, że Czesi nie mają się czego od nas obawiać, bo my ich nie zaatakujemy.

Natomiast Anglicy tematu tego nie poruszali zupełnie, wspominając o tych sprawach co najwyżej w rozmowach towarzyskich ze mną.

Polityka Ministra Becka szła od samego początku na zacieśnienie stosunków polsko-angielskich, co Anglicy czuli, ale ponieważ dążyli sami do porozumienia z Niemcami, więc nie odnosili się do nas zbyt gorąco, by sobie tego porozumienia nie utrudniać.

W tym dążeniu Anglicy szli bardzo daleko. Miałem swego czasu rozmowę (o ile pamiętam było to gdzieś w r. 1935) ze zmarłym później Szefem Departamentu Centralnego Foreign Office²⁸, który prowadził nasze sprawy (dawniej prowadzone przez Departament Północny, następnie zaś przez Centralny razem ze sprawami niemieckimi)²⁹.

Otóż pan ten tłumaczył mi w półprywatnej rozmowie, że powinniśmy Niemcom oddać Gdańsk i dojść z nimi do porozumienia. Wywiązała się między nami na ten temat obszerna dyskusja, w czasie której Anglik podnosił tak argument realny, że oni przecież nie mogą się bić o nasz Korytarz, jak i argument moralny, że na tych terenach jest przecież ludność niemiecka.

Ja mu na to powiedziałem, że przecież my mamy układ o nieagresji z Niemcami na 10 lat i jeśli Niemcy sami o te tereny się nie upominają, to nie widzę racji, by Anglia im z nich miała dawać prezent. Z rozmowy tej nic nie wyszło poza raportem, który o jej treści posłałem do Warszawy.

Anglicy w ogóle stale dążyli do odprężania stosunków z Niemcami i wprawdzie nas nie poświęcali, ale nie chcieli mieć z nami kłopotu, toteż z tego punktu widzenia układ z 1934 r. był dla nich raczej wygodny.

Na aneksję Austrii rząd angielski zareagował bardzo słabo, wychodząc z założenia, że jest tam ludność niemiecka i tylko metoda przeprowadzenia Anschlussu nie znalazła w Londynie uznania.

28. Był nim Laurence Collier.

29. W ramach struktury Foreign Office sprawy polskie najpierw podlegały Wydziałowi Północnemu, ale w 1938 r. po odpowiedniej reorganizacji zostały włączone do Wydziału Centralnego (wraz z Niemcami).

Zdaniem moim, Anglicy nie byli przez Niemców o zamiarze aneksji formalnie uprzedzeni, ale jestem przekonany, że Niemcy mieli możliwość wyrobić sobie – trafne jak się okazało – przekonanie, że ze strony angielskiej nie będzie żadnej reakcji³⁰.

W tym mniej więcej czasie dużo złego narobił zorganizowany tutaj tzw. Peace ballot. Było to coś w rodzaju głosowania prywatnego, obejmującego pięć pytań w sprawie pokoju, a mianowicie pytania takie, jak: „Czy chcesz pokoju, co chcesz dla niego poświęcić, czy chcesz protestować przeciw jego naruszeniu, czy chcesz go chronić z bronią w rękę? itd.” [Było to w r. 1935.] Peace ballot przybrał[o] formę pacyfistycznej manifestacji i stało się wybitną zachętą do działań niemieckich.

Nastrój pacyfistyczny w społeczeństwie był tak silny, że rząd nie chciał forsować zbrojeń mimo ostrzeżeń Churchilla, którego ustawiczne nawoływania robiły z niego niemal komiczną figurę na tym tle. Później tłumaczył Baldwin³¹, że nie mógł wystąpić z propozycją zbrojeń, bo rzecz ta była tak niepopularna, że nie dałaby się przeprowadzić.

W tej atmosferze aneksja Austrii przeszła bez wybitniejszej reakcji, zwłaszcza że można by jej było oczekiwać przede wszystkim od Labour Party³², a ta straciła zaufanie do Austrii wobec likwidacji socjalizmu austriackiego przez Dollfussa i tendencji faszystowskich³³.

Nasza polityka na aneksję Austrii na terenie londyńskim oczywiście nie reagowała w ogóle wobec takiego zachowania się samych Anglików. Jak nasze Poselstwo w Wiedniu na to zareagowało, tego nie wiem, [ale sądzę, że słabo].

30. W pierwszej wersji: „...że Niemcy nieoficjalnie się upewnili, że ze strony angielskiej nie będzie żadnej reakcji”.

31. Stanley Baldwin był premierem brytyjskim w latach 1924-1929 i w l. 1935-1937.

32. W wersji pierwszej było „...zdolna do niej była wówczas tylko Labour Party (...)”.

33. Kanclerz Austrii Engelbert Dollfuss wprowadził w 1934 r. pełną dyktaturę po uprzednim wyeliminowaniu dość silnej opozycji socjaldemokratycznej. Przypieczetowała to konstytucja z 30 kwietnia 1934 r. (oktrojowana), na mocy której ustanowiono ustroj korporacyjny, legitymizowany ideologią katolickiego autorytaryzmu.

Ja ze swej strony, będąc w Warszawie w M.S.Z., o ile pamiętam około r. 1928, pisałem memoriał o szkodliwości ewentualnego Anschlussu³⁴, na ogół jednak panowało tam raczej mniemanie, że Anschluss może być korzystny, bo skieruje ekspansję Niemców na południe.

W r. 1938 Anglia była w pełni okresu pacyfizmu i okres wiosenny tego roku był bardzo przykry, bo czuło się upadek poczucia odpowiedzialności Wielkiej Brytanii za sprawy europejskie.

To zaś sprawa czeska w tym okresie jeszcze na początku akcji Runcimana³⁵ nie wywołała większego wstrząsu³⁶.

Ja miałem instrukcje z Warszawy w kierunku dążenia przy ewentualnych rozmowach do równouprawnienia żądań polskich z żądaniami Niemiec i Węgier. Jak ta sprawa miała wyglądać, nie było bliżej określone, choć rzecz jasna, że terytorialnie żądania sprowadzały się do Zaolzia, ale wówczas wyglądało na to, że będzie mowa raczej o rozszerzeniu praw narodowych na tym terenie, bo i Sudety wówczas były omawiane w ramach autonomii, a nie aneksji.

Gdy pod koniec maja 1938 r. wszczął się alarm z powodu mobilizacji czeskiej i znacznego zaostrzenia sytuacji, reakcja angielska była jeszcze bardzo słaba. [Widywałem często Runcimana, widziałem w lipcu 1938 r. wielki zjazd hitlerowski we Wrocławiu, będący manifestacją pod adresem Czechów i wiem, że] Niemcy tłumaczyli wówczas Anglikom, że dzieje im się krzywda w Sudetach i że mają rację, a Anglicy byli skłonni atakować Benesa i rząd czeski w sprawie mniejszości narodowej niemieckiej, zamiast brać ich w obronę przed atakami niemieckimi.

W lecie 1938 r. toczyły się w tutejszym królewskim instytucie dla spraw polityki zagranicznej szerokie debaty na

34. Dokument taki Raczyński przygotował w roku 1927 jako pracownik Wydziału Zachodniego MSZ. Od też tam zawartych polskie MSZ definitywnie odeszło w erze Becka (po 1932 r.).

35. Sir Walter Runciman (1869-1940) był wysłany do Czechosłowacji w lipcu 1938 r. jako (formalnie) doradca rządu Czechosłowacji i miał za zadanie zbadać zasadność roszczeń Niemców sudeckich i przekonać władze Republiki do ustępstw.

36. W wersji pierwszej było „...nieomal żadnego zainteresowania”.

temat czeski i na ogół atakowano Czechów za ich politykę mniejszościową, a nie Niemców³⁷.

Polityka Chamberlaina nastawiona była antysowiecko, nie bez elementu osobistej niechęci premiera do Sowietów. [Powyższe nastawienie powiększało pragnienie „dogadania się”] z Niemcami, jako elementem antysowieckim³⁸.

Misja Runcimana miała na celu nie tyle obiektywne zbadanie sprawy na miejscu i wyraźne sprecyzowanie problemu, lecz raczej załagodzenie zatargu. Runciman [miał wiele osobistych kontaktów z poszczególnymi] Niemcami³⁹. [Stał on na stanowisku, że jedynym możliwym rozwiązaniem jest zaspokojenie] żądań [niemieckich] kosztem Czechów w sposób łagodny [tj. bez rękoczynów!]. W końcowym efekcie [do]prowadziło to [oczywiście] do oddania Sudetów.

Dopiero w ostatniej chwili przed Monachium sytuacja zaostrzyła się o tyle, że w Londynie uświadomiono sobie, iż tym razem bez rozgrywki się nie odbędzie. (Wówczas Churchill parł już bezpośrednio do wojny, której i ja sobie wówczas także życzyłem).

Dnia 26 lub 27 sierpnia 1938 r., po Godesbergu⁴⁰, a

37. Dyskusje i studia na forum Royal Institute of International Affairs w Londynie poświęcone sytuacji w Europie Centralnej i Wschodniej toczyły się już od 1937 r. w klimacie sprzyjającym zmianie *status quo* w tym regionie i akceptacji postulatów hitlerowskiej polityki zagranicznej. W czerwcu 1937 r. w Austrii, na Węgrzech i w Czechosłowacji przebywał z wizytą studyjną nader wpływowy prezes tego Instytutu – prof. Arnold Toynbee. Pisał o tym amb. E. Raczyński do Centrali MSZ w raporcie z 25 czerwca 1937 r. Na podstawie uzyskanych poufnie informacji Raczyński donosił, iż Toynbee doszedł do generalnego wniosku, iż „obecny stan rzeczy w tych państwach nie da się utrzymać i że, o ile zmiany nie nastąpią w ciągu krótkiego czasu, grozić to może katastrofalnymi konsekwencjami”. AAN, Poselstwo w Pradze, sygn. 6, s. 106. Trudno nie podkreślić, iż dla ministra Becka doniesienia te miały swoją wagę.

38. „Polityka Chamberlaina nastawiona była antysowiecko, nie bez elementu osobistej niechęci premiera do Sowietów, co mimo lekkiego dozbrojenia Anglii w tym czasie miało zły wpływ na ogólną politykę W. Brytanii, co powodowało zbytnie szukanie kontaktów z Niemcami, jako elementem antysowieckim”.

39. W maszynopisie było „...był on zaprzyjaźniony z Niemcami”.

40. Kanclerz Adolf Hitler przyjął premiera N. Chamberlaina w Bad Godesberg nad Renem 22 września 1938 r. w hotelu „Petersberg”. Do porozumienia – z powodu rozbieżności stanowisk wówczas nie doszło.

przed odlotem Chamberlaina do Monachium byłem z Churchilllem i jego sekretarzem parlamentarnym na śniadaniu. Gdyśmy potem szli do Parlamentu, Churchill żartobliwie powiedział, że obawia się, iż jego towarzystwo mnie może skompromitować, na co ja odparłem, że wprost przeciwnie uważam się za zaszczyconego. Wtedy to właśnie Chamberlain [powiadomił] Parlament o zaproszeniu do Monachium⁴¹.

Anglicy zorientowali się [wówczas], że są zupełnie nie gotowi do wojny, że nie mają broni, zaczęli wówczas kopać rowy przeciwlotnicze w parkach. Mimo wszystko jednak stosunek sił był wówczas lepszy aniżeli w rok później.

Monachium przyjęte zostało w Anglii z bardzo mieszanymi uczuciami: na ogół po pierwszej chwili bezkrytycznego zadowolenia, że obeszło się i tym razem bez wojny, nastąpiło otrzeźwienie połączone z przykrem uczuciem upokorzenia, które spowodowało uchwalenie dla Czechów kilku milionów funtów, co jednak oczywiście nie załatwiło sprawy niezadowolenia z sytuacji, w jakiej się Anglia znalazła.

Ale i wówczas byli jeszcze ludzie wierzący, że groźba wojny została zażegnana na szereg lat. Sam Chamberlain jeszcze po powrocie z Monachium mówił i wierzył, że przynosi pokój dla naszej generacji.

Niemniej jednak proces dojrzewania opinii publicznej z wolna postępował naprzód i w jesieni 1938 r. widziano już w Londynie, że Anglia jest bezbronna na lądzie, morzu i w powietrzu i pęd do zbrojeń wzrastał się stale.

Nie wiem o tym, czy Polska starała się o wzięcie udziału w konferencji monachijskiej⁴². Odnosiłem wrażenie, że jesteśmy w ślepej ulicy, bo występujemy przeciwko Czechom, domagamy się równouprawnienia, a Monachium stwarza taką sytuację, że możemy albo powiedzieć sobie, że przegraliśmy z kretesem, albo możemy pójść do Hitlera poprosić go o kawalek Czech.

To było przyczyną, dla której przyjąłem z pewną nawet

41. „Chamberlain pokazywał w Parlamencie zaproszenie do Monachium”.

42. Zdanie to sugeruje, iż przesłuchiwanego ambasadora pytano, czy polskie MSZ zabiegało o udział w rokowaniach monachijskich, co brzmi dość złośliwie lub naiwnie.

ulgą polskie ultimatum do Czech, bo wyzwalało nas ono z głupiej sytuacji, w której, idąc razem z Niemcami, znaleźliśmy się z pustymi rękami, podczas gdy oni zabrali wszystko.

To uczucie nie osłabiało oczywiście u mnie przeświadczenia, że, rozumowo biorąc, Monachium jest dla nas porażką, a Zaolzie szaleńczą próbą wyskoczenia z tej martwej ulicy.

W Londynie ultimatum nasze zostało przyjęte z wielką przykrością i sytuacja nasza tutaj od tej chwili się mocno zepsuła.

Francuzi i Anglicy czuli się bardzo upokorzeni brutalnym narzuceniem im woli Hitlera. Wprawdzie Anglicy z wrodzonym sobie poczuciem wyższości nie starali się do nas o to przyczepić, niemniej jednak odnosili się do nas z bardzo silną niechęcią i czuli głęboką pretensję. Przez jakiś czas w jesieni 1938 r. przypuszczali, że my wprost pójdziemy na niemieckie podwórko, przestali po prostu rozumieć naszą politykę na Zaolziu i wyobrażali sobie, że my, którzyśmy dotychczas siedzieli na płocie dzielącym Niemcy od Rosji, zeskoczyliśmy z tego płotu na stronę niemiecką.

Wynikiem tego był lodowaty chłód w opinii i w prasie, a gdziekolwiek w towarzystwie pojawił się Polak, milkły rozmowy, jak wobec niepewnego gościa. To uczucie niechęci miarkowane było częściowo jedynie poczuciem własnej winy.

Starałem się to odrobić – nie pamiętam, czy i jaka była instrukcja w tej sprawie. W każdym razie usiłowałem wskazywać, że prowadzimy własną politykę, nie idziemy w ogonie Niemiec i że zasługujemy na takie samo zaufanie, jak dawniej.

Na linię polityczną polityki Ministra Becka [według jego komendanta], a jak sądzę i Marszałka Piłsudskiego, składały się trzy czynniki w następującej kolejności: sąsiedzi, sojusznicy, teren międzynarodowy. W miarę wzrostu siły sąsiadów trzeba było więc szukać kompensaty u sojuszników i na odcinku międzynarodowym, stąd też oparcie o Francję i dążenie do oparcia o Anglię.

Gdy gwarancje międzynarodowe słabną (z Ligi Narodów wystąpiły Japonia i Niemcy)⁴³, trzeba tym bardziej szukać

43. Japonia opuściła Ligę Narodów w końcu 1931 r., Rzesza Niemiecka zaś ostatecznie w październiku 1933 r.

gwarancji u sojuszników, zabezpieczając się jednocześnie od strony sąsiadów (pakt z 1934 r.).

W r. 1938 była u nas silna tendencja szukania oparcia w Anglii, posiłkująca się argumentem, że tak Anglia, jak i Polska dążą do równowagi w Europie. W okresie Chamberlaina⁴⁴ można było dążyć do oparcia o Anglię i Francję bez jednoczesnego zaostrożenia polityki w stosunku do Niemców, bo i oba te kraje prowadziły w stosunku do Niemiec politykę pojednawczą.

Beck miał pewnego rodzaju kompleks proangielski i stale dążył do zbliżenia z W. Brytanią, chciał jednak zbliżenia bezpośredniego, a nie *via* Francja.

Tu w Londynie można było mieć na tym tle sporo pretensji do Francji, bo Francuzi ustawicznie dążyli do tego, by wszelkie stosunki nasze z Anglią szły przez nich, jako głównego sojusznika Anglii [na kontynencie]. Anglicy [nierzadko] mówili nam, że Francuzi są zazdrośni o ten ich monopol na stosunki bezpośrednie z Anglią i że idąc do Anglików, powinniśmy to jakoś uzgodnić z Francuzami, by ich nie drażnić.

Ten francuski monopol na Anglię [pamiętam osobiście jeszcze z czasów Locarno. Kiedy pracowałem w Pos[elstwie] Polskim w Londynie], Francuzi od bezpośrednich stosunków z W. Brytanią wtedy [konsekwentnie starali się nas odsuwać]⁴⁵. W okresie załamania się Czechosłowacji Francuzi wypuścili już ster z ręki i wówczas wzięcie spraw czeskich w ręce przez Anglików bezpośrednio zakończyło ten okres.

Gdy w r. 1926 po zamachu majowym Rex Leeper przyjechał do Warszawy⁴⁶, był pod ogromnym wrażeniem osobistości Marszałka Piłsudskiego i nosił się nawet z za-

44. Neville Chamberlain objął urząd premiera w maju 1937 r., będąc wcześniej Kanclerzem Skarbu.

45. W maszynopisie było: „Ten francuski monopol na Anglię datował się jeszcze z czasów Locarno, gdy nas Francuzi od bezpośrednich stosunków z W. Brytanią wtedy odsuwali”.

46. Sir Reginald Leeper (jeden z wybitniejszych dyplomatów brytyjskich), niewątpliwie znawca stosunków środkowoeuropejskich i spraw polskich został mianowany I sekretarzem i *chargé d'affaires* Poselstwa Wielkiej Brytanii w Warszawie już w 1923 r. Raczyński relacjonuje więc te fakty niezbyt ściśle – z pamięci.

miarem napisania jego charakterystyki, ale w r. 1934 tenże sam Leeper był do Polski nastawiony już mocno krytycznie i wytykał nam posunięcia polskiej polityki. Skąd się u niego wzięło to przejście od ówczesnego entuzjazmu do późniejszego krytycyzmu, tego nie wiem.

Nic mi nie wiadomo o tym, by Anglicy (Max Mueller)⁴⁷ finansowali zamach majowy⁴⁸.

Nicią przewodnią instrukcji otrzymywanych przeze mnie z Warszawy było utrzymywanie jak najlepszych stosunków z W. Brytanią. Było to trudne w okresie czeskim, bo Anglicy wyobrażali sobie, że myśmy się sprzedali Niemcom, podczas gdy my z Zaolziem w garści znaleźliśmy się w ślepej ulicy.

Pod koniec 1938 r. starałem się na wszystkie sposoby to odrobić. Szukałem kontaktu z Halifaxem, który był ministrem spraw zagranicznych, ale potraktował mnie bardzo chłodno⁴⁹. Napisałem do Churchilla, że chcę z nim porozmawiać. Odpisał mi na to, że uważał Polskę zawsze za naród o bardzo silnym zmyśle historycznym i czuje wielką przykrość wobec ostatnich wydarzeń, ale ponieważ wszystkie rzeczy wyrównują się zwykle przed wieczorem, który jeszcze nie nadszedł, więc i to się wyrówna.

Wreszcie nawiązałem kontakt z Edenem, który był wówczas prywatnym człowiekiem, i w obszernej rozmowie

47. Sir William Max Muller – poseł brytyjski w Warszawie w latach 1921-1928.

48. Opinia o brytyjskiej inspiracji zamachu majowego 1926 r. znajdowała w środowiskach przedwojennej opozycji antypięsudczykowskiej spory rezonans. Odżyła poniekąd na emigracji po wrześniu 1939 r. Stąd zapewne pytania członków Komisji do Raczyńskiego o jego pogląd na ten temat.

49. W instrukcji dla Raczyńskiego z 29 listopada 1938 r. Beck polecał poszukiwanie kontaktu z lordem Halifaxem. Raczyński miał przypomnieć szefowi Foreign Office, że „Uregulowanie naszych postulatów wobec Czechosłowacji i wyrównanie naszych stosunków z tym państwem byliśmy gotowi przeprowadzić z mocarstwami [zachodnimi]. Skoro jednak to okazało się niewykonalnym, byliśmy zadowoleni z możliwości rozwiązania tego zagadnienia zupełnie samodzielnego, bez długów wdzięczności wobec kogokolwiek, a więc także wobec Niemiec”. Do rozmowy polskiego ambasadora z brytyjskim szefem dyplomacji doszło 14 grudnia 1938 r., 9 grudnia zaś spotkał się on z Williamem Strangiem, szefem Dep. Centralnego FO. Cyt. za A. M. Ciencią, „Minister...”, s. 354. E. Raczyński do J. Lipskiego, 20 grudnia 1938 r., tam wspomniana notatka z 29 listopada 1938 r. przesłana do wiadomości Lipskiego, AAN, Ambasada Berlin, sygn. 924.

wyłożyłem mu na stół całą politykę polską, wyjaśniając, że nie doznała ona żadnej zasadniczej zmiany i że jakkolwiek się sytuacja w Europie przedstawia, my jesteśmy jedyną bodaj pozycją, przez Niemców jeszcze nienaruszoną.

Eden rozmową tą się [nie] przejął⁵⁰ i powiedział mi, że pójdzie z tą sprawą do Halifaxa, prosząc, bym mu to samo wytłuszczył.

Halifax wezwał mnie istotnie do siebie – było to w zimie 1938/39 – i powtórzyłem mu to samo, co mówiłem Edenowi.

Jestem przekonany, że rozmowy te miały wpływ na gwarancję Chamberlaina. Anglia widziała już wówczas, że jest to ostatni moment, że zagrożone są już jej bezpośrednie interesy. Francja jest słaba, a fala niemiecka już wisi nad głową. Doszli więc do przekonania, że trzeba uczynić jakiś śmiały krok na kontynencie, by ratować sytuację, i poszli dalej, niż się spodziewaliśmy.

Wypadki szły szybko. Następnym etapem była wizyta Becka w Berchtesgaden w styczniu 1939 r., wizyta Ribbentropa w Warszawie w lutym⁵¹, marsz Węgrów do wspólnej z nami granicy, [wreszcie rozbięcie Czechosłowacji]. O wynikach tych rozmów [z Niemcami] bliższych danych nie miałem, bo mnie nie informowano, ale czułem, że około Polski wytwarza się niezdrowa atmosfera jako wokoło następnej ofiary Niemiec.

Ambasadorem niemieckim w Londynie po antypatycznym i brutalnym Ribbentropie został von Dirksen⁵², typ raczej urzędnika, z którym można było utrzymywać tylko ściśle formalne stosunki w ołowianej atmosferze. Było rzeczą jasną, że sytuacja szybko się pogarsza.

Po zajęciu Czech przez Niemców Halifax wezwał mnie

50. W wersji pierwszej było „Eden rozmową tą się nie przejął...”.

51. Józef Beck został przyjęty w Berchtesgaden przez A. Hitlera 5 stycznia 1939 r. Rozmawiał też z von Ribbentropem. Ten ostatni przebywał z wizytą oficjalną w Polsce nie w lutym, ale w dn. 25-26 stycznia 1939 r., tj. w piątą rocznicę podpisania deklaracji o niestosowaniu przemocy.

52. Minister von Ribbentrop ustąpił ze stanowiska ambasadora Rzeszy w Londynie w początkach 1938 r. Herbert von Dirksen (1882-1955), ambasador w Londynie 1938-1939, wcześniej ambasador w Tokio i Moskwie. W protokole nazwisko pisane z błędem – „Dirksen”.

do siebie i zaproponował złożenie wspólnej deklaracji Anglii, Francji, Polski i Sowietów. Było to w marcu 1939 r.⁵³ Ja oczywiście oświadczyłem, że propozycję tę podam natychmiast do wiadomości swemu rządowi. Byłem nią zaskoczony i wzruszony, bo zdawałem sobie sprawę, że Anglicy angażują się na całego. Powiedziałem jednak Halifaxowi oczywiście, że nie mogę przesądzać, jak się do tej propozycji ustosunkuje Rząd Polski.

Warszawa propozycję tę uchyliła jako niewystarczającą, wychodząc z założenia, że wywoła ona gwałtowną reakcję Niemiec, nie wiemy zaś, o ile będziemy w razie potrzeby kryci przez państwa podpisujące tę deklarację.

Rozumiałem wówczas, że Beck miał do ostatniej chwili nadzieję, iż przez wprowadzenie Anglii do rachunku po naszej stronie potrafi jeszcze uniknąć wojny za pomocą jakiegoś układu. Wyobrażał sobie, że może ofiarować Niemcom to, iż nie wprowadzi do wspólnej deklaracji Sowietów, które uważał za śmiertelnego wroga Niemców.

Zdaniem jego deklaracja wspólna z Sowietami oznaczała bezwzględnie wojnę – deklaracja bez Sowietów pozwoli na rozmowy, bo skoro Niemcy nie awanturowali się o nasz układ z Francuzami, więc przypuszczał, że można będzie do niego włączyć i Anglików bez spowodowania wojny.

Ja widziałem zbliżającą się wojnę, obserwując sytuację na tutejszym terenie, i raportowałem do Warszawy.

Dnia 8 czerwca 1939 r. byłem w Foreign Office na bankiecie wydanym z okazji urodzin Króla (urodziny te przypadały na zupełnie inny czas, ale obchodzono je w czasie londyńskiego sezonu w lecie)⁵⁴. Byli tam członkowie rządu i

53. Nastąpiło to dokładnie 18 marca 1939 r.

54. Raport o tym Raczynski przekazał Beckowi 26 czerwca 1939 r. AAN, MSZ, sygn. 6652 A. Ambasador pisał, że argumentacja władz sowieckich w rozmowach Stranga jest – w opinii Lorda Halifaxa – „(...) drażniąca i niepoważna; i tak tłumaczą one Anglii, że ewentualna pomoc udzielona np. Polsce jest ofiarą, którą Sowiety miałyby złożyć na rzecz interesów brytyjskich, bezpieczeństwo bowiem Polski jest Moskwie obojętne!... (...). Podsekretarz Sargent dawał w mojej obecności wyraz swojemu rozgoryczeniu, że Sowiety, otrzymawszy dzięki zobowiązaniu polsko-angielskiemu o pomocy wzajemnej cenne zabezpieczenie swoich granic i to za darmo – obecnie tym śmieiej uprawiają polityczny szantaż...”

dypłomaci. Dostałem miejsce obok Chamberlaina i rozmawiałem z nim blisko przez godzinę, (przestrzegając go przed Beaverbrookiem!) i była też wówczas mowa o Hitlerze. Chamberlain powiedział mi wówczas, że przekonał się, iż Hitler nie jest uczciwym człowiekiem, że prze do wojny i że [dopóki on żyje, porozumienie z Niemcami jest nie do pomyslenia!]⁵⁵. Wynika z tej rozmowy, do jakiego stopnia Chamberlain był uczciwy i łatwowierny. Raportowałem o niej oczywiście natychmiast do Warszawy.

Gdy Anglicy upewnili się, że nie chcemy wspólnej deklaracji z Rosją, ale że nie mamy nic przeciw deklaracji samej jako takiej, Chamberlain spontanicznie bez poprzedniego uzgodnienia z nami złożył w Parlamencie deklarację, zawierającą gwarancję dla Polski. Mnie wezwano bezpośrednio przedtem tego samego dnia do Foreign Office i uprzedzono o tym, że deklaracja taka zostanie złożona, dając mi jej tekst.

Anglikom szło o to, by z deklaracji zrobić sojusz, i gdy przyjechał w początku kwietnia 1939 r. Beck, pierwszym pytaniem pod jego adresem było, czy godzi się na umowę dwustronną. Beck zgodził się od razu, wychodząc z założenia, że Polska powinna być aktorem w polityce, a nie przedmiotem.

Formuła wejścia w życie gwarancji postanawiała, że my jesteśmy sędziami, którzy mają stwierdzić, kiedy nasze interesy są zagrożone. Ta gentelmeńska formuła, dająca nam pełną swobodę działania, opracowana została samodzielnie⁵⁶ przez prawników angielskich.

Następnie zaczęły się długie rozmowy na temat, jakie interesy będzie uważała Polska za blisko ją obchodzące, a co będzie uważała Anglia. Gdańsk został uznany za taki interes bez dyskusji, my dodaliśmy Litwę, Anglicy dodali Belgię i Holandię, wycofali natomiast Jugosławię, [o której zrazu myśleli, wobec tego że Jugosławia] do takiej gwarancji nie okazywała entuzjazmu, nie chcąc się narażać Niemcom⁵⁷.

55. W wersji pierwszej było „...nie będzie można się z nim porozumieć”.

56. Wykreślono słowo „spontanicznie”.

57. Poza tym obydwie strony zobowiązały się do konsultacji wzajemnych co do ewentualnych kontrapozycji na wypadek zagrożenia przez Niemcy niepodległości Łotwy i Estonii, ale tylko pod warunkiem zawarcia odpowiedniego porozumienia między Wlk. Brytanią a „państwem trzecim”, tj. ZSSR.

Rumunia była pokryta niepełnym sojuszem z nami.

Rozmowy polsko-angielskie przeszły następnie na teren wzajemnych zapytań co do sił militarnych własnych i niemieckich, nie było jednak przy tych rozmowach ekspertów wojskowych.

Ze strony angielskiej brali udział w nich Chamberlain i Halifax, z polskiej zaś Minister Beck i ja oraz Józef Potocki⁵⁸. Niektóre rozmowy odbywały się bez Chamberlaina.

Jednym z zasadniczych tematów była sprawa wzajemności, ale mimo to nie doszło do pełnego jej sprecyzowania, to jest do formalnego traktatu. Skończyło się na tym, że Chamberlain ma złożyć wiążącą deklarację w Izbie Gmin. Tak więc układ gwarancyjny był wiążący, choć niepisany.

W następnych miesiącach rokowania te nie poczyniły postępów, a to z powodu Anglii, która zabrała się do rozmów rosyjskich. Rokowania te odbywały się w Moskwie i szły ciężko, zwłaszcza od chwili, gdy ustąpił Litwinow⁵⁹.

My nie nagliliśmy o formalny traktat, a Anglicy się nie spieszyli. Dopiero gdy sytuacja z Niemcami doznała dużego zaostżenia, przyjechał z Warszawy Kulski⁶⁰ z instrukcjami i zredagowaliśmy traktat, składający się z części jawnej i tajnego protokołu.

W sprawie rozmów z Rosją nie mam żadnych zarzutów odnośnie naszego stanowiska. [Opinia publiczna angielska]⁶¹ miała dużo iluzji co do Rosji i wyrażali przekonanie, że rokowania poszłyby lepiej, gdyby Polska była do nich ustosunkowała się pozytywnie.

Foreign Office informowało nas dobrze o przebiegu rokowań, ale nie wywierano na nas żadnego nacisku w tej sprawie.

Stalin się wykręcał, zmieniał warunki, wreszcie chciał

58. Józef Potocki (1895-1968), był w l. 1934-1939 naczelnikiem Wydziału Zachodniego i wicedyrektorem Departamentu Politycznego MSZ.

59. Jest to sformułowanie nieścisłe. Litwinow ustąpił ze stanowiska Komisarza Ludowego Spraw Zagranicznych z dn. 3 maja 1939 r. Rokowania polityczne w Moskwie rozpoczął William Strang (szef Wydziału Centralnego Foreign Office) w Moskwie dopiero z początkiem czerwca 1939 r.

60. Władysław Kulski (ur. 1903), radca prawny w polskim MSZ.

61. Zastąpiono w ten sposób zwrot „Anglicy”.

układu wojskowego przed zawarciem układu politycznego, co Anglicy uważali już za grę.

Raz tylko w lecie 1939 r. wywierano na mnie pewien nacisk w rozmowie prywatnej, w której wzięli udział Churchill, Lloyd George, Lord Beaverbrook⁶², Bracken⁶³, kilka innych osób i ja. W zajądłej dość dyskusji wysuwano tezę, że przeszkadzamy w dojściu do porozumienia Anglii z Rosją.

Tłumaczyłem, że wprowadzie my nie chcemy się porozumiewać z Rosją, ale nie przeszkadzamy Anglii i ktoś z biorących udział w tej rozmowie oświadczył to później w Izbie Gmin.

Na kilka dni przed końcem rokowań Sowiety zażądały baz w Wilnie i Lwowie, co Anglicy podali nam do wiadomości, wiedząc, że my się na to nie zgodzimy i nie mając o to do nas żadnej pretensji.

Wracam do sprawy traktatu polsko-angielskiego. Kulski przyjechał w początku sierpnia i rozmowy na temat traktatu szły bardzo dobrze. Tymczasem dnia 23 sierpnia doszła do Londynu wiadomość o układzie handlowym i politycznym sowiecko-niemieckim i wówczas Anglicy zawahali się przed podpisaniem traktatu z nami. Wówczas poszedłem do Halifaxa, tłumacząc, że jeśli ma nastąpić odprężenie w sytuacji niemieckiej, to może się to stać tylko przez podpisanie traktatu z nami [gdyż porozumieniu można ustalić tylko na skutek ostrzeżenia ich, a nie słabości]⁶⁴. Równocześnie Kulski

62. Lord Beaverbrook, w czasie wojny minister zaopatrzenia. Polityk Polse ogólnie nieprzychylny.

63. Brendan Bracken, poseł do Izby Gmin, Minister Informacji w wojennym Gabinetie Churchilla.

64. Raport o tej rozmowie złożony przez Raczyńskiego Beckowi 24 sierpnia 1939 r. znajduje się w IPMS, Ambasada Londyn, sygn. A 12. 49/W.B./13A. Dokument został opublikowany (por. M. Kornat, „Dyplomacja II Rzeczypospolitej wobec paktu Ribbentrop-Mołotow”, *Dzieje Najnowsze*, R. z. 2, 2000, s. 23-54 – jako aneks do tego artykułu). Amb. Raczyński pisał wówczas: „(...) dałem wyraz memu przekonaniu, że cokolwiek powiedzieć by można o nieujawnionych klauzulach porozumienia sowiecko-niemieckiego, to wydaje się oczywistym, że ze strony sowieckiej przy chęci zysku największą rolę odegrała obawa przed dynamizmem Trzeciej Rzeszy. Układ zabezpiecza Sowietów i gwarantuje im niewątpliwie korzyści, czy to na wypadek jakiegokolwiek konferencji międzynarodowej, czy też na wypadek wojny zlokalizowanej. Natomiast na wypadek wojny

wyjechał do Warszawy, by otrzymać upoważnienie do zrezygnowania z drugorzędnych punktów spornych, które wstrzymywały uzgodnienie treści traktatu.

Mieliśmy go podpisać 25 sierpnia i ponieważ było rzeczą ryzykowną czekać, aż Kulski powróci z instrukcjami, podpisałem go na własne ryzyko, [po przeprowadzeniu ogólnej rozmowy telefonicznej]⁶⁵. Byłem bowiem przekonany, że musi dojść do wojny i że Anglicy mogliby ewentualnie pójść na jakieś drugie Monachium.

Beck do samego końca łudził się, że do wojny nie dojdzie, że Hitler istotnie chce tylko autostrady i Gdańska [i zachowania przewagi Niemiec], i że przy patronacie angielsko-francuskim da się wybrnąć z sytuacji kosztem jakichś ustępstw z naszej strony⁶⁶.

Czy i Anglicy w to wierzyli, tego nie wiem, ale w każdym razie decydując się w ostatniej chwili podpisać traktat z nami robili wysiłki w Berlinie, by uratować pokój, wbrew temu, co mówił w tym okresie Hitler.

O podróży Ironside'a do Warszawy⁶⁷ wiem tyle, że miała ona na celu rozmowy sztabowe i że był z tych rozmów spisa-

ogólnej, w której obok Polski znaleźliby się jej zachodni sprzymierzeńcy, Sowiety miałyby cały interes w tym, aby trzymać się neutralności i nie jest do pomyślenia, aby się kwapiły do pomagania Niemcom. Powiedziałem dalej, że jakkolwiek sytuacja Polski nie jest dobra i nie pozostawia nam swobody wyboru postępowania, to sytuacja Francji i Anglii jest – wbrew pozorom – niewiele lepsza. Metodą najbezpieczniejszą dla tych Państw jest metoda stanowczości. O ile by jej nie obrali, to ryzykują, że współpraca sowiecko-niemiecka stanie się naprawdę ścisła, dając Niemcom swobodę w odpowiedniej chwili (i to bardzo wnet) do rozprawienia się z Francją”.

65. W tekście maszynopisu było „...nie czekając na wieści z Warszawy”.

66. Na marginesie dopisano ołówkiem „jakich?” Zapewne ręką któregoś z członków Komisji.

67. Gen. William R. Ironside (1880-1959), Szef Sztabu Imperialnego Wielkiej Brytanii od czerwca 1939 r. Przebywał z wizytą w Warszawie w dn. 17-21 lipca 1939 r. i z naciskiem zachęcał kierownictwo polskich sił zbrojnych do odrzucenia godzących w niepodległość Polski żądań III Rzeszy. Formalny protokół powinien być sporządzony, ale nie został dotychczas ogłoszony. Sprawozdanie gen. Wacława Stachewicza odnotował Jan Szembek. Por. Dziennik i teki Jana Szembeka (1935-1945), t. 4 (1938-39), oprac. J. Zarański, Londyn 1972, s. 675-676. Mamy też dziennik brytyjskiego generała, por. „The Ironside Diaries 1937-1940”, London 1962 (odnośnie Polski por. s. 82).

ny [jakiś] protokół, ale [dokumentu tego nie widziałem] jaka była treść tych rozmów, tego nie wiem.

O ile pamiętam, Ironside po powrocie z Warszawy mówił, że obawia się, iż gen. Stachiewicz jest zbyt optymistą i łądzi się co do sytuacji militarnej, wspominał, że widział bardzo piękne manewry, że piechota polska jest dobra i że mówiono mu, iż broń mechaniczna niemiecka w Polsce nie da dobrych wyników, bo są złe drogi i że polski żołnierz, podoficer i oficer stoją na wysokim poziomie.

Na jakiś czas przed wojną, [w końcu lipca]⁶⁸, byłem raz na zebraniu na Zamku w Warszawie. Udział w nim wzięli Prezydent Mościcki, Rydz-Śmigły, Beck, Składkowski, Kwiatkowski, Koc⁶⁹ i ja i toczyły się rozmowy na temat pożyczki brytyjskiej.

Powiedziałem wówczas Rydzowi-Śmigłemu, że uważam za konieczne, by Szef Sztabu jak najprędzej pojechał do Londynu, by nawiązać należyty kontakt militarny ze sztabem angielskim. Śmigły odpowiedział mi na to mniej więcej w ten sposób, że sprawy wojskowe są w porządku, że istnieje pełny kontakt z Anglikami i że rzeczy te okrywa tajemnica wojskowa⁷⁰.

Będąc latem 1939 r. w Warszawie, poszedłem do gen. Stachiewicza i powiedziałem mu, że uważam za rzecz niezbędną nawiązanie ścisłego kontaktu wojskowego z Londynem [przez niego osobiście], na co dostałem odpowiedź, że nasz Sztab ma dostateczny kontakt, wyglądało jednak z tej odpowiedzi, że gen. Stachiewicz niezbyt wiele sobie po Anglikach obiecuje.

W ostatnim tygodniu przed wojną Churchill był w ustawicznym kontakcie ze mną. Były to gorące dni, pełne go-

68. Wykreślono z maszynopisu słowa: „...kiedy, dokładnie nie pamiętam”.

69. Płk Adam Koc (1891-1969), w r. 1939 podsekretarz stanu w Ministerstwie Skarbu i wiceprezes Banku Polskiego. Przewodniczył delegacji polskiej w Londynie w zakończonych niepowodzeniem rokowaniach o kredyt dla Polski na cele zbrojeniowe.

70. Ten pogląd marszałka Rydza-Śmigłego wydaje się mało realistyczny. Władzom wojskowym w Warszawie winno przecież było zależeć na możliwie rzetelnej orientacji w zakresie wojskowych możliwości i planów brytyjskiego sojusznika.

rażkowych rozmów i telefonów i byłem wówczas w stałym kontakcie z decydującymi kołami w Londynie.

Otrzymawszy wiadomość o wkroczeniu Niemców na terytorium Polski, poszedłem z notą odpowiedniej treści do Halifaxa, który mnie przyjął oświadczeniem, że nadszedł moment historyczny.

Po południu tegoż pierwszego września było zebranie Parlamentu, ja wieczorem byłem na Downing Street, gdzie podałem wiadomość o bombardowaniu miast polskich, i otrzymałem odpowiedź Anglików, że oni są z nami.

Dnia 2 września było znowu posiedzenie Parlamentu, na którym miała nastąpić pod wieczór deklaracja premiera. Ale tymczasem wypłynęła inicjatywa Mussoliniego⁷¹ i do tej deklaracji wojennej nie doszło.

Tegoż dnia byli u mnie Dalton i Greenwood⁷² i ten ostatni mi powiedział, że jeśli rząd nie wypowie wojny, to zostanie obalony. Tegoż dnia Greenwood miał wspaniałą mowę w Parlamencie, gdy zaś w niej powiedział, że interes brytyjski wymaga zbrojnego wystąpienia, przerwano mu okrzykami, że wymaga tego honor brytyjski. Izba Gmin zadecydowała o wojnie.

3 września rano zjawiłem się znowu u Halifaxa z notą, on mi jednak oświadczył, że uważa notę tę za niebyłą, bo wojna jest już wypowiedziana.

Tegoż 3 września Churchill oświadczył mi, że jest obecnie Pierwszym Lordem Admiralicji. [Odwiedziłem go w Admiralicji dnia następnego, naciskałem], by W. Brytania zaatakowała Niemcy natychmiast, bo sytuacja militarna na naszym froncie jest groźna.

Churchill mi na to odpowiedział, że akcję wojskową muszą zrobić Francuzi, a my możemy ją tylko poprzeć lotniczo na zachodnim froncie, bo nie mamy przecież tam woj-

71. Premier Benito Mussolini wysunął propozycję zwołania konferencji wielkich mocarstw na wzór monachijski. To miało zapobiec przekształceniu wojny polsko-niemieckiej w konflikt europejski. Koncepcja ta spotkała się z uwagą w Paryżu, ale wieczorem 2 września 1939 projekt ten został przez rząd brytyjski odrzucony.

72. Hugh Dalton (1887-1962), brytyjski minister pracy w 1939 r. Sir Arthur Greenwood (1880-1954) – poseł do Izby Gmin z Partii Pracy.

ska. Tymczasem zaś Francuzi nie chcą podjąć żadnej większej akcji na lądzie i domagają się naszego samodzielnego działania lotnictwem, co nasi eksperci wojskowi uważają za nieodpowiednie.

Te nieporozumienia między Anglią i Francją spowodowały, że żadnej większej akcji na Zachodzie nie podjęto w tym okresie, mimo że o nią interweniowałem, gdzie tylko mogłem.

Oświadczył mi wówczas Halifax, że wprawdzie nie mogą w tej chwili naszego czeku honorować [w drodze akcji wojskowej], ale natychmiast po wygranej wojnie [będą go w pełni honorować politycznie]⁷³.

73. W wersji pierwotnej „...dostaniemy wszystko co chcemy”.

Zenowiusz PONARSKI

SOWIECKI AGENT O WYSTĄPIENIU PETERA KLEISTA W MAJU 1939 R. W WARSZAWIE

Dr Peter Kleist, szef wydziału wschodnio-europejskiego „Dienststelle Ribbentrop” był w końcu stycznia 1939 r. wraz z min. Ribbentropem w Warszawie. O rozmowach niemieckiego ministra wiadomo z „Diariusza” Szembeka. W rozmowie z min. Beckiem był poruszony problem Rusi Podkarpackiej i „wprawdzie nam wspólną granicę z Węgrami *quasi* ofiarował, ale na te sugestie umyślnie nie reagował”. Na audjencji u marszałka Śmigłego Rydza wyrażał zachwyty nad armią polską i podkreślił, że Rosja jest osłabiona, a „ZSSR jest jednak w swych posunięciach zawsze nieobliczalny i nigdy nie

można wiedzieć z góry z czym nazajutrz wystąpi”. Jednocześnie zaznaczył, że Rzesza ma bardzo mało wywiadu na Rosję i korzysta w tej mierze głównie z informacji wywiadu japońskiego, do którego nie mają zbyt wiele zaufania¹.

Nie wiemy, z kim się w tym czasie spotykał bliski współpracownik Ribbentropa, Peter Kleist, i o czym rozmawiał. Domniemywać można, że w Warszawie kontaktował się z członkami Towarzystwa Polsko-Niemieckiego, odpowiednikiem berlińskiego Towarzystwa Niemiecko-Polskiego, założonego w 1937 r. przez Kleistą. Z listu Kleistą do premiera Cyrankiewicza z 1970 r. wynika, że jego rozmówcami w Warszawie byli: szef gabinetu min. Becka, Łubieński, dr Guttry i prezes Towarzystwa Polsko-Niemieckiego, Gołuchowski².

Rozmowy polsko-niemieckie ze stycznia 1939 r. nie doprowadziły do polepszenia stosunków. Jednocześnie Ribbentrop rozpoczął flirt z „nieobliczalnym” Związkiem Sowieckim. Wystąpienie Stalina z 10 marca 1939 r. na XVIII zjeździe partii komunistycznej, mówiące o tym, że ZSSR i Niemiec nie dzielą poważne spory i różnice, zachęciło go do poszukiwania dróg porozumienia z Moskwą.

Ribbentrop pragnął za pośrednictwem nieoficjalnych kanałów, poza ministerstwem spraw zagranicznych, nawiązać kontakt z sowieckimi dyplomatami w Berlinie. Powierzył 7 kwietnia 1939 r. Kleistowi dokonanie sondażu o możliwości bliskiej współpracy Niemiec z ZSSR. Peter Kleist w tym celu złożył wizytę w sowieckiej ambasadzie i rozmawiał z Astachowem, najwyższej rangi dyplomatą sowieckim, przebywającym wówczas w stolicy. Podczas poufalej rozmowy usłyszał, że „Niemcy i Związek Sowiecki nie powinny prowadzić absurdalnych sporów dotyczących ideologicznych subtelności, lecz jak dawniej bywało, ramię w ramię prowadzić wielką politykę”³.

1. „Dziennik i teki Jana Szembeka”, t. IV, Londyn 1972, s. 479.

2. Kleist P., „Die europäische Tragödie”, Pr. Oldendorf 1971, s. 310. Michał Łubieński był dyrektorem gabinetu min. spraw zagr.; Aleksander Guttry był znawcą literatury niemieckiej, sekretarzem Polskiej Unii Intelktualnej; Wojciech Gołuchowski, ziemianin, polityk, był posłem na sejm w 1928 r. i senatorem od 1935 r.

3. Kleist P., *op.cit.*, s. 183; M. Bloch, „Ribbentrop”, Warszawa 1995, s. 201.

Kleist te sensacyjne słowa przekazał Ribbentropowi. Dal-
szym ciągiem spotkania było oświadczenie ambasadora ZSSR,
złożone 17 kwietnia Weizsäckerowi, że podziały ideologiczne
nie powinny zakłócać, „rozwijających się znakomicie sto-
sunków”. Następnym krokiem Moskwy była dymisja 3 maja
szefa sowieckiej dyplomacji Litwinowa i objęcie stanowiska
przez premiera Mołotowa, prawą rękę Stalina.

Na początku maja 1939 r. Kleist znowu zawitał do
Warszawy. Nie jest wiadomo, jaki był cel wizyty. Spotkał się
2 maja z osobami, wśród których był agent sowieckiego
wywiadu wojskowego. Przekazał on streszczenie rozmowy do
Moskwy. Relację skróconą zamieścił 9 maja komunikat
specjalny 5-go Zarządu Czerwonej Armii. Pełną relację otrzy-
mał 17 maja Minister Obrony ZSSR, marszałek K. Woroszy-
łow, od zastępcy naczelnika 5-go Zarządu (wywiadu),
Bohatera Związku Sowieckiego, komdywa I. Proskurowa⁴.

Podczas gdy Ribbentrop narzekał w Warszawie na brak
informacji wywiadowczych z ZSSR, Rosjanie nie mogli się
skarżyć, że nie mają takowych z Niemiec. W ambasadzie
Niemiec w Warszawie radca ambasady von Szeliha był na
usługach wywiadu sowieckiego.

Znany jest przebieg kontaktów sowiecko-niemieckich,
które doprowadziły do wizyty Ribbentropa w Moskwie 23
sierpnia 1939 r. W licznej ekipie był Peter Kleist. Podpisany
pakt sowiecko-niemiecki i tajne klauzule o podziale wpływów
w Europie zapoczątkowały drugą wojnę światową⁵.

Już po wojnie Kleist uznał, że jego spotkanie z Astacho-
wem w 1939 r. było początkiem „wielkiej polityki”, która do-
prowadziła do paktu Ribbentrop-Mołotow („Die europäische
Tragödie”, Pr. Oldendorf 1971). Raz jeszcze, w 1943 r. w
Sztokholmie próbował wpłynąć na bieg wydarzeń, podejmu-
jąc próbę osiągnięcia separarystycznego pokoju ze Związkiem
Sowieckim⁶.

W maju 1939 roku Kleist wystąpił w gronie zaufanych
pracowników ambasady niemieckiej i poinformował o kie-

4. „Czto skazał doktor Kleist w 1939 godu”, *Wojenno-Istoriczeskij
Żurnal*, nr 12 z 1991, s. 21-23.

5. Bloch M., *op.cit.*, s. 210.

6. Kleist P., *op. cit.*, s. 176-232.

runkach polityki zagranicznej i zamiarach Hitlera wobec Polski. Zapoznanie się w Moskwie z treścią wystąpienia bez wątpienia pozwoliło sowieckim politykom na odpowiednie korekty posunąć dyplomatycznych.

We wrześniu 1939 r. w momencie agresji niemieckiej Kleist usiłował nakłonić Litwę do wystąpienia przeciwko Polsce. Kilkakrotnie spotykał się z posłem Litwy w Berlinie, płk. Kazysem Szkirpą, którego namawiał, by wpłynął na rząd w Kownie zachęcając do marszu na Wilno. Zapewniał, że wyprawa nie będzie trudna, i obiecywał pomoc materialną i wojskową w przypadku najazdu na Wilno.

Ostatni raz rozmawiając ze Szkirpą 13 września dał mu do zrozumienia, że za 2-3 dni zaistnieją się nieoczekiwane wydarzenia, i ponaślał do marszu na Wilno „szybko, szybko”. Nie ukrywał w rozmowie z nim, że Niemcy traktują porozumienie z ZSSR jako czasowe⁷.

Opublikowany tekst nie wymaga obszerniejszego komentarza. Cynicznie i bez ogródek Kleist przedstawił cel polityki niemieckiej jako likwidację państwa polskiego. Pozostałe kroki temu były podporządkowane. Konflikt z Polską został idealnie zaplanowany prowokacją w Gliwicach. Wbrew prognozom Kleista, nie był lokalny, a Ameryka zdążyła z interwencją. Wariant ukraiński odpadł z powodu paktu ze Związkiem Sowieckim.

Peter Kleist pojawił się ponownie na zachodnio-niemieckiej scenie politycznej po wojnie. Wydał kilka książek. „Między Hitlerem a Stalinem” miała przekład francuski. Powracał do przeszłości („Die europäische Tragödie”) i pouczał o przyszłości („Endlösung für freie Welt?”)⁸.

Inaczej potoczyły się losy Iwana Proskurowa (1907-1941), szefa wywiadu wojskowego (od kwietnia 1939 do maja 1940 r.). Po aresztowaniu przebywał na Łubiance, skąd z 15 na 16 października 1941 r. przewieziono go do Kujby-

7. Szkirpa K., „Lietuvos nepriklausomybes sutemos” (Zmierzchniepodległej Litwy), Chicago-Vilnius, s. 178-179, 203.

8. Kleist P., „Zwischen Hitler und Stalin”, Bonn 1950, przekład francuski: „Entre Hitler et Stalin”, Paryż 1953; „The European Tragedy”, Times Press 1965 (?); „Endlösung für die freie Welt?”, Hannover 1972; „Auch Du warst dabei”, Heidelberg 1952.

szewa. Rozstrzelano go tam 28 października. Po kilku dniach Stalin pozostałych przy życiu wyższych oficerów zwolnił z więzienia⁹.

Rok później zginął Rudolf von Szeleha, pochodzący z arystokratycznej rodziny śląskiej oficer kawalerii podczas I wojny światowej. W sierpniu 1939 r. przeniesiono go do Berlina. Pracował w Wydziale Informacyjnym MSZ. Mimo otrzymanych w lutym 1941 r. od GRU 30 tys. marek niechętnie kontynuował współpracę z wywiadem sowieckim. Przeczucia go nie myliły. Rozstrzelano go w końcu 1942 r.¹⁰

Przetłumaczył i opracował
Z. PONARSKI



Ludowemu Komisarzowi Obrony
ZSSR
Marszałkowi Związku Sowieckiego
tow. Woroszyłowi

Przedstawiam tłumaczenie materiału, ukazującego dalsze plany niemieckiej agresji w ocenie kier(ownika) wydziału wschodniego kancelarii Ribbentropa – Kleista.

Główne tezy tego materiału zostały przedstawione w zwięzłym kształcie w specdoniesieniu 5 Zarządu RWACz nr 472348 z 9.5.39 r.

ZAŁĄCZNIK: tłumaczenie na 6 kartach

Zast. Ludowego Komisarza Obrony ZSSR
naczelnik 5 Zarządu RWACz
Bohater Związku Sowieckiego
komdiw Proskurow

9. „Czto skazał...” *op.cit.*, s. 21; Christopher A., Gordijewski O., „KGB”, Warszawa 1997, s. 242.

10. Christopher A., Gordijewski O., „KGB. Istoriya wniesznopolityczeskij operatij”, London, Sydney, Auckland, Toronto (brw) s. 256, 257, 271, 273, 292, 364.

CAPAS (Centralne Archiwum Państwowe Sowieckiej Armii, f. 33987 op.3, d. 1237, kk 269-274
Odpis.

DALSZE PLANY AGRESJI FASZYZMU
NIEMIECKIEGO W OCENIE WSPÓŁPRACOWNIKA
NIEMIECKIEGO MINISTERSTWA SPRAW
ZAGRANICZNYCH – KLEISTA

2.5.39 r. d[okto]r Kleist, bliski współpracownik niemieckiego imperialnego ministerstwa spraw zagranicznych i członek biura Ribbentropa, odwiedził Warszawę. Podczas jednej ze swych rozmów Kleist nakreślił następujący obraz sytuacji politycznej:

„Podczas rozmowy z Ribbentropem Hitler osobiście powiedział, że Niemcy w obecnej chwili przeżywają etap militarne umacniania się na Wschodzie, które należy osiągnąć wszystkimi możliwymi środkami, bez względu na ideologiczne przesłanki. Po bezlitosnym oczyszczeniu Wschodu, nadejdzie «etap zachodni», który musi zakończyć się militarną bądź polityczną klęską Francji i Anglii. Dopiero po tym można liczyć na rozbicie Związku Sowieckiego.

W chwili obecnej jesteśmy na etapie militarne umocnienia Wschodu. Polska stoi w kolejce. Kroki marcowe Niemiec – utworzenie protektoratu Bohemii i Moraw, powstanie państwa słowackiego, przyłączenie okręgu kłajpedzkiego – skierowane były przeciwko Polsce. Hitler koło lutego br. oświadczył, że nie można zawojować Polski na swoją stronę drogą rokowań. Zdecydował więc, że należy siłą Polskę rzucić na kolana.

W wąskim kręgu osób zaufanych Hitlera wiadano, że ostatnie propozycje niemieckie zostaną odrzucone. Hitler i Ribbentrop byli przekonani, że rząd polski, ze względów wewnętrznej i zagranicznej polityki, nie będzie w stanie przyjąć żądań niemieckich.

Wobec tego Niemcy do swych propozycji mogli włączyć punkt o 25-letniej gwarancji nienaruszalności granic. Słuszne się okazały kalkulacje niemieckie. Wskutek odrzucenia przez Polskę uzyskaliśmy wolną rękę w stosunku do niej.

Jeśli Polska nie przyjmie propozycji niemieckich i w najbliższych tygodniach nie kapituluje, nie można bynajmniej przyjąć, że w lipcu-sierpniu dokona się napaści zbrojnej. Polski sztab generalny przyjmuje, że działania wojenne nastąpić mogą jesienią, po zbiorach. Przyjmujemy zniszczyć Polskę znienacka i osiągnąć szybki sukces. Większy strategiczny opór armii polskiej złamany winien być po 8-14 dniach. Atak na Polskę winien jednocześnie nastąpić – z wschodniej granicy niemieckiej, ze Słowacji, Ukrainy Zakarpackiej i W(schodnich) Prus. Najazd winien nastąpić w sposób najbardziej zaciekły i, jak sądzą w niemieckim sztabie generalnym, doprowadzi do zdumiewającego sukcesu. Pozostałe ośrodki oporu, które pozostaną bez wątplenia jeszcze w całym kraju, zostaną zniszczone najbardziej bezwzględny sposobem, ale w czasie małej wojny, nie mającej większego znaczenia.

Przygotowania Niemiec przeciwko Polsce, odłożono na lipiec-sierpień. Środki wojenne podjęte zostaną tuż przed wystąpieniem. Zrealizować należy je solidnie i całościowo, z całkowitym zachowaniem maskowania. Kroki polityczno-propagandowe dopiero rozpoczęto. Obecnie przygotowuje się materiał do propagandowego wystąpienia przeciwko Polsce. W pierwszej kolejności są następujące tematy: pod hasłem «Polska – drugie mozaikowe państwo», potępić należy terrorystyczną i niebezpieczną politykę narodowościową; pod hasłem «Polska – państwo reakcji i upadku», należy pokazać nędzę polskich włościan, kulturalne zacofanie państwa, feudalny sposób gospodarki i głodowy byt ludności polskiej; pod hasłem «Pasożyci przy władzy», koniecznie trzeba przedstawić klasę rządzącą Polski, sprzedajność przywódców polskich, ich dekadencję i oderwanie klasowe od szerokich rzesz ludności. Przygotowywane są inne podobne tematy, które powinny być w tezach i we właściwym czasie opublikowane w prasie. Celem tej akcji jest wpływ na opinię światową i ludność polską. Doprowadzić należy do wewnętrznego

rozłamu narodu polskiego i niezadowolenia ludności z przywódców, wykorzystując w tym celu sprzeczności klasowe.

Przygotowanie wystąpienia propagandowego przeciwko Polsce potrwa około dwóch miesięcy.

Będzie idealnie, jeśli konflikt z Polską nie zostanie sprowokowany przez stronę niemiecką. W Berlinie rozważa się obecnie sprawę wciągnięcia do tego Ukrainy. Dogadano się z Wołoszynem i Rajewem odnośnie autonomii ustawowej Ukrainy Zakarpackiej w ramach państwa węgierskiego. Odzyskamy w ten sposób zaufanie ukraińskich mas we Wschodniej Galicji i wzmocnimy moc bojową Ukraińców. Nie wymaga to szczególnego przygotowania ukraińskich kół kierowniczych, bowiem ostatnie wydarzenia, nie zachwiały w żadnej mierze ich wierności wobec Berlina¹¹.

Po dokonaniu przygotowań tego rodzaju, będziemy mogli dać sygnał Zachodniej Ukrainie do powstania. Ze Słowacji i Ukrainy Zakarpackiej będziemy mogli wtedy skierować tam duże ilości broni i amunicji oraz dobrze przygotowanych siczowników. Między Berlinem a Lwowem istnieje ścisły kontakt i nie można wątpić o masowym powstaniu na Ukrainie. W ten sposób powstanie ognisko niepokoju na Ukrainie, dla Niemiec będzie to powód do interwencji zbrojnej w znacznym wymiarze. Projekt budzi w Niemczech zaniepokojenie z jednego tylko powodu – możliwej reakcji sowieckiej. Zamierzamy w przypadku konfliktu za wszelką cenę osiągnąć neutralność ZSSR. Moim zdaniem, powstanie niezależnej Ukrainy w Galicji Wschodniej doprowadzi do interwencji Związku Sowieckiego. Jeśli w najbliższym czasie przekonamy się, że jest inaczej, czynnik ukraiński wówczas zostanie zrealizowany.

Konflikt z Polską, naszym zdaniem, można zlokalizować. Anglia i Francja nie są gotowe do wystąpienia po stronie Polski. Jeśli zdołamy szybko złamać główny opór Polski, Anglia swą flotą dokona demonstracji, Francja pobrzęczy bronią na swej linii Maginota.

11. Augustyn Wołoszyn i Rajew, politycy karpacko-ukraińscy. Wołoszyn był premierem Ukrainy zakarpackiej przed jej przyłączeniem do Węgier.

W przypadku jeśli wbrew oczekiwaniom, w związku z wystąpieniem przeciwko Polsce, wojna europejska stanie się rzeczywistością, będziemy wówczas wiedzieć, że niemieckie uderzenie w Polskę było dla państw zachodnich pretekstem, że prewencyjna wojna przeciwko Niemcom – była sprawą zdecydowaną. W tym przypadku Hitler jest gotów rozpocząć wielką dyskusję. W tej sytuacji nie damy się sprowokować w okresie dla nas nieodpowiednim. Wybór momentu działania pozostawiamy na później. Obecnie, wobec naszego niedostatecznego przygotowania i niezbyt sprzyjającej dla nas sytuacji międzynarodowej, nie zdecydujemy się rozpoczynać wojny europejskiej, jednak za trzy-cztery miesiące w pełni będziemy gotowi. Niemieckie dowództwo jest pewne naszego zwycięstwa, czynnikiem decydującym będzie nasze lotnictwo. Według opinii specjalistów wojskowych, wszystkie porty angielskie mogą być zburzone w przeciągu sześciu godzin. Działanie niszczycielskie lotnictwa wojskowego zademonstrowane zostało tylko jeden raz, podczas wojny domowej w Hiszpanii w Guernice. Powodzenie było niesamowite. Miasto zostało zmiecione z ziemi: W tej sytuacji pokonanie Francji i Anglii wydaje się nie być sprawą trudną. Ameryka na czas nie zdąży interweniować, a Związek Sowiecki pozostanie neutralny.

Mając na uwadze uderzenie na Polskę, w Berlinie w chwili obecnej zajęto się intensywnie Południowym Wschodem. Musimy bliżej podejść do Rumunii. W Berlinie Gafencu nurza się w dętych frazesach, a w Londynie i w Paryżu zajmuje się polityką antyniemiecką¹². Wynika z tego, że celu naszego nie osiągniemy w ten sposób. Niezbędny jest nacisk bezpośredni na Bukareszt. Chcemy dlatego zlikwidować samoistną Słowację, przyłączając ją do Węgier. Słowacja jest bez tego niezdolnym do życia tworem, kierownictwo jej jest nieudolne, a słowacki naród niepewny w najwyższym stopniu. Oddając Węgrom Słowację ustanowimy w ten sposób niemiecki protektorat w Węgrzech, nasze wojska zdołamy doprowadzić do rumuńskiej granicy. Rumunia skapituluje.

12. Grigore Gefencu był orientacji prozachodniej. Przebywał w Warszawie 4-6 marca 1939 r., namawiał Becka do sojuszu przeciw Niemcom.

W państwach bałtyckich zamierzamy cele te osiągnąć w inny sposób. Tutaj obejdzie się bez stosowania siły lub grózb. Prowadzić będziemy rokowania handlowe z Litwą, zachowując lojalność i uprzejmość. W ten sposób osiągniemy neutralność państw bałtyckich, tzn. zdecydowane ich odejście od Związku Sowieckiego. Neutralność Bałtów w przypadku wojny jest tak dla nas ważna, podobnie jak neutralność Belgii lub Holandii. Później, we właściwym dla nas momencie, możemy ją naruszyć, a w rezultacie wcześniej zawartych paktów o nieagresji unikniemy automatycznie interwencji ZSSR.

Wystąpienie przeciwko Polsce przewidziane jest na lipiec lub sierpień. Jeśli Polacy sprowokują wojnę przed tym terminem, sprawy mogą potoczyć się inaczej. Czy odpowiemy zdecydowanie na tę prowokację – zależy będzie od decyzji Führera i jego oceny sytuacji międzynarodowej. W każdym bądź razie dla nas będzie niewygodne, gdy Polacy zmuszą nas do wojny w takim momencie, kiedy sytuacja międzynarodowa dla nas jest niezbyt stosowna, a nasze przygotowania wojenne jeszcze nie są zakończone.”

*Za zgodność: p.o. zast[ępcy] naczelnika I-go
wydziału
Inżynier wojskowy I stopnia
PANFIŁOW*

OKRUCHY HISTORII

Piotr DASZKIEWICZ

NIEZWYKŁA HISTORIA PARYSKIEGO MAMUTA

W jednej z sal Narodowego Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu od kilku dziesięcioleci eksponowany jest zmontowany szkielet syberyjskiego mamuta. Coraz rzadziej pamięta się o pasjonującej historii tego eksponatu, a także to, iż z mamutem przesłanym z rosyjskiej Dalekiej Północy nieodłącznie związane jest nazwisko polskiego uczonego, jednego z najwybitniejszych badaczy syberyjskich, Konstantego Wołosso-wicza.

W 1912 roku mamut był podarunkiem rosyjskiego arystokraty Aleksandra de Stenbock-Fermora. Przywiezienie dobrze zachowanego okazu z Syberii, z brzegów rzeki Atrikanowa na jednej z Wysp Lachowskich, do Paryża stało się prawdziwą sensacją i było jednym z najważniejszych i najbardziej spektakularnych wydarzeń świata nauki z początku naszego wieku.

Aleksander Stenbock-Fermor podarował muzeum również inne okazy fauny Dalekiej Północy, m.in. renifery, lisa polarnego, woła piżmowego, lemingi. Przesłano także próbki geologiczne i rośliny, aby ułatwić badania nad środowiskiem życia mamutów. We Francji doceniono znaczenie rosyjskiego prezentu. Podkreślano, że choć wielokrotnie podróżnicy opisywali dobrze zachowane na Dalekiej Północy szczątki mamutów, to odkrycia te z racji kłopotów z transportem do Eu-

ropy nie zostały dotychczas należycie zbadane. Prawdziwą sensacją stało się przywiezienie w 1901 roku do Petersburga zwłok mamuta z brzegów Bieriezowki. Okaz подарowany Francji przedstawiał dla nauki wartość porównywalną z mamutem ze zbiorów petersburskich. Podkreślano zresztą nie tylko wartość naukową, ale także materialną tego prezentu. Prasa z zadowoleniem odnotowywała, że kolekcja paryska będzie jedynym nierosyjskim muzeum posiadającym podobny skarb, albowiem specjalny carski ukaz zakazał wywozu mamutów z imperium.

To właśnie ogromne zainteresowanie ze strony zachodnioeuropejskich muzeów i kolekcjonerów odnajdowanymi zamarzniętymi zwierzętami prehistorycznymi, a zwłaszcza mamutami i nosorożcem włochatym, spowodowały wprowadzenie przez Dumę specjalnego prawodawstwa ochrony owych znalezisk. Administracja rosyjska pragnęła także ochronić zamarznięte mamuty przed „dziką” eksploatacją, prowadzącą najczęściej do zniszczenia cennego materiału naukowo-muzealnego. W 1914 roku Duma postanowiła, że wszystkie znaleziska mamutów i nosorożców włochatych są własnością narodową. Znalazcy owych zwierząt zobowiązani byli do zawiadomienia lokalnych władz, Akademii Nauk, Uniwersytetu lub Towarzystwa Geologicznego. Reprezentanci lokalnych władz zobowiązani zostali do ochrony znalezisk do czasu przejęcia ich przed administrację centralną. Przewidywano specjalne premie dla „odkrywców mamucich stanowisk”. W Jakucku wyznaczono jako premię niebagatelną kwotę 500 rubli w gotówce i 200 rubli w towarach (tytoń, przybory myśliwskie itp). Wreszcie dla ewentualnego wywozu za granicę należało każdorazowo uzyskać zezwolenie ministerstwa edukacji. Te przepisy prawne uznaje się po dzień dzisiejszy za pionierskie i stanowiące wzór dla wielu innych krajów w zakresie ochrony fauny i flory kopalnej.

Rosyjski prezent miał dla Francji także znaczenie symboliczne. Okaz został подарowany w uznaniu znaczenia naukowych prac paryskiego muzeum, bo to właśnie tutaj kilkadziesiąt lat wcześniej Georges Cuvier zaproponował, jako jeden z pierwszych, koncepcję wymierania dawnej fauny, wśród nich zniknięcia mamutów. Ten wyjątkowy prezent

traktowano powszechnie także jako jeden z wielu gestów mających na celu budowę francusko-rosyjskiego porozumienia w Europie.

I. P. Tołmaczow, rosyjski przyrodnik i przyjaciel Wołossowicza, opublikował w 1929 roku w Filadelfii pracę o mamutach i nosorożcach odnajdywanych w zamrożonej ziemi na Syberii („The carcasses of the mammoth and rhinoceros found in the frozen ground of Siberia. Transaction of The American Philosophical Society”). Przytacza on wiele nieznanych szczegółów dotyczących historii odkryć mamutów, jak i dotyczących bezpośrednio wyprawy Wołossowicza po „paryskiego” mamuta. Jak zaznacza, informacje te pochodzą bezpośrednio od polskiego podróżnika. Podarowanie mamuta, zdaniem Wołossowicza, związane było także z nadzieją otrzymania przez księcia Aleksandra Stenbok-Fermora orderu Legii Honorowej. Nie był to zresztą jedyny przypadek podobnej transakcji. Kilkadziesiąt lat wcześniej paryskie muzeum, po kilkumiesięcznych negocjacjach, uzyskało w zamian za order Legii Honorowej, od niemieckiego podróżnika i późniejszego brytyjskiego dyplomaty sir R. Schomburgka kolekcję ryb i unikalny zielnik z Gujany.

Natychmiast po otrzymaniu syberyjskiej przesyłki w muzeum rozpoczęto montaż eksponatu. Nie było to zadanie łatwe i wymagało wielu bardzo skomplikowanych zabiegów, starano się nie uszkodzić tkanek mamuta stanowiących przecież bezcenny materiał badawczy. Przesłany z Rosji okaz pozwolił na przeprowadzenie unikalnych w tamtej epoce badań oraz na ich porównanie z rosyjskimi rezultatami. Wykonano m.in. mikroskopowe badanie tkanek, analizę zawartości przewodu pokarmowego, analizę krwi mamuta. Badania te pozwoliły francuskim naukowcom na wysunięcie nowej hipotezy na temat wyginięcia tego gatunku, a także na opisanie nowego podgatunku mamuta *Elephas primigenius sibiricus*. Wojna przerwała prace i montaż został ukończony dopiero kilkadziesiąt lat później, pod koniec lat pięćdziesiątych. Po raz pierwszy pokazano mamuta na wystawie „Ewolucja kręgowców i pochodzenie człowieka”.

Szczątki mamutów od dawna fascynowały i interesowały kolekcjonerów i uczonych. W 1443 roku przy robotach ziem-

nych w wiedeńskiej katedrze św. Stefana znaleziono kość udową mamuta. Zawieszono ją na wiedeńskiej bramie miejskiej, którą od tego czasu nazwano Bramą Olbrzymów. Kości „olbrzymów” wisały również m.in. nad wejściem do katedry w Erfurcie i na Wawelu. Przez długi okres historii nie bardzo wiedziano, jak wytłumaczyć znajdowane szczątki, i tak np. eksponowano je kościele św. Michała w Halle z napisem „kimże być mogłem?”. Później przypuszczano, że są to kości słoni używanych przez armię Hannibala. Dopiero prace przyrodników dziewiętnastego wieku wyjaśniły zagadkę odnajdywanych szczątków.

Od dawna wiedziano także o względnej obfitości mamutów na Syberii. Najstarsze potwierdzone informacje o istnieniu zachowanych zamrożonych mamutów pochodzą z 1692 roku, czyli jeszcze z czasów cara Piotra I. W 1720 roku rosyjski jeniec i zesłaniec, szwedzki oficer Tabbert von Stahlenberg, narysował „jednorożca” na podstawie szczątków mamuta. Syberyjskie mamuty opisywał pod koniec siedemnastego wieku Korneliusz Witzen, holenderski poseł w Moskwie. Kości mamuta przywiózł słynny podróżnik i odkrywca Peter Pallas, który w drugiej połowie osiemnastego wieku na rosyjskie zlecenie zorganizował kilka ekspedycji, m.in. na Daleką Północ. Wiedziano także o przetrwaniu zwierząt zakonserwowanych w lodach Północy. Od dawna znajdowano takie zakonserwowane mamuty na Syberii. Myśliwi używali mamuciego mięsa dla psów, a ciosy były sprzedawane europejskim rzemieślnikom. Z czasem wykształcił się cały przemysł skupiony wokół „rosyjskiej kości słoniowej”. Zdaniem niemieckiego historyka nauki, Herberta Wendta, jedna trzecia kości słoniowej wprowadzonej w dziewiętnastym wieku do europejskiego handlu to w rzeczywistości rosyjska kość mamucia. Szacuje się, iż w drugiej połowie osiemnastego i dziewiętnastym wieku wydobyto i sprzedano przynajmniej 20000 mamucich ciosów.

W 1803 roku Tunguz Osip Szumakow zaprowadził znanego handlarza kością mamucią Bołtunowa do zamrożonych zwłok mamuta znalezionych w lodach Leny. Kupiec wykonał rysunek i przesłał go do Petersburskiej Akademii Nauk. Na miejsce znaleziska zorganizowano wówczas specjalną, kiero-

waną przez niemieckiego zoologa Henryka Adamsa, wyprawę. Opis zwierzęcia i relacja z wyprawy stała się naukową sensacją, dyskutowaną w całej Europie. Sto lat później znaleziono dobrze zachowanego mamuta nad brzegiem Bierzowki. Podobnie jak w przypadku mamuta znad Leny, okaz został znaleziony przez tunguskiego myśliwego, a rosyjskie władze zostały zawiadomione przez kupca handlującego mamucią kością. W 1901 roku Carska Akademia Nauk zorganizowała wyprawę w celu wykopania mamuta. Dwa lata później opublikowano sprawozdanie, jak i rezultaty badań przeprowadzonych na przywiezionym do Petersburga mamucie, m.in. opis tkanek miękkich, pierwszy atlas anatomiczny, badania krwi i analizę treści pokarmowej. Publikacja była komentowana w wielu krajach i uznana za szczególnie ważną dla rozwoju współczesnej biologii. Nic więc dziwnego, iż decyzję o podarowaniu dobrze zachowanego mamuta paryskiemu muzeum traktowano jako jedno z najważniejszych wydarzeń naukowych tamtej epoki.

Polscy podróżnicy i uczeni należą do pionierów badań zamarzniętej, prehistorycznej fauny Syberii. Wiele spośród najważniejszych dziewiętnastowiecznych odkryć i badań mamutów związanych jest z polskimi nazwiskami. W pracach dotyczących tej problematyki wielokrotnie powraca np. nazwisko Jana Czerskiego, polskiego zesłańca, a zarazem wybitnego geologa i zoologa, kustosa zbiorów przyrodniczych Muzeum Syberyjskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego w Irkucku. Jan Czerski zmarł zresztą w trakcie kołymskiej wyprawy w 1892 roku. To właśnie temu przyrodnikowi zawdzięczamy badania i opis mamuta przywiezionego przez ekspedycję Bungego–Tolla. Czerski spędził wiele lat na syberyjskich wyprawach i zawdzięczamy mu również opracowanie w 1891 roku planów i instrukcji dla „łowców mamutów”. Jako pierwszy podkreślał konieczność pozostania dłuższego czasu w okolicy znaleziska i dokładnej prospekcji terenu, jak i nawiązania kontaktów z ludnością tubylczą. Z własnego doświadczenia wiedział bowiem, że często w okolicy znaleziska znajdują się inne mamuty.

W związku z przyjazdem syberyjskiego mamuta francuska prasa szeroko pisała o pracach Konstantego Wołosso-

wicza. To właśnie temu uczonemu powierzono misję zorganizowania wyprawy mającej na celu wydobyć mamuta. Opublikowane przez badacza opis i analiza przywiezionego okazu były szeroko cytowane i bardzo wysoko ocenione przez francuskich zoologów. W wydrukowanym przez *L'Anthropologie* sprawozdaniu z transportu mamuta nazwisko Wołosowicza wymienione jest w kontekście „znanego rosyjskiego podróżnika i uczonego”. Informacja ta jest powtarzana wielokrotnie po dzień dzisiejszy także w nowoczesnych publikacjach zarówno francusko, jak i angielskojęzycznych. W październiku 1999 roku francusko-rosyjska wyprawa „wydobyła” z lodów Syberii kolejnego mamuta. W niedawno wydany opis tej ekspedycji (Buigues B. „Sur la piste du Mammouth”, Paris, Robert Laffont 2000) przypomniano także dawne wyprawy, m.in. ekspedycje organizowane i kierowane przez Konstantego Wołosowicza. Po raz kolejny polski podróżnik i uczonego przedstawiany jest jako „rosyjski geolog”. Tym bardziej warto pamiętać, że polskość Wołosowicza była i jest wielokrotnie podkreślana przez jego rosyjskich biografów.

Pierwszą publikacją z biogramem i bibliografią naukowych publikacji (w tym dwóch poświęconych poszukiwaniom i wydobywaniu mamutów) Konstantego Wołosowicza był prawdopodobnie artykuł „L'activité scientifique des révolutionnaires polonais en Sibérie”. Artykuł autorstwa R. D. Samojłowicza z Leningradu został opublikowany w 1934 roku we Lwowie w „Zbiorze prac poświęconych przez Towarzystwo Geograficzne Eugeniuszowi Romerowi w 40-lecie jego twórczości naukowej”. Redaktorem wydania był jeden z najwybitniejszych polskich polarników Henryk Arctowski.

Niemiecki podróżnik i zoolog E. Pfizenmayer towarzyszył Wołosowiczowi w jego wyprawie z 1908 po mamuta znad brzegów Bierzowki. Opublikował on w Niemczech relację z tej ekspedycji (wydanie francuskie E. Pfizenmayer, „Les Mammouths de Sibérie. La découverte de mammouths préhistoriques sur les bords de Beresovka”. Paris, Payot 1939). Jego ilustrowana zdjęciami książka jest warta przypomnienia, a także niewątpliwie przetłumaczenia i wydania w Polsce. Jest to interesujący obraz Syberii początków dwu-

dziestego wieku. W relacji Pfizenmayera nie brak „elementów polskich”, poczynawszy od spotkań z polskimi fachowcami i urzędnikami na Syberii, poprzez opisy karnych kolonii, ogromnej zesłańczej biblioteki czy też cmentarzy, na których odnajdował m.in. groby uczestników kampanii napoleońskiej. Nie brak w niej także elementów humorystycznych. Pfizenmayer wspomina np., jak to Akademia Nauk z Petersburga wysłała pismo do władz Wierchojańska z prośbą o informacje na temat fauny i flory. W odpowiedzi do Petersburga dotarła depesza, w której informowano iż... studentka z Warszawy Flora Kowalewska zakończyła odbywanie zesłania, brak natomiast wiadomości o jakiegokolwiek więźniarce o imieniu Fauna. Nie dziwi więc fakt, że brak wykształcenia przyrodniczego lokalnej administracji uznaje Pfizenmayer za jedną z „niedogodności” poszukiwania zamrożniętych mamutów. Pfizenmayer znał i współpracował z Konstantym Wołosowiczem przez długie lata. Nic więc dziwnego, że jego książka stanowi cenny przyczynek dla biografii nadal mało przecież znanego polskiego przyrodnika.

Konstanty Wołosowicz urodził się w 1866 roku. Ukończył Uniwersytet Warszawski i już w czasie studiów współpracował z Aleksandrem Stenbok-Fermorem. Wiele czasu spędzał w Petersburgu pracując jako preparator bogatych zbiorów rosyjskiego arystokracji. W 1900 roku został zatrudniony w ministerstwie oświaty. Oddelegowany do pracy do Petersburskiej Akademii Nauk już w rok później wyjechał na Daleką Północ jako uczestnik wyprawy kierowanej przez znanego rosyjskiego geografa, barona Tolla. W wyprawie tej brał udział także inny polski badacz O. F. Cięgielski, który wraz z M. Brisniewem pod kierunkiem Wołosowicza dokonał szeregu pomiarów i obserwacji meteorologicznych. Zebrano także znaczącą kolekcję geologiczną i zoologiczną. Pracom Wołosowicza związanym z tą wyprawą Emma Toll poświęciła rozdział wydanej w Berlinie w 1909 książki „Die Russische Polarfahrt der «Saria» 1900-1902”. W ministerstwie pozostał Konstanty Wołosowicz do 1912 roku. W okresie tym wziął udział w jeszcze dwóch wyprawach. W 1908 roku gubernator Jakucka ogłosił odkrycie szczątków mamuta w dystrykcie Wierchojańskim. Akademia Nauk powierzyła Wołos-

sowiczowi zorganizowanie i kierownictwo wyprawy w celu zanalizowania i opisanego ułożenia mamuta, wyjaśnienia przyczyn jego śmierci i odtworzenia środowiska życia tego gatunku. Po wydobyciu i wysłaniu mamuta do Petersburga Wołossowicz przeprowadził badania geologiczne na wschód od Jany i Wysp Lachowskich, wyjaśnił także przyczyny śmierci mamuta. Opisując „naturalną pułapkę” podróżnik przypomina, iż o mało sam nie stracił życia w podobnej pułapce, w ostatniej chwili został uratowany przez swoich przewodników. Wyniki tej ekspedycji zostały opublikowane przez Rosyjską Akademię Nauk i są cytowane przez specjalistów po dzień dzisiejszy.

W trakcie wyprawy Wołossowicz dowiaduje się o krążących, uporczywie powtarzanych, pogłoskach na temat znalezienia w 1906 roku innego, dobrze zachowanego mamuta. Znaleźisko zlokalizowane jest na Wielkiej Wyspie Lachowskiej w Archipelagu Wysp Nowosyberyjskich. Polski podróżnik podejmuje natychmiast decyzję zorganizowania kolejnej wyprawy. Nie dysponując wystarczającymi środkami materialnymi zadłuża się u miejscowej ludności. Jest zresztą przekonany, że dług zaciągnięty na organizację wyprawy zostanie po powrocie do Petersburga zwrócony przez Akademię Nauk. W 1908 roku dzięki informacjom uzyskanym od myśliwych udaje się zlokalizować owego mamuta. W 1909 roku rozpoczyna się bardzo trudne i żmudne wyciąganie mamuta z zamrożonej ziemi. Prace trwają przez rok i zostają ukończone w roku 1910. Warto przypomnieć, iż wielokrotnie podkreślano, że wydobywanie i transport mamutów z Syberii były często o wiele trudniejsze niż sama organizacja wypraw poszukiwawczych.

Sam transport zwierzęcia był w tamtej epoce uznawany za swoistego rodzaju ogromny techniczny sukces. Wydobytego z lodu i zamrożonej ziemi mamuta przetransportowano z Wysp Nowosyberyjskich do ujścia Leny samojedzkimi psimi zaprzęgami. Transport odbywał się po ruchomych lodach i związany był z ogromnym ryzykiem. Lato 1910 roku spędził mamut w zamrożonej ziemi nad Leną. Następnie statkiem pokonując odległość trzech tysięcy kilometrów mamut dotarł do stacji kolei transsyberyjskiej. W specjalnie

zaadaptowanym wagonie lodowni dojechał w 1910 roku do Petersburga, gdzie stał się prawdziwą sensacją. Kronikarze odnotowali zainteresowanie samego cara i zniecierpliwienie zatykającej chusteczką nos carycy, której w wystłuchiowaniu objaśnień przeszkadzał unoszący się fetor. Przez kilka lat mamut pozostawał zamrożony w lodówce w Petersburgu. W tym czasie pobrano z niego kawałki owłosionej skóry i przesłano do Paryża. Choć wyprawa zakończyła się pełnym sukcesem, to jednak Akademia Nauk nie spieszyła się z pokryciem długów zaciągniętych przez Wołososowicza. W grę wchodziły bardzo duże sumy. Na wyprawę nad brzeg Bierzowki Akademia Nauk wyłożyła prawie 17 tysięcy rubli. Wobec narastających problemów finansowych polski podróżnik zwrócił się do księcia Stenboka-Fermora z prośbą o pomoc. Książę natychmiast, bez chwili wahania, zapłacił wszystkie zaległe rachunki i długi wyprawy. Zdecydował jednak zaprezentować mamuta w paryskim Jardin de Plantes i podarować go paryskiemu Muzeum Historii Naturalnej.

W 1912 roku polski przyrodnik opuścił swoje stanowisko w ministerstwie z powodów rodzinnych nie zaprzestając jednak prowadzenia działalności naukowej. Z dużym podziwem należy podkreślić udział tego badacza w trzech trudnych północnych wyprawach, zważywszy, że od wielu lat cierpiał na nieuleczalną wówczas gruźlicę. Po rewolucji Konstanty Wołososowicz znalazł się na Kaukazie, gdzie zginął w katastrofie kolejowej w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach.

Wojna, rewolucja, a potem przedwczesna śmierć nie pozwoliły na pełne opracowanie wyników przywiezionych przez ostatnią wyprawę, ale, jak to podkreśla R.D. Samojłowicz, notatki polskiego przyrodnika stały się podstawą pionierskich publikacji między innymi map nieznanych terenów rosyjskiej Dalekiej Północy. Przeglądając polskie wydawnictwa encyklopedyczne i popularnonaukowe można odnieść wrażenie, że Konstanty Wołososowicz zostaje ponownie powoli zapomniany. Bez wątpienia warto by szerzej spopularyzować sylwetkę tego niezwykłego przyrodnika.

Piotr DASZKIEWICZ

AKADYJCZYCY

Pamięci Jerzego Giedroycia

Prolog

Dannacona, irokeski wódz wioski Stadacona¹, od dłuższego czasu zastanawiał się, jak skłonić białych do powrotu. Minęła już druga zima, od kiedy Cartier przywiózł ich do Francji. W Stadaconie biali ciągle wypytywali go, gdzie są błyszczące metale – złoto i słoneczne kamienie – diamenty. W końcu naopowiadał im o zmyślnym królestwie Saguenay, leżącym po drugiej stronie Ojca Wód².

Lecz metale i kamienie im nie wystarczają. Tutaj, na dworze Franciszka I, wypytują bezustannie o korzenie i owoce zwane pomarańczami. „Tak, to powinno ich ostatecznie przekonać. Powiem, że jest tam ich w bród. Niech tylko król Franciszek zakończy polowanie. Ma wrócić w połowie tygodnia...”.

...w połowie tygodnia dostałem zlecenie ze studenckiego biura prac wakacyjnych. Miałem pomóc starszemu małżeństwu przy pracach w ogrodzie. Zatknałem za tylną kieszeń dżinsów robocze rękawice i poszedłem na dziewiątą.

Letni poranek w Antigonish³... Białe, piętrowe domki pokryte drewnem na zakładkę. Skryte lub obramowane zielenią. Wrzawa ptaków. Nad kwietnymi kielichami kolibry niewiarygodnie szybko trzepoczące skrzydełkami. Od oceanu wiatr niesie słonawy, rześki zapach. Napotkani ludzie mówią: *Hi, how are you?* łagodnie się uśmiechając. Mam uczucie, jakbym mieszkał tu od dawna, a zarazem powrócił do atmosfery górnego Sopotu.

1. Część dzisiejszego miasta Quebec.

2. Rzeka św. Wawrzyńca.

3. Miasteczko w kanadyjskiej prowincji Nowa Szkocja.

Dom leży na skraju miasta, na lekkim wzniesieniu. Po lewej zgranatowiony Atlantyk pod lazurowym niebem. W głębi, po prawej, wielkie bochniaste wzgórze porośnięte gęstym lasem. Szare, jasne i ciemnozielone plamy z prześwitującymi płatami ciemnych skał.

Otwiera starsza pani. Za nią pojawia się wysoki, siwy mężczyzna bystro patrzący zza grubych szkieleł. Schodzimy z małego ganku do ogrodu, gdzie będę okopywał grządki. Starszy pan widząc, że dają sobie radę, zostawia mnie samego informując na odchodnym, iż o dwunastej będzie lunch.

Po parudziesięciu minutach gospodarz przynosi mi szklankę zimnego soku. Drugą, nadpiętą do połowy, trzyma w prawej ręce, a lewą zataczając łuk mówi: „Prawda, że pięknie tu mieszkamy?” Potem zagaduje, skąd jestem, bo akcent nie tutejszy; „ach, jesteś Polakiem, przyjechałeś z Berlina Zachodniego” i ... wpadamy do Europy. Wypytuje o Berlin i Polskę, bo akurat zwolniono więźniów politycznych. „A czy uda się zbojkotowana przez komunistów Olimpiada w Los Angeles?”

W końcu przedstawia mi się jako emerytowany nauczyciel języka francuskiego, który przez wiele lat uczył na tutejszym uniwersytecie i w liceum.

– Ach, to stąd masz francuskie nazwisko. Jesteś Francuzem z Quebecu – i oddaję mu pustą szklankę. A on odpowiada z wielką powagą:

– Francuzi to nie tylko Quebec. Najpierw osiedlili się tutaj, w Nowej Szkocji. Nie jestem Québécois ani Francuzem. Jestem Akadyjczykiem.

I.

Przyjąłem tę przedziwną nazwę bez zmrużenia oka, jednocześnie szukając w pamięci jakiegoś punktu zaczepienia. Co za Akadyjczyk? Kto to jest? Ale on zmienia temat i wypytuje mnie o system nauczania w Polsce. Opowiadam o szkole i studiach, o podziale na przedmioty. Z wyraźnym ukontentowaniem kiwa głową. Dobrze wiem dlaczego.

W Ameryce nie ma podziału na przedmioty. Są dwa wory, rodem z XIX wieku, z napisem „Art” i „Science”, do których wszystko się wrzuca, włącznie z uczniami. I wytrwale

tym potrząsa. Z owej mieszaniny wyłania się istota nowego typu, która zna, bez zbytnich powiązań oraz następstw czasowych, parę wydarzeń onegdaj zaszłych na świecie.

Akadyjczyk naraz pyta mnie, jakich języków uczyłem się w liceum. Wymieniam rosyjski i łacinę. Patrzy na mnie uważnie i dzierżąc w palcach prawej ręki puste szklanki, zaczyna dobitnym głosem: *Aurea prima sata est aetas, quae vindice nullo...*

A ja kładę prawą nogę na łopacie, lewą rękę opieram o stylisko i patrząc przed siebie, w niewiarygodnie rozłożystą przestrzeń, gdzie ocean zlewa się z kopułą nieba, wpadam mu w słowo: *...sponte sua, sine lege fidem rectumque colebat*. Ogarnia mnie tak ogromna tęsknota za Europą, że aż zagryzam wargi. Oto ja, punkcik zawieszony w przestrzeni, przytłoczony ogromnością tego kontynentu. I spotykam nagle kogoś, kto pił wodę z tego samego źródła wiadomości dobrego i złego, złego i dobrego...

A on uroczyście jakoś, i z naciskiem, rzecze: „Rzuć w diabły tę łopatę i chodź ze mną”.

Raptularz

Kiedy w 1541 roku Franciszek I wyekwipował wreszcie nową ekspedycję pod dowództwem Jacques Cartiera⁴, i namiestnika *sieur de Roberval*a, stary wódz irokeski już nie żył. Osłabiony przeżerającą go tęsknotą, zapadł na wietrzną ospę. W późniejszych latach uśmierci ona w Ameryce setki tysięcy Indian.

Wyprawę przygotowano na wzór hiszpańskiej konkwisty. U ujścia Rzeki św. Wawrzyńca miała powstać ufortyfikowana osada.

Z niej przedsięwzięta była ekspedycja do legendarnego

4. Cartier odbył trzy wyprawy do Ameryki Północnej. Z pierwszej, w 1534, przywiózł do Francji dwóch młodych Irokezów, którzy wzbudzili sensację na królewskim dworze (zachowały się nawet ich imiona: Taïnoagny i Dom Agaya). Powrócili oni w drugiej wyprawie Cartiera (1535-36). Trzecia miała miejsce w 1541-42.

królestwa Saguenay, które ujarzmi się metodą skłócania i podbijania poszczególnych plemion. Roberval i Cartier posiadali już tytuły wicekrólów Saguenay. Podbici zostaną przez chrześcijańskich niewolników pracujących na rzecz francuskich zdobywców. Oni zaś, którzy we Francji przeważnie byli nikim, staną się uprzywilejowaną szlachtą Nowego Świata. Wszelkie łupy będą dzielone na trzy części: dla króla, dla dowódców oraz dla żołnierzy i marynarzy.

Cartier wyruszył pierwszy i późnym latem 1541 roku dotarł do Stadacony, gdzie natychmiast rozpoczął prace nad urządzeniem wypadowej bazy w głąb kontynentu. Ale Indianie przyjęli go nader chłodno. Nie wierzyli w jego opowieści, iż Donnacona wraz z innymi, zabranymi wówczas Irokezami, stali się we Francji tak wielkimi panami, iż postanowili pozostać.

Okręty de Roberval'a nie pojawiły się przez cały rok. Żołnierze Cartiera nie przejawiali najmniejszej ochoty na dalekie wyprawy w głąb lądu. Któregoś dnia, niedaleko obozu, jeden z nich znalazł okruch skalny z połyskującym, żółtym kawałkiem metalu. Złoto! Zaczęły się gorączkowe poszukiwania i po paru dniach znaleziono sporo podobnych odłamków, a inne z błyszczącymi kryształami. Cartier nie wydawał się do końca przekonany co do ich wartości. Może odkryli nowy gatunek złota i szlachetnych kamieni? Kto wie... Gdy kilkanaście beczek napełniono skarbami, kazał podnieść kotwicę. W parę tygodni po opuszczeniu Zatoki św. Wawrzyńca, natknęli się nagle, wczesnym rankiem, na statki Roberval'a. Kapitanowie odbyli krótką naradę. Roberval nakazał Cartierowi zawrócić i płynąć za nim. Ale Cartier był już zdecydowany na wszystko. Miał dość „Kainowej ziemi” i wiół przeciw skarby. Podniósł żagle, prześliznął się w porannych mgłach i skierował swe statki ku Francji.

Okazało się, że drogocenne kamienie zawierały kawałki pirytu, a inne – kryształy kwarcu i miki. Rychło na królewskim dworze ukuto powiedzenie, które szybko przyjęło się w całym kraju – *Voilà un diamant du Canada*. Stosowano je dla określenia całkowicie bezwartościowej rzeczy lub idei. Cartier zyskał niesławę. Gdy w parę miesięcy później powrócił Roberval – z niczym – na dworze królewskim na wiele lat zapomniano o Kanadzie.

2.

...siedzimy w domu przy drewnianym stole. Na nim butla wina domowej roboty i przepyszne ciasto. My pochyleni nad pracą dyplomową jego syna, napisaną dwa lata temu, gdzieś na południu Francji. Krytyczne omówienie teorii ewolucyjnych Teilharda de Chardin.

Przeskakujemy z tematu na temat. Z tą europejską non-szalancją, swobodą poruszania się w różnorodności. Z przyjemnością wynikającą ze znaczenia i rozumienia słowa „wiedzieć”. Wiedzieć i starać się pojąć, dopasowując skomplikowane elementy pogruchothanej mozaiki. Powrót do źródeł, zanurzenie się w innym, spokojniejszym stylu życia i bycia. Gdzie w dalszym ciągu praca nie jest naczelnym bożkiem, a zamiast uganiania się za różnymi dobrami doczesnymi, sporo ludzi dalej przedkłada siedzenie w kawiarni. Przy winie, muzyce, wśród ziarenek gorącego, saharyjskiego piasku osypującego się z szelestem wzdłuż kobiecych bioder.

– Namówilem go, by pojechał tam na studia. Aby odkrył swoje niemal trzechsetletnie korzenie. Czy wiesz, co to jest Stella Maris?

– Tak, Gwiazda Morza. Tak się nazywa mój dawny kościół...

Słońce sączy się przez szklankę rozświetlając ciemnoczerwone wino jak niegdyś witraż w sopockim kościele. Strumień tajemniczego światła padający na głowy ludzi. Przystrajający włosy kobiet obłokiem pyłu drżącym z każdym pochyleniem. Błyski wpadające w ukośne kolumnienki kurzu, w letni chłód przesasycony kadzidłem, drewnem stropów i kamieniem posadzki.

– To jest nasza flaga – mówi powoli Akadyjczyk – francuski trójkolor. W rogu żółta gwiazda na tle niebieskich pasów. Symbol dwóch najważniejszych rzeczy – słońca: dla wzrostu roślin, i morza: ofiarowującego ryby, homary, krewetki i małże. Bo nasi przodkowie w zatoce Fundy wydzielali oceanowi ziemię. Podobnie jak Holendrzy Północnemu Morzu. Dla nich, biedaków z XVII-wiecznej Francji, była to mityczna Arkadia.

Arkadia. Sielska kraina pasterzy w środkowej części Peloponezu, opiewana przez starożytnych poetów. Ostatnie schronienie starej kultury mykeńskiej przed zalewem barbarzyńskich Dorów...

Po wielu stuleciach wojen, fal głodu i zarazy wyczerpana Europa odkrywa i zachłystuje się grecką kulturą. W 1524 roku Giovanni da Verrazzano, włoski podróżnik na służbie króla Francji, wylądował w okolicach dzisiejszego stanu Delaware w USA. Cały region wzdłuż wybrzeża Atlantyku nazwał Arkadią, w nawiązaniu do „piękności tamtejszych drzew”.

W 1534 roku Cartier, jako pierwszy Francuz, wizytuje Arkadię. Przez pomyłkę XVI-wieczni kartografowie nadali tę nazwę wszystkim prowincjom nadmorskim, tzw. *Maritime*. Na mapie Gastaldiego z 1548 roku nazwa *L'Arcadie* obejmuje część obecnego stanu Maine i półwysep Gaspé w Quebecu. W atlasie antwerpskiego kartografa Orteliusa, z 1579 roku, zamieszanie jest spore. Nie ma Arkadii, Kanada⁵ jest nazwą małej części Nowej Francji, gdzie widnieje Zatoka Cartiera i Saguenai. W osiem lat później, w słynnym atlasie młodszego Merkatora, obok powyższych nazw pojawia się Hochelaga (dzisiejszy Montreal) i tajemnicza Arredonda. Labrador (Cartier nazwał go „ziemią, którą Bóg ofiarował Kainowi”), na przemian pojawia się na mapach i znika. Portugalski żeglarz, Joa Fernandes, skalisty, poszarpany licznymi zatokami brzeg, ochrzcił mianem *a Lavrador*. Tak nazywano właścicieli ziemskich na Azorach, skąd później, w wieku XIX i XX, wyemigruje do Kanady największa ilość Portugalczyków. W połowie wieku XVI zanika litera „r” i odtąd mamy Akadię (*L'Acadie*).

Cartier domyślał się, że największą wartością tej ziemi są ryby i futra, lecz w dalszym ciągu nie tracił nadziei na znalezienie złota i diamentów, jak i drogi do Chin. Zanim przybył oficjalnie, na służbie króla, był tu wiele lat przedtem w charakterze rybaka. Na łowiska koło Nowej Fundlandii od

5. Kanada (Kanata) – w języku irokeskim „osiedle”, „wioska”.

dawna docierali Bretończycy i Baskowie. Zobowiązani byli, pod przysięgą, do zachowania ścisłej tajemnicy. W 1497 roku znowę milczenia przerwał John Cabot, który oświadczył po powrocie do Anglii: „miejscami ławice ryb były tam tak gęste, iż zatrzymywały nasze karawele”.

Do Basków i Bretończyków rychło dołączyli Portugalczycy, Francuzi z Normandii i departamentów nadatlantyckich oraz Irlandczycy i Anglicy. Łowiska obiecywały tak wielkie zyski, iż warto było na owych łupinkach przemierzać Atlantyk. W 1510 roku przebywało na nich regularnie około stu rybackich statków. Płynęły miesiąc w jedną stronę. Szczęśliwie się złożyło, że główny okres atlantyckich sztormów – na wiosnę i jesienią – pokrywał się z zamarzaniem przybrzeżnych zatok. Sezon połowów trwał więc od końca maja do, najpóźniej, początków października. Baskowie na Labradorze opławiali upolowane wieloryby. Także tam, ale głównie w zatokach Nowej Fundlandii, suszono olbrzymie dorsze z Grand Banks przed powrotną podróżą do Europy.

W czasie oporządzania ryb stykano się z Indianami nabywając od nich futra za metalowe garnki i patelnie. Na Labradorze byli to Montagnais, a na Nowej Fundlandii Beothuk, którzy z chwilą śmierci, w 1829 roku, kobiety zwanej Shawnawdithit, zesłi całkowicie z tego świata. Znamy ich koniec, lecz nie znamy początku. W XVI wieku Portugalczycy i Anglicy sprzedali wielu Beothuk w niewolę. W następnym stuleciu zdziesiątkowały ich choroby przywleczone z Europy (ospa i grypa), oraz dokonywane na nich, przez rybaków francuskich i angielskich, egzekucje. Za przywłaszczanie sobie wszelakich dóbr białych. Niestety Beothuk nie znali pojęcia własności prywatnej. W połowie XVIII wieku z całego narodu pozostało dwadzieścia siedem osób, bo Francuzi wyznaczili nagrody pieniężne za ich skalpy. Nie tylko polowali na nich biali, ale także Indianie ze szczepu Mikmak (Mi'kmaq)...

3.

... – także Indianie ze szczepu Mikmak zamieszkiwali od dawna te ziemie. Spójrz: Akadia obejmowała dzisiejszą Nową Szkocję, Wyspę Księcia Edwarda oraz część Nowego Brunsz-

wiku – Akadyjczyk z namaszczeniem przejeżdża palcem po rozłożonym przed nami wielkim atlasie Larousse’a.

– Późną wiosną 1604 roku, w dzisiejszej zatoce Fundy, lądują pierwsi koloniści pod wodzą de Montsa i Samuela de Champlain, tego, który na miejscu Stadacony założył miasto Quebec. Po 60 latach przerwy Francja próbuje stworzyć stałą kolonię w Ameryce. Kolonię, która w niedalekiej przyszłości będzie jedną z części Nowej Francji. Czy wiesz, co to były kompanie futrzarskie?

– Pamiętam słynną Hudson Bay Company z książek Curwooda i Coopera.

– *Mon Dieu* – mówi wyraźnie poruszony Akadyjczyk. – Jesteś pierwszym człowiekiem, jakiego napotkałem od wielu, wielu lat, który zna Curwooda i Coopera...

– Jak to? – pytam kompletnie zaskoczony – przecież to tutejsza literatura?

– Tak, tak – stary profesor uśmiecha się sarkastycznie – tylko nikt jej nie zna. Ale powróćmy do futer.

Napełnia kieliszki. Mówię: *Vive l’Acadie*, a on dodaje z uśmiechem *La Pologne libre*.

– W Europie połowy XVI wieku wysocy urzędnicy państwowi, kościelni dostojnicy oraz arystokraci ozdabiali swoje stroje nadzwyczaj drogimi futrami kun lub gronostai. Z końcem wieku nastąpiła nowa moda męska, upowszechniając się nawet wśród warstw średnich – szeroki, pilśniowy kapelusz wyrabiany z króliczej sierści lub owczej wełny. Ale rondo kapelusza nie trzymało fasonu często opadając na oczy. Możesz sobie wyobrazić, jakie to było denerwujące, a nawet niebezpieczne. Na przykład w trakcie pojedynku. Okazało się, że najlepszym materiałem jest bobrowa skórka, której do tej pory dostarczali głównie Rosjanie i Skandynawowie. Ale tam bobry niemal doszczętnie wytępiono. Wtedy przypomniano sobie o nieprzebranym bogactwie skór bobrowych w Ameryce. Pozyskiwanych na wręcz fantastycznych warunkach.

Żona Akadyjczyka otwiera szeroko drzwi. Od godziny wieje znad oceanu ożywcza, chłodna bryza. Wnosi słonawy zapach zmieszany z wonią szuwarów parujących na rozlewiskach rzeki.

– Za jeden żelazny garnek, średniej wielkości, Indianie

dawali bobrowy płaszcz zawierający od pięciu do ośmiu skórek. Im płaszcz był starszy, tym lepszy. Nosili go futrem do środka, przez co wycierało się długie i twarde włosie, pozostawiając przetłuszczoną, miękką pierwszą warstwę. Bez zbyteńnego wysiłku oddzielano ją od skóry i spilśniano. W Paryżu z bobrowego płaszcza starczyło materiału na wyrób sześciu-ośmiu kapeluszy. Za sprzedany płaszcz handlarz mógł nabyć około stu garnków! Koszty wyprawy na drugą stronę, włącznie z ryzykiem, były spore, lecz sownie się opłacały. Jeszcze bardziej opłacało się założyć stałe faktorie handlowe i skupywać skórki od Indian.

– W 1588 dwaj siostrzeńcy Cartiera otrzymali od Henryka III monopol na handel futrami w Kanadzie. Była to rekompensata za wydatki, jakie poniosła rodzina Cartierów w przygotowywaniu trzech wypraw do Ameryki. Okazało się jednak, że finanse rodziny są tak mocno nadszarpnięte, iż nie zdołają założyć faktorii po drugiej stronie Atlantyku. W 1603 roku monopol ów przeszedł w ręce *sieur de Monts*, który po naradzie z Champlainem, wybrał Akadię. Jak wspomniałem, w rok później lądują w zatoce Fundy i na Wyspie św. Krzyża, niedaleko wybrzeży dzisiejszego Nowego Brunswiku, osiada osiemdziesiąt osób. W czasie zimy trzydzieści sześć osób umiera na szkorbut i późną wiosną przenoszą się na przeciwną stronę zatoki, zakładając stałą bazę – Port Royal, czyli dziś Annapolis w Nowej Szkocji.

– W 1607 roku, na skutek konfliktu z właścicielami statków o monopol w handlu futrami, de Monts pakuje wszystkich na okręty i wracają do Francji. Nieudane początki osadnictwa francuskiego w Akadii są symboliczne dla dalszych jej losów. Przez następne 200 lat, stale zagrożona konfliktami anglofrancuskimi, przechodzi z rąk do rąk. Aż w końcu XVIII wieku społeczność akadyjska zostaje rozproszona.

Akadyjczyk przerywa patrząc na żonę.

– Sądzę, iż z przyjemnością byśmy teraz coś zjedli...

Raptularz

W 1610 roku do Port Royal powraca część starych osadników oraz przybywa parunastu nowych. Głównie z Bretanii

i departamentu Poitou, gdzie w dalszym ciągu silnym ośrodkiem hugenockim była twierdza La Rochelle. Hugenoci od dawna opanowali we Francji handel i rzemiosło. Byli pracowici, przedsiębiorczy i twardzi. Przeto z nich przeważnie rekrutowali się pierwsi koloniści.

Akurat po powrocie osadników rozpoczął się pierwszy spór z Anglią o terytorium Akadii. W 1613 roku niejaki Argall, angielski awanturnik z Wirginii, najechał i zniszczył osady w okolicach Port Royal. Potem wyprawiali się z południa inni angielscy koloniści, systematycznie niszcząc mniejsze osady. Prawdziwa heca zaczęła się jednak w 1621 roku, gdy król szkocki Jakub I nadał te obszary dworskiemu dostojnikowi Williamowi Aleksandrowi i jego potomkom. Sir William, nie potrafiąc zgromadzić odpowiednich środków na ekspedycję osiedleńczą, wpadł na następujący pomysł. Nazwał tę ziemię Nową Szkocją, a następnie, w 1624 roku, uzyskał kolejny przywilej – prawo do nadawania tytułu „baroneta Nowej Szkocji”. Za odpowiednią opłatą, na odległość i na wyrost, rozparcelował pomiędzy chętnych nie znany mu ląd (nigdy tam nie dotarł). Baroneci mieli tytuły, wymyślone herby i gdzieś daleko ziemię, do której też nigdy nie przybyli. Ich prawa potwierdził następny król – Karol I i do dzisiaj w Anglii są ludzie posiadający tytuł nowoszkockiego baroneta. Dopiero syn Aleksandra wylądował w 1629 roku z garstką szkockich kolonistów w okolicach Port Royal. Drugą grupę próbował umieścić na wyspie Cape Breton, co udaremnił mu Francuzi. W dwa lata później, gdy kolonizacja okazała się nie tylko kosztowna, lecz bardzo trudna, nakazano zlikwidować osadę i powrócić do Anglii.

Francuzi, ogromnie zaniepokojeni angielskimi próbami osiedleńczymi, od 1630 wysyłają partie osadników do Akadii. Wybierają ich z dwóch departamentów nadatlantyckich – Poitou i Loire. Dlaczego stamtąd? Po pierwsze, byli doświadczonymi rolnikami. Od wieków zamieniali bagnistą, zasoloną ziemię przybrzeżną na pastwiska i pola, tworząc poldery i regulując oceaniczne pływy. Po drugie, byli biedni, a Nowy Świat stwarzał im szansę. Po trzecie, byli katolikami... Za rządów kardynała Richelieu kończy się tolerancja. Odwołano edykt nantejski i hugenoci zostają wyeliminowani z życia

publicznego. Kościół postanawia stworzyć w Nowej Francji wzorcową gminę wyznaniową, która dodatkowo ma przyczynić się do spełnienia jezuickiej misji: nawrócenia Indian. Kończą się prześladowania tubylców i Francuzi osiągają to, czego nigdy nie udało się osiągnąć Anglikom: w miarę pokojową koegzystencję przypieczętowaną mieszanymi małżeństwami. Potomkowie z tych związków tworzą odrębną społeczność – Metysów. Jest ich dziś w Kanadzie przeszło czterysta tysięcy.

4.

Wiara, rodzina i język: trzy filary naszej społeczności. Ważnym faktem był brak konfliktu z Indianami o ziemię – mówi Akadyjczyk. – Zabierali ją oceanowi, budując specjalne groble i tamy. Nie osiedlali się przy istniejących stacjach handlowych lub blisko fortów. Z tego powodu, w miarę upływu lat, stawali się odrębną grupą, żyjącą z dala zarówno od innych Francuzów, jak i Indian.

– W 1632 roku Akadia, po raz pierwszy, znalazła się na stole przetargowym. Traktat w Saint-Germain-en-Laye oddaje ją Francji i w tym samym roku, z grupą 300 osadników, przybywa francuski gubernator, de Razilly. Panuje względny spokój, zakłócany jedynie utarczkami z piratami, dla których wybrzeża Nowej Szkocji są istnym rajem, bo długość linii brzegowej wynosi przeszło 7579 km i jest tam ponad 3800 przybrzeżnych wysp i wysepek. W 1654 Anglia zagrabia na 13 lat stolicę Akadii – Port Royal – przemianowując ją na cześć królowej Anny Stuart na Annapolis Royal. Potem układ w Bredzie z 1667 przywraca Akadię Francji na następne 30 lat i przybywa nowa fala kolonistów z nadatlantyckich regionów Francji: Loire i Poitou.

Zasiedlają inne centra osadnictwa, z których najoryginalniejszym jest Grand-Pré (dzisiejsze Wolfville), położone w bardzo głęboko wciętej w ląd zatoce Basin de Mines (Minas Basin). Jest ona częścią słynnej zatoki Fundy, która wtedy oczywiście nazywała się La Baie Française.

Występują tam największe na świecie przypływy – do wysokości 16 metrów. Na skutek ciągłego mieszania wód region ten jest niesłychanie bogaty biologicznie. Wielkie

ławice dorszy i śledzi, homary i małże, stada wielorybów. Zatoka ma przeciętnie 40 m głębokości; na południu rozległe, słone, nadmorskie bagna, na północy urwiste wybrzeża dochodzące miejscami do 200 m wysokości.

W 1701 drugi spis powszechny wykazał, że w Akadii mieszkało około 1400 ludzi. Wbrew woli rządu francuskiego, nie zważając na sporadyczne napady piratów, handlowali z angielskimi kolonistami po drugiej stronie zatoki Fundy. Napady piratów i angielskich awanturników doprowadzają do zawarcia umowy pomiędzy francuskim gubernatorem a korsarzami (w tym brytyjskimi). Ich działalność jest tak skuteczna, iż przyczynia się do wielkiego rozkwitu ekonomicznego Akadii. Dzięki temu gubernatora stać na liczne podarki dla Indian, co z kolei prowadziło do coraz lepszych z nimi stosunków. Ale kiedy Francja ścierała się z Anglią, Mikmak stali na uboczu.

Po traktacie w Utrechcie, kończącym wojnę o sukcesję hiszpańską, Akadię scedowano Anglikom. Przez następne parędziesiąt lat trwają spory graniczne. Francuzi uważają, że Akadia to tylko obszar dzisiejszej Nowej Szkocji, natomiast Anglicy, że Nowy Brunswik, półwysep Gaspé (dzisiejszy Quebec) i część stanu Maine w USA. Powróciła nazwa Nowa Szkocja, ale zarówno Anglicy, jak i Szkoci, nie kwapią się z kolonizacją. Do 1750 roku Akadyjczycy będą tam większością.

– Według aktu kapitulacyjnego wszyscy ludzie mieszkający w promieniu strzału armatniego od Port Royal (około 5 km) winni byli przez dwa lata pozostać na swych miejscach, a potem złożyć przysięgę na wierność koronie brytyjskiej. Godzą się jedynie na przysięgę neutralności. Ostatecznie angielski gubernator Philips w 1729 zgodził się na takowy kompromis, za co później poniósł konsekwencje, oskarżony w Anglii o ugodowość czy wręcz zdradę interesów brytyjskich. Owej przysięgi neutralności większość przestrzega przez następne 25 lat. Akadyjczyk sięga znów po atlas.

– Spójrz – jego palec wskazuje wyspę Cape Breton – tutaj zbudowano słynną twierdzę w Louisburgu, która miała kontrolować Zatokę św. Wawrzyńca i być przyczółkiem dla przyszłego odzyskania Akadii. Twierdza też przechodziła z rąk

do rąk, aż w końcu w Nowej Szkocji wylądował brytyjski generał Cornwallis z dwu i pół tysiącami angielskich kolonistów. Najpierw zagnano ich do budowy twierdzy, portu i miasta Halifax. Nowa Szkocja stała się oficjalnie terytorium brytyjskim. Sprowadzono w czasie następnych 10 lat siedem tysięcy osób z Nowej Anglii oraz protestantów ze Szwajcarii i księstw niemieckich: Hanoweru i Brunszwiku, aby stworzyć przeciwwagę francuskim katolikom. Brytyjczycy posunęli się nawet tak daleko, iż zezwolili na osadnictwo niedobitkom francuskich hugenotów.

– Kiedy Francuzi zaczęli budować Fort Beauséjour w Nowym Brunszwiku, Anglicy, w odległości zaledwie trzech kilometrów, natychmiast zaczynają budowę swojego – Fort Lawrence. Narasta napięcie. Żołnierz-gubernator, Charles Lawrence, decyduje się na rozprawę z Akadyjczykami. Żąda od nich złożenia przysięgi na wierność koronie, grożąc za odmowę szykanami. W 1755 roku Brytyjczycy zajmują nie ukończony jeszcze Fort Beauséjour, gdzie podobno znajdują wśród francuskich poborowych około 300 Akadyjczyków. Zapada decyzja o wypędzeniu wszystkich Akadyjczyków. No, na dzisiaj dosyć, bo opowiedziałem ci i tak za wiele.

Odprowadza mnie do wylotu ścieżki prowadzącej na ulicę.

– Przyjdź do nas w przyszły czwartek. Dokończę ci nasze dzieje...

I wciska mi do ręki pieniądze. Za całe siedem godzin „pracy”.

– Port Royal w Akadii był największym skupiskiem. Po-tem Minas, Beaubassin, Cobequid i wiele mniejszych osiedli – mówi Akadajczyk zatrzymując palec w kilku punktach półwyspu Nowej Szkocji, wyglądającego na mapie jak przedziwny, prehistoryczny gad.

Siedzimy znów w kuchni przy herbacie z rumem. Od dwóch dni gwałtownie się ochłodziło. Pracowaliśmy tylko dwie godziny, a teraz wędrujemy sobie po mapach i czasach odległych.

– Przeszło piętnaście tysięcy ludzi zamieszkiwało Akadię w 1755 roku. Na skutek nacisku Francji, z Nouvelle-Ecosse

(Nova Scotia) dwa tysiące wyemigrowało na Wyspę Księcia Edwarda, a siedemset osób na Cape Breton. Czystka trwała do 1763 roku, pogłębiona Wojną Siedmioletnią...

– To była pierwsza wojna europejska, która zaczęła się na innym kontynencie – wtrącam.

– *Bien* – uśmiecha się – Widzę, że nie na darmo siedziałeś w bibliotece. W sumie uciekło stąd około ośmiu tysięcy ludzi, przeważnie do Quebecu. Pięć tysięcy zmuszono do opuszczenia swoich domów. Potem padł Louisbourg i Quebec... I to był koniec Nowej Francji.

– Akadyjczyków deportowano na brytyjskich okrętach do Nowej Anglii. Na Karaiby – Martynikę, Cayenne i Santo Domingo, i do Francji. Tysiąc pięćset osób nie przyjętych w Wirginii, skierowano do Anglii jako wojennych zakładników. Siedemset osób utonęło po drodze, podczas sztormu na Atlantyku. Pewna część ludzi zbiegła w głąsz. Przetrwali dzięki swemu doświadczeniu i pomocy Indian. Byli to głównie ci, którzy zajmowali się traperstwem. Potem, po stworzeniu w 1784 roku prowincji Nowy Brunswik, wyłonili się z lasów. Pozwolono im zostać, tak jak innym, po złożeniu przysięgi na wierność Anglii. Zanim podpisano pokój w Paryżu, w 1763 roku, w sumie wyrugowano dziesięć tysięcy osób.

Deszcz bębni o dach coraz głośniejsze. Profesor przeciera okulary, patrzy na nie pod światło. Wzdycha...

– Część domów i zabudowań spalono. Majątek ruchomy sprzedano. Zniszczono tamy i zalano łąki. Sprowadzono angielskich osadników, którzy zajęli opuszczone gospodarstwa. Przeważnie na wyższych terenach, bo nie umieli zakładać polderów. Sporo Akadyjczyków trafiło do więzienia. Wiele osób zginęło z głodu i wyczerpania.

Pozwól, że Cię skomplementuję. Czuję to samo, co ogół publiczny; stokrotnie wolę pokój od Kanady i myślę, że Francja może być szczęśliwa bez Quebecu. Zapewne pamiętasz, co powiedziałem parę lat temu w obecności Najjaśniejszego Pana: – Cóż to jest Kanada? Zaledwie parę akrów śniegu.

(Voltaire do Étienne François, Duc de Choiseul, po podpisaniu Traktatu Paryskiego w 1763)

Daty w historii. Abstrakcyjne znaki. Zaledwie cztery cyfry. Czasem sześć lub osiem, gdy jakieś wydarzenie ujmujemy przestrzenną klamrą. Za cyframi kryje się ogromna liczba... martwych ludzi. Przeróżające marnowanie życia i czasu. By zająć jakiś kawałek ziemi, który potem nie spełnia oczekiwań. Albo spełnia i trzeba go bronić przed innymi. Ludzie z różnych stron świata, różnych języków, wyznań i obyczajów. Są już ze sobą pogodzeni wspólną dołą. Tolerują się, zaczynają nawet wchodzić w rodzinne związki. Niespodziewanie przychodzi rozkaz z metropolii. Lub nowy namiestnik, gubernator, zarządca. Pojawia się nowa sytuacja. I ten z naprzeciwka staje się wrogiem. Tamten zza rzeki, podejrzany. A ów, na pewno szpiegiem.

Sto dwadzieścia trzy lata historii Akadii. Dokładnie tyle, ile trwała nieobecność Polski na mapach...

Po Traktacie Paryskim Francja straciła wszystkie posiadłości w Ameryce Północnej poza dwoma małymi wysepkami – St. Pierre i Miquelon. Owo miejsce, aż do początków XX wieku, było nazywane przez marynarzy „Ustami Piekła”. W jednym tylko 1816 roku rozbiły się tam 674 statki. Spośród deportowanych do Francji Akadyjczyków trzystu pięćdziesięciu osiadło potem na tych wysepkach. Anglicy zajęli je w czasie wojny ze Stanami i ponownie w 1793 roku. Ostatecznie, od 1814 roku należą do Francji.

W czasie prohibicji St. Pierre i Miquelon stają się centrum szmuglowania alkoholu do USA. Tę tradycję kontynuują do dzisiaj. Tym razem szmugiel idzie na Nową Fundlandię, o czym można przeczytać w uroczej książce kanadyjskiego pisarza, F. Mowata „Zwariowana łódka”. Francji tak bardzo zależy na tych wysepkach, iż rocznie wpompowuje w nie około 25 milionów dolarów. Jest to najwyższy na świecie współczynnik opłat rządowych na głowę jednego mieszkańca.

Większość Akadyjczyków deportowanych do Francji osiedliła się później w hiszpańskiej, naówczas, Luizjanie. Uzyskali zgodę króla Hiszpanii, który zapewnił im siedem statków do przewozu 1600 osób. Dopływają w 1785 roku

kończąc swe 30-letnie wygnanie. Spotykają tam kilkuset ziomków przybyłych wcześniej, bezpośrednio z Akadii. Dwa i pół tysiąca Akadyjczyków nazywanych jest przez sąsiadów „Acadien”. Potem przechodzi to w „Cadien”, a ostatecznie w słowo „Cajun”, które określa grupę ludzi w Luizjanie, głównie pochodzenia francuskiego, z domieszkami niemieckimi i hiszpańskimi. Kajun to jest styl życia i bycia – *joie de vivre*. Specyficzne, ostre, przeważnie morskie potrawy, ognista muzyka – słynne skrzypce z akordeonem i taniec. Pozostali Akadyjczycy zamieszkali we Francji i Francuskiej Gujanie, a nawet wylądowali na Falklandach.

6.

– Po 1785 zaczęliśmy chyłkiem powracać, głównie do Nowego Brunswiku. Osiedlaliśmy się w dolinie Rzeki św. Jana, w jej dolnym biegu. Potem w górnym, bo napierali na nas przybyli z USA Lojaliści. Obszar wokół miasta Edmunston, na styku granic Quebecu, Nowego Brunswiku i stanu Maine, nazwany został Republiką Madawaska. Żyje tam dwadzieścia pięć tysięcy Akadyjczyków...

Madawaskę zobaczyłem podczas przeprowadzki z Nowej Szkocji do Toronto. Jechaliśmy przez dolinę wijącej się rzeki. Wysoka i niezwykle gęsta trawa, łąki schodzące ku wodzie. Zagajniki i nadrzeczne lasy. Zbiegające się i rozchodzące wzgórza. W pewnym momencie byliśmy nimi otoczeni ze wszystkich stron. Ku memu zdumieniu odkryłem resztki starych wulkanów: pojedyncze, stożkowate wzniesienia porośnięte lasem. Z daleka miały granatowy kolor wyraźnie odcinający się na błękitnym tle. A wokół soczysta zieleń przetykana jaskrawymi kolorami dzikich kwiatów i tych w przydomowych ogródkach.

– Nazywamy także to miejsce Ogrodem Republiki. Burmistrz Edmunston jest jej honorowym prezydentem. Powróciliśmy do Nowej Szkocji, na wyspy Cape Breton i Księcia Edwarda. Przez wszystkie lata na maleńkiej wysepce Madame, koło Cape Breton, przetrwało parędziesiąt osób. Wokół nich zawiązała się na nowo nasza społeczność. Anglicy porozrzucali nas na nieurodzajnych ziemiach, przeważnie wzdłuż wybrzeży Atlantyku i Rzeki św. Wawrzyńca. Dlatego

nasz główny zawód, farmerstwo, zamienił się w rybactwo. Z początku nie mieliśmy prawa do posiadania ziemi. Przez długi czas nie mieliśmy żadnych praw politycznych i obywatelskich. Nie mogliśmy na przykład głosować, bo byliśmy katolikami. Pierwsza to prawo dała nam w 1789 Nowa Szkocja. Potem Nowy Brunswik i na końcu, w 1830 Wyspa Księcia Edwarda. Od tego roku mogliśmy już zasiadać w organach ustawodawczych każdej prowincji.

Profesor wstaje i podchodzi do rzeźbionej szafki. Wszystko tutaj jest wypieszczone, zdobne, czyściutkie. Kolorowe firanki, liście winorośli oplatające okna. Kładzie na stole drewnianą szkatułkę. Wyjmuje z niej poźółtkłe zdjęcia i dokumenty. Odnawia stare nazwy. Przydaje imion młodym twarzom kobiet i mężczyzn sprzed 80 lat.

– Az do lat 30-tych naszego wieku bezlitośnie wykorzystywały nas angielskie kompanie rybackie. Założyliśmy więc spółdzielnie i wzięliśmy wszystko w nasze ręce. Nie mieliśmy nawet księży. Przysyłano ich z Quebecu, czasem z Francji. Nasze parafie nabrały wtedy ogromnego znaczenia. Posiadaliśmy zaledwie parę szkół francuskich. Nauczyciele krążyli od wioski do wioski. Nie mieliśmy swoich gazet. Żadnej klasy średniej ani inteligencji. W drugiej połowie XIX wieku było nas 87 tysięcy... A powodziło nam się gorzej niż za francuskich rządów.

– W latach 40-tych XIX stulecia mieliśmy już swoich przedstawicieli w parlamentach prowincji nadmorskich. W 1846 amerykański poeta H.W. Longfellow publikuje *Evangeline* – poemat o wygnaniu, najpełniejszy, i przyznam, nieco przesadzony obraz, który dla wielu z nas był szokiem. Historię mieszał z fikcją, lecz ludzie rozczytywali się w poemacie. Nie Akadyjczycy czy Québécois, tym bardziej że byliśmy wtedy przeważnie ludźmi bez wykształcenia... Czytali Amerykanie i Anglosasi – tutaj i w Europie. Przetłumaczono poemat na francuski. W trzynaście lat później de Saint-Père zapoczątkowuje studia nad Akadyjczykami we Francji.

I tak amerykański poeta, *Anglais*, przyczynił się do odnowy małej, francuskiej społeczności. Społeczności, która z trudnością porozumiewała się z rdzennymi Francuzami. Nasz

język rozwijał się w długiej, kulturowej izolacji. Każda osada przechowywała tradycje przodków – opowieści i legendy, święta, stroje i potrawy. A nade wszystko język – XVII-wieczny dialekt z departamentu Poitou. Udało nam się ocalić naszą tożsamość – kulturę i tradycję. Czy wiesz, iż tutaj uratowano także stary celtycki język, Gaelic? Są nawet szkoły, które uczą w tym języku.

Kładzie mi rękę na ramieniu – Wiesz, to nie jest zły kraj. Byleby tylko ludzie znowu nie zwariowali i nie palnęli jakiegoś głupstwa. *Aurea prima sata est aetas...*

Raptularz

Prawdziwe odrodzenie Akadyjczyków zaczęło się z chwilą powstania klasy średniej, w latach 60-tych XIX wieku. Najpierw założono wyższe seminarium duchowne i szereg lokalnych szkół. W 1867, w Nowym Brunswiku, wychodzi pierwsza gazeta po francusku – *Le Moniteur Acadien*. Od 1881 roku w tamtejszym *Collège Saint-Joseph* organizowane są wielkie spotkania poświęcone przyszłości Akadyjczyków. Powstaje *Société Nationale des Acadiens*, które wybiera narodowe symbole: flagę, święto – święto Wniebowzięcia w dniu 15 sierpnia i hymn – *Ave Maris Stella*.

Zakładają spółdzielnie i kasy oszczędnościowo-pożyczkowe (*Caisse Populaire*). Liczą one obecnie przeszło 200 tysięcy członków, a wartość ich majątku przekracza 600 mln dolarów. Poza rolnictwem i sadownictwem Akadyjczycy pracują w przemyśle drzewnym i kopalniach Nowej Szkocji. Najsilniejsza grupa mieszka w Nowym Brunswiku. Mają uniwersytet – Université de Moncton, dwie gazety, kilka tygodników, trzy stacje radiowe i jedną TV. W parlamencie stanowią jedną trzecią posłów. W 1960 roku Akadyjczyk, Louis Robichaud, zostaje z ramienia Liberalów premierem prowincji i wprowadza program tzw. Równych Szans – dwujęzyczność, reformy społeczne i równe prawa dla wszystkich.

Jednakże do połowy XX wieku bieda i izolacja oraz brak instytucji oświatowych na wyższym poziomie uniemożliwiają rozkwit akadyjskiej kultury. Ich folklor zaczęto badać w

latach 40-tych i 50-tych XX wieku w Kanadzie, USA i we Francji, gromadząc kolekcje, zwłaszcza na uniwersytetach. I wtedy nastąpiła istna eksplozja kulturalna...

Odnaleziono pierwszy, z 1606 roku, francuskojęzyczny tekst literacki powstały na kontynencie amerykańskim. W tym samym roku miały miejsce dwa ważne wydarzenia. W Port Royal odbyło się pierwsze europejskie przedstawienie teatralne w Ameryce Północnej, a jego reżyser, Marc Lescarbot, założył pierwszą w obu Amerykach publiczną bibliotekę. Po 85 latach mozolnej odbudowy kulturalno-duchowej (1881-1966), której punktem wyjścia była trauma, a następnie próby samookreślenia, Akadyjscy otworzyli usta i serca. Szeroko rozwinęły się studia historyczne. Powstało wiele lokalnych utworów literackich, a ich teatr i film wkroczyły na arenę międzynarodową. Najbardziej znaną dziedziną stała się muzyka. Powiadają, że Akadyjscy rodzą się z nią we krwi i w czubkach palców... Jest pełna ekspresyjnej radości i wigoru. Była najlepszym lekarstwem na codzienne troski i niedogodności twardego, pionierskiego życia. Akadyjscy skrzypkowie wyszli poza muzykę folk i wdarli się przebojem do jazzu i rocka. Najśłynniejszym był Arthur LeBlanc, który zmarł przedwcześnie. Podobnie jak znakomity skrzypek Kajunów – Iry Lejeune.

Kajunowie i Akadyjscy – kuzyni rozdzieleni paroma tysiącami kilometrów i dwustoma latami historii... Wspólny pień z rozłożonymi szeroko konarami. Pierwszych jest około pół miliona, drugich przeszło 300 tysięcy. Różnią ich dialekty, smak potraw, odmienna melodyka, bo w kajuńskiej mocniej zaznaczył się, wprowadzony przez Niemców, akordeon. Pozostał duch przodków, ów życiowy wigor i wewnętrzna swoboda. Jest nowy, wspólny problem – jak zachować język, który zanika w codziennym użyciu, wśród ostatnich, dwóch generacji.

Posłowie

Współczesna Kanada... To, co dawniej eliminowano, powraca do swych korzeni i się rozwija. Lecz nie w każdym przypadku. Pierwszych mieszkańców Kanady zepchnięto na

margines lub do rezerwatów. Przez wiele lat prześladowani i wykorzeniani grzęzną w zakłętym kręgu bezrobocia, alkoholizmu i narkomanii oraz samobójstw. Przede wszystkim wciąż im się daje odczuć, że ich wartości duchowe są niewiele warte i przestarzałe.

Kanada jest z ducha anglosaska, głównie w strukturach władzy i podległych jej urzędach. Także w wąskich kręgach, tworzących się wokół wielkiej forsy i świata artystyczno-rozrywkowego, które często zdominowane są przez społeczność żydowską. Obok nich, i jakby pod nimi, kłębią się dwa inne światy. Pierwszy to rodzeni przeciętniacy, drugi – uchodźcy ekonomiczni i wojenni z różnych kontynentów. Ci nowi, temperamentni ludzie, wnoszą więcej ciepła i ów kajuński *joie de vivre*.

„Starzy” zdają sobie sprawę z tego, iż są coraz szybciej wchłaniani przez „nowy” żywioł. Dlatego tak kurczowo trzymają się władzy i urzędów. Któregoś dnia – ufajmy – znów obudzą się w porę. Bo cała historia Kanady jako państwa jest właśnie serią takich przebudzeń: na czas. By uniknąć skrajnych konfliktów i zapobiec wybuchowi społecznego niezadowolenia. Jest to rezultat angielskiego sposobu rozwiązywania problemów, którego istota sięga czasów gwałtownego starcia nowej klasy z Karolem I – Angielskiej Rewolucji. Odtąd wszelkie konflikty starano się rozwiązywać poprzez reformy społeczne i polityczne ustępstwa, mimo że trwało to latami, a w końcowym efekcie często nie przynosiło zamierzonych efektów. Pamiętajmy, że spokój w metropolii był możliwy także dzięki trwającej ponad 400 lat bezwzględnej eksploatacji milionów ludzi zamieszkałych w koloniach.

Podejście do Indian czy Inuitów w Kanadzie było takie, jak wobec plemion i narodów Afryki, Azji czy Oceanii. Anglicy zastali osiadłych tu wcześniej Francuzów i siłą rzeczy lub przyzwyczajenia z europejskiej areny traktowali ich inaczej. Dzisiejsi anglosascy szowiniści w głębi ducha żałują, iż nie rozwiązano problemu francuskiego (quebeckiego) tak szybko i skutecznie, jak uczyniono to z pewnymi narodami afrykańskimi czy azjatyckimi. Obecnie większość Kanadyjczyków uważa, iż Francuzi powinni kultywować swoje

tradycje i być żywą częścią wielokulturowej mozaiki.

Mozaika mieni się i migoce w swych narodowych sosach, tworząc kulturowe getta. Owe getta, gdzieś tam, stykają się od czasu do czasu. Zasada „dziel i rządź” istnieje nadal. Jenó w lepiej zakamuflowanej formie. Elegancko przybranej w jarmarczną i krzykliwą sukienkę demokracji, przyozdobioną wielką kokardą politycznej poprawności. Tutejsze kultury wciąż nie przecinają się, nie krzyżują tak, aby w miejscach styku powstawały nowe wartości.

O Akadię pytałem dziesiątki ludzi. Jeśli coś wiedzieli, to nader pobieżnie. W Kanadzie nauczanie historii właściwie nie istnieje. Większość czasu pochłania praca i przeżuwanie telewizora. Przy przeciętnie dwóch tygodniach wakacji, drogich przelotach i olbrzymich odległościach, trudno poznać kraj z autopsji.

Nie zanotowałem nazwiska mego rozmówcy z Antigonish. Może i lepiej, bo tym sposobem stał się symbolem wszystkich Akadyjczyków, a jego opowieść owym miejscem styku. Gdzie zaczyna tworzyć się nowa wartość w zderzeniu odmiennych światów – akadyjskiego, indiańskiego, anglosaskiego i... polskiego. Nie sterowana odgórnie przez „mandarynów”, którzy za wyborcze głosy gotowi są paradować w czymś narodowym stroju. Którzy podejrzliwie oglądają *sacrum* pod lupą relatywizmu i politycznej poprawności. Przedkładając mitomanię ponad twórczy mit...

I gdy ów król ludu Canadas, Donnacona, opowiedział o swoich ziemiach, bogatych w futra wszelakie, doniósł nam także, iż niegdyś odwiedził krainę, której ludzie pozbawieni są odbytu. Nigdy nie jedzą i nie trawią, wypróżniając jedynie wodę penisem. Potem dodał, iż był w jeszcze innym miejscu, gdzie mieszkańcy posiadają tylko jedną nogę. I zbyt wiele jest tam innych cudów, by je zdołać tutaj wszystkie opowiedzieć...

(z dziennika Jacques Cartiera, 1535)

Krzysztof KASPRZYK

WSPOMNIENIA

Maria TURLEJSKA

MOJE ROZMOWY Z „WIESŁAWEM” – WŁADYSŁAWEM GOMUŁKĄ (1980-1981)

Pod koniec lat siedemdziesiątych kilka osób namawiało mnie, żebym rozmawiała z Wiesławem – Władysławem Gomułką. Mówili mi: ty go znasz z czasów okupacji, on z tobą zechce mówić, możesz go zapytać o różne rzeczy, o historię PPR, o Mołojca i Nowotkę, o Październik 1956, o Marzec 1968, o Wybrzeże, o strzelanie do robotników w 1970 r., o kampanię przeciw syjonistom, czyli Żydom, o stosunek do inteligencji, o to, czy Chruszczow proponował mu ujawnienie prawdy o Katyniu, a on nie chciał, o stosunek do Moczara, o stosunek do Gierka. – Odpowiadałam, że sama wiem, o co go pytać, ale nie miałam na to wówczas ochoty. Wynikało to z różnych przyczyn.

Po pierwsze, nie lubię przeprowadzać tzw. wywiadów, chociaż lubię słuchać, jak ludzie, którzy mają wiele do powiedzenia, wspominają dawne lata. Jednak wiem, że na ogół przemilczają sprawy najważniejsze, spychając je poza krąg świadomości, że przeinaczają fakty niewygodne dla siebie albo wręcz kłamią, broniąc swoich racji.

Po drugie, miałam żal do Gomułki, że odszedł od Października, i to stosunkowo dość szybko, że zainicjował już wiosną 1957 kampanię przeciw tzw. rewizjonistom, inaczej mówiąc, przeciw partyjnej, reformatorskiej inteligencji, że tolerował antysemicką kampanię już nazajutrz czy w czasie wojny sześciodnio-

wej 1967 r., że kazał aresztować studentów i usuwać profesorów z wyższych uczelni, że zmusił ich do emigracji, że bez sensu i dostatecznej przyczyny wszczął walkę z Kościołem, że obawiał się reformy gospodarczej i wpędził kraj w stagnację, że był przeciwnikiem modernizacji, że cenzura coraz bardziej ograniczała wolność słowa, że jubileusz dwudziestopięciolecia PRL święcił wyłącznie jako pasmo sukcesów, negując prawo do krytyki błędów, że wreszcie zapomniał o tym, co myślał, kiedy nie był jeszcze ponownie w partii, że niczego się nie nauczył i wszystko zapomniał.

Po trzeciej, nie miałam ochoty z nim rozmawiać, dopóki nie przemyślałam sama wielu rzeczy, dopóki nie nauczyłam się myśleć i mówić jak dawniej; jak przedtem, nim zostałam poddana wieloletniej indoktrynacji, dopóki nie powróciłam do źródeł, dopóki nie przezwyciężyłam deformacji, dopóki się nie wyprostowałam.

I tak przyszedł rok 1980. Jeszcze nie sierpień, dopiero luty 1980 roku. Zaczynała się schyłkowa epoka Gierka. Było to już po zimie stulecia, kiedy wszystko zaczęło się walić. Ale w prasie grzmiąły nadal surmy zwycięstwa. Propaganda sukcesu była w apogeum, choć Polska nabrzmiewała wybuchem.

Pojechałam do Domu Pracy Twórczej ZAIKS-u w Konstancinie. Wzięłam ze sobą maszynę i zamierzałam napisać jakiś większy artykuł. Myślałam – jak wszyscy – że Gomułka z żoną mieszkają we własnej willi w Konstancinie. Pewnego dnia zdecydowałam się iść za radami przyjaciół i spróbować porozmawiać z Gomułką. Jak go znaleźć? Zadzwoniłam do Ignacego Logi-Sowińskiego, który – jak wiedziałam – spotykał się z nim stale, i spytałam o adres. Ten – prosząc mnie od dyskrekcję wobec Wiesława – opisał drogę, jak tam dojść. Ignacy określał położenie domu w stosunku do jakiegoś sanatorium, które znał. A to była po prostu ówczesna ulica Krajowej Rady Narodowej nr 20 (obecnie Potulickich). Okazało się, że każde dziecko w Konstancinie wie, gdzie jest willa Gomułki. Redaktor *Życia Warszawy*, Korotyński, doradzał, jak tam dojść, bo wszyscy wiedzieli, gdzie się wybieram, i czekali z niecierpliwością, co z tego wyniknie.

Był to czwartek – 14 lutego 1980 roku.

Trochę się obawiałam tego spotkania. Nie wiedziałam, jak mnie Gomułka przyjmie.

Trzy razy miałam z nim kontakty. Pierwszy raz – wiosną 1944 w tajnym lokalu KC PPR na Mariańskiej. Drugi raz – w styczniu 1945 w Lublinie przy ul. Spokojnej i wreszcie w 1947 r. wiosną w KC PPR w Alei Róż. O tym zresztą opowiem przy innej okazji. Liczyłam trochę na jego żonę – Zosię. Ona pracowała w latach 1945-1948 w Wydziale Kadr KC PPR u Zenona Kliszki, a ja w Wydziale Historii. Byłyśmy po imieniu, jak to wówczas było w zwyczaju w Polskiej Partii Robotniczej (PPR). Spotykałyśmy się w stołówce, na zebraniach, na akademiach. Kiedyś byłyśmy razem w Teatrze Polskim na przedstawieniu „Szkoły żon” Moliera. Przyjechał wówczas z Paryża teatr Louis Jouveta. Siedziałam między Zofią a Barbarą Spychalską na miejscu któregoś z ich nieobecnych mężów – w pierwszym rzędzie parteru. Byłam ich tłumaczką, choć nie szło mi to najlepiej. Działo się to może na początku 1948 r. Nikt z nas nie wiedział, co stanie się z nimi, ze mną, z nami...



Dotarłam na miejsce pytając jeszcze po drodze trzech napotkanych przechodniów o „willę Gomułki”. To nie była jego willa, tylko dom Urzędu Rady Ministrów, oddany mu w czasowe użytkowanie. Własnej – nie zbudował. Tę przeznaczono dla niego po 1970 roku, w miejsce dawniej użytkowanej, lepszej – w Śródborowie. Wolał tamtą, jak mi później powiedział, a tej nie lubił i nigdy tam nie mieszkał. Była zaniedbana. Pokazywał ze złością zacieki na ścianach jako dowód lekceważącego do niego stosunku, willa to skromny jednopiętrowy budynek z niebrzydkim frontem. Stała nieco w głębi leśnej działki, przez którą przepływał strumyk. Brama była otwarta. Przeszłam koło dwóch samochodów. Nikogo nie zauważyłam. Zastukałam do drzewi wejściowych, a gdy nikt nie odpowiadał, nacisnęłam klamkę i weszłam. Okazało się, że wewnątrz są drugie drzwi, więc i tak nikt nie usłyszałby stukania. Zajrzałam do środka. Znajdowałam się w przedsionku, gdzie wisały ubrania. Drzwi na wprost i drugie na prawo również były otwarte. Ale nie było nikogo. Wycofałam się więc i kiedy zamykałam drzwi wejściowe,

ujrzałam wysokiego mężczyznę, który nieźyczliwie zapytał, kim jestem i co tu robię. Wyjaśniłam, że przyszedłam do towarzysza Gomułki, i dodałam, że jestem jego znajomą z dawnych czasów. Wymieniłam moje nazwisko, ale oczywiście nic mu nie mówiło. – Towarzysz Gomułka jest na spacerze w lesie – rzekł – proszę przyjść później, koło południa.

Powtórzyłam jeszcze raz moje nazwisko, zapowiedziałam, że wrócę, i wyruszyłam na spacer po lesie. Trochę byłam stropiona tym niespodziewanie przedłużającym się oczekiwaniem. Pogoda była ładna, mroźna, wszędzie mnóstwo śniegu. Przygotowywałam sobie w duchu różne scenariusze rozmowy, wyjaśnienia, po co przyszedłam. Nie chciałam wzbudzić jego podejrzeń, do których zawsze był skory.

Potem zrobiło się nagle późno, bałam się, że nie zdążę, że odjedzie do Warszawy i sprawa znowu się przeciągnie, a ja może utracę ochotę na ponowne spotkanie. Przyspieszyłam kroku, wracając pod nr 20. Oba samochody jeszcze stały. Weszłam już nie pukając i kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam mężczyznę w okularach: początkowo nie rozpoznałam w nim Gomułki. Przywitałam się, a on niechętnie zareagował dodając, że już wie, iż byłam i go szukam. W jego postawie nie było nic zachęcającego. Stałam w przedpokoju, wahając się co robić, kiedy z pokoju odezwała się Zofia: – Marysiu, jak się masz, wejdź. Weszłam, nie zdejmując wiatrówki ani czapki. Zresztą w pokoju było zimno. Zofia zapytała przyjaźnie: Czy masz już wnuki? Odpowiedziałam, że mam. – A nasze wnuczki to stare konie – powiedziała Zofia. Były chyba wtedy obie na studiach.

Czarnobiały telewizor był otwarty, obraz skakał. Wiesław poprosił – może tego, który mnie zaczepił – albo drugiego (ten pierwszy był, jak się okazało, kierowcą) – żeby wyregulował obraz. Udało się to po chwili. Właśnie w tym momencie Gierek dziękował za wierną służbę Jaroszewiczowi odchodzącemu na emeryturę, podkreślając jego zasługi itd. Gomułka się wściekł i zamknął telewizor. – Ależ, Władku – mitygowała go Zofia – trzeba posłuchać, co mówią. – I otworzyła radio. Cywil z ochrony wyszedł, a Gomułka zwrócił się do mnie cierpkim tonem:

– Przyszliście teraz, bo pokazano moje zdjęcie i wspo-

mniano o mnie w telewizji. Już się nie boicie przyjść do Gomułki.

– Ależ, towarzyszu Wiesławie – odpowiedziałam zdumiona – w ogóle o tym nie wiedziałam.

Gdy kogoś zdziwi forma, w jakiej zwracałam się do Wiesława: „towarzysz” i na „wy”, niech zda sobie sprawę, że nie mogłam przecież zacząć mówić do niego np. „panie Gomułka”. Czulby się obrażony i wpadłby we wściekłość.

O tym nawet nie pomyślałam, forma „towarzyszu” – mimo, że od 1955 roku, czyli od ćwierć wieku, nie byłam w partii – była w rozmowie z nim naturalna. Zналиśmy się kiedyś – niewiele, to prawda – ale zналиśmy się w końcu jeszcze z lat okupacji, gdy on sprawował nadzór nad tzw. Centralną Techniką, tzn. nad moim bezpośrednim szefem „Romanem” (Ryszardem Strzeleckim). „Roman” przyszedł we wrześniu 1943 r. na ul. Natolińską, gdzie mieszkalam z dwuletnim dzieckiem u Stasi Domańskiej-Trylskiej, jeszcze bez fałszywych dokumentów, ze starą kenkartą na moje prawdziwe nazwisko (choć nie meldowana). „Roman” powiedział w pierwszych słowach: – Przysyła mnie do was towarzysz Wiesław. Spytałam, kto to jest? Nie zналаm człowieka ani jego funkcji, ani pseudonimu. Wyjaśnił mi i dodał: – Podobno chcecie pracować w drukarni. Potwierdziłam. I tak się zaczął nowy rozdział mojego życia – zostałam zecerem, ręcznym oczywiście. Zamieszkałam na ul. Jana Kazimierza na Woli, w drukarni. Wiosną 1944 r. poskarżyłam się „Romanowi”, że w składanym przeze mnie artykule o 1918 roku roi się od nieścisłości historycznych. Artykuł ten miał się ukazać w Trybunie Chłopskiej czy też w Woli Ludu. W drukarni tej składałam i odbijaliśmy w trójkę dwutygodnik KRN Rada Narodowa oraz pisma naszych „sojuszników” – „Woli Ludu” i RPPS-Lewicy, którzy nie mieli nic – drukarni, nie dysponowali kolportażem, pieniędzmi ani też większą liczbą zwolenników. Składałam więc również Robotnika – organ odłamu RPPS,

który przystąpił do KRN, Wolę Ludu oraz Niwę – młodzieżowe pismo „Woli Ludu”, a przez pewien czas – gdy wpadła drukarnia Armii Ludowej – Gwardzistę i Armię Ludową. I jeszcze jakieś odezwy, ulotki. Do samego powstania warszawskiego.

Wyłożyłam wtedy Wiesławowi, którego zobaczyłam pierwszy raz w życiu w tajnym lokalu KC PPR na ul. Mariańskiej 2, moje obiekcje co do artykułu, który – jak się okazało – on sam pisał. Zdaje się, że wprowadził jakieś drobne poprawki. Nie mogłam więc nagle po prawie 40 latach zacząć mówić: proszę pana. Tak mogła zwracać się do swych rozmówców Teresa Torńska – o pół wieku młodsza od swych interlokutorów, ludzi z innej epoki. Ale ja – choć młodsza od Gomułki o 13 lat – należałam jednak do tego samego pokolenia, które zaczęło swoje polityczne wtajemniczenie w okresie międzywojennym. Wtedy zaczęło ono działalność w organizacjach socjalistycznych, a później – w komunistycznych.

Forma „wy” była dla mnie bliska, znajoma, wyniosłam wspomnienie o niej z domu rodzinnego. Tak do siebie zwracali się towarzysze i sympatycy Polskiej Partii Socjalistycznej, tak mówili do siebie legionści (choć nie „towarzyszu”, ale „obywatelu”). Pamiętam, że początkowo, gdy byłyśmy małe, to ta forma śmieszyła mnie i moją młodszą siostrę. Moja Mama tak mówiła do niektórych swoich „kum” – do pani Krys-tyny Dąbrowskiej, żony znanego adwokata Jana Dąbrowskiego (m.in. obrońcy w procesie brzeskim), matki Julka, Niny i Staszka. Tak mówiła do Ojca i Mamy przychodząca do nas często Cecylia Bańkowska-Trzcńska, przez krótki czas żona Witolda Trzcńskiego – „Kiejstuta”, działacza PPS-Lewicy, aktywnego w 1905 roku, autora ciekawych wspomnień z tego okresu, a kolegi mojego Ojca z jednej klasy rosyjskiego gimnazjum. Ojciec, oczywiście, był z nim po imieniu. Pan Trzcński, piękny typ Litwina z sumiastymi wąsami, wiódł samotniczy żywot. Typowy stary kawaler, przychodził do nas co czwartek na kolację, grał z

ojcem w preferansa i opowiadał, jak oszczędnie żyje. Mama też była z nim na „wy”.

Ojciec mój nigdy nie należał do żadnej partii. Miał się zapisać do PPS w 1905 roku, ale umówiony z nim Marceli Handelsman, który miał tę rzecz załatwić, nie przyszedł na umówione spotkanie. Zapewne był aresztowany. Ojciec mój był zawsze sympatykiem tej partii, ale nigdy członkiem.

Przestrzegał mnie, gdy dorastałam, że po zdobyciu władzy partia, złożona z idealistów, zmienia swój charakter, swoje oblicze, wtedy bowiem dołącza do niej masa karierowiczów.

Wróćmy jednak do spotkania z Gomułką 14 lutego 1980 r. Mój szczerzy ton zmieszał go widocznie. Nie oglądałam dziennika TV 6 lutego i nie wiedziałam, że w ten sposób uczczono 75-lecie urodzin Gomułki. Gierek widocznie czuł potrzebę odbudowania swej chwiejącej się pozycji dawnym autorytetem poprzednika.

Gomułka cierpko kontynuował: – Przysłano do mnie z życzeniami urodzinowymi [Jerzego] Łukaszewicza, [Andrzeja] Werblana i [Władysława] Kruczka. Zapytałem ich, dlaczego nie prostują fałszerstw o mnie, tylko je kolportują. A wy, historycy – z pasją zwrócił się do mnie – wy też nic nie powiedzieliście w sprawie tego paszkwilu „Moje czternaście lat”.

– Nie wiem, co to jest – odrzekłam.

– Władku, ona tego nie czytała – wtrąciła pojednawczo Zofia.

– Nie czytaliście tego? Nie znacie tego? – Gomułka, już drugi raz atakował mnie bez racji i to odebrało mu trochę impetu. – To paszkwil wydrukowany w polskiej gazecie w Izraelu, a potem powielony w KC, w 200 egzemplarzach, i rozpowszechniany wśród aktywu, żeby mnie skompromitować.

Przypomniałam sobie wtedy, że miałam kiedyś w ręku niektóre numery tej gazety *Nowiny Kurier*. Słyszałam też o wywiadzie, ale nie wiedziałam, że rozpowszechniany był w kraju. Ale to było dawno, chyba 8 lat temu.

– Po coście do mnie przyszły? – zapytał nieufnie.

– Chciałam wyjaśnić niektóre sprawy, poradzić się Was, zapytać o kilka rzeczy. Jak wiecie, piszę o historii najnowszej. Muszę dodać, że za waszych czasów dobrze mi się powodziło, wyszło parę moich książek, jedna miała nawet cztery wydania i można było pisać rzeczy, o których teraz się milczy. Za Gierka w 1973 roku wyrzucono mnie z pracy, zakazano publikacji.

Mówiłam szczerze i z przekonaniem, a on mnie uważnie słuchał.

– Dotarłam do ciekawych dokumentów – powiedziałam nie sądząc, że te słowa obudzą jego żywe zainteresowanie. – Chciałam się was zapytać, co o nich sądzą.

– Macie te dokumenty? – zapytał, a jego ciemne oczy błysnęły przenikliwie.

– Większość mam w odpisach, w notatkach, niektóre były referowane np. w *Wojskowym Przeglądzie Historycznym*. Może widzieliście artykuł Ignacego Bluma, dotyczący sprawy dezercji z 41. pułku piechoty, jeszcze na Lubelszczyźnie jesienią 1944?

Gomułka odrzekł, że nie zna tego artykułu i nie przypomina sobie sprawy 41. pp. Dezercje oczywiście były, to pamięta.

– Ale w tym przypadku sprawa była wówczas inspirowana i po artykule z 1965 roku 41. pp. został rehabilitowany.

– Za mnie? – zdziwił się, a mnie rozśmieszyła ta forma, której potem wielokrotnie używał w rozmowach.

Gomułka jakby odtajał. Przestał być agresywny. Wzmianka o dokumentach, które znam, a on – być może – nie, obudziła jego zainteresowanie.

– Gdzie wy jesteście? – zapytał. – W sanatorium?

– Nie, jestem w Domu Pracy Twórczej ZAIKS-u, można tam spokojnie pracować. Wzięłam maszynę i usiłuję coś napisać. Niezbyt mi to idzie.

Tu Zofia dorzuciła, że dawno mnie widziała, po raz ostatni chyba 30 lat temu. Było to jeszcze przed ich aresztowaniem. Niewiele się zmieniła. Była niewielka (1,4 m) ubrana ciepło, gdyż towarzyszyła mężowi w jego prawie codziennych parogodzinnych leśnych spacerach.

Powiedziałam Gomułce, że interesują mnie niewyjaśnio-

ne sprawy okupacyjne, np. śmierć na Lubelszczyźnie brata mojego męża, Zdziśka Turlejskiego. Jak to naprawdę z nim było? Pracował przy radiostacji w partyzanckim oddziale Leona Kasmana i miał iść z Kazkiem Auerhanem do Warszawy do KC PPR wiosną 1944 r. Gdy nocowali w wiosce na Lubelszczyźnie w czterech czy pięciu – rano zostali zabici przez Niemców czy kogoś innego, których ktoś powiadomił o ich pobycie. Pytałam jeszcze w czasie wojny, chyba w lipcu 1944 r. Mieczysława Moczara o tę sprawę, a on jakby mi się tłumaczył, że to nie jego wina, że wieś była „nasza”, tzn. aelowska.

Z reakcji Gomułki wywnioskowałam, że jego ówczesny stosunek do Moczara jest niechętny i nieufny. Kiedyś było inaczej. Nie skomentował mego pytania. Zaproponował, że-
bym przyszła w poniedziałek, i to rano – jeszcze przed spacerem, to sobie pogadamy. Pożegnałam się więc z nimi i wróciłam na ul. Sobieskiego.

W domu ZAIKS-u zasypano mnie pytaniami. Marysia Rutkiewicz, która przyjechała w niedzielę do znajomych, była poruszona. Kiedyś tuż przed Październikiem 1956 r. jako żona Artura Starewicza widywała się z Gomułką bardzo często. Były niegdyś między nimi serdeczne, przyjacielskie stosunki. Po 1970 roku zmieniło się to całkowicie. Marysia prosiła mnie, żebym przekazała Zofii i Wiesławowi pozdrowienia i chęć spotkania się z nimi. Obiecałam, że to zrobię.

Tej niedzieli i ja miałam gości. Przyjechały do mnie córka z 2-letnią wnuczką. Poszłyśmy na spacer do lasu z sianeczkami. Była tam z rodzicami dziewczynka w jej wieku. Ojciec wydał mi się znajomy. Po chwili zdałam sobie sprawę, że to jeden z członków obstawy Gomułki, zwany przez niego oficerem. Czyżby sprawdzał, gdzie mieszkam, gdzie jest ten dom ZAIKS-u? Zrobiło mi się głupio. Chyba nie Gomułka go przysłał? Postanowiłam spytać go o to na najbliższym spotkaniu. W poniedziałek rano pobiegłam na ulicę KRN 20. Kiedy tam przyszłam – brama była zamknięta, ani jednego samochodu. Sąsiadka z naprzeciwka zamiatała śnieg na ulicy. Wdałam się z nią w rozmowę. Spacerowałam niespokojnie, nie tracąc z oczu bramy. Czyżby się rozmyślił? Wreszcie – była już chyba 9.30 – z przecznicy wyjechał samochód –

czarna wołga. Zatrzymał się przed bramą. Najpierw wyskoczył „oficer”, otworzył bramę, samochód wjechał. Potem wyskoczył duży, biały pies, na koniec wyładowali się pasażerowie. A już myślałam, że nie przyjadą!

Tym razem Wiesław poprosił mnie na górę. Były tam dwa nieduże pokoiki. Zimno, kaloryfery nie grzały. Początkowo nie ja zadawałam pytania, tylko on. Spytał, kiedy wyrzucano mnie z partii.

– Czy za mnie?

– Nie, to Bierut mnie wyrzucił. W marcu 1955 roku, zaraz po sławnym III Plenum, gdzie potępiono nadużycia bezpieczeństwa, ale Spychalskiego nie uwolniono z więzienia. O Was Berman powiedział, że nie byliście aresztowani, tylko izolowani. To nas zdenerwowało. Nas, tzn. słuchaczy Instytutu Nauk Społecznych, Bierut chciał uznać za winnych podległy mu aparat...

Mówiłam pewnie z akcentem złości i gniewu. Gomułka słuchał uważnie, jakby z milczącą aprobatą. Bierut Gomułkę nie tylko wyrzucił z partii, ale aresztował i uwięził w Miedzeszynie przez 3 lata w ścisłej izolacji, i to jeszcze po śmierci Stalina, półtora roku po wykonaniu „wyroku” śmierci na Berii (usunięto go faktycznie w końcu czerwca 1953, potem formalnie w grudniu tego roku wydano wyrok śmierci). Na Węgrzech uwolniono komunistów latem 1953 r. (m.in. Janosa Kádara). A Gomułkę trzymano w więzieniu specjalnym do 13 grudnia 1954 roku! Parę miesięcy wcześniej uwolniono Zofię, którą przez trzy lata pobytu w tymże tajnym więzieniu w Miedzeszynie trzymano przez cały czas w piwnicy. Gomułka miał rzekomo „luksusowe warunki”, bo siedział w „willi” w Miedzeszynie, „z żoną”. A ona przez trzy lata nie wiedziała, gdzie on jest, podobnie jak i on nie wiedział nic o niej. Jesienią 1954 r. zwolniono kilkanaście kobiet, które siedziały po parę od lat 1948-50 r. do 1954 bez sprawy, bez widzeń, bez listów i bez paczek. Te kobiety były towarzyszkami Bieruta i Gomułki z PPR i AL – m.in. Wanda Podgórska, Krystyna Arciuch, Hedda Bartoszek, Anna Duraczowa, Anna Gecow, Emilia Jaroszewiczowa, Halina Siedlik-Rusinowicz, Eugenia „Ewa” Piwińska i inne. Wyszedł wtedy – jesienią 1954 r. – przedwojenny KZM-owiec, płk WP

Godlewski. Bierut do ostatniej chwili nie zrezygnował z planu przeprowadzenia procesu i skazania Mariana Spychalskiego za szpiegostwo, spisek, plany zamachu stanu itd. Przed wyjazdem na XX Zjazd KPZR do Moskwy w styczniu 1956 r. Bierut polecił ówczesnemu prokuratorowi generalnemu, Stefanowi Kalinowskiemu, nieodwołalnie i bez zwłoki przygotować akt oskarżenia w sprawie Spychalskiego w ciągu 6 tygodni. Było to bezpośrednio przed tajnym referatem Chruszczowa, demaskującym zbrodnie Stalina. Gomułka o tym wiedział lepiej ode mnie. Poczułam, że wspólna antypatia do Bieruta zbliża nas do siebie w tym zimnym pokoiku na I piętrze.

I Wiesław zaczął opowiadać o Bierucie. Gomułka potwierdził, że Bierut pracował w Mińsku białoruskim w latach 1941-1943 w Zarządzie Miejskim jako zastępca burmistrza w latach okupacji hitlerowskiej. Spytałam, czy nie robił tego na polecenie wywiadu radzieckiego. Żywo zaprzeczył. Był przekonany, że Bierut robił to „na własną rękę”. Że w tym czasie z wywiadem nie miał żadnych kontaktów.

– Czy nie jest dowodem na to fakt – argumentował – że dostał się do Warszawy latem 1943 r. bez pomocy NKWD? A jak do tego doszło? Napisał z Mińska do brata Małgorzaty Fornalskiej, który był młynarzem chyba w Janowie, żeby ułatwił mu przedostanie się do Warszawy. Brat był w kontakcie z „Jasią” i dał jej znać, że Bierut odnalazł się.

– Tak jest – potwierdziłam bardzo przejęta – przypominam sobie, że Jasia mówiła mi, że wróci do kraju ktoś wybitny, zasłużony towarzysz, (nie mówiła, że to jest ojciec jej córeczki, Oleńki, której fotografię pokazywała mi z czułością, nosiła ją zawsze przy sobie). Janek Krasicki, który po niego do Mińska pojechał, zwrócił się przed wyjazdem do mojej siostry, Wandy-Dziuli, żeby dobrze ukryła fałszywe dokumenty dla kogoś, po kogo wybiera się za Bug. Dziula wlepiła kenkartę w okładkę papierowej czy tekturowej teczki, którą Janek ze sobą zabrał.

– Ale przecież Bierut mógł dostać w czerwcu 1941 r. polecenie, żeby został na terytorium okupowanym i starał się przeniknąć do aparatu okupacyjnego? – pytałam Gomułkę, gdyż wydawało mi się, że „Wiesław” przesadza.

– Na pewno nie – powtarzał z uporem. – Jestem prze-

konany, że zrobił to na własną rękę. A gdy w połowie 1943 r. okazało się, że Rosjanie zwyciężają, postanowił stamtąd wyjechać. Zresztą, swoim zwyczajem – mówił nie dobierając słów – żył z jakąś babą, której zrobił bachora. Postanowił wracać do kraju, bo mu się ziemia paliła pod stopami. Pamiętajcie, że był przecież uważany na Białorusi za kolaboranta. Miałem w ręku tego dowody. Dostałem list z Mińska po 1956 r. – od jakiegoś białoruskiego komunisty, który pisał do mnie oburzając się, jak to może być, że u was nie zdemaskowano jeszcze takiego zdrajcy, Bieruta, który był odpowiedzialny za ściąganie kontyngentów, za rekwizycje, my tu go dobrze znamy na Białorusi, i tak dalej. Co miałem robić? Zwróciłem się do Chruszczowa – jak postąpić? No i postanowiłem dać temu spokój. Bierut już nie żył od paru lat.

Nie byłem przekonana tymi argumentami i do dziś uważam, że sprawa była bardziej skomplikowana. Metody działania radzieckiego wywiadu były różne. Po masowych aresztowaniach wśród białoruskich komunistów w 1942 roku w Mińsku Bierut mógł stracić kontakt z centralą. Albo mógł np. dostać polecenie, żeby powrócić do kraju na własną rękę. Ale dla Gomułki było pewne, że Bierut był zdolny do wszystkiego, do każdej podłości.

– W czasie śledztwa chcieli zrobić ze mnie agenta policji przedwojennej. Trzymali w więzieniu policjanta z Zagłębia, który mnie aresztował w 1936 roku. Zdaje się miał nazwisko Zaremba. Chcieli go zmusić, by zeznał, że współpracowałem wtedy z policją. Ale to był porządny człowiek, chociaż policjant. I powiedział, że tego nie zezna, bo Gomułka z policją nie współpracował.

Pomyślałam wtedy, że policjanci węgierscy [Lajos Bokor, Oszkar Borszeki, Ferenc Janoszi] nie byli tacy uczciwi w śledztwie albo katowano ich więcej niż Zarembę i zeznali na procesie Laszlo Rajka, że pracował dla policji przed wojną. Ich nazwiska znajdują się w stenogramie procesu Laszlo Rajka z 1949 r. Pomyślałam wówczas, że fałszywe zeznania były niejednokrotnie wymuszane straszhliwymi metodami, katuszami fizycznymi i – jeszcze może gorszymi – psychicznymi, szantażem wobec członków rodziny...

– Mnie nie torturowali – powiedział Wiesław, jakby domyślając się biegu moich myśli. – Nie torturowali mnie, ale byłem poddany straszliwym naciskom. Zniszczyli mój system nerwowy. To nie dlatego, że siedziałem sam w celi – przed wojną też siedziałem sam, i to przez cały rok, na Śląsku. Potem siedziałem z jednym człowiekiem, który był oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Ciekawy gość. On przepowiedział, że dojdzie do porozumienia niemiecko-sowieckiego. I stało się tak, jak on mówił. Ale skąd on mógł wiedzieć?

– Oni chcieli, żebym umarł w więzieniu – mówił z goryczą – to byłoby dla nich najlepsze wyjście. Albo żebym popełnił samobójstwo, Podrzucali mi żyłki. Żebym sobie podciął żyły. Ale ja nie ułatwiłbym im sytuacji. Minc zapowiadała podobno, że będą mnie trzymać choćby przez 15 lat, aż o mnie wszyscy zapomną, aż się wykończę. Cały czas dopominałem się, żeby mi przedstawili akt oskarżenia. I żeby przenieśli mnie do normalnego więzienia. Ten Michalak, który mnie przesłuchiwał, to był robotnik, przedwojenny komuniści. Domagałem się, że chcę rozmawiać z członkiem Biura Politycznego. Ale oni bali się do mnie przyjść.

(Później opowiadano mi, że Gomułka dostawał ataków wściekłości w więzieniu, że jak mu strażnicy przynosili jedzenie, rzucał w nich pełną miską. Że w końcu gdy go zwolnili, musieli wysłać do szpitala, miał halucynacje słuchowe, wołał: „zabierzcie te zegary!” Ale Wiesław mi o tym nie mówił).

Była to rozmowa z 18 lutego. Pod tą datą zanotowałam w swoim kalendarzyku na 1980 rok kolejne spotkanie.

Dwa dni później podszedł do mnie na ulicy w Konstancinie dowódca ochrony Gomułki, major Tadeusz. Nie wiem, jakie miał nazwisko. Był to mężczyzna w średnim wieku, chodzący w cywilu, jak jego podwładni, tęgi i o pocziwym wyglądzie. Wiesław i Zofia wyraźnie go lubili, znali od dawna, był bowiem dowódcą ochrony od 15 lat. Pomagał im w życiowych kłopotach, załatwiał drobne sprawy. Ów major Tadeusz zapytał mnie, po co przychodzę do towarzysza Wiesława, czy powstanie o nim książka. Powiedziałam mu, że jeszcze o tym nie myślę, że teraz chyba to niemożliwe, ale czasy się zmieniają. I rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Kto mógł wtedy przewidzieć, że rozpiszą się niedługo o Go-

mułce – Namiotkiewicz, Syzdkowie, Werblan?

Powiedziałam Wiesławowi i Zofii, że spotkałam ich „oficera” w pobliżu domu ZAIKS-u w niedzielę. Czy to oni zlecili mnie „sprawdzić”? Zofia się zachnęła: skądże! Jak on wyglądał? Ach, to ten, on w ogóle w niedzielę u nas nie był. I nie ma małego dziecka. Może tu ma jakąś babę i przyjechał do niej?

Major Tadeusz wkrótce zmarł. Miał podobno wylew. Zmieniono zestaw „goryli”. Fakt stałej ochrony, sytuacja, że nie mógł ruszyć się na krok bez „opiekunów” Gomułka skomentował następująco:

– Ja wiem, że piszą na mnie raporty. Im chodzi o to, z kim ja się widuję. I gospoia też dla nich pracuje. Niby mnie ochraniają, a właściwie pilnują. To, że znaleźliście się w moim kręgu, zaraz zostało odnotowane. I pilnują mnie, i podsłuchują, co mówię. Jak słucham Wolnej Europy w domu – muszę puszczać telewizję, żeby zagłuszyć. A to, że w telewizji mnie pokazali – to nic nie znaczy. Nie wierzę im. Przychodzi taki Łukaszewicz czy Werblan i udają, że im na mnie zależy. Już ja im powiedziałem, co o nich myślę. Nakrzyczałem na nich.

Powrócił jeszcze do sprawy wyrzucenia mnie z partii.

– Nie próbowaliście „za mnie” wrócić do partii?

– Czekałam, aż partia zwróci się do mnie. To przecież mnie wyrzucono. I za co? Bierut się bał, że zacznę rozrabiać w sprawie Spychalskiego. I nawet zaczęłam. Wyrzucono mnie 5 marca, akurat w dwa lata po śmierci Stalina. I co innego powiedzieli mi w Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej (coś w tym rodzaju, że „wprowadzam zamęt w kraju w szeregi partyjne w ten sposób pomagając robocie agenta Światło za granicą” – nie pamiętam dokładnie tego sformułowania, bo Doliński, przewodniczący CKKP, schował zaraz do szuflady ten papier, jak tylko mi go odczytał), a co innego na zebraniu POP w Instytucie Nauk Społecznych, z którego mnie zwolniono. Wtedy sekretarzem POP był Mieczysław Rakowski (tu Gomułka zmełł niewyraźnie w ustach jakieś słowo), mnie oczywiście na zebraniu już nie było, bo już zostałam wyrzucona. Ktoś ze znajomych mi to zreferował i wtedy dziwiłam się, że to wszystko robiono wbrew statutowi. Odwoływałam

się, oczywiście, zwłaszcza że na mieście rozpowszechniano o mnie niestworzone bzdury, różne oszczerstwa, z którymi trudno walczyć, bo na piśmie ich nikt nie sformułował. Chodziłam do różnych – zdawałoby się – starych przyjaciół, do m.in. młodszych sekretarzy, którzy potem „robili Październik”, byłam też u twardogłowych przyszłych natolińczyków. W końcu znudziło mi się chodzenie, wszyscy byli okropni, mówili straszne rzeczy. I powiedziałam sobie – dość. Po Październiku wezwał mnie do CKKP Jan Kędziński, konserwa, Natolin, proponując, bym napisała podanie o przyjęcie. Ja do nich mam pisać? I kto mi to proponuje? potem ktoś mi powiedział, że moja sprawa była u Zenona Kliszki, który stał na czele jakiejś trójki decydującej o ponownym przyjmowaniu do partii. Kliszko zdecydował, że się do partii nie nadaję, ale ze mną nie rozmawiał. Parę lat temu spotkałam go przypadkiem na Powązkach. Spytałam go, czy to prawda, co mówiono mi w 1957 roku. Zenek potwierdził. Spytałam go, jakie miał dotyczące mnie materiały, dlaczego mnie nie wezwał, żeby zapytać, czy są prawdziwe, czy fałszywe? Pamiętam, było to u mnie w domu, piliśmy po koniaku. Zenkowi trzęsła się ręka, może z powodu choroby, ale może dlatego, że się przejął. Tłumaczył mi, że siedzieli dniami i nocami w gmachu byłego, już rozwiązanego, MBP, gdzie mieścił się jeszcze Komitet do Spraw Bezpieczeństwa: że tam był stary personel – przynosili mu opasłe teczki. Nie miał możliwości nawet do nich zajrzeć, a ubecy mu referowali. Pracowali w ten sposób dniami i nocami. Może Zenkowi było przykro? Wreszcie spytał, czy go upoważniam, żeby to przekazał Wiesławowi? Powiedziałam, że owszem, zgadzam się. No, i czy wam o tym powiedział?

– Nic mi o tym nie wiadomo – stwierdził kategorycznie Wiesław i dodał – pomówię z nim o tym, zapytam Zenka, dlaczego mi wtedy, pięć-sześć lat temu nie przekazał wiadomości o tej sprawie.

Któregoś dnia w czasie spaceru minął nas starszy człowiek w berecie, obok niego biegł nieduży piesek, który bał się pseudoowczarka podhalańskiego Gomułków i zmykał przed nim. Człowiek ten w geście powitania skłonił głowę, gdy nas mijał na ścieżce: – Czy wiecie, kto to był? – Powie-

działam, że to profesor Jan Szczepański. Nie skwitował tego żadnym komentarzem. Nie zatrzymał się, by wymienić parę słów. Obawiał się kontaktów z ludźmi, jakby nie chciał słyszeć ich pytań, pretensji, żalów, wymówek. Jego reakcją obronną była albo agresja, albo ucieczka.

Inni obawiali się jego reakcji – pasji, wściekłości, krzyku.

24 lutego 1980 r. przyjechała do mnie córka z wnuczką i doprowadziły mnie do Gomułki. Oni już byli gotowi do spaceru – oni, tzn. oczywiście Wiesław, Zofia, pies wzięty przez Zofię z przytułku, i wreszcie stale obecny towarzyszący krok w krok za nim jak cień – jeden z dwóch „oficerów”, przez pewien czas trzymający psa na smyczy, gdy szliśmy przez miejsca zabudowane. Pies zresztą – zapomniałam jak się nazywał, zdaje się – Kuba, był agresywny, rzucał się na ludzi obcych, ale i na swoich dobrodziejów. Parę miesięcy później rzucił się na Zofię i ugryzł ją dotkliwie w nogę. Podpisał tym samym wyrok śmierci, który został wykonany przez jednego z „oficerów” (chyba w tymże Konstancinie?)

Po każdym spacerze Gomułka związał rękawy, wkładał fartuch i przez dobre dwadzieścia minut wycierał psu uszarżane łapy i brzuch, zwłaszcza gdy nastąpiły roztopy. Robił to z charakterystyczną dla niego dokładnością, starannością, graniczącą z obsesją. Była to robota gospodarska, jakby dalekie echo troski o inwentarz, cechującej chłopskich przodków. Wprawdzie jego ojciec już był rzemieślnikiem czy robotnikiem, ale Gomułka urodził się w Białobrzegach, które były jeszcze wsią (dziś są dzielnicą Krosna). Mały Władek Gomułka robił wyprawy z innymi wiejskimi chłopcami do Przełęczu Dukielskiej, gdzie po wielkiej, paromiesięcznej bitwie między wojskami rosyjskimi i austro-węgierskimi, w 1915 r. pozostało wiele amunicji i niewybuchów, które zbierali. Wspominał o tym, gdy kiedyś nasza rozmowa zesłała na temat powstania warszawskiego i słowackiego. Armia rosyjska chciała w 1915 r. przejść przez Karpaty, ale jej się to nie udało. Nie udało jej się to również w 1944 roku, kiedy w Słowacji wybuchło powstanie. Rosjanie nie przyszli z pomocą Słowakom, chociaż w kierownictwie powstania byli komuniści, m.in. Gustaw Husak, nie mówiąc o straconym po wojnie za „burżuazyjny nacjonalizm” Karolu Šmidke, czy

więzionym przez lata Novemestkým i Husaku.

Spytałam Wiesława, jak myśli – czemu Rosjanie chcieli przyjść powstańcom słowackim z pomocą od północy – przez Karpaty, przez niemożliwą do zdobycia Przełęcz Dukielską, a nie od wschodu – z niziny węgierskiej, którą już częściowo zajęli? Podobnie było pod Warszawą w 1944 r. – droga na Pragę od południa stała niemal otworem, a od wschodu była trudna do zdobycia, gdyż Niemcy zgromadzili tu duże siły, broniąc dostępu do Prus Wschodnich i zaciekle walcząc między Bugiem i Narwią. I Armia Polska została przerzucona spod Warszawy na przyczółek warecko-magnuszewski. Dowódca I Frontu Białoruskiego, marszałek Konstanty Rokossowski rzeczywiście chciał wkroczyć na Pragę w początku sierpnia 1944 r. W swym wydanym w roku 1972 pamiętniku „Żołnierski obowiązek” pisze o tym wyraźnie: „Czołgiści otrzymali nowe zadanie: nacierać wzdłuż prawego brzegu Wisły na północy, zdobyć z marszu Pragę – prawobrzeżną dzielnicę Warszawy, i utrzymać ją do nadejścia 47 armii” (s. 321-322). Nie wyjaśnia, jednak czemu plany te uległy zmianie.

Jerzy Kirchmayer w wielokrotnie wznawianym „Powstaniu warszawskim” skupił swoją uwagę na niepowodzeniach 47 armii i stratach 2 armii pancernej pod Radzyminem. Czołgi 2 armii pancernej Armii Czerwonej 31 lipca szły przez Targówek w kierunku Narwi, a nie Wisły, i ich obecność tam stała się ostatecznym zapłonem powstania.

Antoni Chruściel – „Monter” nie był wprowadzony w błąd przez poranny poniedziałkowy meldunek, że czołgi radzieckie są już na peryferiach Warszawy. One tamtędy rzeczywiście szły. Ale szły nie na zachód, ku Wiśle, lecz na północ, w kierunku Wołomina–Radzymina.

Jean François Steiner, którego książka „Warszawa 44. Powstanie” wydana była w 1975 r. (a w 1984 po polsku) w rozdziale XVII gubi się w domysłach, czy meldunek po pojawieniu się czołgów radzieckich na Pradze był prawdziwy, czy sfingowany, i podejrzewa, że kryje się w tym jakaś tajemnica, jakaś mistyfikacja. Ale czołgi te były tam, były, ale poszły dalej – pod Radzymin. Stalin nie chciał zajmować Pragi – przedmieścia Warszawy, bo to była przede wszystkim sprawa

polityczna. Powstanie w Warszawie potraktował jako wyzwanie. Zająto Pragę ruszając z tych samych podstaw wyjściowych sześć tygodni później, gdy powstanie już dogorywało i było za późno, by można było mu pomóc. Zdobycie przyczółków, pomoc organizowana nieudolnie, w dzień, bez dostatecznej ilości środków przeprawowych, słabymi oddziałami – nie mogło przynieść sukcesu. Było zatem w pewnym stopniu pozorowaną pomocą, zaś żądaniem bez sensu było domaganie się ze strony AL, by oddziały AK przeszły na drugą stronę Wisły, pozostawiając ludność stolicy na łasce losu.

Mówiliśmy o powstaniu warszawskim, bo w czasie, gdy spotykałam się z Gomułką czytał on właśnie niedawno wydaną dwutomową pracę Antoniego Przygońskiego „Powstanie warszawskie w sierpniu 1944 r.”. Zrobiłam dla Gomułki wypisy z tej książki, z których wynika, że moja hipoteza o planie wyminięcia na przełomie lipca i sierpnia Warszawy przez oddziały radzieckie ma podstawy. Oto te fragmenty:

„...dowództwo niemieckie aż do dnia 30 lipca 1944 r. sądziło, że celem uderzenia radzieckiego 3 korpusu pancernego, nacierającego od strony Dęblina, jest opanowanie Warszawy przez frontalny atak na Pragę. Dopiero owego dnia wieczorem dowództwo to nabrało pewności, że uderzenie radzieckie omija umocnienia obronne Pragi od wschodu, kierując się na Radzymin i Wołomin, prawdopodobnie w celu sforsowania Wisły na północ od Warszawy” (s. 94-95). Oceniając sytuację na przedmieściu warszawskim (tzn. na odcinku zajmowanym przez Niemców na prawym brzegu Wisły) Przygoński stwierdzał, że odzwierciedlał on rzeczywistą sytuację: zauważono radziecką próbę oskrzydlenia Warszawy od południa (forsowanie Wisły w rejonie Dęblina) oraz „ruch tych wojsk wzdłuż wschodniego brzegu Wisły w kierunku na północ, ale z ominięciem przedmościa Pragi od wschodu, które nigdzie nie było jeszcze atakowane”. W dowództwie AK brak było pewności, „czy uderzenie radzieckie zostanie skierowane bezpośrednio na Pragę, czy też na północ od niej”. „30 lipca wieczorem dowództwo niemieckiej Grupy Armii «Środek» nabrało pewności, że główne

uderzenie 2 radzieckiej armii pancernej omija Pragę od wschodu i kieruje się poprzez Radzymin na północ. Tymczasem AK, i to w dzień później, dojdzie niestety do wręcz przeciwnych wniosków” (s. 121, podkr. MT).

Właśnie te cytaty przedstawiłam Gomułce na jednym ze spotkań. Ale one w ogóle do niego nie przemówiły. W powstaniu warszawskim nie brał udziału, gdyż mieszkał z żoną od połowy lipca w Świdrach Starych koło Otwocka, które 31 lipca zostały zajęte przez oddziały radzieckie. Stąd dostał się wkrótce potem do Lublina. W sprawie powstania miał od 1944 r. raz na zawsze ustalony pogląd. Wypowiedział go w przemówieniu 22 lipca 1945 r. na sesji KRN z okazji pierwszej rocznicy wydania Manifestu PKWN (w którego redakcji udziału nie brał). Pogląd sprowadzał się do kilku tez: bohaterstwo powstańców było wyrazem nienawiści do hitlerowskiego okupanta, a celem reakcji było: 1. restytuowanie stosunków przedwrześniowych, 2. wojna wewnętrzna, obalenie PKWN, 3. zaostrenie stosunków polsko-radzieckich, 4. rozbicie jedności aliantów, 5. wykorzystanie klęski powstania do walki z demokracją i Związkiem Radzieckim. Nikogo nie omami twierdzenie, że dowództwo AK chciało wypędzić Niemców i przyspieszyć wyzwolenie. Bór-Komorowski i Sauckel (hitlerowski pełnomocnik akcji wywożenia młodzieży na przymusowe roboty do Rzeszy) wspólnie ponoszą odpowiedzialność za gruzy Warszawy. Reakcja uważała, że jeśli nie będzie to jej rząd, niech zostaną popioły i zgliszczą. Stosunek do organizatorów powstania jest stosunkiem do demokracji polskiej. Między sanacją i reakcją a demokracją leży przepaść nie do przebycia. Całe przemówienie wydrukował *Głos Ludu* z 23 lipca 1945 r.

Ten sam ton potępienia wobec przywódców powstania warszawskiego, to samo przypisywanie im motywów cynicznych, antypolskich, te same oskarżenia o działanie na rękę i niemal wspólnie z hitlerowcami można przeczytać w książce wydanej przez Zenona Kliszkę (który brał udział w powstaniu, kierował PPR i AL na Żoliborzu, a przed kapitulacją tej dzielnicy przepłynął Wisłę). Jego „Powstanie Warszawskie” zawierające artykuły, przemówienia, wspomnienia i dokumenty, wyszło w 1967 r., 23 lata po powstaniu. To samo

przeciwstawienie bohaterskiego ludu Warszawy, „który pragnął jak najszybszego wyzwolenia spod zniechędzonej ludobójczej okupacji, politycznemu cynizmowi inicjatorów powstania, którzy stolicę Polski i życie jej mieszkańców rzucili na szalę swej antynarodowej rozgrywki o władzę” (s. 5). Dalej autor twierdził, że PPR od początku tak właśnie uważała. Nie tłumaczy jednak, dlaczego członkowie PPR i żołnierze z AL od samego początku poszli na barykady wspólnie z AK i podporządkowali się jej dowódcom. Píše o „zbrodniczej awanturze politycznej” (s. 81), całkowicie w stylu komunikatu TASS z 13 sierpnia 1944 r., o tym, że „dowództwo AK narzuciło Warszawie powstanie” (s. 70), ale zapomina, że gdyby nie poparcie ludności, powstanie nie przerosłoby w 63-dniową bitwę, która miała szansę zwycięstwa, gdyby powstanie otrzymało pomoc. Z. Kliszko písze, że „wyrok śmierci na Warszawę został podpisany przez Bora-Komorowskiego i Sosnkowskiego” (nie wiedząc widać, że Sosnkowski był od początku przeciwny powstaniu warszawskiemu).

Powstanie jednak nie mogło nie wybuchnąć. Pisał o tym trafnie Zdzisław Jeziorański – Jan Nowak, kurier z Londynu, który zresztą ostrzegał przywódców AK i Delegatury Rządu, żeby nie liczyli na pomoc brytyjską.

W argumentacji Gomułki z 1945 roku i później grało najistotniejszą rolę głębokie przekonanie, że powstanie warszawskie miało charakter „walki o władzę”, że było zainicjowane przez reakcyjno-sanacyjną klikę przeciwko PKWN, przeciw obozowi, który nazywał siebie wtedy obozem demokracji. Ignorował jakby fakt, że i w rządzie Mikołajczyka, i w jego ekspozyturze krajowej główną rolę grali ludowcy, znani od lat jako zaciekli przeciwnicy sanacji, obok socjalistów, chadeków i enedeków – wszyscy byli przeciwnikami Piłsudskiego i jego pogrobowców. Ale w figurach retorycznych Gomułki argumenty rzeczowe nie odgrywały roli. Tutaj nie było możliwości poruszenia ustalonych od lat nie tyle przekonań, ile skamieniałych, zaklętych w słowa – przesądów. Tak bystry w innych sprawach towarzysz Duniak (takiego nazwiska używał w okresie okupacji i w Lublinie) zachowywał wierność doktrynie, która usprawiedliwiała jego słynne powiedzenie: „Władzy raz zdobytej – nie oddamy!” Albo – jak to

sformułował 17 lipca 1945 roku dziennik PPR *Głos Ludu*: „22 lipca demonstrujemy pod sztandarami demokracji polskiej, która objęła władzę w kraju, by jej już nigdy nikomu nie oddać”. Gomułka zupełnie nie rozumiał, że lekcja powstania warszawskiego stała się ważnym elementem edukacji politycznej polskiego społeczeństwa i wydała owoce w Październiku 1956 roku. Posłużyła ona również jako lekcja dla innych, którzy pamiętali, że Polacy zdolni są do walki w chwili, którą uznają za ostateczną. Sądzę, że uchroniło to nas przed interwencją w 1956 i 1970 r. Próbowалам Gomułce to powiedzieć. Nie przyjmował tego do wiadomości. Przekreślał powstanie jako doświadczenie historyczne naszego i kolejnych pokoleń. Rozpatrywał je na całkiem innej płaszczyźnie: to była klęska owej znienawidzonej przez niego romantycznej, szlacheckiej ideologii. On – wierny czytelnik Szujskiego, Bobrzyńskiego, Kalinki, autorów szkoły stańczyków, konserwatystów krakowskich, którzy wyrosli w klimacie klęski powstania styczniowego, którzy uważali, że Polska padła ofiarą rozbiorów, bo była sama temu winna. On – zwolennik silnej władzy wykonawczej, przeciwny „sejmowładztwu”, anarchii, za którą uważał demokrację parlamentarną, odrzucał tradycje polskiej demokracji szlacheckiej i polskiej tradycji powstańczej. Obie uważał za zgubne. „Naród polski – powtarzał – jest narodem anarchicznym. Demokrację Polacy rozumieją jako anarchię”. *Liberum veto* – oto Polska. Trudno rządzić tym narodem. Stawiają tylko żądania, a pracować im się nie chce.

Po tej długiej dygresji wróć do mojej trzeciej rozmowy z 24 lutego. A była to rozmowa, której początku nie pamiętam, a która dotyczyła wciąż poruszanej sprawy Nowotki i Mołojca. Sprawy, której nie można jednoznacznie w całości rozstrzygnąć bez dostępu do odpowiednich materiałów archiwalnych (jeśli się przechowały), choćby do całości depesz, jakie wysyłała Moskwa do Warszawy. Dotychczas bowiem opublikowano (i to częściowo tylko) depesze z Warszawy podpisane przez Nowotkę, potem przez Findera (bez dwóch depesz Mołojca) do Dymitrowa, który przewodniczył najpierw Kominternowi, do rozwiązania wiosną 1943, a potem kierował Wydziałem Informacji Międzynarodowej KC

WKP (b). Depesze Nowotki ogłoszone zostały w kwartalniku *Z Pola Walki* (nr 4, 1960), a Pawła Findera w powielanej broszurce, wydanej przez Czesława Madajczyka w Wojskowej Akademii Politycznej i są tłumaczeniem z publikacji miesięcznika *Nowaja i Nowiejszaja Istorija*. W zbiorze poświęconym Nowotce – na co zwrócił uwagę Wiesław – po raz pierwszy opublikowano dyrektywę z lipca 1942 r. na temat rozwijania w Polsce walki sabotażowej, dywersyjnej i wywiadowczej. Istotnie, bardzo interesujący dokument. Wynika z jego treści, że akty sabotażu, dywersji itp. były dla centrali w Moskwie o wiele ważniejsze niż cała praca polityczna, partyjna, organizacyjna. Konflikty między Nowotką a Mołojcem mogły wynikać z innych priorytetów. Co jest ważniejsze – werbowanie członków, kolportaż prasy, rozbudowywanie wpływów czy też wysadzanie pociągów, sypanie piasku w tryby maszyn, rozrzucanie kolców na drogach, by uszkadzać opony, zbieranie informacji wywiadowczych.

Gomułka opowiedział mi szczegółowo o swoim udziale w „zdemaskowaniu” braci Mołojców. Jakiś czas później trafił do moich rąk gęsto zapisany maszynopis. Była to Notatka w sprawie zabójstwa sekretarza KC PPR, Marcelego Nowotki, pióra Władysława Gomułki. Jak mi potwierdził, napisał ją około półtora roku wcześniej na prośbę Antoniego Przygońskiego, który pracował nad I tomem historii PPR. Był oburzony, że ta Notatka została powielona i jest rozpowszechniana. Pisał ją dla Przygońskiego, a teraz – skarżył się – jest wykorzystywana, nie wiadomo w jakim celu.

(fragment niedokończonej pracy)

Maria TURLEJSKA

WSPOMNIENIA Z WOJNY 1918-1920

W 1918 roku wojska „państw centralnych”, tj. Niemiec i Austrii, zajmowały zachodnią Rosję (w pojęciu granic państwowych sprzed I-ej wojny światowej). Południowa część tego kraju okupowana była wzdłuż Morza Czarnego poprzez Rumunię, Besarabię, Podole, Ukrainę i hen! poza Dniepr.

Moja dywizja kawalerii austriackiej została przeniesiona, po zlikwidowaniu państwa rumuńskiego, wiosną 1918 r. na Ukrainę. Pełna uroku i wrażeń była ta podróż. Spod Fecsani marszami udaliśmy się do Braiły (ca 90 km), skąd statkami przez Galac-Ismail do ujścia Dunaju, do Kili. Stąd znowu pochodem przez Besarabię, „Stepy Akermanu”, Tatar Bumar, Dniestr do Odessy (około 200 km). Tu dywizja kawalerii, zresztą w dużej mierze spieszona, pociągami została przewieziona i rozmieszczona od Znamienki przez Jelizawetgrad, Kremenczug do łuku Dnieprowego. Cały ten teren przypominał I tom „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza. Tę ciekawą podróż odbyliśmy – na już zajętych przez państwa centralne terenie – w zupełnym spokoju, marszem, że tak powiem, pokojowym.

Znajdowałem się w I-ej baterii I-go dywizjonu (później 7-go) konnej artylerii, której oddział macierzysty stacjonował w Krakowie, na końcu ul. Lubicz, w nieistniejącym już bastionie w pobliżu obecnego Ronda.

Pragnę tu opisać ostatnie dni istnienia monarchii austro-węgierskiej tak, jak one przedstawiały się na tym odcinku Europy, i to z punktu widzenia młodego (bo niespełna 20-letniego) podporucznika i jego pododdziału, tj. baterii.

Ciekawym i charakterystycznym, a niezrozumiałym objawem w życiu żołnierskim było to, że często przed przeniesieniem jakiejś jednostki w inny daleki teren lub na inny front – zanim o tej dyslokacji dowiedziały się sztaby – już wśród szarych żołnierzy krążyły pogłoski o przeniesieniu oddziału

w inny teren. Skąd te wersje powstawały wśród żołnierzy, nikt nie wiedział i oni sami nie zdawali sobie z tego sprawy. Źródła tych pogłosek nikomu nie były znane. Ot, taka gadanina. Do końca października 1918 r. stałem z moim detaszowym plutonem (2 działa z wozami amunicyjnymi i małym taborem: 70 koni i 50 żołn.) w Pawłyszach o kilkadziesiąt wiorst od Dniepru. Reszta baterii stała przy węzłowej stacji w Znamience, niedaleko Jelizawetgradu. Prawie wszyscy moi żołnierze służyli już na froncie od 1914 roku. Służbę pełnili z rutyną i spokojnie. Kwatery mieliśmy bardzo dobre, wikt może najlepszy, jaki bateria miała przez cały okres wojny. Stosunki z żołnierzami były dobre. Byłem jako „wódz” tej drobnej jednostki przydzielony do szwadronu dragonów. Moi ludzie rekrutowali się z Polaków okręgu południowo-krakowskiego, Ślązaków, których nazywali „Wasser-Polen”, Czechów i paru Austriaków, służących w łączności przeważnie w rangach podoficerskich. Dragoni natomiast to w przeważającej części Czesi.

Tak jak już wspomniałem, we wrześniu żołnierze zaczęli przebąkiwać o mającym nastąpić odmarszu, i to na zachód. Plotki krążące wśród szeregowych głosiły, że odmarsz ma związek z zakończeniem wojny! Ta wiadomość zdawała się być już całkiem nieprawdopodobna i im wyższy rangą oficer i więcej wtajemniczony w arkana wojny, tym mniej w te plotki wierzył i tępił je, twierdząc, zresztą słusznie, że wpływają ujemnie na morale żołnierzy!

I w tym wypadku plotki sprawdziły się. Z końcem października jednostka moja została zaciągnięta do Znamienki, a po paru dniach cała bateria dostała rozkaz zawagonowania. Dokąd – nie wiadomo!

Należy tu wspomnieć, że na Ukrainie funkcjonował przez Niemców utworzony rząd Petlury. Poszczególne oddziały wojskowe tegoż rządu stacjonowały rozproszone po kraju. Dziwne to było wojsko! Przypominało nieco watahy z czasów Chmielnickiego czy Nalewajki. Twarze, ubiory i zachowanie tych żołnierzy nie wzbudzały zaufania. Nasze oddziały wołały omijać petlurowców w pełnej gotowości bojowej.

Podróż odbyła się spokojnie, urozmaicona tylko ciągłym grzaniem się osi, co wywoływało niemiłosierny pisk, dokucz-

liwie wdzierający się do najgłębszych fałd mózgu i wzbu-
dzający tam przykrą dysharmonię. Gdy muzyka stawiała się
nie do zniesienia – pociąg zatrzymywał się, a obsługa
powolnie idąc wzdłuż pociągu wyszukiwała zagraną oś i
naprawiała ją przy akompaniamencie wyrafinowanych
rosyjskich przekleństw. Następnie ruszaliśmy dalej. (...)

Po paru dniach podróży dotarliśmy do Kamieńca
Podolskiego. Otrzymaliśmy kwatery w starym, sławnym
zamku, który ongiś bronił rubieży Rzeczypospolitej. Od miasta
dzielił nas głęboki jar i rzeka Smotrycz, a droga do miasta
szła przez bardzo wysoki most, tzw. turecki. Była to dziwna
budowla, utworzona z jednego pełnego muru z niedużym
tylko otworem na dole dla przepuszczenia wody. Położenie
przepiękne! Po drugiej stronie rzeki na urwistych skałach
dominuje nad okolicą miasto z kościołem i minaretem.

W jednym ze skrzydeł zamku umieszczony był nieduży,
około 20 ludzi liczący, oddział petlurowców. Wysokie wa-
rowne mury dochodziły jedną stroną do szosy, prowadzącej
na zachód – do kraju. Jedyne wejścia na nieduży stromy
dziedziniec broniła potężna wieża z bramą.

W mieście i pobliżu stacji kwaterowały sztaby brygady,
dragoni, piechota, inne baterie i 7-my pułk artylerii konnej.
Po kilku dniach spokojnego życia nagle nastąpił wybuch!
Wszystko, co nazwać można wojskową organizacją, dyscypli-
ną, rutyną wdrożoną przez setki lat, a w czasie czteroletniej
wojny, będącą jakby drugą naturą żołnierza czy oficera –
prysło jak bańka mydlana! Śmiem twierdzić, że nie działała
tu jakaś silna i sprawna organizacja podziemna, silniejsza od
wszystkiego, co nazwać by można wojskiem. Nie, takiej
dywersji w tych oddziałach chyba nie było, byłbym o tym
wiedział, mając stały kontakt i zaufanie wśród żołnierzy –
będąc Polakiem.

A było to tak: Rano ze snu obudził mnie jakiś gwar,
krzyki, wołania, dochodzące przez moje okno wychodzące na
gościniec wiodący na zachód. Mój towarzysz pokoju i kuzyn
Kazio Dzeduszycki, ppor. naszej baterii, również przebu-
dzony, nieudolnie komentuje dobiegający nas gwar. Nie
chcąc jeszcze opuszczać ciepłej pościeli, wołamy ordynansa
Kubicę. Krzyki nasze, o dziwo, nie odnoszą skutku, zwykle

tak pilny Kubica się nie zjawia. Podchodzimy przeto do okna, a tam nieprawdopodobny widok: chmara żołnierzy, dragonów, wali w beładnej kupie gościńcem na zachód! Idą jakby bandy cywilów, piechotę, płaszcze porozpinane, czapki niedbale narzucone na głowy – leżą bandą, coś wołają, gestykulują. Wreszcie Kubica wpada: „Gdzież to się od pół godziny włóczysz?” – pytam. „Ja, panie porucniku... a bo to... bo wszyscy wylecieli na szosę, bo to krakowski pułk piechoty idzie do domu!”. „Jak to do domu! Na urlopy powypuszczali czy co?”. „A nie, gadajom, co wojna skończona i idom do domu”. „No a oficerowie też idą?” „Nie widziałem, tak idą bandą, bez nijakiej kolony, jak za procesyjom chłopcy”.

Nic nie rozumieliśmy: kto idzie, dokąd, po co? Przecież żadnych rozkazów, wieści nie mieliśmy. Wyszedłem na podwórze. Zaraz uderzył mnie niezwykle ruch i podniecenie żołnierzy. Podoficerowie, przeważnie Austriacy, trzymali się osobno, koło drzwi kancelarii. Na całym podwórzu tłumy były, bo kto żyw, rajcował i omawiał wieści z kolegami. A wszyscy mocno podnieceni, wytrąceni z normalnego trybu życia – wyglądali niewyraźnie. Sposstrzegam dragonów, którzy nieśmiało tłumaczą, że oni właściwie nic nie wiedzą, rozkazów żadnych nie było, ale z ich szwadronu wszyscy idą „do domu”, więc oni też.

Zbliżyłem się do następnej grupy. Rozstąpili się cichnąc i pozdrawiając przepisowym ukłonem. Na moje zapytanie, co się dzieje – nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia, bo nikt nie chciał zacząć, żołnierze tylko spoglądali po sobie, który z leutnantem potrafi drażliwą sprawę poruszyć. Pierwszy wystąpił tzw. „Wasser-Polak” nazwiskiem Nemec. Był on już dwa razy mianowany podoficerem i dwa razy degradowany za sprawy polityczne. Wyga, bywalec, starszy już wiekiem, rubaszością swoją przewyższał wszystkich, chłop śniady, wysoki i kościsty. Zresztą lubiłem go, odważny, sprawny i bez nerwów.

„Panie leutnant, co tu gadać: wojna skończona, also do domu będziem wracać” – rzekł hardo patrząc mi w oczy.

Zorientowałem się, że trzeba całą sprawę wziąć na wesoło, aby nie palnąć głupstwa – stanął mi w oczach początek rewolucji rosyjskiej w wojsku. Po słowach Nemca

wśród zebranych przeszedł pomruk zadowolenia. „Brawo, Nemec”, powiedziałem, wesoło klepiąc go po ramieniu. „Bardzo miłą wieść mi przynosicie, nikt płakać za wojną nie będzie! Ale skąd ta wiadomość, przecież rozkazu nie było i my, oficerowie, nie dostaliśmy żadnych instrukcji!”

Pogadawszy przyjaźnie z żołnierzami śpieszę do dowódcy baterii. Był nim Austriak, kpt. Stenzel. Siedział na zydlu, głowa w dłoniach, łokcie oparte na kolanach, nie reaguje na moje zameldowanie się. Po chwili jednak podnosi przerażony wzrok, nie wie, co robić! Uradziliśmy, że ja pojedę do brygady dowiedzieć się, co się właściwie dzieje. (...)

W dowództwie brygady miałem trudności z dostaniem się do pułkownika. Adiutant, któremu opowiedziałem o nastrojach wśród żołnierzy, nie chciał wierzyć. Również pułkownik na mój meldunek powtarzał ciągle: „unglaublich, unglaublich”; postanowił zbadać stan innych pułków i kazał mi wracać do oddziału. Na zamku zastałem bałagan co się zowie! Podwórzec zamkowy nabity był żołnierzami tak, że z trudnością wśród nich konno przejechałem. Wśród konnych artylerzystów gęsto widniały mundury dragonów narodowości czeskiej. Rozprawiali oni siarczyście we wszystkich możliwych językach. Niektórzy stawali na podwyższeniach, gardłowali, chrypli, gestykulowali gwałtownie. Tłumy żołnierzy z innych formacji cisnęły się do mówców, popierając ich lub przeszkadzając w przemówieniach. Cała ta masa kotłowała się, łącząc i cisnąc się na gapia tam, gdzie większy gwar lub hałas powstał. Nastroj tego tłumu był raczej wesoły, wybuchały śmiechy, okrzyki radosne lub wyklinanie wojny i bied z nią związanych. Przeciskając się przez ten rozkołyszany tłum, zauważyłem kilku obcych żołnierzy, u których na kołnierzach znać było usunięte gwiazdki, lub paski wachmistrzów, gdyż spełniona materia na kołnierzach wyraźnie się odcinała od żywego koloru sukna, do dziś dnia przykrytego gwiazdką. I tak rozróżnić mogłem kaprali i wachmistrzów. Na ten widok zrobiło mi się niewyraźnie. W oczach stanęły sceny z r. 1917, kiedy to w Rosji zaczęło się od zrywania „pagonów”, a potem przyszło do tragicznego końca tych, co je nosili. Miła perspektywa! Ciarki mnie przeszły od stóp do głowy. Czy ten tłum będzie inny od tamtego, kiedy się rozbestwi? (...)

Żołnierze robią mi przejście. Jakiś dragon, zobaczywszy oficera, pozdrawia mnie nieprzepisowym „Respekt, Herr Leutnant”. To pozdrowienie było przyjęte w wojsku austriackim jedynie między oficerami, i to skierowane bywało przez młodszych oficerów do starszych tylko w zażyłych już stosunkach. – Niemile mnie ta koleżeńska forma zdziwiła, miałem się na baczości i zapytałem dragona, po co tu przyszedł. „Idziemy do domów, wojna skończona, ludzie z daku również” – odpowiada dość obcesowo. Ja mu na to spokojnie, że jeśli wojna skończona, to przecież wszyscy wrócimy do domów, że będą odpowiednie rozkazy, transporty, żywność, uzbrojenie itp. Na to on: „damy sobie sami radę i żadnych rozkazów nie potrzebujemy, bo jak wojny nie ma, to i rozkazów nie ma”. Wtem wpadła mi w oko grupka naszych oficerów, stojąca na uboczu, miny nieco skonfundowane, a na kołnierzach – pusto!

Z drugiej strony zauważyłem wyżej wspomnianego Nemca, otoczonego najgorszymi typami z baterii, takimi, co to w każdym raporcie karnym któryś z nich musiał figurować. Te dwa obrazki, cichych dziś, a zawsze tak bitnych podoficerów bez odznak, a z drugiej strony najgorszych drani z baterii – nie świadczyły bynajmniej o łagodnym nastroju.

Przystąpił do mnie Nemec, widocznie dowiedział się, że byłem w dowództwie brygady, bo prosto z mostu spytał, jakie mam wiadomości z komendy. „Nie twoja rzecz!” – wrzasnąłem mu w odpowiedzi; aż się wyprężył odruchowo, a podszedłszy do podoficerów spytałem po niemiecku: „Gdzie odznaki?” – „Powiadają, że wojna skończona, więc i szarże niepotrzebne, a zresztą mówią, że każdy człowiek jest równy drugiemu. Grozili, cóż było robić, to i odpruliśmy, a dragoni też są wszyscy bez gwiazdek” – mruczał słabym, zniechęconym głosem wachmistrz od telefonów, Wiedeńczyk.

Nemec ze swoją grupką żołnierzy przysłuchiwał się rozmowie z ironicznie tryumfującą miną. „Może by panowie oficerowie też odpruli sobie gwiazdki” – zaczął od niechcenia zwracając się niby do mnie, niby do zebranych żołnierzy. „Każdy człowiek przecie jest równy, a zresztą lepiej samemu to zrobić, niżby kto miał pomóc” – dodał z naciskiem, typiąc oczami spode łba.

Zawrzało we mnie na taką bezczelność. „Gwiazdek nie zdejmę! A jeśli kto ośmieli się zbliżyć – trzasnę w mordę, że mu parszywy łeb zleci! Zrozumiano?!”. Cisza się uczyniła, a ja trzasnąwszy drzwiami, wszedłem do kancelarii.

– „Gdzie pan kapitan?” „W drugim pokoju”. Wchodzę. Kapitan Stenzel na mój widok podniósł się leniwie i przysłuchiwał się obojętnie moim relacjom. Był to człowiek cieszący się najlepszą opinią w pułku, jako odważny w bojach, pełen inicjatywy taktycznej, jeden z najlepszych dowódców baterii, ale w zaistniałej sytuacji nie potrafił powziąć żadnej decyzji ani nic zarządzić.

Zastanawiamy się z Dzieduszyckim, co robić. Przede wszystkim trzymać baterię tak długo, jak się da, uspakając żołnierzy.

Tymczasem telefon mnie wzywa do dowództwa brygady. Siadam na „Huzara” i jadę. W mieście tłumy bezpańskich żołnierzy. Pułkownik przyjmuje mnie awanturą, wymyśla, krzyczy, że moje wiadomości są nieprawdziwe, że to chyba tylko nasza bateria się buntuje, telefonował do pułków i szwadronów – tam zupełny spokój. Wszystko to bzdury!

Wyprowadził mnie z równowagi tym brakiem orientacji i nieświadomości tego, co się dzieje w jemu podległych oddziałach. Uniosłem się w niezbyt służbowy sposób i replikuję na jego wywody, proponując, aby sam osobiście przejechał się po oddziałach i przekonał się. To poskutkowało, opanował się, stał się grzeczny i uprzejmy i nawet pytał o moje zdanie, co czynić należy, bo on nie może uzyskać połączenia ze swoim zwierzchnikiem. Powiedziałem, że moim zdaniem trzeba ratować sytuację rozkazem wymarszu w przepisowym ordynku, a jeśliby się okazało, że to tylko w Kamieńcu jego brygada jest w takim rozprężeniu – można będzie po uchwyceniu dyscypliny powrócić i ład zaprowadzić. Zawsze łatwiejsza jest dyscyplina w pochodzie, gdy żołnierz zajęty i w szeregach, niż rozproszony po kwaterach w bezczynności. W każdym razie trzeba działać, zrobić jakiś ruch, przypomnieć, że władza jest i czuwa nad dobrem żołnierza. (...)

Gdy wróciłem po południu do baterii, oświadczono mi, że jest wybrane spośród żołnierzy dowództwo baterii, złożone

z trzech żołnierzy z Niemcem na czele. – Podoficerowie mieli pozdejmowane dystynkcje z kołnierzy. Wokół mnie tworzyły się grupy ciekawskich, zasypując pytaniami. Jednocześnie Nemec podał nam do wiadomości, że jutro rano bateria ma wymaszerować. Panowie oficerowie mogą, jeśli zechcą, iść razem, jednakże trzy wozy bagaży to za dużo, stawiają nam jeden wóz do dyspozycji. Braliśmy te zarządzenia raczej z humorem, na wesoło. Kazio Dzieduszycki i ja oznajmiliśmy, że oczywiście również wyruszamy, bo jeśli wojna skończona, to nie będziemy siedzieć w Kamieńcu. Przepakowałem moje bagaże do jednej małej walizki, inne wynieśliśmy z Kaziem na podwórze i z gestem wyrzuciliśmy ich zawartość na stosy. „Chłopcy, bierzcie to na pamiątkę”. Wśród śmiechu, żołnierze na wyścigi rozdrapali graty „na pamiątkę po panu porucniku”. (...)

Wewnętrzna służba baterii zaczęła funkcjonować prawie normalnie. Nemec i jego pomocnicy dbali o to. Nawet któremuś z żołnierzy odmówiono przydziału chleba i wieczornej kawy, bo nie chciał zająć posterunku przy działach. Zresztą sytuacja była niepewna, a zdrowy rozum żołnierzy brał górę nad warcholstwem i skłonnością do ekscesów, a ogromna odległość od kraju i niepewność podróży skłaniały żołnierzy do utrzymania zorganizowanego trybu życia.

Pod wieczór przyszła do naszej kwatery trójka dowodząca baterią z prośbą o radę. Mianowicie rozeszła się pogłoska jakoby kwaterujący również na zamku oddział petlurowców umawiał się, że nocą napadnie na naszą baterię, aby zdobyć broń i konie.

Nemec pytał, co ma w takim wypadku robić. Doradzają mu, aby uprzedzić napad i rozbroić tych ludzi. Dalej pytał, jak utworzyć kolumnę marszową, czy stworzyć jakiś oddział ochronny, dokąd posłać kwatermistrzów, i temu podobne organizacyjne sprawy.

Mrugaliśmy na siebie porozumiewawczo; cóż Kazia i mnie może to obchodzić, to załatwia dowództwo, wydaje rozkazy, jest odpowiedzialne. My, oficerowie, jedziemy razem, gdyż czujemy się nadal przynależni do baterii. Targi i wzajemne perswazje trwały dość długo, ale w nastroju życzliwości. Wreszcie stanęła umowa: *de facto*, nie *de jure*,

uznajemy nowe dowództwo i żądamy, aby zobowiązało się słuchać naszych poleceń i ściśle je wykonywać. (...)

Chodziło nam przede wszystkim o zachowanie całości baterii i utrzymanie możliwej dyscypliny w oddziale. Nie mogliśmy dopuścić do narażenia żołnierzy na jakieś samotne eskapady, pojedynczo lub luźnymi kupami, bądź co bądź w nieznane. Wykorzystaliśmy nastrój może przesadnie, ale tą drogą było nam łatwiej wpłynąć na żołnierzy. Czyż można było cokolwiek przewidzieć?

Raz jeszcze wieczorem byłem u dowódcy brygady. Tam uświadomili sobie wreszcie w pełni sytuację i, co najważniejsze, przyrzekli, że jeszcze dziś przyjdzie rozkaz wymarszu i podadzą porządek utworzenia się kolumn. To nas na razie uspokoiło.

Rzeczywiście, późnym wieczorem czy nocą rozkaz wymarszu przyszedł. W nim dowódca dywizji zapewnia, że w tej ciężkiej i skomplikowanej sytuacji nie opuści żołnierza, że razem pod jego komendą dojdziemy do kraju, do swych rodzin i domów, ramię przy ramieniu, i tym podobne zapewnienia. Nastąpiło duże odprężenie wśród żołnierzy, wszyscy byli zadowoleni, ulżyło wszystkim. Nawet Nemec coś wspomniął, że jego funkcja staje się już niepotrzebna.

Rano o oznaczonej godzinie bateria była gotowa do marszu. Podoficerowie wprawdzie w większości bez odznak, ale na swoich miejscach. Szwadrony dragonów wyglądały prawie normalnie, może brakło trochę ludzi, ale na oko nie znać było ubytku. Opuściliśmy Kamieniec Podolski, tę dawną twierdzę polską, gdzie wojna 1914-1918 *de facto* się dla mnie skończyła.

Pochód odbywał się normalnie. Kolumna, o ile pamiętam, składała się z 1-go pułku Dragonów, przeważnie spieszonych, i naszej baterii. Po paru godzinach kolumna zatrzymała się dla odpoczynku. Po chwili przez oddziały przebiegł goniec od dowództwa brygady wzywający delegatów żołnierskich do dowództwa na czoło kolumny. W baterii nikt nie znał tego terminu „delegaci żołnierscy”. Powstała konsternacja, co to znaczy? Czemu nie wzywają dowódców oddziałów, oficerów? Ogromny jakiś niesmak wśród kanonierów – co robić? Bodajże już zapomnieli o Nemcu i jego towarzyszach.

Narada, niech jadą. Nemec prosi, abym z nimi pojechał – przeto jadę. Sztab stoi podług drogi, zbierają się dojeżdżające „delegacje”. Trochę jest między nimi oficerów. Pułkownik występuje i rozpoczyna przemowę, zapewniając o swym przywiązaniu do żołnierza, obiecując, że on poprowadzi, to jego obowiązek – do końca – do domów. Trochę to głupio wyszło. (...) Odsalutowanie – wszyscy idą do luzaków, siadają na konie, w ponurych nastrojach rozjeżdżają się. Próbuje złapać jeszcze paru oficerów, zatrzymujemy się przed pułkownikiem – mała utarczka słowna – wzburzenie, inni przystają i patrzą. Pułkownik: „Do swych oddziałów, ruszamy”!

Ciemny, listopadowy późny wieczór. Jakaś mżawka czy deszczyk, marnie. Wszystko oblodzone: mundury, siodła, szron na pyskach skulonych koni. Jakiś zamróz w kościach siedzi, zmęczenie potęguje się, kiszki puste. Dojeżdżamy nad Zbrucz, sztab i większość kolumny przejeżdża lichym, prowizorycznym mostem do Skąty, a nasza bateria otrzymała kwatery jeszcze po tej stronie rzeki. Okazuje się, że kilka nędznych chałupek nie pomieści ani połowy ludzi – konie na dworze. Ogniska rozpalone z płotów czy chlewów dają mało ciepła żołnierzom, którzy suszą dymiące płaszcze – bezskutecznie. W chałupach tłok niebywały, zaduch, spać nikt nie może. Konie... biedne konie skurczone, sierść zjeżona, oślizgła, łby puszczane, trzęsą się. (...)

Tymczasem krążą pogłoski, że po tej stronie Zbrucza patrole petlurowskie – po tamtej „Ukraina galicyjska”. Co to za twór? Tego nikt nie wie. Jedni i drudzy „rewidują” żołnierzy przechodzących granicę. Tych, co idą pojedynczo lub w kilku – rozbijają. Rewizja odbywa się tak, że delikwentów puszczają bez płaszczy, często bez butów, bez mundurów, w samej bieliźnie – w dalszą nieznaną drogę – do domu. Podobno i jakieś trupy obdarte płyną Zbruczem! Strach pomyśleć, trzeba iść kupą – zwartym szykiem, z bronią, w oddziałach zdyscyplinowanych. Ta wiadomość przywraca żołnierzom pewną zwartość, umacnia dyscyplinę. Ale zimno i straszno! Nowe dowództwo baterii z Niemcem na czele już się nie liczy, władza przechodzi automatycznie w

ręce oficerów. Sam Nemec o to prosi. Żołnierze temu radzi, wyzywam to, ale milczą, bo mokro i zimno.

Kpt. Stenzel nie liczy się, to nie człowiek, to jego cień. A był dobrym oficerem, wymagającym, odważnym i dobrze spełniał swe obowiązki dowódcy baterii. Bywa tak z ludźmi, którzy w ramach regulaminów i przepisów byli na swoim miejscu. Teraz zaważyło mu się wszystko: Austria, Wiedeń i on z nimi.

Równocześnie z pierwszym blaskiem mroźnego świtu łącznik przywozi rozkaz z brygady. Z ulgą chwytam kopertę i odczytuję z Kaziem przy jakiejś łójówce. Ciarki przechodzą po plecach, ręce drżą w miarę czytania z zimna i niewyspania. „Z powodu niemożności dowodzenia i braku dyscypliny w brygadzie – składam dowództwo brygady” – podpis pułkownik xy (niestety nazwiska nie pamiętam). W czyje ręce składa dowództwo – nie podaje.

Co dalej? Jakie dyspozycje i od kogo otrzymamy? Na granicy rozbijają, rabują, trupy w Zbruczu... Do kogo się zwrócić? Tłum ciekawych pcha się już nachalnie do świeczki, odczuwa konsternację czytających. Patrzymy sobie z Kaziem w oczy: co robić? zataić treść rozkazu? powiedzieć prawdę? Chyba tak! Dzieduszycki kiwa głową, że tak.

W dziesięć minut siedzimy na koniach. Kazio został przy baterii. Jest nas z dziesięciu, inny skład, choć Nemec z nami. Na moście zatrzymuje nas „galicyjak” – nie wolno przejeżdżać, grozi karabinem. Świst pejcza go zmiętygował, odstąpił i inni się cofnęli, jedziemy. Ładny pałac w Skale zniszczony, gazon zdeptany, pokoje puste. Ustawiłem moich kompanów jak do raportu, sam wchodzę. Pusto! Wreszcie w korytarzu spotykam adiutanta brygady. Melduję, że delegacja z baterii do pułkownika z raportem w związku z otrzymanym rozkazem. Rotmistrz dziwnie się uśmiecha, coś tłumaczy, wreszcie odchodzi. „Pułkownik prosi”. Wchodzę, melduję się – on bez munduru, goli się. Przeprasza za strój, wszczyna rozmowę. Ja mu melduję, że ponieważ woli rozmawiać z szeregowymi – niż z oficerami – niech mu wszystko powie delegacja, która czeka przed pałacem. „Zaraz wyjdę, proszę zaczekać”. Zawiadomiłem moich żołnierzy i wracam na korytarz przed drzwi pokoju pułkownika, czekam. Czekam

coś nazbyt długo. Wreszcie decyduję się, pukam – cisza! Drugi, trzeci raz – cisza! Ostrożnie wchodzę – pokój pusty! Oczom nie wierzę!

Wychodzę na korytarz, nie wiem, co robić, idę przed siebie, u wyjścia spotykam podpułkownika Blumenkrona, szefa sztabu brygady. Opowiadam mu o pustym pokoju i jak czekałem przed drzwiami. „Unglaublich” – nie do wiary! Wchodzimy, jest jak powiedziałem. Pułkownik Blumenkron po chwili ochłonął z wrażenia i spokojnym głosem mówi, że rzecz jasna, jeśli rzeczywiście dowódca brygady nie ma, to on jako najstarszy rangą automatycznie obejmuje dowództwo. „Chodźmy na podwórze, dowiemy się, co licznie zgromadzeni żołnierze sobie życzą, powiem im, że obejmuję dowództwo”. Zebrani przed pałacem już wszystko wiedzą, a nawet więcej niż w rzeczywistości było: że brygadier z kasą brygady, mapami i dokumentami wyjechał wprost do Wiednia, że miał paszport z rozkazem nie zatrzymywania się. Mnie wprost diabli biorą, bo to honor mej baterii zachwiany. Podpułkownik krótko przemówił, prosząc, aby po dwu z oddziału pozostało, zastanowią się nad sytuacją. Wydadzą rozkaz. Wzywa do spokoju, rozważi.

W międzyczasie pojawił się sierżant ukraiński w austriackim mundurze, z przepaską żółto-niebieską i z oddziałem kilku czy kilkunastu żołnierzy. Stali na uboczu przysłuchując się.

Widocznie sobie moją osobę upatrzył, gdyż dyskretnie podszedł i uprzejmie mi tłumaczył, że on prosi, dla mego dobra, abym raczył się uspokoić i nie podburzał żołnierzy, bo to jest państwo ukraińskie – Polska, hen, tam za Sanem, a każdy austriacki żołnierz musi złożyć broń i materiał wojenny tu na granicy, a wówczas zostanie za darmo odesłany do swego kraju. Że gdybym pomógł mu w uspokojeniu wzburzonych umysłów i przyczynił się do spokojnego złożenia broni – on postara się o samochód dla mnie i wszelkie przepustki, aby mnie przewieźć do granicy polskiej. Tak już uczynił z dowódcą brygady i kilkoma oficerami, którzy przez Węgry wyjechali do Wiednia. „Kiedy? – A przed niespełną godziną”. „Jak? Przez okno?” Sierżant uśmiechnął się – „każda droga dobra, kiedy jest pewna!” Zatkąło mnie, zamachną-

łem się – on zgrabnie uskokczył i powiedział, że nie żartuje i przestrzega, że za swych żołnierzy nie ręczy.

Podpułkownik Blumenkron zaraz zebrał naradę obecnych żołnierzy. Po chwili zawezwał tego sierżanta, żądając wskazania jakiegoś ich dowództwa, uprawnionego do wszczęcia pertraktacji o przekroczenie rzekomej granicy przez brygadę wojsk austriackich. Sierżant długo zwlekał z odpowiedzią, wreszcie – pod groźbą wymarszu brygady na zachód – podał, że w Czortkowie, odległym o jakieś 30 km, jest jego zwierzchnia władza. Blumenkron, nie chcąc więcej z sierżantem gadać, kazał mu powiadomić jego dowództwo, że dziś jeszcze jedzie do Czortkowa na pertraktację.

Rozjechaliśmy się na krótko do swych oddziałów i w godzinę lub dwie byliśmy w drodze w kilkanaście koni do Czortkowa. W grupie tej byli przeważnie oficerowie wyznaczeni przez Blumenkrona oraz kilku podoficerów z oddziałów.

Czortków – małe powiatowe miasteczko. Wprowadzają nas do piętrowego budynku – może starostwo, może tu był sąd. Duża sala zappełniła się naszą delegacją. Kilka stołów, krzeseł. Po chwili wszedł kapitan ukraiński z asystą. Wojskowe powitanie.

Chciałbym tu zaznaczyć, że nie mieliśmy pojęcia o sytuacji politycznej i militarnej, ani ogólnoeuropejskiej, ani na odcinku nas dotyczącym. Nie wiedzieliśmy czy wojna skończona, czy toczy się dalej. O rewolucji w Rosji od paru tygodni wiemy. Jak się przedstawia położenie państw centralnych – nie wiemy. Może tylko w naszej brygadzie takie rzeczy się dzieją? Radia w 1918 nie było, poczty od dłuższego czasu nie widzieliśmy – żadnej gazety. Kontakt z innymi oddziałami żaden, gdzie wyższe dowództwa – nie wiemy.

Podpułkownik Blumenkron zagaił, że brygada stoi nad Zbruczem, że tam jakiś sierżant z małym oddziałkiem chce ją zatrzymać i rozbroić, że to wprost bezczelność. On chce być lojalny, przeto zdecydował się tu przyjechać i żąda od dowództwa ukraińskiego, które podaje się za gospodarza tego kraju, zezwolenia na przemarsz do swych jednostek macierzystych. Nie wątpi, że dadzą nam środki transportowe. Poza tym prosi kapitana o udzielenie nam informacji o sytuacji

politycznej i wojskowej w Europie.

Informacje kapitana były mniej więcej takie, że wojna skończona, powstały nowe państwa: Polska, Czechy, Ukraina (galicyjska) i Ukraina na byłych terenach rosyjskich. Ich Ukraina ciągnie się od Zbrucza po San, gdzie jest granica z Polską. „A co Lwów? Polski Lwów?” „To stolica Ukrainy” – dumnie odpowiada kapitan. „Jak to, Polacy to miasto oddali?” „Tak, układ jest zawarty z Polską i toczą się pertraktacje o wyrównanie północnych granic. Zasadnicza granica to San. Układ z Austrią i z Niemcami jest taki, że ich wojska składają broń i materiał wojenny, a dostają środki transportowe, tranzytem do swych krajów”. Kapitan prosi więc w imieniu państwa ukraińskiego o złożenie broni, a on dostarczy pociągi dla przejechania przez Ukrainę do granic Polski – do Sanu.

Dla nas rewelacja! Co w tym prawdy? Czy tak jest w rzeczywistości? Nie bardzo wierzymy, lecz wywód kapitana jest dość logicznie powiązany. Ale Lwów? Granica na Sanie? – to przecież niemożliwe! Innych to nic nie obchodzi, ale nam – Polakom – nie chce nam się wierzyć! Jesteśmy w znikomej mniejszości – musimy milczeć.

Blumenkron godzi się wreszcie na te żądania, stawia warunek, że złoży broń dopiero, gdy pociągi będą podstawione, na miejscu, a w Skale nie ma kolei. Przeto przejdzie z bronią w rękę do wyznaczonej stacji, gdzie równocześnie z zawagonowaniem złoży broń. Widocznie nie dowierza. Kapitan nie godzi się na to, broń musi być złożona na granicy w Skale. Zaczynają się targi i pertraktacje, dyskusja bardzo gorąca. (...)

Parę razy zrywaliśmy pertraktacje – opuszczali salę – znowu wracali. Kapitan prosił, ustępował. Napięcie nerwów ogromne! – Tak to trwało do samego rana.

Wreszcie, gdy świt listopadowego ranka zaglądał w szyby – została spisana umowa. Oto najważniejsze jej punkty: brygada w pełnym rynsztunku przechodzi do Czortkowa na dworzec kolejowy. Tam, w miarę załadowania, składa broń za pokwitowaniem. Oddziały zatrzymują swój prowiant i kuchnie polowe, wraz z zaprzęgami i kilkoma wozami. Oficerowie zatrzymują swoje osobiste uzbrojenie. Transporty

w ilości czterech pociągów będą odesłane najbliższą drogą i najszybciej do granicy Polski. Rewizja odbędzie się raz, przy załadunku, dalsze rewizje są niedopuszczalne.

Taki mniej więcej układ podpisały obie strony.

Już był biały, mroźny dzień, gdy wracaliśmy do swych oddziałów.

Nazajutrz rano wyciągnęła się długa kolumna w kierunku Czortkowa odległego o 30-40 km.

Niedaleko miasta zatrzymano nas i skierowano nie na dworzec w Czortkowie, lecz na małą stacyjkę, Wygnankę, pod samym miastem. Tłumaczono tę zmianę tym, że Ukraińcy obawiają się w mieście jakichś ekscesów z powodu nagromadzenia takiej ilości wojska. Blumenkron zgodził się.

Baterię umieszczono przy samej rampie kolejowej, dragonów nieco dalej. Zastaliśmy tam jakiś oddział ukraiński, który miał przejmować broń.

Mijały godziny czekania na pociągi – a tu pustki na torze.

Pułkownik rzucał się, gniewał, telefonował, wreszcie groził... nic nie pomagało – na torach pustki. Nareszcie zrozpaczony chwycił się ostatecznego sposobu, zresztą bardzo ryzykownego – zagroził, że jeśli za pół godziny pociągi nie zostaną podstawione – to on każe baterii bombardować miasto.

Gdy bateria nasza zaczęła się sposobić do zajęcia pozycji na wzgórzu przy samym dworcu, skąd jak na dłoni było widać miasto – pierwszy pociąg zajechał. Szantaż się udał! Widocznie mieli wagony gotowe, lecz chcieli nas wykończyć czekaniem na mroźnym, wilgotnym powietrzu. (...)

Nikt, kto będąc żołnierzem, nie przechodził chwili składania broni, nie może mieć pojęcia, co to za upokarzająca i wprost tragiczna chwila! Nic nie pomogło tłumaczenie sobie, że to przecież austriackie wojsko, że jedziemy do Polski, gdzie w tym wymarzonej przez stulecie polskim wojsku będzie można swą miłość i przywiązanie do Ojczyzny wykazać.

Przywiązanie do oddziału, do tych ludzi, koni, dział, z którymi niejedną ciężką chwilę się przeżyło – było silniejsze od wszelkiej perswazji! Wszyscy chodzili źli jak osy. Naszym

Jasnom przede wszystkim żał było rozstawać się z końmi, które nie dość pilnowane, w uprzężach i osiodłane kręciły się zmarznęte i głodne. Rozpoczęli odważniejsi. Podkradali się w mroku pomiędzy działa i wozy, dochodzili do swych ulubieńców, zdejmowali uprząż, rozkulbaczali, potem cicho podprowadzali do linii posterunku i puszczali konia w świat na pola rozłożone na dużym zboczu koło stacji!

Zaszedłem do małego budynku dworcowego – ot tak z nudów i żeby trochę oderwać wzrok od tej ruiny, która nas otaczała. Tam ciepło, żelazny piecyk rozpalony – paru kolejarzy, jakby znudzonych, siedziało beczynnie. Często stuję papierosem, rozmowa początkowo zdawkowa, ożywia się. Są Polakami. Zaczynają opowiadać, co się dzieje w świecie. Przerywam, pędzę po Kazia Dzieduszyckiego. Wiedząc już, z kim mają do czynienia – kolejarze rozgadali się. „Lwów się broni! W całym kraju siły ukraińskie znikome, bałagan nie do opisania. Polska wcale nie uznała państwa ukraińskiego. Odbierzemy im z powrotem całą Małopolskę Wschodnią. Warszawa przygotowuje odsiecz Lwowa; z Krakowa już ciągną posiłki pod Przemyśl, gdzie walki się toczą. Austria zdradziła Polskę oddając w ręce Ukraińców materiał wojenny. „Z taką siłą, jaką tu macie, przeszlibyście na wylot całą Ukrainę! Broń, którą oddajecie, za dwa dni będzie pod Lwowem użyta przeciw obrońcom! Czyście poszaleli?!”

Wypadamy z budynku z jedną myślą: nie damy!

Ale jak? Przecież brygada nie ruszy, tym bardziej teraz, gdy pociąg „do domu” już stoi, jaka siła wepchnie tych na wskroś zdemoralizowanych żołnierzy znowu w szeregi? Co Czechów obchodzi jakiś Lwów? San? Cała Polska? Austriacy marzą o swym ukochanym pięknym Wiedniu, nic ich poza tym nie wzruszy.

Jedyna myśl do urzeczywistnienia – to stworzyć oddział ochotniczy. Jeden dywizjon, choćby szwadron po zęby uzbrojony, z wyborowym żołnierzem, dzielnymi oficerami, zdecydowanymi na wszystko, kilka karabinów maszynowych, 1-2 działka, amunicja, żywność – znajdą się chętni, a i dość oficerów, którzy by na to poszli, nie mogąc znieść upokorzenia, hańby.

Odebrać Ukraińcom te trochę sprzętu siłą – nie byłoby tak trudno. Żeby tak poszło kilku oficerów starych, doświadczonych, tych I klasy! Ale kto? My dwaj – to szczeniaki!

Decyzja zapada – idziemy we dwójkę do pułkownika Blumenkrona. Ten wysłuchał ze skupieniem, pochwała projekt, pójdzie z nami. Ale on z racji swojego stanowiska organizować imprezy nie może; gdy będzie wszystko gotowe, transporty wyśle, a sam przyłączy się do nas. W wielkiej tajemnicy szukamy chętnych, omawiamy różne nazwiska; kilku młodych już mamy, ale starszych, doświadczonych? Jeden rotmistrz, morowy chłop, zapala się do tej myśli, omawiamy plan.

Trzeba teraz rozważyć wszystko na zimno, na rozum. Powiedzmy, że oddział już mamy, nie za duży, ale pewna siła być musi. Mamy dwie wersje tego, co się na świecie dzieje, ale jakże sprzeczne ze sobą! Jedną od kapitana ukraińskiego, drugą od kolejarzy. Tak jedno, jak i drugie źródło niekompetentne, może stronnnicze, zależne od okoliczności, od sentymentów. Które z nich jest bliższe prawdy? Któż może wiedzieć, czy między Polską a Ukrainą nie stanęła jakaś ugoda, może nie są te państwa na stopie wojennej? Przeto co by znaczył samowolny oddział w głębi cudzego kraju pod sztandarem polskim? Boć tylko taki sztandar byłby do pomyślenia. *Casus belli* albo wyparcie się nas przez rząd polski. Bylibyśmy tylko bandą warcholów! Gdyby ten moment natury politycznej odrzucić, a przyjąć motywy czysto wojskowe, przebiecie się do Lwowa, jakieś 160 km lotem ptaka, albo do Sanu – prawie 400 km, wiele to dni marszu? Przejść tę trasę trzeba będzie w cudzym terenie, jako wróg? Taki oddziałek łatwo rozbić, a wtenczas jaki los czeka tych, których na to namówiliśmy? Kto za nich odpowiada? – My!

Teraz umysły wzburzone, niejeden pójdzie z entuzjazmem, ale co potem, za kilka dni, tydzień, dwa? Jaki procent wytrzyma? Jak ludność cywilna ustosunkuje się do takiego oddziału? Prowiant trzeba rekwirować, brać siłą, bo pieniędzy nie ma! Stąd krzywda ludzka, zdrady, donosy! Kto to wszystko weźmie na swoją odpowiedzialność? Jakim prawem? Trzeba to wszystko przemyśleć, przetrwać na zimno, od zagadnień politycznych poczynawszy, do czysto wojskowych i moralnych!

A tu ciągnie! Upokorzenie zachęca, ambicja popycha – żyłka awanturnicza jakiegoś Kmicica szepce: „co mi tam – próbuj! Lwów się broni.”

Najcięższe chwile, godziny, jakie w moim życiu przeżyłem!

Mieliśmy niespełna po 20 lat!

Decyzja zapadła – nie idziemy!

Zacny ppłk Blumenkron powiedział: „Szkoda, miałem taką ochotę! Macie rację, byłoby to szaleństwo i właśnie wam tego czynić nie wolno!”

Dopiero później, po miesiącach, żałowałem tej negatywnej decyzji: sądzę, że pod Lwów, który już wówczas bronił się zjadale, doszlibyśmy bez nadmiernych trudów. W każdym razie co za niepokój, zamieszanie na tyłach wojsk ukraińskich i powstającej organizacji państwowej! Większych sił wojskowych Ukraińcy nie mieli. Trochę luźnych oddziałów po miastach – zresztą mało wartościowych. Pierścień naokoło Lwowa i wzdłuż kolei Lwów-Przemyśl – to wszystko. A ten ich żołnierz też do bitwy niezbyt skory, pilnował tylko porządku. obrońcy Lwowa natomiast mieliby odciążenie, może by ich wieść o nas doszła, pokrzepiła, dodała odwagi!

Żal spóźniony! Przepadło!

Bolało mnie dotkliwie powiedzenie kolejarzy, że ten materiał wojenny zaraz pójdzie pod Lwów. (...) Tych dział nie można było tak zostawić! plutonowy Piotrowicz, który miał z nami wyruszyć z tym niedoszłym oddziałem, podjął się zadania, i to skutecznie. Po pewnym czasie przyniósł mi pełne kieszenie śrubek, sprężyn, części składowych zamka armatniego – puste bloki zamkowe wsuwał z powrotem na miejsce. Przyrządy celownicze rozbił o koło i włożył do przeznaczonych na nie schowków przy działach. Nasze działa zostały unieszkodliwione!

Tu mała, ale ważna dygresja. Mniej więcej w pół roku później, w czasie wielkiej ofensywy, która na moim odcinku wyszła z Przemyśla-Chyrowa w maju 1919 roku, zdobyliśmy Stanisławów. Tam myszkując po różnych składach i rupieciach w poszukiwaniu materiału wojennego dla uzupełnienia wówczas dużych braków w polskiej baterii (I Bat. I PAL.)

natknąłem się za dworcem kolejowym na jakieś działa smętnie stojące w rupieciarni. Z daleka poznałem – połówki austriackie 75-ki. Rzuciłem się do nich, podbiegam, badam – tak! To moje działa z austriackiej baterii oddane Ukraińcom w Czortkowie! Były na nich wybite znaki. Tak, to te! Właśnie te! Co za ulga! Działa te nie brały udziału w walce o Lwów po stronie ukraińskiej.

Godziny mijały. Zapadła czarna, zimna noc. Z baterii już mało co pozostało. Wreszcie doszło do tego, że na rampie paliły się ogniska z połamanymi wozów, pak, skrzyń, papierów kancelaryjnych. Nie pozostał ani jeden koń. Wszystkie gdzieś rozbiegły się. Chyba nie pozostała w całości ani jedna uprząż, ani jedno siodło, ani jeden rzemyk. Przed odjazdem dorwano się do skrzyń z rakietami świetlnymi, które tryskały dla zabawy w górę, oświetlając stację, tory, wagony i to pobojuwisko – gorzej niż pobojuwisko – resztki zniszczonego dobytku brygady. (...)

Tak zakończyło się rozbrowienie brygady kawalerii austriackiej przez trzydziestu oberwańców!

Pociąg nasz ruszył z tej rzeczywiście „Wygnańki”, gdy błądy świt począł rozjaśniać działa z jaszczami i stado koni pasące się na szronem pokrytej oziminy. Transport skierowano na boczną, południową linię kolejową przez Czortków, Buczacz, Stanisławów, Stryj, Sambor do Sanoka nad Sanem, gdzie wjechaliśmy w terytorium Polski (około 400 km). Potem przez Lesko, Jasło do Krakowa. Jaki był los innych pociągów, których było zdaje się jeszcze dwa poza moim, tego nie wiem. Podróż trwała chyba z 10 dni czy dwa tygodnie. Wlekleśmy się strasznie, brakło parowozów, to znów węgla czy wody. Staliśmy po stacjach godzinami – nie wiadomo czemu. Służba kolejowa przeważnie składająca się z Polaków była nam bardzo pomocna. Już wówczas nabrałem szacunku do kolejarzy, które to uznanie spotęgowało się później, przede wszystkim w obronie Lwowa, w kampanii ukraińskiej i w czasie najazdu bolszewików. (...)

Wspomnienia z tej drogi trudno opisać: monotonia, smród, brud i ubóstwo! Stacje nabite tłumem szarych ludzi w łachmanach, koczujących po peronach i korytarzach

dworcowych, nieprawdopodobne ilości jeńców rosyjskich, wracających z niewoli niemieckiej czy austriackiej, wycieńczonych długą jazdą na dachach, buforach przepełnionych pociągów.

Wśród tego wszystkiego w większych miastach kręciły się panie z Czerwonego Krzyża w białych fartuchach. Oczywiście Polki z jakichś dorywczych komitetów. Roznosiły gorącą kawę, czasem nawet chleb. Była to obywatelska pomoc głównie dla żołnierzy, a specjalnie dla tych nieszczęśliwców z obozów. Serce ludzkie w tym kraju jeszcze nie zamarło!

Na niektórych stacjach wybuchały scysje między naszymi żołnierzami a strażą ukraińską. Wiadomo było, że w umowie rozbrojeniowej mieliśmy zastrzeżone, że nie podlegamy rewizji, miała to być obrona przed rabunkiem. Pierwsza awantura wybuchła już w Czortkowie. (...)

Największe emocje przechodziłem dojeżdżając do Sanu – do granicy polskiej. Co tam zastaniemy? Jaki porządek?

Czy każdy powstający twór państwowy musi tak okropnie wyglądać, jak ta Ukraina?

Na ostatniej małej stacyjce pociąg długo zatrzymano. Powiadomiono nas wreszcie, że most na Sanie popsuty, że musimy wysiadać i piechotą przejść na polską stronę. Nie bardzo dowierzamy, ciągle nas próbowano oszukać – trzeba jakoś walczyć. Blumenkron na to zapowiada, że pośle patrol saperów, oni może most naprawią. Nasz wywiad z kolejarzami wykazuje, że to nieprawda, pociągi przechodzą, jedynie władze ukraińskie chcą zatrzymać wagony u siebie. Przy pomocy kolejarzy i maszynisty, nieco na siłę, przejeżdżamy gładko na drugą stronę.

Wjeżdżamy do Sanoka – pierwszej polskiej stacji! Emocja szalona!

Wychylony przez okno widzę z daleka ładny dworzec, puściuteńki. Na środku stoi żołnierz z karabinem, czysty, zapięty, w maciejówce na głowie – chyba legionista. Peron czysty, wymieciony jak w salonie! Uf, to już coś – dobrze. Że dworzec może być tak czysty – nie do wiary! Pociąg z wolna staje. Wyświeżeni jak się dało, wychodzimy z pułkownikiem z wagonu. Posterunkowy wskazuje drzwi do komendy

dworca, zeszłą świeży napis to wyjaśnia. Wewnątrz czyściutko, jakoś schludnie, prawie miło. Oficer sympatyczny, czysty – wstaje zza stołu, melduje się Blumenkronowi po polsku, potem ładną niemczyzną, jako komendant dworca. Zapytuje, czym może dopomóc, jakie mamy życzenia. Objaśnia uprzejmie, na jakiej stacji trzeba się przesiąść w kierunku na Wiedeń, Pragę, Śląsk. (...)

Oficer pokazuje nam ostatni rozkaz cesarza Austrii, w którym żegna swoją armię i zwalnia wszystkich oficerów i szeregowych ze złożonej jemu i Austrii przysięgi. Jesteście, panowie, wolni i każdy ze spokojnym sumieniem i czystym honorem może zdjąć mundur austriacki i gdy zechce, może oblec ten swojej Ojczyzny! Piękny gest ustępującego monarchy, który w takiej chwili, gdy państwo jego się rozpada, myślał o ważności przysięgi i ewentualnej kolizji honoru oficerskiego z nowymi obowiązkami.

Nawiązując do tego, oficer tłumaczy, iż zdarzyło się, że niepowołane elementy na ulicach zdzierały odznaki oficerów austriackich, przeto uprzejmie doradza, po koleżeńsku, bez jakiegokolwiek nacisku, aby panowie oficerowie zdjęli sobie „bączki” z czapek z inicjałami cesarza. Podpułkownik Blumenkron po namyśle zwrócił się do mnie, prosząc, abym pierwszy odczepił „bączek”, gdyż pierwszy z nich wszystkich jestem w swojej wolnej Ojczyźnie. Wersal na Wersal! Odpowiedziałem, że pierwszy tego nie uczynię właśnie dlatego, że stoję na swojej ziemi, mogłoby to wyglądać jako rodzaj presji, proszę jego, jak mego gościa, aby pierwszy, najstarszy rangą, zdjął „bączek”, a my pójdziemy jego śladem. Tak też uczyniliśmy, zrywając w ten sposób definitywnie kontakt z Austrią i jej wojskiem.

Pierwsi odłączyli się Austriacy i Czesi, pozostając na węzłowych stacjach. Z podpułkownikiem Blumenkronem pożegnałem się wprost czule. Zaczny i prawy człowiek, w każdym calu dzielny oficer!

Polacy z południowych stron krakowskiego jechali gdzieś na Nowy Sącz i Wadowice. Do Krakowa dojechaliśmy we dwu z Kaziem Dzieduszyckim i pięciu czy siedmiu szeregowych. Nawet mój pocziwy ordynans Kubica pozostawił na mej walizce kartkę ze słowami pożegnania.

●

Cóż miał czynić młody człowiek, dwudziestoletni podporucznik z austriackiej konnej artylerii, który w listopadzie pamiętnego roku 1918 znalazł się w Krakowie, w tym kotle zdemobilizowanych armii zaborczych? Miał dwa wyjścia: pierwsze, to oblec się w szaty cywilne i studiować albo zmienić mundur austriacki na mundur polski.

Ta pierwsza alternatywa nie wchodziła u mnie w ogóle w rachubę. Tymczasem odczuwało się na każdym kroku przyspieszony puls powstającego państwa, nie mającego żadnej od stu lat tradycji, żadnej organizacji, żadnego oparcia! Wszystko musiało być błyskawicznie stworzone, prawie że z niczego.

Wpływ partii politycznych, które wyrosły nagle jak grzyby po deszczu, podniecał całe społeczeństwo, dodając bodźca do czynu, świadomość konieczności organizowania państwa, lecz równocześnie były nieraz utrudnieniem w ruszeniu z miejsca, gdyż każda z nich chciała zdobyć wpływy, aby na swój sposób ustroić i organizację państwa wprowadzić. Oczywiście lewicowe ugrupowania miały łatwiejsze pole działania. Nie miejsce tu rzucać światło na ówczesne stosunki polityczne. Dla uproszczenia przypomnę jedynie, że Rada Regencyjna zdała swą władzę Piłsudskiemu, po jego powrocie z Magdeburga, jako Naczelnikowi Państwa. Ten bez sejmu mianował rząd, przejął wojsko. Miał ogromny autorytet w całym kraju i siłę w Legionach, przeto rządził, rzec by można, jak dyktator. Prawie wszystkie stanowiska w państwie i w wojsku od najwyższych do najniższych zostały obsadzone przez jego ludzi. Ten stan rzeczy osłabił w znacznym stopniu partyjne targi i nadał jednolity kierunek organizacyjny. Lecz niemniej, prawie że z niczego trzeba było tworzyć cały aparat państwowy.

Były zabór austriacki był o tyle w lepszej sytuacji, niż pozostałe, że w całej „Galicji” administracja państwowa była obsadzona przez Polaków (szkolnictwo, sądownictwo, administracja terenowa, kolejnictwo itp.). Nawet przy ministerstwach w Wiedniu było sporo najwyższych urzędników Polaków.

Wszystkie trudności tworzącego się państwa odczuwał każdy Polak i w miarę możliwości współdziałał w ich przezwyciężeniu.

Zaraz po przyjeździe z Ukrainy do Krakowa zgłosiłem się do wojskowego biura werbującego ochotników pod Lwów. Żadnej mobilizacji powszechnej ani obowiązkowej służby wojskowej wówczas jeszcze nie było. Tam mnie zarejestrowano, papiery jakieś wypełniono i – nic! Za każdym razem, gdy tam przychodziłem, otrzymywałem odpowiedź: czekać jeszcze parę dni, oddziały będą formowane.

Spotykałem się z mnóstwem zgłaszających się, przeważnie z oficerami. Po paru dniach, gdy cierpliwość moja nie wytrzymała już tego bezowocnego łożenia do biura, dowiedziałem się, że niektórzy bardziej zapalczywi, nie doczekawszy się przydziałów, na własną rękę jadą na wschód – do Przemyśla – dokąd pociągi dochodzą mniej więcej normalnie. Stamtąd ma być połączenie, ciągle zresztą przerywane przez wypadki ukraińskie, ale można do Lwowa się dostać.

Zresztą wszystkie jednostki wojskowe między Przemyślem a Lwowem przyjmują z radością każdego ochotnika bez względu na stopień wojskowy. Kraków tłumaczył swą opieszałość tym, że muszą stopniowo organizację wojskową uchwycić w pewne ramy. W zasadzie było to słuszne. Lecz tam nawet kobiety i dzieci walczą ostatkami sił!

Wreszcie któregoś dnia z radością w biurze werbunkowym oświadczają mi, że mają już odpowiednie rozkazy. Mianowicie wszyscy zapisani pójdą na „krótki” kilkutygodniowy kurs przeszkoleniowy, aby poznać polskie słownictwo wojskowe i polską komendę. O biurokracjo! która tak często paralizujesz czyn, i to czyn konieczny, natychmiastowy! Tam przecież każdego dnia, każdej godziny potrzebny jest obrońca. Powiedziałem im, że tym rozporządzeniem ryzykują być Lwowa i Małopolski Wschodniej. Takie załatwianie to wprost zbrodnia! Zmuszają nas do łamania dyscypliny i dezercji... na front!

Tymczasem do Krakowa zjechał gen. Rozwadowski (Tadeusz, późniejszy szef sztabu w czasie tzw. „cudu nad Wisłą”) celem objęcia dowództwa na froncie lwowskim. Znałem go dobrze, jego oficerem sztabowym był kpt. Stanisław Dzieduszycki, starszy brat wspomnianego Kazia, z którym nie rozstawaliśmy się. Znając nasze troski przez Stacha, generał

kazał nas zawołać. Zaproponował, że wcieli nas do swojego sztabu, co nam się zgoła nie podobało! Wykręcaliśmy się, jak tylko można było, że sztabowej służby nie znamy, że jesteśmy za młodzi, że my w sztabie nie wytrzymamy, chcemy koniecznie iść na linię.

Generał Rozwadowski tylko częściowo ustąpił. Wyzna-
czył Kazia, aby jechał do Warszawy po karabiny maszynowe,
a mnie do Częstochowy po samochody ciężarowe, dodając,
że jeśli się dobrze sprawimy, puści nas na front!

Gdy mi wręczono odpowiednie papiery i rozkazy, zosta-
łem zawezwany do generała. Tam dowiedziałem się w tajem-
nicy, że moja misja, tak zdaje się prosta, jest bardzo trudna
i jak się generał wyraził: „Wątpię, czy coś wskórasz”. Sprawa
pokrótce przedstawiała się tak: władza Rozwadowskiego nie
sięga do Częstochowy. Komendę w tym mieście sprawuje
P.O.W. (Polska Organizacja Wojskowa). Była to organizacja
ściśle związana z Legionami Piłsudskiego, półtajna, z czasów
zaborczych. Ludzie z P.O.W. byli na ogół niechętnie
nastawieni do regularnej Armii i jej dowódców. Źródło tej
niechęci pochodziło z pychy, z przekonania, że to oni – le-
gioniści – są jakby obywatelami I-klasy, że im się należy wła-
dza w nowej Polsce, a nie tym z austriackiej, niemieckiej czy
rosyjskiej służby. Antagonizm ten był silny i nieraz przybierał
drastyczne formy. Poza tym wyrobiła się opinia – nie chcę tu
twierdzić usprawiedliwiona czy nie – lecz mająca pewne
pozory słuszności, że Piłsudski i jego ludzie niechętni
wówczas byli obronie Lwowa. Ich myślą przewodnią było,
aby wpierv zorganizować państwo wewnątrz, zanim się
skieruje wysiłek ku ustaleniu słusznych granic. Nie należy
zapominać, że stosunki z Czechami mieliśmy bardzo napięte.
Może odgrywała tu rolę znana myśl Piłsudskiego jakiejś
federacji z Ukrainą aż po Morze Czarne?

Tyle się o tym wszystkim wówczas słyszało, że trudno mi
o tym sądzić, próbuję tylko obrysować tło moich osobistych
przeżyć.

Celem wykonania rozkazu gen. Rozwadowskiego doje-
chałem do Częstochowy z kilkoma szoferami, którzy mieli
zaopiekować się otrzymanymi samochodami. Zgłosiłem się
do Komendy miasta. Tam uderzył mnie nastrój, w moim

pojęciu, nie bardzo wojskowy. Jakieś typy często bez odznak wojskowych, mundury dziwnych krojów, fantazyjne, o charakterze indywidualnym, często zapuszczone bródki na twarzach. Zachowanie tych ludzi jakieś poufale, rewolucyjne. Komendant miasta czy garnizonu przyjął mnie w dziwnym pokoju o wyglądzie brudnych i źle umeblowanych koszar. Sam bez odznak wojskowych, przemawiał do mnie *per* „obywatelu”. To wszystko nie wzbudzało we mnie nadziei na skuteczność mej misji. Komendant wręcz odmówił wydania samochodów, twierdząc, że go rozkaz gen. Rozwadowskiego nic nie obchodzi. Samochody wprowadzić ma, ale ich nie wyda! Tłumaczenie moje, że są potrzebne dla obrony Lwowa, nie odnosiły żadnego skutku. Wyszedłem zrozpaczony! Moim szoferom powtórzyłem rozmowę, oni wściekli i oburzeni! Podbechtałem ich trochę. Uradziliśmy, że bez samochodów nie wracamy! Były to stare wygi – morowe chłopy.

Poleciłem im, aby na własną rękę zrobili wywiad, gdzie się samochody znajdują i jak są zabezpieczone. Punkt zborny wyznaczyłem w poczekalni na dworcu, gdzie wcześniej zrobiłem wywiadzik i poczyniłem znajomości z kolejarzami. Gdy dowiedzieli się, że reprezentuję „obrońców Lwowa”, miałem ich całkowicie po mojej stronie. Obiecali mi pomoc z narażeniem się władzom częstochowskim, które, jak się okazało, nie były wśród nich popularne. Sytuacja Lwowa była jakimś uosobieniem powstającej Ojczyzny, symbolem patriotyzmu i bohaterstwa.

Wywiad moich szoferów udał się świetnie! Pięć czy sześć samochodów ciężarowych (nie pamiętam już ilości) znajdowało się w jakiejś nie funkcjonującej fabryce czy w jej magazynach, na przedmieściu miasta. Były one wprowadzić nowe, ale – o zgrozo! – bez opon! Jak je porwać? Przyszli na pomoc niezawodni kolejarze. Bocznicą kolejową dochodziła na miejsce. Oni podjęli się dostarczyć wagony na plac! Przeto plan został ustalony i wykonany.

Taksówkami dojechaliśmy do fabryki. Zorientowałem się w terenie. Poza jakimś stróżem i kilkoma płaczącymi się ludźmi nie było nikogo. Sytuacja świetna! Potem odbyła się moja konferencja w cztery oczy z kierownikiem zakładu.

Wysiliłem moje zdolności dyplomatyczne i elokwencję do maksimum. Okazało się, że dyrektor jest całą duszą za Lwowem – jednakże panicznie się boi tych peowiaków z Komendy miasta. Ażeby mu pomóc w sytuacji i nie narażać go na niebezpieczeństwo, zaaranżowaliśmy cały teatr: telefon dla pewności został uszkodzony, z kancelarii aż do stróżówki dochodziły gwałtowne krzyki i odgłosy stosowania przemocy. Wreszcie pan dyrektor pod strażą rewolwerów rozstał się z kluczami i „siłą” został doprowadzony przez podwórze do magazynu. Nie pomogły jego prośby i pogrożki. Przy pomocy „sterroryzowanych” cywilów samochody zostały wytoczone na rampę kolejową. O umówionej godzinie wtoczyła się lokomotywa, ciągnąc za sobą kilka platform. Załadowanie i umocnienie samochodów poszło w mig. W fabryce zapanowała znów cisza i spokój.

Myśmy byli już na głównym dworcu, gdzie zatrzymał się właśnie, jakby przypadkiem, pośpieszny pociąg Warszawa-Kraków. Doczepienie naszych wagonów do tego kuriera chyba niewiele przedłużyło postój pociągu. Wszystko poszło jak z płatka – plan został przez wszystkich wykonany w 100%! (...)

Co się działo w Częstochowie po naszym odejście z tak cennym naonczas łupem – tego do dziś dnia nie wiem. Przez Kraków dojechaliśmy do samego Przemyśla. Tu zastałem już sztab gen. Rozwadowskiego. Wczesnym rankiem, zaraz po przyjeździe zameldowałem się, dumny jak paw, do pociągu sztabowego, który stał na bocznym torze. Przyjął mnie Stach Dzieduszycki, zameldowałem mu służbowo, że rozkaz wykonany. Niby jak ma to rozumieć? Po prostu tak, że samochody są tu, na stacji w Przemyślu. „No to je pokaż!” – poszliśmy razem. W drodze opowiedziałem kapitanowi moje przygody. Generał przyjął mnie zaraz, w swym przedziale, gdzie w czasie mej relacji kończył się ubierać. Uśmieł się serdecznie, zwołał swych oficerów i kazał mi powtórzyć opowiadanie, cieszył się jak dziecko. Szkoda tylko, że nie mają ogumienia, ale to głupstwo, damy sobie z tym radę. „Nie masz nawet pojęcia, jaką przysługę nam zrobisz, tyle samochodów! To dla nas istny skarb” – powtarzał.

Kazał zawołać szoferów, gdyż chciał tych zuchów

zobaczyć; powiedział im parę miłych słów i kazał im ze sztabu dać ciepłe śniadanie.

Generał zaczął snuć swoje plany – był szybki w decyzji – co do moich funkcji przy jego sztabie. Zahamowałem go, przypominając, że w Krakowie obiecał, że gdy zadanie zostanie wykonane – puści mnie na linię. „Taki jesteś uparty” – kazał mi dać kartkę do majora Knolla (Kownackiego), względnie majora Kleeberga, który (ten pierwszy) dowodził I pułkiem artylerii polowej i znajdował się właśnie w Przemyśle.

Tam otrzymałem przydział do I-ej baterii dowodzonej przez por. Wilka. Tak znalazłem się nareszcie na upragnionej linii!



Tak mi było pilno do wojaczki w Wojsku Polskim, że nawet nie wstąpiłem do pobliskich Pełkiń, aby się zobaczyć z Rodzicami.

I-a bateria stacjonowała na Bańczycach (przedmieście Przemyśla) w koszarach. Dotarłem tam po południu, gdy już się ściemniało. Por. Wilka zastałem na kwaterze w licznym gronie oficerów. Przyjął mnie dość oziębło, sądzę, że z dwóch zasadniczych dla niego powodów. Po pierwsze, pułk ten chlubił się mianem „legionowy” – wszystkie ważniejsze stanowiska, od dowódcy mjr. Knolla począwszy, jak i dowództwo trzech baterii, byli to niedawni legionści i to z I-ej Brygady, woleli przeto widzieć w swym gronie oficerów i szeregowców legionistów. Po drugie, chyba wołałby przyjąć jednego nowego konia lub skrzynkę amunicji niż oficera, gdyż miał ich kilkunastu w baterii (zamiast etatowych 4 do 5-ciu). Oficerowie spełniali u niego funkcje szeregowych, celowniczych, a nawet jezdnych. Wszystkie oddziały były w tej samej sytuacji; jako właściwie ochotnicze formacje, a nawet całkiem samozwańcze, grupowały więcej oficerów, gdyż ci jako element bardziej uświadomiony zgłaszały się tłumnie do obrony granic Rzeczypospolitej. Formalności przyjęcia były bardzo uproszczone, biurokracji nie było, a papierki ewidencyjne były dopiero później wypełniane, w miarę jak wojsko stawało się prawdziwym wojskiem.

Wilk zaproponował mi, abym kolację zjadł w mieście (około 3 km), jutro zapewne bateria wyruszy na akcję i wtedy się mną zajmie.

Na kolację poszliśmy z por. Tadzkiem Lipowskim, moim kolegą z konnej krakowskiej. Aprowizacja Przemyśla mocno szwankowała. Niemale było nasze zdziwienie, gdy powróciwszy do koszar późnym wieczorem zastaliśmy kwatery puste. Bateria nasza wyruszyła zostawiając część taboru. Stąd wniosek, że nie na długo – może tylko na jeden dzień. Skręciła z bramy w prawo, w kierunku na Medykę. Bliższych informacji nie potrafił nam pozostały podoficer udzielić.

Niewiele myśląc pociągnęliśmy zaraz piechotą we wskazanym kierunku. (...) Dołączyliśmy do czoła kolumny i zameldowali się por. Wilkowi. Prześcigając całą kolumnę mogłem się nieco zorientować, jak mój nowy oddział się przedstawia. Niezbyt imponująco wyglądał: konie – zbieranina, źle dobrane w zaprzęgach, cztery działa, austriackie polówki 80-tki, jaszczów nie było, amunicja na zwykłych wozach wojskowych, taborowych. Ludzie bardzo różni – od mocno podstarzałych do młodzieniaszków, prawie chłopaków. Ubrane to każdy inaczej, przeważnie stare płaszcze, obuwanie często cywilne.

Sytuacja wojskowa przedstawiała się tak, że tzw. front ciągnął się na południe wzdłuż Sanu po Chyrów, gdzie znajdowały się pojedyncze grupki wojska, utrzymujące ze sobą jedynie luźną łączność. Oddziały te były zazwyczaj tworzone przez miejscowych zapaleńców i nosiły nazwy swych dowódców.

Przemyśl był ściśnięty pierścieniem Ukraińców otwartym na zachód i z wąską bramką na wschód. Tam, aż po broniący się Lwów, linia kolei była zazwyczaj w rękach polskich, gdyż na dworcach znajdowały się, nieraz bardzo mizerne, oddziały, które w ciągłych utarczkach broniły toru. Pociągi przechodziły bardzo nieregularnie, od stacji do stacji, pod ochroną oddziałów uzbrojonych. (...)

Nasza grupa wypadła miała na celu przesunąć się z Przemyśla na wschód, kilkanaście kilometrów w kierunku Medyki, skąd na południe uderzyć na nieprzyjaciela i manewrem na zachód okrążyć, wględnie wyprzeć nieprzyjaciela

z zajmowanych wzgórz, ciągnących się na południe od Przemyśla. Pozycje te były na tyle blisko miasta, że dosięgał je ogień artyleryjski nieprzyjaciela.

Szliśmy marszem ubezpieczonym, gdyż po naszej prawej stronie pasmo wzgórz oddalone o 2-3 km było obsadzone przez nieprzyjaciela. Nie wolno było palić. (...)

Por. Wilk był mistrzem w swoim rodzaju. Za każdym razem, gdy bateria miała wejść w jakąś akcję, przeczuwał to instynktownie i opuszczał swój oddział; pod pozorem ważnego interesu do dowództwa pułku lub sąsiednich oddziałów był zmuszony do wyjazdu, czasem na parę długich godzin, czasem na kilka dni. Zresztą z korzyścią dla sprawy, gdyż por. Zaniewski z ciężkiej artylerii austriackiej okazał się być świetnym dowódcą o szybkiej decyzji, ogromnej odwadze i potrafił błyskawicznie pchnąć baterię tam właśnie, gdzie ją można było najlepiej wykorzystać. Toteż gdzieś już w lutym, gdy bateria znajdowała się w bardzo ciężkiej opresji, a por. Wilk był na dłuższym urlopie, por. Zaniewski objął na stałe dowództwo baterii. (...)

Trudny to był żołnierz, zbieranina, w której zgromadziły się najrozmaitsze elementy. Wszyscy ochotnicy – każdy więc mógł się obrazić i pójść do domu, czuł się na wyjątkowych prawach. Powiedzenie, że nie poszedł do wojska, aby konia czyścić, ale bronić ojczyzny, było na porządku dziennym. W boju byli, jak później doświadczyłem, przeważnie wspaniali, karni, ofiarni. Ale w czasie odpoczynku, na kwaterach rozłaziło się to bractwo wykręcając się od dyscypliny i tzw. drylu wojskowego. Była to mieszanina typów od najwyższych szczytów moralnych do najgorszych szumowin, od elity kulturalnej do dziwnych prymitywów, od bohaterów i ofiarnych patriotów do bandytów i awanturników, wyzutych z czci i wiary. Ale wszyscy właściwie byli dzielni i odważni – każdy na swój sposób. Z takim elementem oczywiście koordynacja poczynąń bywała nieraz trudna.

W takim zespole dokonaliśmy pierwszego wypadu z Przemyśla, przez Medykę, koło Mościsk, przez Huszaków, Nowe Miasto, Niżankowice – z powrotem do Przemyśla. Trwało to około 2 tygodni. W tym czasie mieliśmy prawie co dzień jakieś spotkania z nieprzyjacielem. Na ogół miękko

się trzymał i nie stawiał silnego oporu. Z artylerią spotkaliliśmy się tylko parę razy. W akcji tej dołączył do nas I-szy pułk Ułanów Krechowickich, dowodzony wówczas przez mjr. Bardzińskiego (później był on przy ambasadzie w Londynie). Pułk ten tworzył się na Białorusi w czasie wielkiej rewolucji, gdzieś w rejonie Mińska. Stamtąd w walkach wśród ciężkich przygód, z Dowborem Muśnickim na czele, przedostał się do Polski.

Rozpoczęły się wspaniałe czasy walk kawaleryjskich ruchomych (jeśli mianem piękna można w ogóle nazwać jakiegokolwiek działania wojenne). I-szy pułk był sławny ze swej bitności i kawaleryjskiej fantazji. Spotykałem się z niejednym pułkiem ułanów, ale muszę zaświadczyć, że był on rzeczywiście najlepszy. Może mu dorównywał w bitności 14-ty p.u., ale w I-szym p.u. dobór oficerów, ich stosunek do ułanów i tychże wespół, był niewątpliwie przykładowy. Nie mając nic ważnego do czynienia przy baterii namówiłem por. Zaniewskiego, aby mnie przydzielił jako łącznika, na stałe, do ułanów. Mnie wspominał te czasy. Trudno opisać po blisko 40-tu latach przebieg tej wyprawy. Wszystko się zaciera w pamięci. Wspomnę tylko te fragmenty, które moja pamięć utrwaliła.

W naszej baterii było kilku konnych artylerzystów, a że byliśmy przydzieleni do ułanów, przeto powstała myśl, aby przemienić naszą baterię w konną. To znaczy, że obsługa dział nie siedzi na działach, ale na koniach. Stąd lekkość i szybkość ruchów jest wzmożona. Projekt ten spodobał się dowódcy naszego pułku, mjr. Knollowi, który był legionowym konnym artylerzystą. Dostaliśmy zezwolenie zakupu koni w terenie, przybierały zdobyczne, stopniowe przydziały siodła itd. Niedługo pieczętka nasza opiewała „I-a konna bateria I-ego legionowego pułku artylerii polowej”.

Bodajże pierwszą potyczkę mieliśmy w warunkach jak z obrazu Kossaka.

W falistym terenie wjeżdżał pułk szosą na pagórek dominujący nad okolicą. Po prawej stronie szosy skłon pól dochodzący do doliny, dalej teren znowu się wznosił i na horyzoncie w odległości 2-3 km widniała na szczycie ściana lasu.

W połowie stoku nad doliną umocniła się linia obronna nieprzyjaciela prowizorycznie okopanego. Przywitał nas stamtąd bezładny ogień. Bardziński momentalnie zarządził – „Artyleria”. (...) Byłem zadowolony – bateria funkcjonowała szybko i sprawnie. Zaniewski pozostał przy baterii, chcąc osobiście sprawdzić działanie obsługi. Telefoniści, już konni, w mig przeciągnęli połączenie. Kierowałem ogniem, działa były posłuszne. Rozwinięte szwadrony przeszły w galop, wreszcie w pełny pęd. Linia ułanów, dotychczas równa, zaczęła się stawać pierzasta, zależna od szybkości poszczególnych koni. Karabiny ukraińskie rechotały nerwowo, białe chmurki szrapneli zniżyły się, znacząc ślady swych kulek po zmarzniętej ziemi. Gdy szarża doszła do dolinki i zaczęła się wspinać na przeciwny skłon, linia nieprzyjaciela poczęła pryskać. Widać było pojedynczych ludzi pędzących w górę, w stronę lasu. Ilość ich wzrastała z każdą chwilą – wreszcie cała górna połowa zbocza zarośla się zbiegami. Ułani już ich doganiali. Ogień musiałem przenieść wyżej. Mjr Bardziński stojący koło mego telefonu czasem żądał ognia więcej w prawo lub lewo, wskazywał większe zgrupowania lub silniejszy opór nieprzyjaciela. „Uważaj na moich ułanów!” – rzucał. Wreszcie ogień musiałem przenieść na ścianę lasu i tak trochę po drzewach. Na skłonie odbywała się już indywidualna gonitwa poszczególnych ułanów za nieprzyjacielem. Z naszego miejsca postoju wyglądała ta scena jak jakieś rozbiegane mrowisko. Ruch powoli ustawał. Ułani zbierali się w grupki, plutony i stępa powracali do punktu wyjściowego. Parę luzem biegających koni, bez jeźdźców, powróciło do swych towarzyszy. Kilka wozów zbierało rannych, strat po naszej stronie prawie nie było.

Wszystko to razem nie trwało pół godziny. Nastąpił spokój i cisza na polu. Aż dziwne, jak piechota nie wytrzymuje nerwowo szarży kawaleryjskiej i ze zdenerwowania niecelnie strzela. Wrażenie takiej szarżującej kawalerii jest szalone. (...)

Klasyczną szarżę przeżyłem pod Nowym Miastem. Tam był teren odmienny niż w poprzednio opisaney bitwie. Szeroka równiutka dolina, środkiem której ciągnęła się prościutka szosa. Na jej końcu, w odległości 2-3 km miasteczko

– Nowe Miasto. Po obu stronach szosy dworskie, duże pola zaśnieżone; jedno z nich, po prawej, to głęboka orka, fatalna dla koni. Szpica dostała z miasteczka gęsty ogień, szybko się wycofała. Mjr Bardziński rozpuszcza szwadrony po dwu stronach szosy, sam jedzie drogą, ja przy nim. Jedziemy naprzód stępa. Bardziński, jak włodarz za swymi robotnikami, woła ułanów po imieniu: „Kazik, nie wyjeżdżaj! Franek, gdzie równanie! Janek, pilnuj konia na grudzie!” itp. Przechodzimy w kłus. Jeden, drugi koń wali się na łeb, ułan wstaje, łapie konia, wsiada, dogania – to ta przekłeta gruda i głęboka orka. Ogień z osiedla potęguje się, kulki gdzieś przeciągle gwizdzą lub podnoszą bryzgi śniegu z ziemi. Galop coraz szybszy. Ułani pochyleni w siodłach prują naprzód. Niedługo to trwało, odległość do zabudowań zmniejsza się szybko. I o dziwo, gdy byliśmy na jakie 200-300 metrów, ogień słabnie, wreszcie ucicha zupełnie. Wpadamy w zabudowania. Podziwiałem sprawność ułanów: gdzieś znajdują jakieś przejścia, uliczki, jakiś płot się wali, a oni wpadają już grupkami do miasteczka. (...)

Przebywaliśmy w Nowym Mieście parę dni, robiąc parogodzinne wypadły, rozbijając grupującego się nieprzyjaciela. (...)

Z Nowego Miasta nasza grupa wypadowa ruszyła jeszcze na zachód i wielkim łukiem skierowała się z powrotem do Przemyśla. Po drodze mieliśmy jeszcze parę spotkań. W tym czasie przyjechał właściwy dowódca I-ego pułku ułanów, płk Dziewicki, chudy, wysoki pan, ale już bez tej fantazji, a nawet miru, jaki miał mjr Bardziński.

Dojeżdżając do Przemyśla spotkałem jadącego naprzeciw Józefa Nycza – szefa stajni z Pełkiń, który z polecenia mojego Ojca przyprowadził mi ulubioną „Aidę”, z którą przeżyłem już półtora roku w wojsku austriackim. Rosła, piękna szpaczka, efektowna, z pięknym długim ogonem – szalenie miła i wierna towarzyszka. Gdybym ją miał w Wołczy, na pewno nie utrzymałby jej żaden Ukrainiec! Z lubością przesiadłem się na szeroki, silny grzbiet, pod którym czuć było każdy nerw. I siodło było wygodne, kabury, dobry rząd. Biedna moja szkapina poszła na łatwiejszą służbę do taboru.

W Przemyśle na kwaterze pierwsza rzecz to zaniedbane

od dwu tygodni mycie, świeża bielizna, lepsze buty – to wprost rozkosz. Bateria miała wypocząć po trudach, a ja wyrobiłem sobie ze dwa dni urlopu do Pełkiń.

Była właśnie wigilia Bożego Narodzenia, gdy z kartą urlopową – wypisaną na kartce wydartej z zeszytu szkolnego – znalazłem się wieczorem na pustym dworcu przemyskim. Czekając na pociąg mający odejść w stronę Jarosławia znalazłem się na peronie przed oknem urzędu ruchu. Z wewnątrz dochodziły śpiewy kolęd. Gdy zaśpiewano „Lulajże, Jezuniu”, coś się we mnie załamało – ocknąłem się, gdy śpiew ucichł – stałem oparty o framugę okna, a łzy ciurkiem lały się po twarzy. To chyba była reakcja po tych dwu tygodniach trudów wojennych, przeżyć i wrażeń.

Z Przemyśla wyruszyliśmy na wschód, w kierunku Lwowa, zatrzymując się na czas dłuższy w Gródku Jagiellońskim. Tam znów rozpoczęły się gorące czasy. Po drodze rozszerzyliśmy nieco korytarz toru kolejowego, odsuwając nieprzyjaciela trochę dalej od szlaku komunikacyjnego. W rejonie Gródka stacjonowało nieco więcej wojska. Tam spotkałem się ze sławnym oddziałem rtm. Abrahama (późniejszego generała, w drugiej wojnie światowej miał brygadę kawalerii). W roku 1918 rtm. Abraham, jak powiadano, sformował swój sławnie bitny oddział z kryminalistów. Wtargnął ponoć do więzienia we Lwowie, obiecał wolność i amnestię tym, którzy się będą w jego oddziale dobrze sprawować. Rzeczywiście, abrahamczycy zasłynęli jako najbitniejszy oddział w czasie obrony Lwowa i okolic.

Mogłem ich odwagę naocznie stwierdzić. W czasie postojów i odpoczynków zachowywali się fatalnie. Podobno ich dowódca prosił swych przełożonych, aby go przeznaczali na najcięższe odcinki i z linii nie wycofywali. Jedną z jego wypraw wspierała nasza bateria. Akcja ruszyła z cegielni w Gródku Jagiellońskim. W pewnym momencie żołnierze leżeli pod silnym ostrzałem wzdłuż szosy w rowie. Rotmistrz spacerował z laseczką górą po szosie i prał po głowie swoich żołnierzy, jeżeli który nieostrożnie wychylił się z rowu. Abrahama kule się nie imały! Był wprawdzie z siedem razy ranny, ale niegroźnie. (...)

Z Lubienia Wielkiego przesunęli nas do małej wioski Małkowice, gdzieśmy zalegli na czas dłuższy. Gdzieś w końcu stycznia czy w lutym zaczęło się coś na frontach psuć. Pierścień dookoła Lwowa tężał, artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwała nękając nie tylko peryferie miasta, ale i centrum. Linia kolei do Przemyśla często była przerywana i to po parę dni, nawet połączenia z Gródkiem bywały przerywane. Posiłki z Warszawy nie dochodziły, brakło nieraz amunicji piechocie i artylerii. Jedna bateria haubic z naszego pułku, która stała w Gródku, miała dłuższe okresy milczenia, przebąkiwano już, że ją zlikwidują, a kanonierów wcielą jako uzupełnienia strat do piechoty. Wsie były już tak ogołoczone z żywności, że nie mogliśmy dostać bydła ani koni na rzeź, trzody chlewnej nie było, drób pierwszy zniknął. Chleb dostawaliśmy bardzo nieregularnie, w znikomych porcjach.

Walki potęgowały się, musieliśmy po kilka, kilkanaście nieraz razy na dobę odpierać natarcia. Inicjatywa wojskowa przechodziła w ręce wroga, myśmy się tylko bronili. Ukraińcy byli zaopatrywani w broń rosyjską. Dochodziło do tego, że patrol z naszej baterii z oficerem chodził po chałupach i zbierał do menażki ziarno różnego gatunku, to wsypywało się do worka, potem mełło wszystko razem na rodzaj mąki na chłopskich ręcznych żarnach, a kucharze wypiekali z tego jakieś placki.

W Gródku Jagiellońskim dowództwo zaproponowało nam, żebyśmy wzięli zdobyczne działa rosyjskie, było do nich także dużo amunicji. Do naszych połówek austriackich brakło już pocisków.

Czynny i zawsze przedsiębiorczy por. Zaniewski zgodził się. Nie mieliśmy na naszym odcinku ani jednego artylerzysty z rosyjskiej służby, aby nas „austriaków” z nimi zapoznać. Przeto, przy pomocy puszkarzy pułkowych, miejscowego kowala i naszej smykałki dopasowaliśmy do rosyjskich dział celowniki odległościowe już nie w wiorstach, ale austriackie w kilometrach. Również przyrządy kierownicze, kątomierze (o nieznaney nam podziałce) zastąpiliśmy austriackimi. Nie było to łatwe, lecz po pewnych próbach udało się wszystko świetnie. Aż do końca kampanii działa te służyły znakomicie! Ze znakowaniem amunicji mieliśmy też dużo kłopotu, zanim

wszyscy ją poznali i wprawili się w jej używaniu.

Małkowice i Czerlany leżały na wąskim pasie terenu, na południe od Gródka, który kończył się w odległości około 10 km na Lubieniu Wielkim. Chodziło nam o utrzymanie tego pasa, aby przerwać Ukraińcom linię kolejową Rudki-Lwów.

Działa stały na stanowiskach, urządzonych podobnie do zenitówek, mogły się obracać o około 360°.

Ataki ukraińskie nadchodziły ze wszystkich stron, ale jakoś nigdy nie były skoordynowane w czasie. Gdy natarcie wroga zostało odparte np. od wschodu – po godzinie wyruszało od zachodu. Nasza piechota szybko przejeżdżała na wozach te 2-4 km na drugą stronę i znowu zatrzymywała nieprzyjaciela. Bateria tylko obracała się na swym stanowisku o 180°. Sięgaliśmy nawet poprzez Lubień. Roboty mieliśmy bardzo dużo.

Por. Zaniewski szalał na punktach obserwacyjnych, mając jako podporę i prawą rękę ppor. Kazia Dzieduszyckiego, który za mną przybył do baterii. Por. Wilk, jak już wspomniałem, miał talent do znikania z baterii, gdy bywało gorąco. Wykorzystywał tę umiejętność bez reszty. Mnie przypadła funkcja tzw. starszego oficera baterii, tj. byłem przy działach w czasie strzelania i odpowiadałem za wszystkich ludzi i konie. Stan oficerów był normalny, gdyż nadmiar ich poszedł do innych jednostek, względnie do tzw. legii oficerskiej, formacji, gdzie służyli sami oficerowie. (...)

Z por. Zaniewskim pracowało nam się właściwie bardzo dobrze. Był chyba najlepszym dowódcą baterii, jakiego znałem. Kazio też był świetnym oficerem, może trochę „za młody”, ale bardzo sumienny, obowiązkowy, odważny i ofiarny. Z Zaniewskim zgadzali się znakomicie. I on od swego szefa niejedno wysłuchał – ale był twardy. Kiedyś jakiś oddziałek piechoty, pod naciskiem nieprzyjaciela, zaczął się cofać i wiał w popłochu przez most, między stawami. Był tam właśnie Kazio Dzieduszycki na obserwacji. Próbował zatrzymać piechurów – daremnie. Wreszcie w rozpacz y wyciągnął ogromny pistolet do rakiet świetlnych, skierował jego paszczę, w którą mógłby się schować spory pomidor, w stronę uciekających i, jak Rejtan, zagroził przejście. Ta groźna czarna rura, skierowana w bohaterskie serca zrobiła

takie wrażenie, że panika została opanowana i oddział powrócił na opuszczoną placówkę i utrzymał ją. (...)

Byłem czasami tak wyczerpany i niedożywiony, że nie mogłem o własnych siłach wsiąść na Aйдę; ordynans musiał mnie wtedy podsadzać. Ukłuło się wówczas powiedzenie: „głodny jak polowy oficer”. Tuż koło stanowisk dział miałem legowisko, aby szybciej móc dobiec do baterii w czasie alarmu ogniowego: „obsługa do dział”. Przeciagnałem sobie telefon z centralki do mego łóżka i spałem ze słuchawkami na uszach. Doszedłem do takiej – zresztą dziwnej – wprawy czy wyczucia, że gdy brzęczek wzywał moją stację w umówionej ilości krótkich i długich brzęczeń – natychmiast się budziłem. Na inny sygnał nie reagowałem. (...)

Żołnierze nasi sprawowali się mimo zmęczenia bardzo dobrze. Przecież miewaliśmy po pięć, sześć razy alarmy i strzelaninę nocną, nie wliczając dziennych. Były chwile takiego ognia, że na rozgrzanych lufach farba gotowała się tworząc bańki. Regulamin nakazywał niedopuszczanie do takiego rozgrzania, a w razie konieczności, studzenie luf zimnymi kompresami z mokrych worków. Ładnie bym wyglądał, gdybym Zaniewskiemu zameldował, że przerywam ogień z powodu – gorących luf! Obawiałem się jednak, że pocisk może eksplodować w samej lufie, przeto laliśmy wodę wiadrami od przodu lufy; woda syczała tam gwałtownie – a lufa nieco stygła.

Nie wiem, czy to te „kuracje” zaszkodziły, ale miałem wówczas dwa wypadki rozerwania się pocisku: raz w samej komorze ładunkowej, drugi raz przy wylocie lufy. Oczywiście całe działo poszło w drzazgi. O dziwo! w obydwu wypadkach nikomu z obsługi nic poważnego się nie stało. Raz żołnierz oberwał odłamkiem szkła w policzek (szkło pochodziło z latarni wiszącej na osi, drugi raz – kanonier na pewien czas ogłuchł.

W ogóle w baterii mieliśmy niebywałe szczęście ze stratami. Przez cały czas kampanii ukraińskiej i bolszewickiej nie mieliśmy ani jednego zabitego żołnierza, ani nawet poważniej rannych. A przecież nasza bateria nie oszczędzała się. Zaniewski nieraz bardzo ryzykował, pchając swój oddział na eksponowane miejsca – nie mówiąc już o zwiadowcach i telefonistach.

Utkwił mi w pamięci widok jednego konia, przez którego przeszła kula na wylot tuż pod siedziskiem siodła. Drżał biedak, jak z zimna, ale po paru dniach prowadzenia luzem przy taborze już mógł pełnić normalnie swą zwykłą powinność. (...)

Z końcem zimy pojawił się w Małkowicach nieco dla nas dziwny oddział por. Kopańskiego. Był to pluton (dwa działa) artylerii z armatami bardzo przestarzałej konstrukcji, jak mówiliśmy, z czasów panowania Marii Teresy, trudne w obsłudze i wolne w ogniu. Poza dowódcą był tam por. Sarnecki, starszy, grubawy jegomość, i młodziutki ppor. Józefowicz. Wszyscy, a szczególnie por. Kopański, to wzór cnót żołnierza, oficera i obywatela. Jego poczucie odpowiedzialności, skrupulatna obowiązkowość, wycucie honoru oficera i dżentelmena były nam wszystkim niespotykanym wprost wzorem. Sam bardzo skromny, bez żadnej fanfaronady, koleżeński i miły w obejściu. Może nawet do przesady uprzejmy i, jak to się mówi, dobrze wychowany. Pół roku później stracił oko w walkach ulicznych w Wilnie, a jakieś 15 lat później dowodził dywizją u gen. Sikorskiego i Andersa. Wszyscy oni byli Dowborczykami z rosyjskiej artylerii konnej. Cały ten pluton nosił mundury rosyjskie z długimi po kostki płaszczami kawalerskimi. Sposób bycia i wyszkolenie wojskowe odbijało od naszych oddziałów stylem kawalerskim armii carskiej, podobnie zresztą jak u Krechowiaków.

Mam wrażenie, że w ważnych i przełomowych chwilach swego istnienia naród wyłania z siebie, jakoś biologicznie, takie wspaniałe typy, jakim był między innymi por. Kopański ze swym małym oddziałkiem.

Wszystko ma swój koniec. I nasz pobyt w Małkowicach również. Stało się to w niespodziewanych dla nas okolicznościach. Dzień jak każdy inny. Wymęczenie wszystkich ogromne. Dawały się już we znaki przejawy zniechęcenia czy apatii w wojsku. Służba w baterii zaczęła szwankować pomimo niesłychanej siły fizycznej i moralnej por. Zaniewskiego i twardszych członków baterii. W piechocie odczuwało się te objawy jeszcze wyraźniej. Bódcem

dla nas był zawsze pluton por. Kopańskiego, który dzięki swemu dowódcy i dwu oficerom dawał wszystkim przykład. Żołnierze jego codziennie ogoleni, czyści, mimo okropnego w Małkowicach błota, zapięci na wszystkie guziki, pełnili służbę przy swych starych działach nie tylko sumiennie, ale, powiedziałbym, z entuzjazmem.

Tego dnia leżę sobie i drzemię na swym wyrku, jak zwykle ze słuchawką telefoniczną na uszach. Słyszę brzęczek: adiutant pułku prosi, abym przysłał do Gródka wóz dla por. Wilka! Wolne, głupie żarty! Wilk od dłuższego czasu na urlopie. Adiutant dodaje, że por. Wilk przyjechał z wojskiem poznańskim, które przyszło z odsieczą, i po oczyszczeniu toru kolei już jest w Gródku! Wybiegłem przed kwaterę, aby puścić w świat żołnierski tę szczęśliwą wiadomość. Por. Zaniewskiemu, na punkt obserwacyjny, dałem sam o tym znać, aby sobie zrobić przyjemność. On na to, że słyszał w oddali coś, co go mocno niepokoiło – a to widocznie te Poznaniaki.

Wspaniałe to było wojsko! Chłopy rosłe, dobrze odżywione, z pruskim drylem, mundury, broń i ekwipunek nowiusieńkie, wysokie rogate czapy i te nowe, jeszcze żółte buty! Uzbrojone to po zęby, aż nam gały wychodziły patrząc na tę siłę, butę i pewność siebie! Teraz zobaczyliśmy, jakie to my jesteście my dziady!

Zaraz za Poznaniakami, którymi dowodził płk Kona-rzewski, szły pociągi z amunicją, sprzętem, posiłkami, żywnością – do Lwowa! Wszystko u nas odżyło! Szli ponoć tyralierami na wroga, nie kładąc się, jak w kotle na zające, z karabinami pod pachą. Na ogień nieprzyjaciela mówiąc: „że zaś pod Verdun było gorzej”.

W Małkowicach dla mej baterii skończyły się bodajże najcięższe, przewlekłe wysiłki wojenne, jakie przeżyłem.

Przejechaliśmy koleją z Gródka do Przemyśla, a stąd marszem na południe do Chyrowa, gdzie spod stóp znanego klasztoru oo. Jezuitów wyruszyła wielka ofensywa, przez całą Małopolskę Wschodnią aż po Zbrucz, względnie dla mnie do Brodów. (...)

Zanim rozpocznę wspomnienia z wielkiej ofensywy i zlikwidowania „Galicyjskiej Ukrainy”, przytoczę mały obrazek z życia Lwowiaków znajdujących się w mieście.

Z Małkowic udało mi się raz czy drugi prysnąć do Lwowa. Nawet centrum miasta było niepokojone pojedynczymi granatami nieprzyjacielskiej artylerii. Siedziałem w saloniku u babci Włodzimierzowej Dzieduszyckiej w jej pałacu przy ul. Kurkowej 15. Obok w fotelu, mocno już starsza, ciocia Musia Szembekowa (miała już wnuka w moim wieku). Otóż te dwie starsze panie z wrodzoną wnikliwością kazały sobie opowiadać moje przeżycia wojenne. Babcia rozgadała się i coś żywo rozprawiała, gdy ja mym prawym uchem złowiłem głos pocisku artyleryjskiego lecącego w naszą stronę. Gdybym był sam w pokoju, byłbym uskokzył co najmniej między okna, aby być choć murem kryty. Ale przy paniach nie wypadało – przeto siedzę nadal z angielską flegmą. Wtem trzask i łomot! Pocisk padł w kamienicę tuż obok, pod nr 17. Ciocia Musia nie drgnęła, babcia spokojnie dokończyła swe opowiadanie, po czym poleciła mi wyrzucić przez okno, aby sprawdzić, gdzie granat trafił i czy pożaru nie wywołał. Takie to były Lwowianki! (...)

Roman Jacek CZARTORYSKI

Roman Jacek Czartoryski ur. w Pełkiniach w 1898, zm. w Poznaniu w 1958 r. Od V 1916 do XI 1918 w wojsku austriackim na froncie rumuńskim i ukraińskim (Bateria Zapasowa Artylerii Konnej w Krakowie); następnie od XII 1918 w 1 Pułku Artylerii Polowej Legionów i 1 D.A.K.; uczestnik wojny o granice w Galicji Wschodniej i kampanii bolszewickiej 1918-1919; oddelegowany do Szkoły Sztabu Generalnego, w XI 1921 przeniesiony do rezerwy w stopniu porucznika. Odznaczony Krzyżem Walecznych (1922). W 1939 zgłosił się na ochotnika i uczestniczył w kampanii wrześniowej w randze kpt. rez. (7 D.A.K., przydzielony jako oficer ordynansowy do Dowódcy Artylerii Armii „Poznań”, przeszedł cały jej szlak bojowy); po kapitulacji Warszawy dostał się do niewoli niemieckiej (Königstein n/Łabą, Murnau, Zeitheim), z oflagu – ciężko chory – wrócił do kraju w maju 1945.

„Wspomnienia z wojny 1918-1920” zostały spisane w roku 1957 na podstawie zachowanych notatek i korespondencji; publikujemy ich obszernie fragmenty.

CI, CO ODESZLI

Nina KOZŁOWSKA

WSPOMNIENIE O KAZIMIERZU ZAMORSKIM

Z dumą określał się jako autor pierwszych powojennych książek o Gułagu i Kołymie. Pierwsza z nich, „Sprawiedliwość sowiecka”, napisana wspólnie ze Stanisławem Starzewskim, ukazała się we Włoszech w 1945 r. pod pseudonimami Sylwester Mora i Piotr Zwierniak. Wydanie włoskie i francuskie wyszło tegoż roku w Rzymie, a hiszpańskie w Bilbao w 1947 r. Już z podaniem pełnych nazwisk autorów książka została opublikowana w 1989 r. jeszcze w drugim obiegu w wydawnictwie BAZA w Warszawie, a trzecie uzupełnione wydanie ukazało się w Warszawie w 1994 r. Maria Danilewicz Zielińska oceniła „Sprawiedliwość sowiecką” w swoich „Szkicach o literaturze emigracyjnej” jako „najlepsze wprowadzenie do problematyki Polaków w Rosji i literatury zsyłkowej”. David J. Dallin, profesor Yale University, pisze w swej pracy „Forced Labor in Soviet Russia” z 1947 r.: „Jedną z najważniejszych książek o rosyjskich obozach pracy, jakie się kiedykolwiek ukazały, jest «La Justice soviétique», wydana w języku francuskim w Rzymie. Napisali ją dwaj polscy oficerowie, Sylwester Mora i Piotr Zwierniak, opierając się z jednej strony na własnych przeżyciach i doświadczeniach, a z drugiej na licznych relacjach byłych więźniów”. Istotnie, opracowanie to powstało na podstawie osobistych doświadczeń i materiałów zebranych w Biurze Dokumentów i Biurze Studiów 2. Korpusu, działających najpierw na Bliskim Wschodzie, potem w Rzymie, gdzie obaj autorzy pracowali jako referenci. M.in. te materiały oraz odpowiedzi na ankietę

rozesłaną do odpowiednich placówek i referatów przez Biuro Studiów posłużyły Kazimierzowi Zamorskiemu jako punkt wyjścia przy opracowaniu monografii o Kołymie, opublikowanej znów pod pseudonimem Sylwester Mora w języku angielskim w 1949 r. przez Fundację dla Spraw Zagranicznych w Waszyngtonie pt. „Kolyma. Gold and Forced Labor in the USSR”. Znany sowietolog Robert Conquest zaliczył to opracowanie do jednego z czterech podówczas dostępnych poważnych źródeł na temat Kołomy.

Nim Kazimierz Zamorski trafił do 2 Korpusu nazbierał nie-mało doświadczeń życiowych. Urodził się 5 lutego 1914 r. w Krasieczynie jako najmłodsze z pięciorga dzieci. Wkrótce rodzina przeniosła się do Lwowa. Ojca wcześniej stracił, a matka z trudem wiązała koniec z końcem. Jako dziecko zachorował na gruźlicę kości, z której cudem wyszedł. Zdolnym, ale biednym uczniem zainteresowali się dominikanie przyjmując go do gimnazjum i internatu w Żółkwi, gdzie w 1932 r. zdał maturę. Po maturze łapał się różnych dorywczych prac, żeby zarobić na życie – jakieś korepetycje, potem posada pomocnika kancelaryjnego państwowego gimnazjum w Kołomyi, w latach 1936-1937 szkoła podchorążych piechoty 5 dywizji we Lwowie, i wreszcie od 1937 do 1939 praca sekretarza gimnazjum we Lwowie oraz nauczyciela przysposobienia wojskowego. W tych warunkach dopiero w 1938 r. mógł rozpocząć upragnione studia prawnicze na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, które z kolei wojna przerwała. Nie dał jednak za wygrane. Gdy wydział stosunków międzynarodowych kalifornijskiego uniwersytetu otworzył filię w koszarach amerykańskich w Monachium, zapisał się w 1974 r. na studia i po pracy w RFE jechał do koszar na wykłady i zajęcia uzyskując w 1977 r. tytuł magistra nauk politycznych.

We wrześniu 1939 r. brał udział w obronie Lwowa. W czasie nieudanej próby przedostania się do Rumunii aresztowany przez NKWD spędził trzy lata w sowieckich więzieniach i łagrach. Po umowie Sikorski-Majski i ogłoszeniu „amnestii” dostał się na jesieni 1941 r. do Tatiszewa w Uzbekistanie do formujących się tam Polskich Sił Zbrojnych. Tym, których nieubłagany los rzucił na „Nieludzką ziemię” i którym udało się dotrzeć do Armii generała Władysława Andersa, dobrze znany jest szlak przez Persję, którym także i Kazimierz Zamorski wydostał się z obrębu sowieckiego panowania. Wiosną 1943 r. został odkomenderowany do wyżej wymienionych Biura Dokumentów i Biura Studiów, zajmujących się zabezpieczeniem informacji o losach Polaków deportowanych do ZSSR, jak też ogólnymi zagadnieniami sowieckimi.

Po demobilizacji w stopniu porucznika w 1948 r. przeszedł już w Anglii jednoroczną szkołę handlu zagranicznego i administracji portowej, po czym pracował jako urzędnik firmy maklerskiej Lloyd's'a w Londynie. W czerwcu 1952 r. rozpoczął pracę w polskiej sekcji amerykańskiego Wydziału Studiów i Analiz Radia Wolna Europa w Monachium (RFE Research and Analysis Department), którego szefem był od 1959 r., do przejścia na emeryturę we wrześniu 1979 r.

Pisywał szkice, recenzje i analizy polityczne do *Wiadomości* londyńskich, do paryskiej *Kultury*, do *Zeszytów Historycznych* i innych polskich czasopism oraz do brytyjskiego kwartalnika *World Affairs*. Działalność Biura Dokumentów i Biura Studiów opisał w wydanej w Londynie w 1990 r. książce „Dwa tajne biura 2. Korpusu”, która została wyróżniona przez Fundację im. J. Łojka przy Instytucie Józefa Piłsudskiego w Ameryce. Angielska, nieco skrócona wersja tej książki ukazała się w tłumaczeniu Antonii Lloyd-Jones cztery lata później w Londynie pt. „Telling the Truth in Secret. The Story of Two Polish Army Research Units”. Swoje uwagi o pracy w wydziale Studiów i Analiz RFE zebrał w książce „Pod anteną Radia Wolna Europa”, która ukazała się w Poznaniu w 1995 r. Pióro miał czasem drapieżne i nie unikał polemik, a – jak sam przyznaje w swych radiowych wspomnieniach – do pokornych nie należał. Opisując swe pożegnanie z Radiem przyznaje, że „pracę w RFE mile wspominał, dała mi wiele zawodowej satysfakcji, a i na mych szefów narzekać nie mogę, nie zdziwiłbym się natomiast, gdyby się okazało, że po moim odejściu odetchnęli z ulgą, pozbywszy się wprawdzie jednego z «najbardziej wartościowych» (mam to na piśmie), ale również «trudnych» pracowników”. Swoją nieco zadziorny charakter, ale i umiejętność spojrzenia na siebie z przyzwyczajeniem oka, uwiidocznili w swoistym epitafium, które sam sobie wypisał i w którym czytamy: „Nie miał dzieci. Spłodził parę książek, w których prawda przewyższa rozsądek: miast przytakiwać i kadzić pomnikom, ułudę, łgarstwa i mity wytykał. Życie miał niełatwe, lecz ciekawe. Zwiedził sporo świata, w niejedy-nym świątoshku dostrzegł chytrego łajdaka. Cenił dobrą poezję, klasyczną muzykę, chętnie grywał w brydża i remika. Medal za wojnę, Italię, Imperium Obronę, Krzyż za książkę (tę o Gułagu), drugi za Włoską Koronę. To osobliwe epitafium sporządził u nirwany progu ku zgorszeniu wierzących, zadumie sceptyków i uciesze wrogów”.

Mimo takich przekornych gestów Kazimierz Zamorski był człowiekiem niesłychanie towarzyskim, w przyjaciółniach szczerze

oddany i zawsze pomocny, otwarty na świat i ciekawy ludzi, chętnie udzielający informacji, szczególnie w ostatnich latach młodym naukowcom z Kraju poszukującym dostępu do materiałów źródłowych. Daleki bowiem od wszelkiego rodzaju patriotycznego patosu, który go śmieszył i denerwował, doceniał wagę rzetelnych badań historycznych. A wobec tego na sercu mu leżało zabezpieczanie śladów – dokumentów, notatek, wspomnień, korespondencji itp. – oddających losy ludzkie, a tak często ulegających zniszczeniu, zwłaszcza w warunkach emigracyjnych. Toteż czynnie, choć po cichu, wspierał nasze placówki kulturalne poza Krajem, szczególnie Muzeum Polskie w Rapperswilu. I taki pozostanie w pamięci tych, którzy go znali – hardy a jednocześnie uczynny, Lwowiak z krwi i kości, odzwierciedlający się w przeróżnych lwowskich anegdotach, które z zamiłowaniem opowiadał.

Po długich, męźnie znoszonych cierpieniach zmarł w Monachium 7 grudnia 2000 roku. Zgodnie z jego życzeniem prochy zostały złożone w styczniu na monachijskim cmentarzu północnym jedynie w obecności najbliższej rodziny.

Nina KOZŁOWSKA

KOMUNIKAT FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ

W roku 2000 ze stypendiów Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej skorzystało 35 osób: 20 historyków, 5 filologów, 4 archeologów, 2 historyków sztuki, 1 ekonomista, 1 politolog, 1 choreograf i 1 student lutnictwa. Obok naukowców polskich, ze stypendiów Funduszu skorzystały dwie osoby z Ukrainy. Większość stypendiów została zrealizowana we Francji, ale także w Anglii, Polsce, Niemczech, Czechach, Rosji, Ukrainie, Rumunii, Holandii, Szwecji, we Włoszech i w USA; najczęściej była to jednorazowa pomoc wysokości 3500 PLN.

Działalność Funduszu w r. 2000 była możliwa dzięki subwencjom:

- Fundacji im. Leopolda Kronenberga (trzyletni wspólny program stypendialny zakończony w r. 2000),

- Fundacji Kultury,

- Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych,

a także dzięki wpłatom indywidualnych ofiarodawców.

Jesienią ubiegłego roku Fundusz zwrócił się do kilkudziesięciu osób i instytucji w Polsce – głównie banków i przedsiębiorstw – z prośbą o pomoc. Na apel zareagowało dotychczas sześć firm, dzięki którym działalność Funduszu może być kontynuowana:

- Alcatel Polska

- Centrum Zaawansowanych Technologii-Kraków,

- Elektrownie Szczytowo-Pompowe,

- Impexmetal,

- PKO BP,

- Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne.

Stypendia przyznawane są pisarzom, publicystom, artystom oraz badaczom w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych (ze szczególnym uwzględnieniem badań w archiwach emigracyjnych); przeznaczone są na pobyty za granicą, w wyjątkowo uzasadnionych przypadkach również na wykonanie konkretnej pracy w kraju. Stypendia przyznawane są na okres nie dłuższy niż jeden miesiąc.

Podanie powinno zawierać:

- życiorys; informacje o dorobku twórczym oraz program pobytu za granicą. Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Podania można przysyłać do sekretarza Funduszu:

Wojciech Sikora, FPNLiNP

31, rue de Garlande

77220 Tournan-en-Brie; Francja

Andrzej KORASZEWSKI

SPÓR W OPERETCE*

W końcu ubiegłego roku wydawnictwo PWN wydało „Spór o Polskę”, obszerny zbiór artykułów publicystycznych z lat 1989-99. Antologia pod redakcją Pawła Śpiewaka miała w założeniu stanowić przegląd debat i sporów w pierwszej dekadzie po upadku komunizmu. Przede wszystkim sprzeciw budzi tytuł tego zbioru. Być może kierując się poczuciem oczywistości autorzy nie próbowali nawet odpowiedzieć sobie na pytanie, co to takiego ta Polska, i w efekcie ów spór o Polskę, praktycznie rzecz biorąc, pomija debatę o kształt polskiego parlamentaryzmu, o ordynację wyborczą do sejmu, o prezydenturę, o charakter i zakres kompetencji instytucji państwowych, o samorząd, o podział administracyjny kraju i tym podobne. W efekcie otrzymaliśmy interesującą ilustrację sporów o rację, a zabrakło tu dokumentacji debat o reguły spierania się. Okazuje się jednak, że nie było to przeoczenie, a świadomy zamysł. We wstępie do tego zbioru Paweł Śpiewak pisze: „Nie ma w tej antologii kilku ważnych rozdziałów, a nie ma ich nie dlatego, że sprawy te są mało ważne, ale dlatego, że prezentacja tych zagadnień wymagałaby wzbogacenia tomu o dalsze kilkaset stron.” Te pominięte sprawy Paweł Śpiewak wymienia w następującej kolejności: problem bezpie-

* „Spór o Polskę 1989-99. Wybór tekstów prasowych”, Wstęp, wybór i układ Paweł Śpiewak, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2000, 724 s.

czeństwa obywateli, bezpieczeństwa państwa i praworządności, organizacji policji i Urzędu Ochrony Państwa, ustroju sądów, miejsca prokuratury, afery gospodarcze i związki polityki z szarą strefą gospodarczą. Tu wreszcie Autor zauważa, że od samego początku toczyła się dyskusja nad nową konstytucją, której towarzyszyła dyskusja na temat polskiego ustroju, a więc nad tym, czy ma on być bliższy modelowi prezydenckiemu, czy kanclerskiemu, czy wreszcie parlamentarnemu. Po wyliczeniu tych pominiętych z braku miejsca wątków Autor stwierdza, że warto je będzie kiedyś zaprezentować. Czytelnik jest dopiero na 16 stronie dzieła liczącego grubo ponad stron 700 i musi się zastanawiać nad pytaniem, co też Autor miał na myśli, twierdząc, że prezentuje „spór o Polskę”?

Pierwszy rozdział tej antologii nosi tytuł: „Narodziny polskiej demokracji”; piszący wstęp do tego rozdziału Dariusz Gowin stwierdza, że Polacy chcieli żyć „normalnie”, a „normalnie” znaczyło tak jak na Zachodzie. Oczywistym elementem owej „normalności” miała być demokracja. „Oczywistym – jak pisze Gowin – także dlatego, że nigdy wcześniej nie zadawano sobie specjalnie trudu, aby zdefiniować to pojęcie, aby postawić pytanie o to, jaka ma to być demokracja.” Autor przyznaje, że w konsekwencji „...pojęcie demokracja, mgliste i nieostre, zawierało ogromną dozę idealizmu.” Czego czytelnik po takim wstępie by się spodziewał? Być może kilku przykładów rozmamłanego, idealistycznego pisania o demokracji (a więc stylu, który rzeczywiście dominował) oraz debaty o nadanie tej demokracji konkretnych, instytucjonalnych treści. Nic z tych rzeczy, twórcy tej antologii jak ognia unikali wszystkiego, co było chociażby zalążkiem rzeczywistego sporu o Polskę. Jak przystało na socjologów, tropili środowiskowe postawy, które z nieznanego powodu nazwali sporem. Owe narodziny polskiej demokracji poprzedziła wolność słowa, najpierw wolność w drugim obiegu oraz daleko idące złagodzenie cenzury w oficjalnych mediach, a następnie pełna wolność słowa w wyniku likwidacji wszelkiej cenzury. Demokracja parlamentarna powstawała w biegu i nawet jeśli rozważania na temat jej przyszłego kształtu były w polskim piśmiennictwie sporadyczne, to istniały interesujące opisy pęka-

nia starych struktur i wyłaniania się nowych. Do listopada 1989 roku OKP wydawała się być monolitem, natomiast były głosy z zewnątrz domagające się tworzenia pełniejszego wachlarza partii politycznych. Wcześniej, po powierzeniu misji utworzenia rządu generałowi Kiszczakowi, rozpadła się stara koalicja i ZSL oraz SD przeszły na stronę „Solidarności”. Słynny „manewr Wałęsy” wywołał wówczas lawinę artykułów, w których ukrywało się wiele pytań o kształt przyszłego parlamentaryzmu. Bardzo ciekawa była publicystyka związana z rozpadem PZPR, a następnie z pojawianiem się frakcji w OKP i powstawaniem pierwszych odrębnych klubów poselskich. W omawianej antologii nie widać śladu ani tamtych wydarzeń, ani towarzyszących im sporów.

Kolejne rozdziały tej książki: Polska w Europie, Dziedzictwo i pamięć komunizmu, Lewica-prawica, Kościół, religia, demokracja, Nacjonalizm, Antysemityzm, patriotyzm, Polskie reformy, polski kapitalizm, Mit Wałęsy, mit „Solidarności” – całkowicie potwierdzają, że antologia nie prezentuje żadnego sporu o Polskę. Jest próbą ukazania środowiskowych mentalności przez pryzmat środowiskowych periodyków.

Polska w Europie to oczywiście spór o wartości, czy wzorować się na Europie Zachodniej, czy raczej kultywować nasz lokalny folklor. Czy pojawia się tu problem taktyki, rozważania nad strategią integracji z Unią Europejską, kalkulacje zysków i strat? Tego rodzaju publikacje były, ale autorzy tej antologii nie zniżali się do aż tak niskiego poziomu. Najwięcej miejsca autorzy poświęcili kwestii pamięci komunizmu oraz rozważaniom, jak odróżnić polską prawicę od polskiej lewicy. Fascynująca lektura, po której ani dzisiejszy czytelnik, ani czytelnik, który sięgnie po tę książkę za 50 lat nie będzie ani odrobinę mądrzejszy. Z pewnością interesujące jest przypomnienie publicystyki wokół kwestii roli Kościoła w państwie. Z uporem lepszej sprawy autorzy tropią umysłowe dewiacje, postawy skrajne i oszczędnie informują o stanowiskach w tej sprawie liczących się partii politycznych, o poważnej debacie na temat roli i miejsca Kościoła w państwie przy okazji prac nad konstytucją czy sporów wokół konkordatu. Uznaniem rozsądkowi autorów *Znaku*, *Tygodnika Powszechnego*, *Gazety Wyborczej* przeciwstawiony jest obłąd

klerykalnego i skrajnie nacjonalistycznego marginesu. Zabieg interesujący, ale chyba nie do końca słuszny.

Studiując pomieszczone w tej książce artykuły mamy niemiłe wrażenie spotkania z plejadą nawiedzonych przemawiających w imieniu całego narodu. Koncepcje mają różne, ale nie ma wątpliwości, iż każdy z osobna jest święcie przekonany, że tylko on lub ona wie, co naprawdę ważne jest dla Polski, zaś fakt, że ta wiedza nie jest uwzględniana przez rządzących, jest zbrodnią stanu.

Na Zachodzie panuje o nas opinia, że pojedynczy Polak może być świetnym fachowcem, ale jako zbiorowość jesteśmy niezdolnymi bałaganiarzami, którzy ani nie są rzetelnymi partnerami, ani nie potrafią dbać o swoje własne interesy, ani, wreszcie, nie są uczciwi wzajemnie wobec siebie. Taka opinia o nas pokutuje od początków XVIII wieku i wydaje się, że ją umiejętnie podtrzymujemy. Zachód nie umiał zrozumieć naszego głębokiego przywiązania do pańszczyzny, naszego szacunku dla instytucji liberum veto, naszej niemożności przeprowadzenia jakichkolwiek reform, wprowadzenia działającego systemu podatkowego, czy niemożności utworzenia bardziej nowoczesnej armii. Rozbiory Polski nikogo na Zachodzie nie zdziwiły, były oczywistą konsekwencją rozpadu państwa niezdolnego do samostanowienia.

Czas zaborów nie sprzyjał wykształceniu się wzorów rzetelnej pracy administracyjnej, sen o Ojczyźnie, czynił z nas wielkich patriotów, ale kiepsko przygotowywał do wolności. Teoretycznie dwudziestolecie międzywojenne powinno być traumatycznym wręcz doświadczeniem, zmuszającym do refleksji nad praktycznymi problemami odbudowy niepodległego państwa. Po kolejnych pięćdziesięciu latach niewoli, nie tylko byliśmy do niepodległości całkowicie nieprzygotowani, ale przez dziesięć lat wolności nie zdołaliśmy odejść od tradycji kawiarnianych dyskusji i nadal traktujemy je jako główny nurt „sporów o Polskę”. Co gorsza, nawet politycy przyzwyczaili się do tego, że ich programy partyjne są sprawą kompletnie drugorzędną, że najważniejsze są wystąpienia skupiające uwagę mediów. Przez ponad dziesięć lat demokracji nie zdołaliśmy ustalić porządných zasad spierania się tak, aby te nasze spory kończyły się decyzjami, które dla

wszystkich byłyby wiążące. W Sejmie na Wiejskiej i w wiejskiej gminie króluje „polski sejm”. W początkach XVIII stulecia to określenie rozpowszechniło się w Europie jako obiegowa nazwa pustego gadulstwa, które nie prowadzi do żadnych decyzji. Nasze spory o Polskę pozostały niestety na poziomie kawiarnianych dyskusji.

W demokratycznych państwach prasa jest nie tyle głównym forum sporu o charakter państwa, ile lustrem odbijającym owe spory. W roku 1956 Stanisław Cat-Mackiewicz powrócił do kraju z emigracji w Londynie i pisał w polskiej prasie artykuły o okropnościach Brytyjczyków. W jednym z tych artykułów ujawniał polskiemu czytelnikowi fakt, że w brytyjskim społeczeństwie dziennikarz, a nawet znany publicysta nie ma większego wpływu na opinię publiczną. To prawda. Spory o sprawy dla Brytyjczyków ważne toczą się wewnątrz partii politycznych i na forum parlamentu. Cat-Mackiewicz oburzał się, że postać publicysty ma w brytyjskim społeczeństwie tak niski prestiż. Faktem jest, że u nas ten prestiż dziennikarza czy literata został nadmiernie wywindowany w czasach, gdy nie mieliśmy własnej państwowości i prasowe dyskusje zastępowały nam rzeczywisty trud codziennej organizacji naszego życia zbiorowego. „Spór o Polskę” jest interesującym dowodem na to, że wielu ludzi nadal żyje w błogim przeświadczeniu, że miła sercu Ojczyzna wyłania się z dialogu między nami publicystami. W warunkach rozbitej na dziesiątki partii i partyjek sceny politycznej, rozbuchanej biurokracji, fatalnie działającego samorządu, niesprawnego systemu sądowniczego i źle działających organów kontroli instytucji państwowych, ten prasowy spór o Polskę jest tylko sporem w operetce.

Andrzej KORASZEWSKI

BIAŁORUŚ W XX WIEKU

W końcu 1999 r. nakładem wydawnictwa TRIO w serii „Historia państw świata w XX wieku” ukazała się książka Eugeniusza Mironowicza „Białoruś”¹. Różni się ona nieco od wydanej kilka miesięcy wcześniej pracy tegoż autora w języku białoruskim („Nawiejszaja historyja Biełarusi”, Biełastok 1999, s. 270).

Eugeniusz Mironowicz, znany działacz mniejszości białoruskiej w Polsce, do niedawna redaktor naczelny tygodnika *Niwa*, obecnie pracownik naukowy Katedry Kultury Białoruskiej Uniwersytetu w Białymstoku, od wielu lat zajmuje się najnowszą historią Białorusinów. Dlatego napisanie przez niego tej książki nie jest przypadkiem; potrafi też sprawnie władać piórem. Otrzymaliśmy więc książkę wartościową i dobrze napisaną.

Autor, choć zajmuje się różnymi aspektami życia na ziemiach białoruskich, najwięcej uwagi poświęca historii politycznej, a zwłaszcza rozwojowi idei narodowej białoruskiej; poszukiwaniem przez elity białoruskie sojuszników na drodze do pełnej niepodległości. Cel ten został wytknięty już 25 marca 1918 r. w deklaracji niepodległości Rady Białoruskiej Republiki Ludowej.

Czytelnika polskiego zapewne szczególnie zainteresuje wątek stosunków polsko-białoruskich, w tym dzieje tzw. „Białorusi Zachodniej”. Mironowicz charakteryzując ten obszar dla ułatwienia operuje danymi dotyczącymi 4 województw północno-wschodnich (wileńskie, nowogródzkie, poleskie i białostockie), co może być nieco mylące, gdyż w większości ostatniego województwa ludność białoruska nie zamieszkiwała.

1. Eugeniusz Mironowicz, „Białoruś”, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 1999, 298 s.

Rozdzieranie szat przez historyków białoruskich nad traktatem ryskim nie bardzo ma sens, ponieważ Białoruś nie miała wówczas szans na niepodległość. Natomiast każdy inny podział ziem białoruskich byłby równie zły. Zasadną jest natomiast ocena, w jaki sposób była rozwiązywana kwestia białoruska w Polsce i ZSSR. Polityka rządów polskich w tym zakresie była zła, ale wydaje się, że ich ocena przez autora książki jest niekiedy zbyt krytyczna. Częściowo powieliła on stereotypy historiografii radzieckiej i postradzieckiej. Trudno np. zgodzić się z określeniem stosunków w 4 województwach północno-wschodnich jako „typowo kolonialne”. Także pisanie o odbieraniu cerkwi po I wojnie światowej bez wyjaśnienia zaszłości w tej kwestii bardzo upraszcza sprawę. Z kolei akcja burzenia cerkwi latem 1938 r. – faktycznie bezsensowna i wręcz barbarzyńska – tylko w niewielkim stopniu miała miejsce na obszarze zamieszkanym przez Białorusinów. Chodzi więc chyba o podkreślenie wrogości władz do prawosławia, co nie jest prawdą, gdyż władze państwowe na tym terenie były w o wiele lepszych stosunkach z hierarchią Kościoła prawosławnego niż katolickiego. Grubą przesadą jest też twierdzenie, że w Polsce „w praktyce stosowane były najgorsze i najbrutalniejsze metody asymilacji mniejszości słowiańskich”. (s. 85) Tę tezę autora potwierdza też treść kalendarium na końcu książki, gdzie w odniesieniu do losów Białorusinów w „Białorusi Zachodniej” podaje się prawie wyłącznie złe wiadomości: aresztowania, procesy, delegalizacje. Nawet przy lipcu 1934 r. autor nie zapomniał zauważyć, że „w obozie w Berezie Kartuskiej osadzono pierwszych Białorusinów oskarżonych o przynależność do KPZB” (s. 270), choć faktycznie pierwszymi więźniami byli: Bolesław Piasecki i jego koledzy oraz działacze ukraińscy. Interesująco natomiast brzmi teza autora, że to agenci Kominternu pomogli zdobyć stronie polskiej dowody współpracy działaczy „Hromady” z ruchem komunistycznym. Jak wiele żalu musi tkwić w Białorusinach do strony polskiej, skoro przesłania on przyjacielskie gesty i demokratyczne postawy różnych środowisk polskich. Niewspominanie choćby o krajowcach, czy socjalistach to tak, jak byśmy pisząc o współczesnej Białorusi nie zauważali opozycji.

E. Mironowicz co prawda stereotypowo wspomina o Berezie Kartuskiej, ale prawdziwym symbolem represji wobec Białorusinów są dla niego Kuropaty – rozstrzelano tam w latach 1937-1941 dziesiątki tysięcy osób. Jednak podawana przez niego liczba zamordowanych 250 tysięcy – jest przesadzona (s. 78, 216, 271).

Konsekwencje 17 września 1939 r. analizuje zarówno z punktu widzenia białoruskiego, jak i polskiego. Przesadnie, być może, ocenia represje wobec duchowieństwa w latach 1939-1941, twierdząc, że najcięższe spadły na duchowieństwo prawosławne (s. 126). Faktycznie do generalnej rozprawy z klerem władze sowieckie wówczas jeszcze nie przystąpiły, a największe straty poniósł on we wrześniu 1939 r. z rąk samorządnie organizujących się oddziałów komunistycznych lub zwykłych band. Jako przykład można podać wydarzenia w niewielkiej miejscowości Zelwa (pow. wołkowyski), gdzie niemal równocześnie zamordowano księdza, batiuszkę i rabina. Niefortunnie brzmi też określenie, że 13 kwietnia 1940 r. (II deportacja) na Syberię i do Kazachstanu „wyjechało” (z „Białorusi Zachodniej”) około 24 tysięcy osób (s. 130). Szkoda, że autor nie wspomina o utrzymywaniu wewnątrz zjednoczonej Białorusi dawnej granicy polsko-sowieckiej, co stanowiło w końcu czerwca 1941 r. wielką przeszkodę w ucieczce ludności cywilnej, zwłaszcza żydowskiej, przed nawałnicą hitlerowską.

Wydaje się też, że nieco przesadnie brzmi twierdzenie o powrocie w tym czasie do swoich majątków (pod osłoną władz niemieckich) właściciele ziemskich z Generalnej Guberni i z Litwy (s. 139). Istotnie, takie przypadki miały miejsce, ale raczej sporadycznie. W ciągu dwóch pierwszych lat okupacji miejscowe ziemiaństwo zostało bardzo przetrzebione. Wymownie o tym świadczy już sam tytuł książki Krzysztofa Jasiewicza: „Zagłada polskich Kresów. Ziemiaństwo polskie na Kresach Północno-Wschodnich Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką 1939-1941” (Warszawa 1997).

E. Mironowicz z taktem pisze o trudnych aspektach stosunków polsko-białoruskich w latach okupacji niemieckiej – obie strony trudno jest przekonać do przyznania się do błędów. Jedna twierdzi, że realizowała jedynie interes narodowy,

druga – że zwalczała tylko siły kolaborujące z Niemcami. Antagonizm ten pozostawał jednak w cieniu innych ostrzejszych konfliktów.

Natomiast sprzeciw budzi teza, że jedną z przyczyn „spowolnienia ludobójstwa ludności żydowskiej był brak wyraźnych nastrojów antysemickich na tym obszarze” (s. 150). Przypomina to twierdzenie o ulokowaniu obozów masowej zagłady na ziemiach polskich ze względu na antysemityzm Polaków. Z kolei zbyt łagodnie obszedł się chyba autor z organizatorami Kongresu Wszechbiałoruskiego. Co prawda, znany historyk białoruski Aleksiej Litwin zwykł mówić, że działacze narodowi białoruscy byli chorzy na niepodległość, ale organizacja kongresu pod hitlerowskim parasolem w Mińsku, w sytuacji, kiedy słychać było już tam radzieckie armaty, to nie choroba i nie amok, ale wyrafinowany cynizm.

Jeśli chodzi o okres powojenny można mieć pretensje do autora, że nie zauważa na Białorusi Polaków (poza informacją o repatriacji). Za to bardzo szczegółowo rozpatruje sytuację po stronie polskiej, gdzie pozostało – jak pisze – 135 tys. Białorusinów prawosławnych i 200 tys. katolików mówiących gwarami białoruskimi, „których świadomość narodowa szybko ewoluowała w kierunku polskości” (s. 175). Tymczasem faktycznie, jeszcze przed wojną, oni sami w zdecydowanej większości uważali się za Polaków.

Na Białorusi skończyła się wojna, ale zaczęły się nowe represje. W latach 1944-1947 zlikwidowano tam 814 – używając terminologii sowieckiej – „zbrojnych band” (s. 184). Szkoda, że autor nie dodaje, że w znacznej części były to oddziały poakowskie. W okresie powojennym w dziejach Białorusi były okresy lepsze i gorsze, była też „epoka dobrobytu” – czasy I sekretarza Piotra Maszerowa (1965-1980). Niestety, poprawie położenia ludności nie towarzyszył rozwój wartości narodowych, a nawet odwrotnie – wcielano w życie wytyczne Chruszczowa, który w 1959 r. powiedział: „Im szybciej będziemy mówić po rosyjsku, tym szybciej zbudujemy komunizm” (s. 270).

Dlatego możliwość uzyskania niepodległości na początku lat dziewięćdziesiątych zaskoczyła Białoruś i Białorusinów. Ogłoszenie niepodległości w sierpniu 1991 r. – jak pisze

Mironowicz – nie było wynikiem oczekiwań społecznych, lecz „strachu komunistów przed dyskryminacją w demokratyzującej się Rosji” (s. 264). Autor dużo miejsca poświęca w książce sytuacji na Białorusi w ostatnim dziesięcioleciu. Wymownie brzmi też tytuł końcowego fragmentu: „Dokąd prowadzi Białoruś Aleksander Łukaszenko?” Na to pytanie nie ma prostej odpowiedzi. Świadczy o tym ostatnie zdanie książki: „Nie sposób określić, gdzie są granice wytrzymałości białoruskiego społeczeństwa” (s. 265).

Historia Białorusi w XX wieku to „ciernista droga” – tak ją określił inny historyk białoruski Jerzy Turonek w recenzji białoruskiej wersji tej książki². Jednak – jak zauważa E. Mironowicz – straty materialne w czasie dwóch wojen światowych spowodowane były nie tyle bezpośrednio działaniami wojennymi, co „bieżnictwem” – w latach I wojny i ewakuacją w 1941 r. Najdotkliwsza dla sprawy narodowej była oczywiście utrata elit i tu, na szczęście, udział strony polskiej był marginalny. W dodatku w ostatnich latach nowe elity białoruskie znajdują w Polsce znaczne wsparcie, choć nadal są środowiska, które nie potrafią zrozumieć kwestii białoruskiej. Mam nadzieję, że książka Eugeniusza Mironowicza, przedstawiająca najnowszą historię Białorusi i wypełniająca istotną lukę w historiografii, przyczyni się do lepszego zrozumienia współczesnych problemów naszego sąsiada.

Jan Jerzy MILEWSKI

2. *Niwa*, 7 XI 1999, nr 45. J. Turonek zwrócił też uwagę na kilka nieścisłości, których autor w tym wydaniu nie zdążył jeszcze usunąć. Od siebie dodam, że znana jest data śmierci abpa R. Jałbrzykowskiego i dlatego znak zapytania przy jego nazwisku (s. 289) jest niepotrzebny. Abp Jałbrzykowski zmarł w 1955 r. w Białymstoku.

POLSKI LWÓW*

Niewiele jest miast, które równie mocno wpisały się w historię Polski jak Lwów. Z tym większą więc radością należy przywitać wydaną kilka miesięcy temu pracę Grzegorza Hryciuka „Polacy we Lwowie 1939–1944. Życie codzienne”. Tym bardziej, że jest to praca pod wieloma względami znakomita, o czym świadczy choćby fakt przyznania jej autorowi za nią właśnie Nagrody „Klio”.

Grzegorz Hryciuk jest pracownikiem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego znanym z licznych publikacji m.in. z monografii „*Gazeta Lwowska 1941–1944*” uhonorowanej w 1993 r. nagrodą historyczną tygodnika *Polityka*. Książka „Polacy we Lwowie...” jest zmienioną wersją rozprawy doktorskiej, którą obronił w 1997 r. we Wrocławiu. Oparta jest na bogatej bazie źródłowej. Autor przebadł archiwa Warszawy, Wrocławia, Lwowa i Kijowa. Wykorzystał również – rzecz jasna – bogatą literaturę przedmiotu tak polską, jak i zagraniczną.

W krótkiej recenzji trudno omówić bogactwo poruszanych przez autora problemów. G. Hryciuk w swojej pracy nie ogranicza się bowiem do przedstawienia meandrów sowieckiej i niemieckiej polityki wobec ludności polskiej. W kolejnych rozdziałach ukazuje między innymi panujące we Lwowie warunki bytowe, mieszkaniowe i sanitarne, rynek pracy, obieg pieniężny, zaopatrzenie i handel, komunikację, życie kulturalne i rozrywki, wreszcie postawy i nastroje mieszkańców miasta. Omawia również wzajemne relacje pomiędzy Polakami i Ukraińcami oraz Polakami i Żydami. Pominął natomiast, co wydaje się zabiegiem słusznym, sprawy funkcjonowania polskiego podziemia.

* Grzegorz Hryciuk „Polacy we Lwowie 1939–1944. Życie codzienne”. Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, Warszawa 2000, 432 s.

Ilość szczegółów znanych autorowi budzi prawdziwy podziw. Z książki możemy dowiedzieć się np., jaki był repertuar lwowskich kin (jesienią 1939 r. pojawiła się w nich sowiecka „komedia z życia kołchozów” zatytułowana „Bogata narzeczoną”) oraz ile drzew przydrożnych wycięli lwowiacy z braku opału zimą 1939/1940 r. (s. 83, 116). Spośród innych ciekawostek warto wspomnieć, że wiosną 1944 r. we Lwowie za zgodą władz niemieckich ukazała się legalnie czterdziestostronicowa broszura „Objawienia Matki Bożej w Fatimie i chwila obecna” (s. 409).

Znajomość szczegółów nie przeszkadza Hryciukowi w wyciąganiu ciekawych uogólnień. I tak, jego zdaniem, w latach 1939-1941: „Brutalność represji radzieckich była z pewnością porównywalna (...) do akcji niemieckiego aparatu policyjnego, szczególnie na ziemiach wcielonych do Rzeszy. Masowe aresztowania, a następnie zamordowanie ponad 20 tys. jeńców i więźniów niewiele różniło się od niemieckiej polityki niszczenia najbardziej aktywnych, przywódczych warstw narodu” (s. 418). Porównując politykę sowiecką z lat 1939-1941 z postępowaniem niemieckich władz okupacyjnych w latach 1941-1944 stwierdza z kolei: „Polityka niemiecka wobec ludności terenów podbitych ograniczała się w istocie do zastraszania, wymuszania, uległości i bierności. Okupant radziecki szedł dalej. Ludność obszarów „wyzwolonych” nie mogła jedynie obawiać się nowej władzy, powinna ją jeszcze kochać i czynnie to manifestować” (s. 419).

Autor szczególnie interesująco przedstawia sprawę sytuacji we Lwowie w pierwszych tygodniach wojny niemiecko-sowieckiej. Wspomina o „ukraińskiej dywersji”, która miała miejsce 24 czerwca we Lwowie i została krwawo stłumiona przez wojska sowieckie. Więcej miejsca poświęca sprawie mordów dokonanych w więzieniach lwowskich przez NKWD. Według dokumentów sowieckich zginęło w nich ok. 2000 osób. Tymczasem po przeprowadzeniu prac ekshumacyjnych latem 1941 r. i zimą 1942 r. liczbę zabitych oceniano na 3100-3500 osób. Autor nie komentuje tych rozbieżności. Za Zygmuntem Albertem dementuje natomiast informacje o zabijaniu przez NKWD dzieci oraz okrutnych torturach jakoby towarzyszących egzekucjom. Źródła tych plotek upatruje w doniesieniach prasy niemieckiej, ukraińskiej i „polskojęzycznych gadzinówek”

(s. 190). „Pisano w nich – czytamy w książce Hryciuka – m.in. o rozpruwaniu brzuchów ciężarnym i przybijaniu płodów do ściany, masakrowaniu zwłok nożami i siekierami, zrywaniu skóry z rąk i stóp” (s. 190-191). Tego rodzaju publikacje służyły oczywiście kompromitowaniu władzy sowieckiej na arenie międzynarodowej. Ciekawe, iż w odpowiedzi 8 sierpnia 1941 r. Sowietkie Biuro Informacyjne w specjalnym komunikacie powiadomiło o zabiciu przez Niemców w lwowskich więzieniach tysięcy sowieckich obywateli. Cytowano w nim nawet relacje „rzekomych” świadków zbrodni.

Zaraz po wejściu Niemców rozpoczęły się we Lwowie pogromy ludności żydowskiej. Odbywały się one pod hasłem odwetu za zbrodnie w lwowskich więzieniach, których współsprawcami w mniemaniu „znacznej części opinii publicznej” (s. 204) byli właśnie Żydzi. W pogromach obok Niemców brali udział Ukraińcy, głównie członkowie naprędce stworzonej milicji. Zdaniem Hryciuka, we Lwowie, jak i w prawie całej Galicji Wschodniej w czasie pogromów „Polacy ograniczali się co najwyżej do biernej aprobaty” (s. 204).

Zresztą Polaków także dosięgły niemieckie represje. 1 lipca 1941 r. Reinhard Heydrich wydał „Rozkaz nr 2”, w którym uznał polską inteligencję, obok Żydów i komunistów, za grupę niebezpieczną dla interesów III Rzeszy. Zgodził się też na stosowanie wobec niej w niektórych wypadkach szczególnych „środków”. To właśnie ten rozkaz, według Hryciuka, przesądził o losach grupy polskich profesorów rozstrzelanych w 1941 r. we Lwowie przez niemieckie komando SS. Sprawa ta jest powszechnie znana. Znacznie mniej wiadomo o innej zbrodni popełnionej w tym czasie przez Niemców. W lipcu 1941 r. we Lwowie najprawdopodobniej rozstrzelano bowiem oprócz profesorów także około 100 polskich studentów (s. 193).

Zdaniem Hryciuka: „W lipcu 1941 r. okazało się, że znaczna część społeczeństwa polskiego we Lwowie bardziej obawiała się powstania niepodległego ukraińskiego państwa niż okupacji niemieckiej” (s. 209). Stosunki polsko-ukraińskie we Lwowie już przed wojną nie należały do najlepszych. W czasie okupacji sowieckiej wzajemne niechęci pogłębiła jeszcze oficjalnie prowadzona polityka ukrainizacji. Apogeum wzajemnej wrogości nastąpiło w latach 1943-1944 wraz z

informacjami o mordach dokonywanych na Polakach przez UPA oraz o formowaniu dywizji SS „Galizien”. Autor cytuje w pracy jeden z raportów polskiego podziemia, w którym tak scharakteryzowano nastroje panujące wśród Polaków: „nie ma żadnej dyskusji na temat politycznego liberalizmu w stosunku do Ukraińców [...] Ktokolwiek zechce zająć inne stanowisko, ten przegrał w tutejszym społeczeństwie, chociażby był jednostką najbardziej popularną” (s. 389).

Zdaniem Hryciuka jedynie obecność we Lwowie niemieckiego garnizonu uchroniła miasto przed krwawą polsko-ukraińską konfrontacją. Zaznacza jednak, iż w lipcu 1944 r. „W dzielnicach opanowanych przez AK, m.in. w śródmieściu Lwowa dochodzić miało do samosądów i mordowania Ukraińców” (s. 389). Niestety, nie podaje on więcej szczegółów na ten temat. Tymczasem ukraiński historyk Mychajło Kowal, w wydanej w 1999 r. w Kijowie książce „Ukrajina w druhij switowij i Welykij Witschyznjanij Wijnach (1939-1945 rr)” stwierdza, że oddziały AK zabiły wówczas 728 Ukraińców. Liczba podawana przez Kowala wydaje się być grubo przesadzona. Wątpliwe, by ówczesne straty ukraińskie przekroczyły 100 zabitych. Tym bardziej jednak szkoda, iż Hryciuk nie zajął się tą kwestią bardziej szczegółowo.

Istotnym mankamentem pracy jest brak bibliografii. Stanowi to spore utrudnienie w poznaniu literatury przedmiotu wykorzystanej przez autora.

Za pewien mankament pracy można także uznać skoncentrowanie się jedynie na Polakach mieszkających we Lwowie. Wszak w ówczesnym czasie znaczna część mieszkańców była z pochodzenia Żydami i Ukraińcami. Autor jest świadomy tego braku. Jego zdaniem, pokazanie życia jedynie Polaków wynika z faktu kulturowo-politycznej izolacji grup etnicznych zamieszkujących miasto. Trudno nie zgodzić się z tak postawionym problemem. Jednak warto pamiętać, że dopiero pokazanie powszedniej egzystencji ludności żydowskiej i ukraińskiej i zestawienie wyników takich badań z tym co wiemy – dzięki Grzegorzowi Hryciukowi – o zamieszkujących Lwów Polakach pozwoli na stworzenie panoramy życia codziennego całego miasta.

Grzegorz MOTYKA

LISTY DO REDAKCJI

ROZMOWY POLSKO-UKRAIŃSKIE W RUMUNII (1940)

Dylematy i wątpliwości historyka

W numerze 131 z 2000 roku *Zeszytów Historycznych* ukazał się materiał p. Grzegorza Mazura poświęcony rozmowom polsko-ukraińskim w Rumunii w 1940 roku. Podczas pracy nad dysertacją doktorską w 1997¹ roku autor niniejszej glosy zetknął się już z tym problemem i dlatego chciałby ze swej strony przekazać kilka istotnych uwag i uzupełnień na ten temat. Przede wszystkim zaprezentowane w dokumencie negocjacje miały ścisły związek z napięciem na linii Londyn – Paryż – Moskwa z powodu agresji na II Rzeczypospolitą oraz wojną zimową. Ponadto w niektórych kręgach alianckich panowało przekonanie, że Związek Sowiecki jest tym słabszym ogniwem w rysującej się koalicji państw totalitarnych, w związku z czym należy w pierwszej kolejności skierować przeciw niemu serię uderzeń przewencyjnych, zanim nastąpi generalna ofensywa na III Rzeszę. Rozważano tu przede wszystkim ograniczone uderzenia na Dalekiej Północy lub interwencję na Kaukazie, głównie zresztą z myślą o przecięciu sowieckich dostaw ropy dla Niemiec. Ponadto sugerowano podjęcie ofensywy lotniczej na Baku². W związku z planami użycia w przewidywanym korpusie interwencyjnym w Finlandii jednostek polskich rząd Rzeczypospolitej był poinformowany przynajmniej o niektórych aspektach akcji antysowieckiej. W tej sytuacji ze swej strony mógł niejako wnieść „w posagu” swoje kontakty prometejskie, głównie na Kaukazie i Ukrainie. I tutaj, moim zdaniem, należy szukać genezy kontaktów polsko-ukraiń-

1. R. Potocki, „Idea restytucji Ukraińskiej Republiki Ludowej (1920-1939)”, Lublin 1999.

2. K. Rosen-Zawadzki, „Na osi: Paryż-Londyn-Moskwa (1939-1940)”, *Studia z dziejów ZSRR i Europy Środkowej* 1969, nr 5; M. Lorbeer, „Westmächte gegen die Sowjetunion 1939-1941”, Freiburg 1975.

skich na terenie Rumunii w 1939 i pierwszej dekadzie 1940 roku.

Partnerem do rozmów miało być przede wszystkim emigracyjne Centrum Państwowe URL. Kryzys czechosłowacki (zwłaszcza kwestia Rusi Karpackiej) z marca 1939 roku uzmysłowił działaczom URL na wychodźstwie, iż wojna powszechna jest już tylko kwestią czasu. W związku z tym dyplomacja ukraińska podjęła zawczasu decyzję o przeniesieniu ośrodka ideowego do Paryża, zaś prezydent Andrij Liwyckij podpisał pełnomocnictwo, w którym mianował premiera Władysława Prokopowycza „pełniącym obowiązki” głowy państwa w przypadku totalitarnej agresji na II Rzeczypospolitą. Także wiosną 1939 roku oficerowie kontraktowi służący w Wojsku Polskim opracowali projekt utworzenia armii partyzanckiej na Wołyniu w przypadku wojny polsko-sowieckiej.³ Wybuch II wojny światowej Centrum Państwowe przyjęło jako zapowiedź starcia dwóch bloków politycznych: demokracji i totalitaryzmu. Dlatego w organie rządowym URL *Tryzubie* z 1 września 1939 roku możemy przeczytać następującą deklarację ideową: „Rzesza Niemiecka napadając na Polskę naraziła Europę [...] na grozę strasznych cierpień, wielkich nieszczęść i niesłychanej ruiny. Bez względu na to, jaki będzie rozwój wydarzeń, Ukraińcy doskonale wiedzą, gdzie jest ich miejsce [...]. Stajemy po stronie Francji, Anglii i Polski. Stojąc po ich stronie wiemy, że będziemy walczyć, w obronie prawdy i sprawiedliwości, o prawa naszego narodu do posiadania niepodległego państwa. Stając po stronie tych państw, [...] prowadzimy [...] walkę przeciw nowemu sojusznikowi Rzeszy Niemieckiej – Moskwie, naszemu odwiecznemu wrogowi; i dążymy do wyzwolenia Ukrainy z kajdan moskiewskich”.⁴ W ślad za tymi słowami poszły odpowiednie czyny i także emigracja naddnieprzańska wyraziła gotowość do wypełnienia swoich zobowiązań sojuszniczych wobec II Rzeczypospolitej. 3 września na ten temat rozmawiał minister Roman Smal-Stočkyj, który zaproponował J. Beckowi utworzenie jednostek ukraińskich do walki z Niemcami. W tej sytuacji następnego dnia były szef sztabu armii

3. M. Szwahulak, „Z istoriji ukrajins'ko-pols'kich wzajemyn naperedodni ta pid czas nimec'ko-pols'koji wijny 1939 r.”, w: „Studia polsko-ukraińskie. Ukraina-Polska: dziedzictwo historyczne i świadomość społeczna. Materiały z konferencji naukowej, Kamieniec Podolski 29-31 maja 1992”, red. J. Isajewycz, t. I, Kijów-Przemyśl 1993; Idem, „Ukrajins'ka karta”. Ukrajins'kie pyttannia u miżnarodnij politici naperedodni ta poczatkju druhoji s'witowoji wijny”, *Dz'win*, 1990, nr 7(549); M. Dańko, „Konflikt miż wetykoderżawamy i sprawa wyzwolennia Ukrajiny”, *Tryzub*, Paris 1939, nr 26.

4. „Polska-Ukraina: trudne pytania”, t. IV, Warszawa 1999, s. 117-120.

URL – gen. Paweł Szandruk⁵ – otrzymał od gen. Wacława Stachiewicza polecenie natychmiastowego stawienia się w Sztapie Głównym WP. Do Warszawy dotarł z frontu cztery dni później. Po nieudanym spotkaniu z prezydentem Ukrainy na wychodźstwie (z towarzyszącym mu płk. A. Walijskim wyjechał już z Warszawy) zameldował się on u szefa sztabu marszałka E. Rydza-Śmigłego, który wystawił mu rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Lwowa w celu rozpoczęcia mobilizacji jednostek armii URL. Na bazie organizacji paramilitarnej „Łuh” i grup oficerskich Ukraińskiego Centralnego Komitetu zamierzano sformować na początek dwie brygady piechoty do osłony Małopolski Wschodniej.⁶ Jednakże w drodze do Lwowa generał zaangażował się w walki odwrotowe Wojska Polskiego i dostał się do niemieckiej niewoli.⁷ Po 17 września 1939 roku nie było już szans utworzenia wzmiankowanych formacji ukraińskiej, lecz oficerowie URL wypełnili lojalnie obowiązek wobec II Rzeczypospolitej, choć warunki kontraktów nie wymagały od nich uczestnictwa w wojnie z Niemcami.

W okupowanej Polsce już w 1939 roku zalecono emigracji naddnieprzańskiej zachowanie neutralności w konflikcie niemiecko-alianckim, zaś sam prezydent A. Liwyckij, po złożeniu deklaracji o zawieszeniu działalności politycznej, stał się osobą prywatną. Do listopada 1944 roku nie przejawiał on większej inicjatywy (był pod dyskretnym nadzorem gestapo), co nie przeszkadzało mu w udzieleniu zgody atamanowi Tarasowi Bulbie-Borowcowi na utworzenie Ukraińskiej Armii Powstańczej „Sicz Poleska” na pograniczu sowieckim na Wołyniu. Do jej organizacji przystąpiono już latem 1940 roku.⁸ W tej sytuacji rozmowy polsko-ukraińskie przeniesiono do Paryża i na grunt bukareszteński.

Na podstawie 4 artykułu „Małej konstytucji” URL z 12 listopada 1920 roku dotychczasowy Prezes Rady Ministrów przejął prerogatywy prezydenckie oraz dokonał reorganizacji rządu. Premierem i ministrem spraw zagranicznych został prof. Ołeksander Szulhyn, resort wojskowy przejął gen. Ołeksander Udowyczenko, zaś funkcję sekretarza państwowego przydzielono lokalnemu działaczowi UNDO Wołodymyrowi Sołowijowi. Ta

5. R. Potocki, „Misja gen. Pawła Szandraka (1945)”, w: „Czterytyj Miżnarodnyj Konhres Ukrajiniw, Odesa 26-29 VIII 1999 r., Dopowidni ta dowidomlennia, Istorija, cz. II: XX stolittia”, red. J. Isajewycz, Odesa 1999.

6. R. Potocki, „Ukraińskie Centrum Państwowe na wychodźstwie (1926-1933)”, *Przegląd Wschodni* 1998, t. V, z. 1(17).

7. P. Szandruk, „Arms of Valor”, New York 1959, s. 167-170.

8. T. Bulba-Borowec, „Armija bez derżawy”, Lwów 1993; J. Kyryczuk, „Otoman Taras Bulba-Borowec”, Lwów 1997.

ostatnia nominacja mogła budzić kontrowersje strony polskiej z uwagi na powierzenie tej funkcji obywatelowi II Rzeczypospolitej, co mogło wzbudzać obawy o ingerencje w sprawy wewnętrzne oraz zamach na integralność terytorialną państwa. Nowe władze URL (specjalnie powołany w tym celu Komitet Ukraiński) w Paryżu uznały niebawem rząd gen. W. Sikorskiego, po czym podjęto nieudane próby utworzenia legionu narodowego u boku Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, zaś po wybuchu wojny zimowej min. O. Szulhyn udał się z analogiczną misją do Helsinek.

Równolegle prowadzono rozmowy w Bukareszcie. Zachowana nieliczna dokumentacja sugeruje, że obie strony zamierzały doprowadzić do reaktywowania przymierza wojskowo-politycznego w obliczu spodziewanej inwazji lądowej aliantów na południu Związku Sowieckiego. Prezentowany przez p. Grzegorza Mazura materiał dowodzi, że rozmowy ze strony ukraińskiej prowadzili przede wszystkim przedstawiciele MSWojsk. URL: płk Porhiwskyj, dziennikarz o pseudonimie „Herodot” (NN), który *de facto* był kierownikiem wywiadu ukraińskiego na Rumunię i wybrzeże Morza Czarnego oraz przedstawiciele mniejszości związani z orientacją petlurowską (s. 108). Z polskiej strony rozmowy te koordynowała przede wszystkim ambasada RP oraz być może utworzona między innymi właśnie w tym celu ekspozytura „R”.⁹ Jednakże w tym miejscu możemy postawić pytanie: jaki był konkretnie cel i efekty rozmów polsko-ukraińskich w Rumunii? Na to pytanie zdaje się odpowiadać depesza wysłana do Oddziału VI z Budapesztu z 23 lipca 1940 roku.¹⁰ W dokumencie tym czytamy, że „doszło do porozumienia na niektórych odcinkach”. Ponadto źródło to sugeruje, że Ukraińcy posiadają za Zbruczem rozbudowaną konspirację, na czele której stoi ataman „Mucha”, i gotowi są przystąpić do działania pod następującymi warunkami: 1. Uznania przez aliantów prawa Ukrainy do samostanowienia i niepodległości; 2. Utworzenia (raczej uznania) przedstawicielstwa dyplomatycznego na Zachodzie; 3. Rozpoczęcia proukraińskiej akcji propagandowej. Z kolei w zamian gotowi byli nawiązać współpracę z Polską i Czechami na gruncie antyniemieckim, utworzyć z tymi państwami blok polityczno-militarny, połączniewnie załatwić po wojnie sprawę Małopolski Wschodniej, uzgodnić i skoordynować współdziałanie konspiracji polskiej i ukraińskiej przy zachowaniu odrębności organizacyjnej oraz w oparciu o koalicję wywołać powstanie narodowe i masowe

9. T. Dubicki, „Ekspozytura «R» w Bukareszcie (grudzień 1939 – październik 1940)”, *Mars* 1993, nr 1.

10. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, t. VI: „Uzupełnienia”, Wrocław 1991, s. 66-68, dok. 1613.

dezercje Ukraińców z Armii Czerwonej w przypadku otwartej interwencji na południu Związku Sowieckiego.

Projekty wywołania powstania narodowego na sowieckiej Ukrainie rozpatrywano także w Sztabie Naczelnego Wodza w dobie wojny zimowej, przy czym organizacja ruchu niepodległościowego miała się zbiec w czasie z rozpoczęciem ofensywy Francuskiej Armii Lewantu gen. M. Weyganda na Kaukaz. Miał to być polski wkład w rozbicie imperium sowieckiego na państwa narodowe przy równoczesnym znacznym osłabieniu potencjału koalicji państw totalitarnych. W dokumencie z 6 stycznia 1940 roku podpisanym przez Jerzego Klimkowskiego czytamy: „Polska jest zainteresowana tym, by całą tę akcję przeprowadzić na własny rachunek, żeby cały świat uznał, iż klęska bolszewizmu jest naszą zasługą, żeby w końcu powstała Ukraina stała się naszym oddanym sojusznikiem, nie zaś wrogiem. Na czele akcji powinni stanąć Polacy jako dowódcy oddziałów powstańczych. Musimy pamiętać, że robimy to nie dla nich, lecz dla siebie, że mamy w tym swój interes, że dzięki tej akcji przygotowujemy grunt dla własnego istnienia, i że musimy mieć decydujący głos w sprawie ustalenia zasad tego współistnienia”.¹¹

Także rząd Rzeczypospolitej w tajnych postulatach na przyszłą konferencję pokojową wypowiadał się na temat przyszłości Ukrainy. W pierwszej połowie 1940 roku zakładano, że w przypadku wojny koalicji zachodniej ze Związkiem Sowieckim Polska będzie optowała za przywróceniem granic ryskich na Wschodzie, przy równoczesnym wspieraniu ukraińskich tendencji państwowych (najchętniej w granicach sowieckiej Ukrainy z 1938 roku) oraz separatyzmu kaukaskiego (Gruzja). Naturalnie nie łączono ze sobą sprawy mniejszości ukraińskiej na kresach południowo-wschodnich z problemem niezawisłości państwowej nad Dnieprem. Z kolei w przypadku znacznego osłabienia Rosji i ewidentnej słabości separatyzmu nadnieprzańskiego przewidywano aneksję Podola z Kamieńcem Podolskim i Płoskirowem, z uwagi na liczne skupiska ludności polskiej i miejscowych katolików na tym terytorium i prześladowania, jakich doznali w okresie międzywojennym.¹²

W podsumowaniu końcowym należy stwierdzić, że negocjacje polsko-ukraińskie prowadzone na terenie Rumunii i Francji w latach 1939-1940 zawierają w sobie więcej niewiadomych i pytań w stosunku do znanych faktów. Wiedza nasza jest często

11. „Polska-Ukraina: trudne pytania”, t. IV, Warszawa 1999, s. 165-166.

12. W. Wrzesiński, „Polityka rządu Rzeczypospolitej polskiej na obczyźnie wobec Związku Sowieckiego a doświadczenia traktatu ryskiego (1939-1945)”, w: „Traktat ryski 1921 roku po 75 latach”, red. M. Wojciechowski, Toruń 1998.

fragmentaryczna, a przez to pełno w niej sprzeczności i niejasności. Autor niniejszej glosy może jedynie przypuszczać, że rozmowy te mają wiele wspólnego z przedwojennymi koncepcjami prometejskimi i planami wywołania powstania narodowego na sowieckiej Ukrainie w latach 1929-1933 oraz antysowieckimi koncepcjami rozważanymi na przełomie 1939-1940 roku w Londynie i Paryżu. Sam temat wart jest szerszego poznania, jednak w przypadku rozmów polsko-ukraińskich refleksję budzi sam rozmach i śmiałość prezentowanych koncepcji. Niestety z przyczyn wojskowych i geopolitycznych nie wyszły one poza studium projektów oraz ściany pokoi i sejfów dyplomatycznych.

Robert POTOCKI



Montreal, 10 listopada 2000

Szanowna Redakcjo,

W numerze 133 *Zeszytów Historycznych* ukazały się wspomnienia Antoniego Pospieszalskiego (Kpt. A.N. Currie „Z misją brytyjską w Polsce”).

Chciałbym dodać, że w Public Record Office (PRO) w Londynie odtajniono szereg dokumentów, które objęte były do niedawna prawną klauzulą karencji. Wśród tych odtajnionych dokumentów jest również raport płk. D.T. Hudsona. Pisany jest na maszynie w „zabki”, na białym kancelaryjnym papierze i składa się z dwóch części, w sumie 42 strony, z adnotacją „Historical Document” Permanent Preservation. (PRO sygn. HS 4/249: – REPORT ON THE BRITISH OBSERVER MISSION DESPATCHED TO GERMAN OCCUPIED POLAND 26TH DECEMBER 1944).

Łączę wyrazy szacunku

Kajetan BIENIECKI

SPIS TREŚCI

Grzegorz Mazur: <i>Problem pacyfikacji Małopolski Wschodniej w 1930 r.</i>	3
Tadeusz Wyrwa (oprac.): <i>Z dziejów polsko-ukraińskich stosunków</i>	41
Ihor Iljuszyn, Grzegorz Mazur: <i>Utworzenie i działalność czekistowskich grup operacyjnych NKWD w zachodnich obwodach Ukrainy w latach 1939-1940</i>	49

DOKUMENTY

Adrian Tyszkiewicz: <i>O „Historii Ligi Narodowej” Stanisława Kozickiego słów kilka</i>	75
Stanisław Kozicki: <i>Liga Narodowa i Wolnomularstwo</i>	78
Marek Kornat: <i>Ambasador Edward Raczyński i jego ocena «polityki równowagi»</i>	86
Zenowiusz Ponarski: <i>Sowiecki agent o wystąpieniu Petera Kleista w maju 1939 r. w Warszawie</i>	113

OKRUCHY HISTORII

Piotr Daszkiewicz: <i>Niezwykła historia paryskiego marmuta</i>	123
Krzysztof Kasprzyk: <i>Akadyjczycy</i>	132

WSPOMNIENIA

Maria Turlejska: <i>Moje rozmowy z „Wiesławem” – Władysławem Gomułą</i>	153
Roman Jacek Czartoryski: <i>Wspomnienia z wojny 1918-1920</i>	175

CI, CO ODESZLI

Nina Kozłowska: <i>Wspomnienie o Kazimierzu Zamorskim</i>	214
<i>Komunikat Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej</i>	218

KSIĄŻKI

Andrzej Koraszewski: <i>Spór w operetce</i>	219
Jan Jerzy Milewski: <i>Białoruś w XX wieku</i>	224
Grzegorz Moryka: <i>Polski Lwów</i>	229

LISTY DO REDAKCJI

Robert Potocki: <i>Rozmowy polsko-ukraińskie w Rumunii (1940). (Uwagi do artykułu Grzegorza Mazura – ZH nr 131)</i>	233
Kajetan Bieniecki: <i>Uwagi do artykułu Antoniego Pospieszalskiego (ZH nr 133)</i>	238

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 30 MARS 2001
SUR LES PRESSES
DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 1^{er} trim. 2001
N° d'imprimeur : 6473

